

Almanach

PROWINCJONALNY

Wewnątrz m.in.:

Marek Czapliński
z historii Śląska

Akcja – Wagon
ze wspomnień por. Stala - cz. 3

ks. Jerzy Szymik
wierszem i prozą

Czeskie słowa - czeskie obrazy
A. Babuchowski, J. Zahradniček,
M. Holub, J. Šavřda, E. Hák,
T. Jirous, V. Burian

Adriana Szymańska
wierszem

Janusz Szuber
prozą

Margo Birnberg
wierszem prozą

Paweł Newerla, Beno Benczew
z historii Raciborza

Jan Kondrak
o poezji Karola Wojtyły

Teresa Paskuda
o poezji Jana Twardowskiego

Wojciech Arciemowicz,
Mariusz Kubik, Bolesław Stachow
fotografie

Racib

Raciborskie Centrum Kultury
Racibórz – Kwiecień 2006

THEATRUM MUNDI ET DEI

Tacy jesteśmy. Taka jest ta sztuka
Widowni od sceny

z powodu iluzoryczności światła stężalego już nie odróżnisz
Śmiech brzmi jak brzęk bezcennych przedmiotów niepotrzebnie rozbijanych
a lzy glicerynowe ciekną po fałszywej twarzy mocno uszmkowanej
która gra i patrzy na swoją grę
podczas gdy w kącikach ust nieprawdziwych
podczas gdy w kącikach oczu obróconych w ślup
zaczyna się roić
bóg much

Tylko że tu i ówdzie
ta fałszywa twarz ukazuje się jako śmiertelnie prawdziwa
Nagle gra toczy się o wszystko
Łzy glicerynowe cieką jak krew najbardziej ludzka
Usta kłamstwa wydają potworne świadectwo przeciwko nam
Oczy otwierają się i zamykają jak wschód i zachód w dniu ostatecznym
po którym nie będzie już nic
a do zatłoczonych galerii wieków gapiących się ciekawsko
i nagle skamieniałych z przerażenia
zajrzy
Chusta Weroniki...

Tacy jesteście i w taki sposób igramy sobie
z ogniem, który pali ale nie spala
zawsze jednak mamy możliwość wyjścia z tego piekła za kaucją
jesteście tak bardzo inni i wszystko jest inne
kiedy zdejmujemy z twarzy maskę naszej ważności
kiedy zzuwamy ciasne buty swojej wyuczony roli
i boso przekraczamy próg Królestwa Bożego wszędzie tam
gdzie są dzieci
i razem z nimi patrzymy Bogu na palce
jak tworzy gwiazdy i wiele innych rzeczy corocznie powtarzanych
od fiołka po burzę

Tak oto bosi przekraczamy próg niedzieli, próg Domu Pańskiego
Śpiewając. A ileż tam rzeczy na zewnątrz wydarza się nieodwracalnie
w prosektoriach, szpitalach i w czasie tortur
abyśmy za wszelką cenę mogli zbliżyć się do tajemnicy ciała
tutaj dzwonki w rękach chłopców oznajmiają prosciutko że
Zaczyna się sztuka prawdziwsza i zatrzymuje się teatr świata
Na przekór wszystkim głosom ziemi dzwony miały rację mówiąc jej
Zbliżają się żołdacy, teraz wszystko jest tutaj i nawet gdyby świece nie płonęły
a organy nie wzywały niewidzialnych zmarłych
Trwa uczta, Kanaan zapewne, ale drzewi nagle się otwierają
Ewangelia o cudownym rozmnożeniu chleba dobiega końca, kogut pieje

Wszyscy możemy się zaprzeć. Wszyscy się rozpierzchamy

(Z tomu Chusta Weroniki, 1968)

JAN ZAHRADNÍČEK
PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI



PO RAZ TRZECI!

A zatem stało się. Trzymacie Państwo w rękach już trzeci numer „Almanachu Prowincjonalnego”. Trójka to liczba oznaczająca doskonałość. Naszym pragnieniem jest, aby raciborski periodyk coraz bardziej zbliżał się do owej perfekcji, mamy nadzieję, że czynione przez nas w tej mierze wysiłki przekładają się na jakość pisma, które dociera do coraz szerszego kręgu odbiorców oraz zyskuje wiele pozytywnych opinii.

Udało się nam zachować regularny rytm wydawania kolejnych numerów – pismo jest na razie półrocznikiem, jednak dążymy do przekształcenia go w kwartalnik. Niezmienna życzliwość i opieka ze strony szefa Raciborskiego Centrum Kultury, Pana Leszka Wyki, a także wsparcie finansowe udzielone przez Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego pozwalają nam na stosowanie w praktyce romantycznej zasady mierzenia sił na zamiary.

W trzecim numerze „Almanachu” znajdują Państwo teksty zarówno autorów „zadomowionych” na dobre w naszym piśmie, jak ks. prof. Jerzy Szymik, Krzysztof Lisowski, Marzena Korzonek, jak i publikacje świeżo pozyskanych twórców. Do grona stałych felietonistów i Almanachowych poetów dołączył Szymon Babuchowski, swoje utwory nadesłali Adriana Szymańska i Janusz Szuber - goście raciborskich wieczorów spod znaku „Prowincja - matecznik słowa”, cykl artykułów o dawnym Raciborzu rozpoczął Paweł Newerla, esej o poezji ks. Jana Twardowskiego zamieściła Teresa Paskuda, próbkami poezji i tekstem prozatorskim debiutuje na naszych łamach raciborzanka z Australii - Margot Birnberg. To tylko niektóre nazwiska z długiej listy autorów najnowszego numeru. Jesteśmy ogromnie im wszystkim wdzięczni. Dzięki nim „Almanach Prowincjonalny” staje się znaczącą pozycją na rynku czasopism kulturalnych.

Miarą naszego przywiązania do lokalnej śląskiej ojczyzny jest rozważanie prof. Marka Czaplńskiego na temat historii Śląska. Jednakże zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią trzeci numer „Almanachu” został zdominowany przez tematykę czeską. Postanowiliśmy m.in. przypomnieć frapującą postać czeskiego poety katolickiego – Jana Zahradnička. Szkic mu poświęcony napisał specjalnie dla nas wytrawny znawca literatury sąsiadów z południa, Andrzej Babuchowski. On też przetłumaczył znajdujące się w numerze wiersze Zahradnička oraz jego piękny esej.

Promocja trzeciego numeru „Almanachu” odbywa się w czasie szczególnym, w kontekście pierwszej rocznicy odejścia Sługi Bożego Jana Pawła II do Pana, dlatego nie może dziwić umieszczenie w czasopiśmie materiałów papieskich. Będą się one z całą pewnością ukazywały także w następnych numerach raciborskiego periodyku.

Zachęcając do lektury, przekazujemy słowa wdzięczności wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania trzeciego numeru „Almanachu Prowincjonalnego”.

Jak zwykli mówić prezenterzy telewizyjni – zostańcie Państwo z nami.



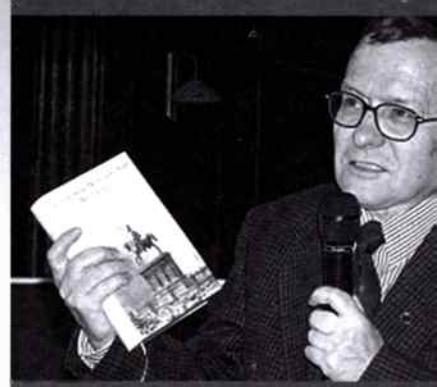
JAKĄ HISTORIA ŚLĄSKA?

Od powstania poprzedniej syntetycznej historii całego Śląska minęło już kilkadziesiąt lat. W międzyczasie powstała nie tylko wielotomowa „Historia Śląska” pisana głównie w środowisku wrocławskim, ale wiele prac szczegółowych, zwłaszcza dotyczących Górnego Śląska. Równocześnie jednak na świecie powstały prace pokazujące na zupełnie nowe, dalekie od dotychczasowego, możliwości pisania dziejów przeszłości. Wszystko to spowodowało, że autorzy stanęli przed niezwykle trudnym zadaniem. Podchodząc do przygotowania swej historii stanęli przed następującymi głównymi problemami:

1. Po co nam historia regionu?
 2. Czy w ogóle można mówić dziś o jednej „historii Śląska”?
 3. Czy powinna koncentrować się na polskiej przeszłości tej krainy, czy na niemieckiej, czy też na „śląskiej”?
 4. Jak należy pisać o sprawach spornych, o tych wydarzeniach, które tradycyjnie zupełnie odmiennie są prezentowane w historiografii Polski, Czech, Niemiec?
 5. W jakim stopniu powinna uwzględniać dzieje krajów, do których Śląsk należał i bez znajomości której trudno zrozumieć to co się dzieje na Śląsku?
 6. Czy należy pisać o postaciach, które tylko wyrosły ze Śląska, a potem odgrywały ważną rolę w życiu Czech, Austrii, Prus czy Polski?
 7. Co współczesnego czytelnika najbardziej w przeszłości regionu interesuje? Czy dzieje polityczne, czy rozwój gospodarczy, czy specyfika kultury, czy warunki i sposób życia ludzi, ewentualnie problemy, które dla tych ludzi były ważne?
 8. Problem świadomości regionalnej, czy powinien być centralnym wątkiem?
 9. Czy dysponujemy dziś wiedzą, aby napisać w pełni nowoczesną, wyczerpującą historię Śląska?
- Zacznijmy je więc po kolei analizować.

1. CZEMU MA SŁUŻYĆ HISTORIA REGIONU?

Pytanie to jest podstawowym, jakie powinniśmy sobie zadać. Jestem o tyle w kłopotcie, że nie wychowałem się na Górnym Śląsku, a na Dolnym Śląsku mieszkam dopiero od 1947. Nie odczuwam podobnie jak dzisiejsi Górnoszlązacy „oddechu Niemców na karku”. Wprawdzie wszedłem wcześniej w dzieje Górnego Śląska przygotowując biografię bytomskiego dziennikarza i wydawcy Adama Napieralskiego, ale z pewnością nie było to to samo, co mieszkając w tej części prowincji i myśleć tak jak Górnoszlązacy.



Marek Czapliński

urodził się 31 października 1940 roku w Krakowie. Jego ojciec, Władysław Czapliński (1905-1981), również profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, należał do grona najwybitniejszych polskich historyków. Był on specjalistą w zakresie historii Polski XVII w. oraz badaczem nowożytnych dziejów krajów skandynawskich. Spod jego pióra wyszedł m.in. „Zarys dziejów Polski do roku 1864.” Tuż po wojnie, po objęciu przez ojca katedry historii na Uniwersytecie Wrocławskim rodzina Państwa Czaplińskich przeprowadziła się do Wrocławia. Tam Marek Czapliński podążył śladami swego ojca, podejmując studia historyczne na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie w 1970 roku zrobił doktorat, a w 1983 habilitację.

Obszarem badawczym Profesora Czaplińskiego, najogólniej rzecz ujmując, jest XIX wiek, a w szczególności: historia niemieckiego kolonializmu, niemieckiej propagandy morskiej, dzieje niemieckiej biurokracji, życie codzienne w XIX wieku, mentalność w XIX wieku, historia prasy i w końcu dzieje Śląska w XIX i XX wieku - ruchu polskiego, miast śląskich, Uniwersytetu Wrocławskiego.

Owocem tych zainteresowań jest bez wątpienia najnowsza, bestsellerowa jednotomowa „Historia Śląska” wydana przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego w 2002 roku. Jest to zbiorowa praca wrocławskich historyków pod redakcją Profesora, który jest też autorem części dotyczącej XIX wieku aż po II wojnę światową. Jest to praca wyjątkowa m.in. dlatego, że przedstawia wyniki najnowszych badań nad historią Śląska, i to zarówno badaczy polskich, jak i niemieckich. Obdziera przeszłość z propagandowych klisz, m.in. z czasów PRL-u. Jest też świetnie napisana i czyta się ją z wielką przyjemnością, co nadaje tej pracy dodatkowy walor.

W latach 1990 - 1996 pełnił funkcję dziekana Wydziału Nauk Historycznych i Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, był również prodziekanem oraz wicedyrektorem Instytutu Historii. Aktualnie jest kierownikiem Zakładu Historii Śląska.

W dziejach historia odgrywała różną rolę. Bardzo często dydaktyczną. Od starożytności miała pełnić funkcję wychowawczą, pokazywać godnych naśladowania władców i bohaterów. Przez wieki zaborów była dla nas pociechą, że kiedyś mieliśmy wspaniałą przeszłość i wielkie państwo, co budziło dumę z tego, że jesteśmy Polakami i nadzieję, że uda się nasze państwo odbudować. Potem pokazywała, że nawet na terenach, które od wieków nie należały do państwa polskiego utrzymały się język i pewne elementy kultury polskiej, co zachęciło najwybitniejsze jednostki do działań narodowych i postawienia postulatu włączenia tych ziem do państwa polskiego. Jestem daleki od odrzucania podobnego spojrzenia. Zwłaszcza dziś, kiedy przeżywamy zafascynowanie kulturą anglosaską, kiedy boimy się, aby w wielkiej Europie nie zapomnieć swoich tradycji, ich przypominanie jest bardzo ważne.

Jednak tak naprawdę historia nie może służyć jedynie do tego. Musi pokazywać całą przeszłość. Musi służyć lepszemu zrozumieniu przeszłości. Jest to niezwykle potrzebne również dla przyszłości. Musimy analizować to co w przeszłości się działo, zarówno dobre, jak i złe, aby coraz lepiej działać, nie popełniać błędów, które popełniali nasi przodkowie. Uświadommy sobie przykładowo, że cała nauka ekonomii opiera się na analizowaniu działań gospodarczych w przeszłości i wyciąganiu z nich wniosków. Przykładowo mechanizmy finansowania wydatków komunalnych opierają się właśnie na doświadczeniach miast wypracowanych w XIX i XX wieku. Podobnie bardzo ciekawe metody aktywizacji mieszkańców do pracy dla swojego grodu. I pod tym względem nie jest ważne, czy odpowiednie metody wymyślili Polacy, Niemcy, czy Żydzi. Uczyć się warto od każdego, podobnie jak dzisiaj możemy się uczyć nawet od narodów wschodnioazjatyckich. Ale fakt, że pewne metody były wypróbowane z powodzeniem już dawno na Śląsku jest ważny dla każdego, kto ponownie chce je zastosować. Uświadomiłem sobie to niezwykle dobitnie pisząc historię paru miast śląskich.

2. CZY W OGÓLE MOŻNA MÓWIĆ DZIŚ O JEDNEJ „HISTORII ŚLĄSKA”?

Na pytanie to cała grupa autorów wywodząca się głównie z Opolszczyzny w praktyce odpowiedziała negatywnie, podejmując już przed laty inicjatywę pisania „*Dziejów Górnego Śląska w latach 1815-1847*” pod red. Franciszka Hawranka (Opole 1981), potem też Michał Lis wydając najpierw „*Górny Śląsk. Zarys dziejów do I wojny światowej*. (1986, 1993), potem zaś rozszerzoną wersję: „*Górny Śląsk. Zarys dziejów do połowy XX wieku*”. (2001). Myślę jednak, że autorzy ci w mniejszym stopniu byli przekonani o zupełnej odrębności Górnego Śląska, co raczej uznawali, iż dużo lepiej opracowane są dzieje Śląska Górnego, stąd łatwiej im będzie to przygotować niż przez lata bardziej zaniedbanego w badaniach Śląska Dolnego. Uderzające jest też, że wyznacznikiem ich postawy nie były późniejsze granice administracyjne, bo przecież w takim wypadku należałoby osobno opisywać dzieje Opolszczyzny i Województwa Katowickiego. Można sądzić, że szczególnie istotne było dla nich przekonanie, że dla ludności polskiej Górnego Śląska najważniejsze będzie poznanie jej przeszłości, pokazanie, iż jest tu ona od stuleci zakorzeniona, ma swoją własną historię. Pisanie szersze o dziejach Dolnego Śląska zmuszałoby do dużo obszerniejszego uwzględnienia dziejów Niemców, a nie było to dobrze widziane czasach PRL. Pisanie poważniejszych syntez wymaga sporych nakładów, a te dużo łatwiej było zdobyć wykazując „polityczne zapotrzebowanie” na polską historię Górnego Śląska. Obiektywnie należy przyznać, że oba podejścia do problemu (to znaczy zarówno pisanie dziejów samego Górnego Śląska, jak i całego Śląska) wydają się być do przyjęcia. Z jednej strony bowiem Górny Śląsk przez wieki funkcjonował w ramach jednej prowincji ze Środkowym i Dolnym Śląskiem, z drugiej niewątpliwie już od średniowiecza wyróżniał się w dzielnicę wyraźną specyfiką, specyfiką, która zdecydowanie zaostrzyła się w ostatnich dwu stuleciach, tak że można było mówić o dwu różnych prowincjach, co zresztą potem zostało sformalizowane poprzez utworzenie odrębnej rejencji, w końcu prowincji. Tym niemniej ja opowiadam się raczej za pisanem historii całego Śląska w przekonaniu, że tak łatwiej jest wydobycь wszystkie ważne tendencje, które charakteryzują ten region.

3. CZY OPIS DZIEJÓW ŚLĄSKA POWINIEN SIĘ KONCENTROWAĆ NA POLSKIEJ PRZESZŁOŚCI TEJ KRAINY, CZY NA NIEMIECKIEJ, CZY TEŻ NA „ŚLĄSKIEJ”?

Pytanie to jest bardzo istotne, choć dla wielu czytelników przyzwyczajonych do dawnego stylu pisania może wydać się absurdalnym. Ich argumentacja jest prosta – jesteśmy Polakami, więc interesują nas nasze dzieje. Niedawny artykuł Michała Smolorza w „Gazecie Wyborczej” wyraźnie wskazuje, że podobna postawa jest nadzwyczaj popularna na Śląsku. Niezwykle pocuczająca była dla mnie lektura polemik, jakie artykuł ten wywołał. Uderzające było pojawienie się tam całej serii wypowiedzi pod hasłem „Nie oddamy Śląska Niemcom”. Można było z nich wnioskować, że autorzy tych listów pisanie o niemieckiej historii Śląska traktują jako ułatwianie Niemcom wysunięcia pretensji do tego regionu, jako posunięcie, które prowadzi do „oddania Śląska Niemcom”.

Zwolennicy pisania jedynie o „polskim Śląsku” mogą powołać się na liczne prace poświęcone dawnym polskim kresom wschodnim, w których pisze się też prawie wyłącznie o dziejach Polaków. Jednak dla mnie rzecz wcale nie jest taka oczywista. To właśnie lektura powstałych w Republice Federalnej prac poświęconych „niemieckiej historii Śląska” przekonała mnie, że jest to droga błędna, prowadząca do zupełnie fałszywego obrazu przeszłości, jeśli uwzględnia się tylko jeden (nawet jeśli dominujący) czynnik kształtujący dzieje danej krainy, gdyż czynników takich było wiele i choćby sam fakt istnienia na Śląsku ludności mówiącej językiem polskim w bardzo istotny sposób wpływał na politykę na tym terenie. Nie można też zrozumieć dziejów regionu bez uwzględnienia olbrzymiej roli gospodarczej odegranej przez nie tak liczną, ale bardzo silną finansowo i bardzo sprawną w sensie menadżerskim ludność żydowską.

W rzeczywistości w moim przekonaniu nie można poznać prawdziwych dziejów Śląska, patrząc na nie tylko z jednej strony, czy to polskiej, czy to niemieckiej, czy to śląskiej. Słusznie kiedyś polscy historycy zarzucali niemieckim, że pomijając dzieje polskiego ludu tworzą niepełny (niejednokrotnie nawet zafalszowany) obraz dziejów, dobrze też, że w XX wieku podjęto szeroko zakrojone badania, które miały wyrównać dysproporcję w wiedzy odnośnie do przeszłości „niemieckiej” i „polskiej”. Faktem jest też, że badacze niemieccy zasłaniając się nieznaną naszą mową najczęściej do dziś nie dbają o rzeczywistą znajomość polskiej literatury historycznej i nawet jeśli wykazują ją w bibliografiach, nadal po macoszemu traktują polskie aspekty dziejów Śląska lub pisząc o nich piszą z niemieckiego punktu widzenia. Przykładów podobnej postawy można liczyć na pięćki i to nawet historyków deklarujących wobec nas przyjazną postawę i konsultujących swoje prace z badaczami polskimi. Jaskrawym dowodem jej jest ostatnia olbrzymia monografia Hitzego o słynnym przywódcy centrowym Ulitzce, gdzie o działaczach polskich pisze się w oparciu o...prace niemieckie. Ale i to prowadzi do wielu błędów i niezrozumienia rzeczywistych dziejów Śląska.

Teoretycznie powinniśmy więc uwzględniać „po równo” wszystkie strony. Zdaję sobie sprawę, że mówiąc to narażam się wielu słuchaczom, którzy czytając dotychczas głównie dzieła pisane w poprzednich dziesięcioleciach uznają to za herezję. Ale inaczej ryzykujemy, że tak naprawdę nie zrozumiemy historii Śląska, na którą składają się dzieje różnych narodów i różnych wyznań, w której czynnik polski, czeski, niemiecki, żydowski, a równocześnie katolicki, protestancki, judaistyczny, odgrywały w różnych okresach bardzo istotną rolę! Takie musi być założenie autora chcącego w pełni zrozumieć i wyjaśnić to, co działo się na Śląsku.

GORZEJ jest jednak z realizacją podobnego założenia w praktyce. Jak przypomnimy sobie jaka była pozycja społeczna, możliwości finansowe, oświatowe ludności niemieckiej, a jakie polskiej, gdy do tego weźmiemy pod uwagę ograniczone rozmiary planowanej książki, stajemy przed niełatwym dylematem, co wybrać. Czy należy pisać przykładowo o jednym z wielu ar-

tystów, którzy zrobili karierę i rozślawili Śląsk w całej monarchii Habsburgów lub monarchii pruskiej, czy o skromnym pisarzu ludowym, który był znany jedynie w wąskim kręgu polskich Górnoślązaków, a jego twórczość wcale nie była oryginalna, miała wyraźnie charakter odtwórczy. Czy powinniśmy pisać o magnacie, którego wielkie zasługi dla rozwoju przemysłu w regionie były niezaprzeczalne, ale który mówiąc bez ogródek traktował swoich polskich robotników jak bydło. Podobnie czy pisać o landracie, który nadzwyczaj zasłużył się dla rozwoju infrastruktury swojego powiatu, pomagając w jego szybkim rozwoju gospodarczym, czy o skromnym robotniku, który dorobiwszy się założył stopniowo rosnący sklep kolonialny, a poza tym udzielał się w licznych organizacjach polskich. Naturalnie wyważyć odpowiednie proporcje jest niezwykle trudno, tym bardziej, że dziś to pruski landrat może być wzorem na polskiego starostę, a z kolei skromny robotnik może zainspirować zarówno do działań na niwie przedsiębiorczości, jak i do działań typowo społecznych i kulturalnych.

To nie przypadek, że książkę wydaną pod moją redakcją niektórzy historycy z Górnego Śląska uznali za „Historię Dolnego Śląska” i to choć ilość miejsca poświęconego ich regionowi na pewno nie była mniejsza, a odwrotnie, większa niż ta poświęcona Dolnemu Śląskowi. Nie dziwi mnie to, przyzwyczaili się bowiem do takiego opisywania dziejów, w którym dzieje górnośląskie ostatnich wieków (a powiedzmy precyzyjnie „polskie dzieje górnośląskie”) praktycznie zdominowały opis dziejów całego Śląska.

Jeszcze trudniej jest z uwzględnieniem „śląskiego spojrzenia”. Autorzy tekstów pisanych z tego punktu widzenia polemizując z polskim widzeniem dziejów Śląska nierzadko sięgają po pozycje niemieckie. Nie może to być dla nas miłe, że polskie historie Śląska niejednokrotnie uważają za nieprawdziwe, sfalszowane, zakłamane. Nawet przytaczanie podobnych twierdzeń może budzić sprzeciw polskiego czytelnika. Jednak, gdy uważniej zastanowimy się nad ich argumentacją, dostrzeżemy w nich w wielu wypadkach elementy warte uwagi, zmuszające do ponownego przemyślenia spraw, które uważaliśmy za oczywiste. Z tych też względów nie rezygnowałbym z uwzględnienia i tego aspektu. Bez myślenia, bez refleksji, bez korygowania swoich poglądów, nie ma bowiem postępu w nauce. Nie przekonywuje mnie wcale mówienie o „narodzie śląskim”, jednak wydaje mi się, że lekceważąc tak wyraźne u głosicieli tej teorii poczucie krzywdy, ich poczucie odrębności zarówno od Polaków jak i od Niemców, nie stwarzamy lepszych perspektyw wzajemnego zrozumienia i współpracy zwłaszcza wobec niewątpliwych trudności jakie aktualnie ten region przeżywa.

4. JAK NALEŻY PISAĆ O SPRAWACH SPORNYCH, O TYCH WYDARZENIACH, KTÓRE TRADYCYJNIE ZUPEŁNIE ODMIENNIE SĄ PREZENTOWANE W HISTORIOGRAFII POLSKI, CZECH, NIEMIEC?

Jest to problem trudny do rozstrzygnięcia. Czytelnik polski przyzwyczaił się do znanego od dziesięcioleci sposobu przedstawiania i nierzadko też alergicznie reaguje na odmienne spojrzenie. Wiadomo, że pozbawieni częstszego kontaktu z nauką czytelnicy nie lubią, aby pozostawiać im do wyboru różne alternatywy, domagają się jednoznacznego stanowiska wobec opisywanych wydarzeń, chcą jasnego opowiedzenia się „tak” lub „nie”. Z kolei także nas, historyków, lektura niektórych prac czeskich czy niemieckich potrafi wyprowadzić z równowagi, gdy autorzy prezentują w nich bardzo jednostronny sposób widzenia np. powstań śląskich czy sprawy narodowej na Śląsku Cieszyńskim. Uważam, że pomijanie pełnym milczeniem tego, że nasi sąsiedzi inaczej niż my patrzą na sprawy kontrowersyjne po pierwsze wprowadza w błąd naszych własnych obywateli (z wszystkimi politycznymi konsekwencjami tego faktu), po drugie nierzadko utrudnia skorygowanie jednostronnego i nie zawsze w pełni prawdziwego naszego obrazu przeszłości. Historia ma to do siebie, że jest podstawą wielu ważnych dla kształtowania świadomości narodowej

mitów. Jednak bazowanie na oszukańczych mitach jest nadzwyczaj niebezpieczne dla zdrowia psychicznego całego społeczeństwa. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy przepływ informacji praktycznie nie ma granic, narażamy się wręcz na śmieszność jeśli wbrew faktom upieramy się przy takiej wersji dziejów, której nie da się obronić.

Poza tym serwowanie wyłącznie jednego obrazu dziejów praktycznie uniemożliwia edukację historyczną nowych kadr naukowych, gdyż cały rozwój badań opiera się przecież na porównywaniu różnych poglądów i krytyce dotychczasowej literatury. Głośna przed kilkoma miesiącami dyskusja na temat walk o Katowice we wrześniu 1939 r. była dla mnie bardzo niepokojącym sygnałem, że poważna część społeczeństwa śląskiego tak przywiązała się do raz utrwalonego obrazu, że za żadną cenę nie chce zgodzić się na jego rewizję, zupełnie jakby bała się, że osłabi to jej prawa do ziemi śląskiej. U podstaw takiej postawy leży przyzwyczajenie do zupełnie błędnego poglądu, że „historia daje prawo do tego lub tamtego”. Tymczasem właśnie fałszywy obraz przeszłości skłonił najpierw wojewodę Grażyńskiego do ostrej polityki wobec „Niemców”, co zemszcilo się już w czasie II wojny światowej, a po wojnie światowej władze PRL do przyjęcia założenia, że można kogoś zmusić do tego, aby czuł się Polakiem. Do dziś zbieramy fatalne konsekwencje tej polityki, która doprowadziła do wyjazdu z regionu setek tysięcy ludzi rozczarowanych i niechętnych Polsce.

5. CZY NALEŻY PISAĆ O SPRAWACH DOTYCHCZAS PRZEMILCZANYCH LUB POMIJANYCH W BADANIACH ŚLĄSKICH?

Podejrzewam, że dziś wiele na ten temat nie da się napisać. Ostatecznie zanim da się napisać syntezę, ogólną „historię Śląska”, konieczne są badania monograficzne, szczegółowe, analizujące te pomijane dotychczas problemy. Czy znaczy to, że w ogóle nie należy o nich wspominać? Bałbym się podobnej postawy, gdyż przypomina ona postawę strusia chowającego głowę w piasek. Poza tym o niektórych problemach ostatnio jednak pisano, jak na przykład o przemilczanych dotąd postawach ludności śląskiej w okresie II wojny światowej. I znowu jeśli zamkniemy oczy na fakt, że pewna część Górnoszlązaków, jedna pozyskana propagandą hitlerowską, inna ze strachu, inna w celu lepszego ukrycia pracy podziemnej, zapisywała się do partii hitlerowskiej czy S.A., nie zrozumiemy tego co w tym czasie działo się na Śląsku. Problemem niezwykle ważnym, a dużo słabiej zbadanym jest stopień akulturacji ludności śląskiej w kulturze niemieckiej, to co często w literaturze nazywa się „dobrowolną germanizacją”. Mechanizmy tego procesu znamy głównie z notatek gazet polskich, które nie są w tym wypadku obiektywnym źródłem, gdyż ostro potępiają te zachowania. Trzeba więc szukać jeszcze innych źródeł. Poza tym zupełnie niejasne są rozmiary tego zjawiska. Jest to o tyle kłopotliwe, że sporo uwagi w badaniach poświęcono powstawaniu wśród Ślązaków polskiej świadomości narodowej, natomiast bardzo niewiele tym Górnoszlazakom, którzy zdecydowali się na niemiecką świadomość narodową. Wbrew pozorom badanie podobnych procesów jest ważne nie tylko z punktu widzenia niemieckiego, ale także z polskiego punktu widzenia. Oglądając bowiem tylko „jedną stronę medalu”, musimy mieć fałszywy obraz rzeczywistości. I znów trzeba przypomnieć, że fałszywy obraz prowadzi do fałszywych mitów, fałszywe mity do błędnej polityki.

6. W JAKIM STOPNIU HISTORIA REGIONU POWINNA UWZGLĘDNIĆ DZIEJE KRAJÓW, DO KTÓRYCH ŚLĄSK NALEŻAŁ I BEZ ZNAJOMOŚCI KTÓREJ TRUDNO ZROZUMIEĆ TO CO SIĘ DZIEJE NA ŚLĄSKU?

Również ten problem należy do ważnych, które podejmując pisanie historii Śląska wymagają jasnego rozstrzygnięcia. Musimy pamiętać o tym, że przecież Śląsk kolejno wchodził w skład różnych organizmów państwowych i uczestniczył w ich życiu nierzadko w dużym stopniu.

Niektórzy badacze twierdzą, że aktualnie historycy polscy w zbyt małym stopniu uwzględniają rolę Śląska w dziejach średniowiecznej czy nowożytnej monarchii czeskiej. Wydaje się to bardzo ważnym brakiem. Ale znajomość najnowszej czeskiej literatury naukowej nie jest mocną stroną badaczy polskich, stąd też oczywiste konsekwencje. Wydaje się, że należałoby na tym polu postulować zasadniczą zmianę postawy.

Niewątpliwie jest też, że historycy niemieccy przeważnie pomijają rolę województwa śląskiego w życiu Polski międzywojennej, co może dziwić tym bardziej, że jednym z najważniejszych problemów, z jakim borykały się władze i społeczeństwo tego nowego tworu, była właśnie silna i dobrze zorganizowana mniejszość niemiecka. Być może postawa ta wynika z faktu, że dzieje tej mniejszości najlepiej opracowali historycy polscy, a badacze niemieccy rzadko znają dostatecznie język polski, aby obszerniejszą literaturę wykorzystać.

Najlepiej stosunkowo uwzględnia się wpływ zmian następujących w monarchii pruskiej na dzieje naszego regionu, ale ostatnie monografie poświęcone dziejom czołowych postaci katolickiej partii Centrum pozwalają dostrzec, że i pod tym względem nie zawsze dysponujemy dostateczną wiedzą dotyczącą wszystkich czynników, które mają zasadniczy wpływ na dzieje prowincji śląskiej. Tak naprawdę to pisanie historii Śląska wymaga doskonałej znajomości dziejów krajów, do których choćby część tego regionu należała, choć wbrew temu, co potrafią robić nasi średniowiecznicy, wcale nie oznacza to konieczności szerokiego rozpisywania się o dziejach Polski, które naszym czytelnikom są i tak dosyć dobrze znane.

7. CZY NALEŻY PISAĆ O POSTACIACH, KTÓRE TYLKO WYROSŁY ZE ŚLĄSKA, A POTEM ODGRYWAŁY WAŻNĄ ROLĘ W ŻYCIU CZECH, AUSTRII, PRUS CZY POLSKI?

Problem ten wydaje się stosunkowo łatwy do rozwiązania, piszemy bowiem historię regionu i to dla nas powinno być decydujące. Jeśli dana osoba rzeczywiście nie odegrała większej roli w historii Śląska, wystarczy wspomnieć o niej wśród innych, które zrobiły (i tu podać jaką) karierę w dziejach konkretnego kraju. Inne rozwiązanie „rozbijałoby” wykład koncentrowany na regionie. Oczywiście przyjęcie takiego założenia nie wyklucza pisania zupełnie innych opracowań typu „Rola Ślązaków w dziejach Polski” czy „Wkład Ślązaków w cywilizację niemiecką”. Można wręcz się dziwić, że ze strony polskiej czy czeskiej nie widzi się konieczności opracowania podobnych tematów, które z upodobaniem są podejmowane przez autorów niemieckich. Może to jednak świadczyć o tym, że pod względem kulturalnym Śląsk był dla Niemiec dużo ważniejszy niż dla Polski.

8. CO WSPÓŁCZESNEGO CZYTELNIKA NAJBARDZIEJ W PRZESZŁOŚCI REGIONU INTERESUJE ? CZY DZIEJE POLITYCZNE, CZY ROZWÓJ GOSPODARCZY, CZY SPECYFIKA KULTURY, CZY WARUNKI I SPOSÓB ŻYCIA LUDZI, EWENTUALNIE PROBLEMY, KTÓRE DLA TYCH LUDZI BYŁY WAŻNE?

Pytanie to jest dla nas historyków piszących dzieje regionu nadzwyczaj ważne. Przez całe wieki przyzwyczajano nas, że najważniejsze są dzieje polityczne, działania królów, książąt, bohaterów narodowych, wojny między sąsiadami, a dla okresu późniejszego, wynaradawiająca polityka zaborców, „walka o język i narodowość”, opór przeciw germanizacji. Jeśli przeglądamy dawne prace poświęcone dziejom Śląska, to właśnie podobne kwestie stanowią główny wątek narracji. Wciąż jeszcze wydarzenia polityczne, konflikty zbrojne, bohaterzy więksi lub mniejsi, stanowią najważniejszą część tego, czego nauczają się dzieci w szkole. Stąd też trudno zupełnie ominąć te kwestie, gdyż zarówno nauczyciel, jak i uczeń mogą szukać w historii regionu materiałów pozwalających na rozszerzenie ich wiedzy.

W czasach komunistycznych przywiązywano olbrzymią wagę do dziejów gospodarczych i społecznych. Potwornie nudne i szczegółowe opisy nierzadko czerpane bezpośrednio z dawnych sprawozdań urzędowych były zmorem czytelnika. Wcale nie namawiam do kontynuowania tej tradycji. Dziś interesuje nas też rozwój gospodarczy prowincji, lecz oczekujemy od niego czegoś więcej niż suchych liczb, bardziej pokazania mechanizmów rozwoju, wskazania dróg, które można by dziś naśladować. Przykładowo sposoby stosowane przez władze hitlerowskie celem zwalczania bezrobocia po wielkim kryzysie wcale nie były takie głupie i warto się z nimi zapoznać, nawet po to, aby niektóre z nich wykorzystać. Podobnie ciekawią nas metody działania energicznych ludzi z dawnych epok potrafiących znaleźć sobie „niszę rynkową” dla stworzenia i rozbudowania przedsiębiorstwa znanego potem zarówno w Europie, jak i poza nią.

Do tego dochodzi olbrzymi obszar zwany niekiedy szeroko „historią kultury”. Nie chodzi tu o przepisywanie całych fragmentów z historii sztuki regionu, z jego historii literatury, choć spraw sztuki i literatury (ale ujmowanych niesztempowo) nie można przecież pominąć. Dzisiejszy czytelnik szczególnie jest zainteresowany tym w jakim otoczeniu żył jego poprzednik, co jadł, jak mieszkał, jak pracował, co go interesowało, jak spędzał wolny czas, co w życiu było dla niego ważne, czego się obawiał. A więc interesuje nas człowiek, jego warunki życia i jego mentalność. Jest to ta część historii, którą nazywamy historią życia codziennego, a nawet historią życia prywatnego.

I tu musimy przyznać, że nie posiadamy dziś kompletu informacji, który pozwoliłby nam napisać taką właśnie historię Śląska, mimo że w ostatnich latach powstały prace z zakresu „życia codziennego” pisane zwłaszcza przez prof. Wiesławę Korzeniowską, mimo że o życiu rodzinnym i społecznym dowiadujemy się sporo z dzieł powstających we wrocławskiej szkole demografów historycznych. Kłopotem jest brak źródeł, dzięki którym moglibyśmy poznać, jak myślał przeciętny górnośląski górnik, czy robotnik. Dostępne dotychczas pamiętniki, pisane przez polskich działaczy, nierzadko na zamówienie, koncentrują się najczęściej na zupełnie innych sprawach, najczęściej na pracy narodowej. W poszukiwaniu odpowiednich informacji musimy sięgać do zupełnie nowych typów źródeł, musimy na nowo podjąć analizę źródeł dotychczas znanych, ale badanych pod innym kątem widzenia, w których szukaliśmy tylko tego co jasno i dobitnie jest w nich napisane, a w których przy umiejętnej analizie można znaleźć też choć częściową odpowiedź na nowe pytania. Wymaga to jednak badań łączących wiele dziedzin nauki: historii literatury, języka, etnologii, socjologii, psychologii. Wydaje się, że właśnie tu powstaje nowe pole badawcze dla historyków dziejów Śląska, którzy dotychczas zbyt często pracują w sposób bardzo tradycyjny, tak, jak nauczyli się przed dziesięcioleciem.

WWW. RACIBORZ. KULTURA — PRAWDA CZY FAŁSZ? (UZUPEŁNIENIE)

NIE MA PISMA BEZ REDAKCYJNYCH LUB DRUKARSKICH CHOCHLIKÓW. W POPRZEDNIM NUMERZE AP W ARTYKULE LESZKA WYKI, NIE UKAZAŁA SIĘ PONIŻSZA TABELA, NA KTÓRĄ AUTOR POWOŁUJE SIĘ W SWOICH ROZWAŻANIACH NA STR. 9. PRZYWOŁUJEMY JĄ ZATEM; STANOWI ONA ISTOTNY PRZYCZYNEK DO WIEDZY O NASZEJ INSTYTUCJI. (RED.)

Rok	Spotkania i odczyty		występy własnych zespołów w placówce		występy własnych zespołów poza placówką		występy amatorskich zespołów z innych placówek		imprezy artystyczne w wykonaniu zespołów zawodowych	
	1	2	1	2	1	2	1	2	1	2
2001*	7	1275	7	1720	45	25550	12	6230	9	3170
2002	38	8620	23	4000	27	9470	13	5350	17	8050
2003	129	31050	51	10075	36	18610	20	8010	38	14750
2004	63	8462	26	3165	23	19050	18	7970	30	24930
2005**	34	2018	14	1940	9	1880	4	1220	21	7650
RAZEM:	271	51425	121	20900	140	74560	67	28780	115	58550

Tab 2. C.d.

Rok	konkursy, turnieje		inne formy działalności artystycznej		wystawy		Warsztaty artystyczne		Kino i DKF	
	1	2	1	2	1	2	1	2	1	2
2001*	4	3600	4	1060	-	-	4	140	294	3556
2002	11	3760	7	1460	8	1050	11	560	503	11171
2003	16	7950	-	-	6	260	19	655	370	14107
2004	16	7270	14	3490	10	9050	5	152	567	10958
2005**	13	3900	33	5415	3	2700	-	-	148	3558
RAZEM:	60	26480	58	11425	27	13060	39	1507	1882	43350

1 ilość imprez (seansów)

2 ilość widzów

* lipiec-grudzień

** styczeń - czerwiec

W CZERNI I BIELI



Karolina Stanieczonek

Urodziłam się 17 czerwca 1977 roku w Raciborzu i mieszkam tu do dnia dzisiejszego. W roku 1997 ukończyłam Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Jana Cybisa w Opolu z tytułem zawodowym plastyk- w zakresie specjalności wystawienictwo. W roku szkolnym 1997/98 byłam słuchaczką Społecznego Policealnego Studium Zawodowego RTO „SZKOŁA” w Raciborzu na kierunku: technik organizacji reklamy handlowej. W roku 2003 ukończyłam Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach z tytułem: magister sztuki (o specjalności grafika warsztatowa w pracowni druku wkłęsłego). Od października 2003r. jestem pracownikiem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu na kierunku Grafika Użytkowa z Wychowaniem Plastycznym.

Oprócz działalności w zakresie sztuk pięknych (rysunek, malarstwo i grafika) zajmuję się również fotografią artystyczną oraz „lalkarstwem”.

Wystawy zbiorowe:

Styczeń 1995 r. oraz październik 1995 r. - wystawa malarstwa i rysunku w raciborskim BWA.

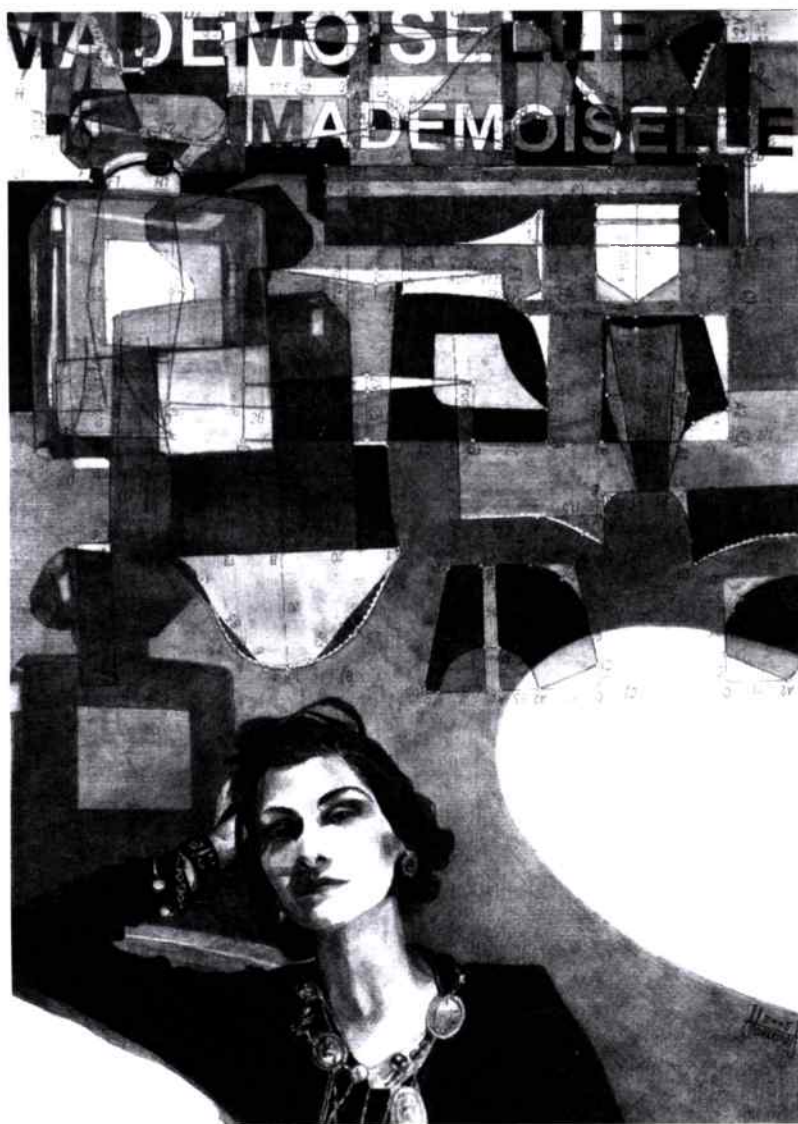
Maj 1998 r. - wystawa fotografii słuchaczy Policealnego Studium Zawodowego RTO „Szkoła” w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Katowicach (poza pracami fotograficznymi przedstawione zostały małe instalacje przestrzenne).

Grudzień 2000 r. - wystawa fotografii i grafiki studentów ASP w Katowicach pt. „Pejzaże przemysłowe Górnego Śląska” w Oberschlesisches Landesmuseum Ratingen (Niemcy)

Luty 2001 r. - wystawa fotografii i grafiki studentów ASP w Katowicach pt. „Pejzaże przemysłowe Górnego Śląska” w Galerii ASP w Katowicach.

Październik 2004 r. - wystawa artystów-pedagogów PWSZ w Raciborzu pt. „Postawy 2004” w Muzeum w Raciborzu.

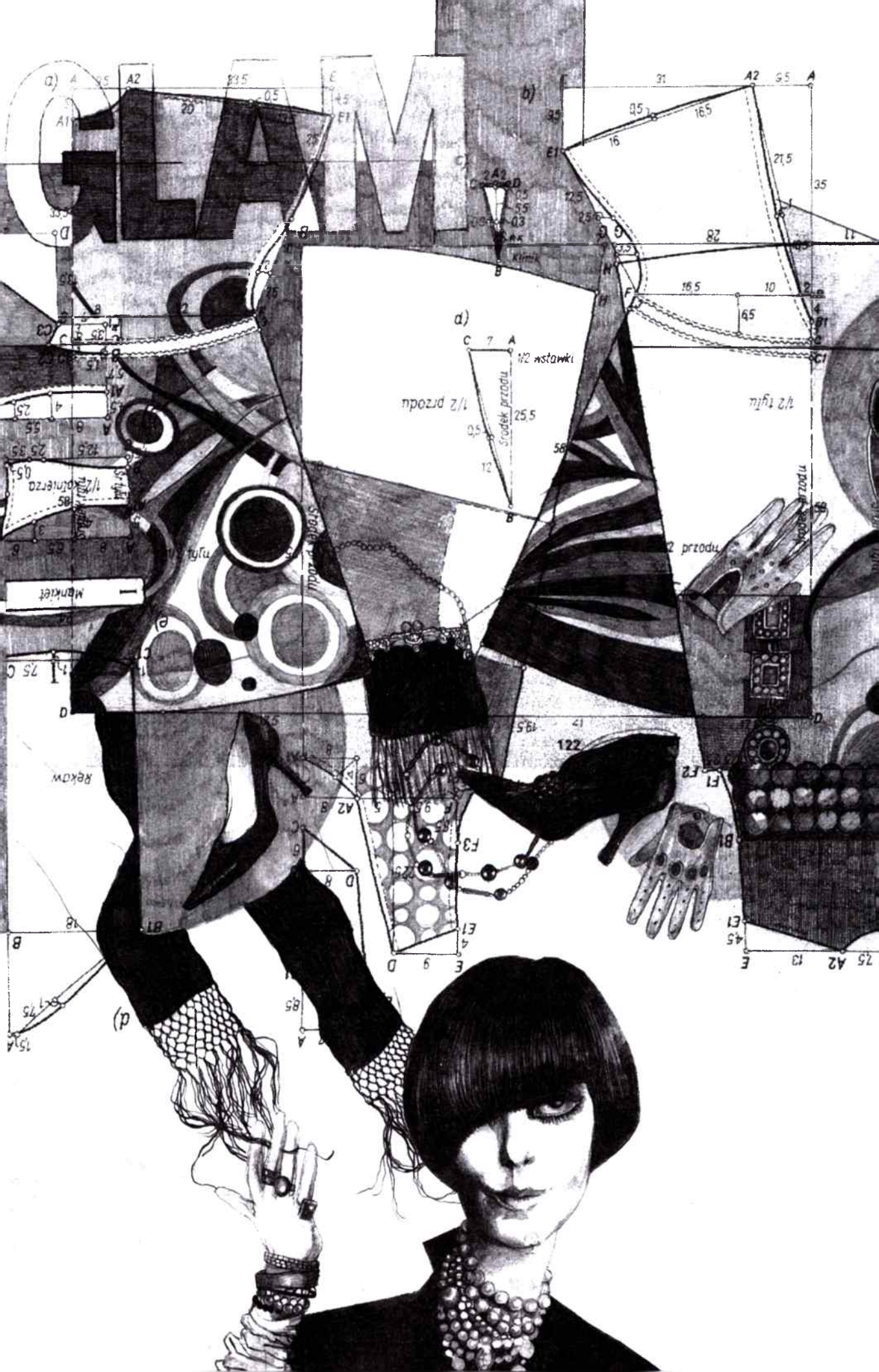
Maj 2005 r. - wystawa artystów-pedagogów w klubie „MARYSKA” w Bohuminie (Czechy).

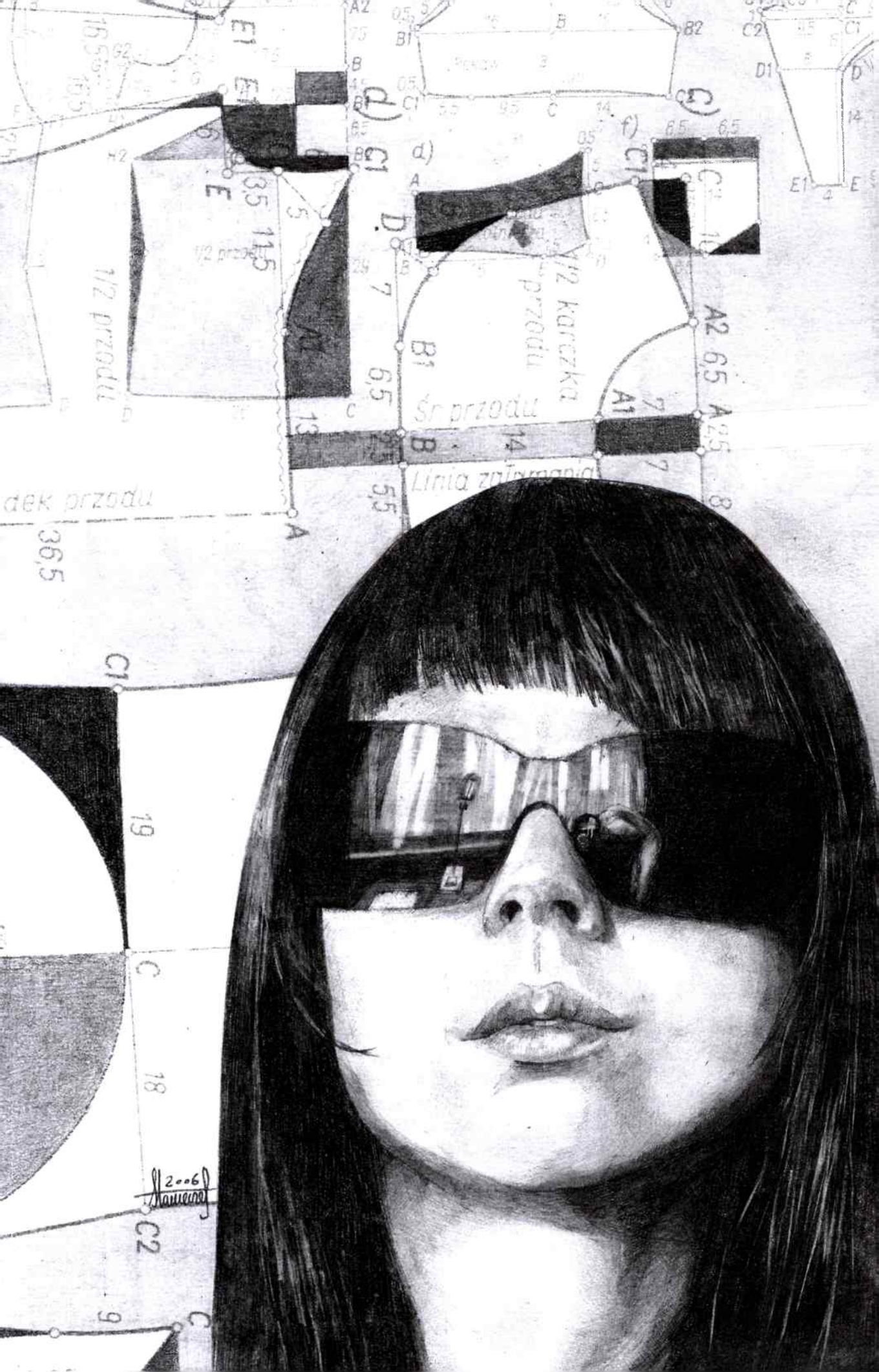






2003
A. Howard







AKCJA — WAGON

ZE WSPOMNIENIŃ PORUCZNIKA STALA
— CZĘŚĆ TRZECIA

PREZENTUJEMY KOLEJNY ODCINEK WSPOMNIENIŃ PORUCZNIKA FRANCISZKA STALA, DOTYCZĄCYCH ŻYCIA KONSPIRACYJNEGO W OKUPOWANEJ WILEŃSZCZYNIE. W NUMERZE 1 AP PRZEŚLEDZILIŚMY KAMPIANIĘ WRZEŚNIOWĄ, ZAŚ W NUMERZE 2 – TZW. REPATRIACJĘ NASZEGO BOHATERA, ZAKOŃCZONĄ WIELOLETNIM POBYTEM W STALINOWSKICH WIĘZIENIACH. (RED.)

Niemieckie transporty jadące na front wschodni składały się w przedniej części z wagonów towarowych z piecykami węglowymi, których rury wychodziły przez otwór na zewnątrz. Zimy w okresie okupacji były bardzo mroźne. Na końcu składów na platformach umieszczone były czołgi, armaty, auta itp. Niepodobiestwem było pilnować tego sprzętu siedząc na zewnątrz, bowiem groziło to zamrożeniem. Zenon Winik, ps. Śrut, dowódca I patrolu, przebywał na stacji dzień i noc. W czasie postoju pociągów, kiedy parowóz pobierał wodę, chodził od wagonu do wagonu i proponował Niemcom jajka, szpek, wódkę itp. W ten sposób następował handel wymienny, po czym drzwi wagonów szybko się zamykały. W tym samym czasie koledzy Zenka „opatrywali” platformy; jeśli drzwi do szoferki auta ciężarowego lub osobowego były zamknięte, otwierali je łomikami. Pociąg wolno ruszał, a oni biegnącym przy pociągu kolegom wyrzucali karabiny, pistolety maszynowe, skrzynki z amunicją, czasem buty, lornetki, sorty mundurowe itp. Zdarzało się, że z jednego skoku przynosili i pięć karabinów.

Około jednego kilometra od stacji mieszkał nasz żołnierz, Antoni Bernatowicz, ps. Bąk, który posiadał małe gospodarstwo rolne a chlubił się piękną rasową klaczką. W jego zabudowaniach ulokowaliśmy magazyn broni. Zgodnie z zasadami konspiracji dostęp do mnie mieli tylko dowódcy patroli. Po każdej akcji zdobycia broni Śrut składał mi ustny meldunek, a ja przekazywałem go szyfrem do Komendy Obwodu. Magazyn broni u Antosia pęczył tak, że ze względów bezpieczeństwa musieliśmy poszukać drugiego lokum w Budrach, u naszego żołnierza, Konstantego Kiwińskiego, przedwojennego policjanta, którego syn działał w patrolu Jadzina – Stacha Szostaka.

Konstanty Kiwiński był „złotą rączką”. W owych czasach nikomu nie śniły się freony, lodówki – natomiast w każdym domu była wkopana na dwa metry w ziemię piwnica, składająca się z przedsionka i pomieszczenia właściwego. Ona to właśnie zastępowała dzisiejszą lodówkę. Jej ściany były zrobione z grubych belek. Nasza „lodówka” na broń otwierała się za naciśnięciem jednej konkretnej belki. Ma się rozumieć zdobyte na Niemcach skarby musiały być wzorowo zakonserwowane.



Franciszek Stal

– urodził się 2 czerwca 1912 roku w Borku w powiecie bocheńskim jako syn Stanisława i Marii z d. Pniak. W 1933 zdał maturę w gimnazjum humanistycznym w Bochni, po czym odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie i w 31 p.p. Strzelców Kaniowskich w Łodzi; Wojsko Polskie opuścił w stopniu podporucznika rezerwy. Naukę kontynuował w Instytucie Administracyjno-Gospodarczym w Krakowie, który ukończył w 1936. Jako miejsce swojej pracy wybrał Wileńszczyznę, gdzie pracował w PKP, najpierw w Wilnie, a od 1938 na stacji Ignalino jako dyżurny ruchu.

W kampanii wrześniowej brał udział jako dowódca taborów batalionu 206 zapasowego p.p. z Nowej Wilejki. Walczył w obronie Lwowa. Po kapitulacji na rzecz Niemców gen. Langnera i zdradzieckim wkroczeniu Armii Czerwonej podjął ucieczkę ze swojego rozbrajanego przez Sowieców oddziału, przez co uniknął Katynia. Po wielu dniach tułaczki powraca do Ignalina, tam pracuje w lesie; po zajęciu Litwy przez Sowieców w czerwcu 1940 zostaje rozpracowany przez NKWD i uchodzi do Wilna, gdzie zatrudnia się jako inkasent liczników elektrycznych.

Tam zostaje zaprzysiężony jako żołnierz ZWZ przez kpt. KOP Jerzego Borkowskiego. W 1941 wraca do Ignalina z zadaniem utworzenia siatki konspiracyjnej ZWZ. Zorganizowana i kierowana przez niego struktura wchodzi w skład Obwodu Świąciany; do jej głównych zadań należy monitorowanie trans-

portu kolejowego na linii Wilno-Dyneburg, współpraca z komórką wywiadu w Wilnie oraz działania zmierzające do utworzenia patrolu dywersyjnego. Już w lutym 1942 oddział może poszczycić się znacznymi sukcesami w dywersji na szlaku kolejowym Nowe Święciany-Pokretonka. Po reorganizacji Okręgu Wileńskiego AK ppor. Stal ze swoim oddziałem znajduje się w granicach Inspektoratu "B", kierowanego przez mjr. dypl. M. Potockiego, ps. Węgielny. W nowej strukturze ppor. Stal obejmuje dowództwo ośrodka dywersyjnego o kryptonimie OD-23, który operuje na 50-kilometrowym szlaku kolejowym od Pohulanki do Podudzia. OD-23 składa się z 5 patroli, które obok akcji dywersyjnych gromadzą broń, kolportują prasę konspiracyjną, prowadzą intensywne szkolenie wojskowe; w końcowej fazie działalności oddział składa się ze 100 żołnierzy. Po podstępnym aresztowaniu Komendy Okręgu Wileńskiego AK 17 lipca 1944 wraca do ścisłej konspiracji i otrzymuje nominację na komendanta Obwodu Święciany z siedzibą w Podbrodziu. Tam działa do początku 1945. W związku z nasileniem represji NKWD zostaje przesunięty do pracy w punkcie repatriacyjnym w Wilnie, działającym na Pohulance. W Wydziale Transportowym organizuje przerzut wielu ściganych żołnierzy AK wgląd Polski, poza granicę jaltańską; zdekonspirowany, ukrywa się i w końcu sam, w sierpniu 1945, zostaje przerzucony przez granicę. Osiedla się w Nysie, gdzie pracuje w urzędzie skarbowym.

Franciszek Stal nadal utrzymuje kontakty z ostatnim komendantem Okręgu Wileńskiego AK, ppłk. Antonim Olechnowiczem, ps. Pohorecki, któremu pomaga ukrywać się przed polskim UB; jest zresztą członkiem Komendy Wileńskiego Ośrodka Mobilizacyjnego. W końcu czerwca 1948 zostaje aresztowany. Po procesie w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Katowicach dostaje 10 lat więzienia za "wrogi stosunek do Polski Ludowej i szpiegostwo". Po 6,5 roku więzienia spędzonych na Mokotowie i we Wronkach zostaje zwolniony dopiero w 1956 roku. Zamieszkuje w Raciborzu i tu pracuje jako dyżurny ruchu, znosząc szkany i inwigilację ze strony organów bezpieczeństwa PRL. W 1976 przechodzi na emeryturę. Dopiero 24 października 1991 wyrok stalinowskiego sądu uchyla Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. Porucznik Franciszek Stal jest kawalerem Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari (przyznany w 1990 na wniosek Komendanta "Węgielnego" za akcje dywersyjne w czasach okupacji).

(m r)

Zdobywaniem broni zajmował się także patrol Jadzina, tyle, że używał do tego innych sposobów. Stach, jako dyżurny ruchu w czerwonej czapce służbowo obchodził skład pociągu, wnikliwie go obserwując, a kiedy pociąg ruszał, wskakiwał na wagon i zrzucił wypatrzoną wcześniej broń wzdłuż torowiska. Razu jednego, jak się później dowiedziałem, o mały włos nie doszło do strzelaniny między patrolami Śruta i Jadzina. Okazało się, że zdobywając uzbrojenie z tego samego pociągu nie wiedzieli o sobie wzajemnie. Z pędzącego pociągu wyskoczył Jadzina a z drugiej platformy – Śruta. Była noc, zima. Śruta wyciągnął mausera wołając Hände hoch! Na całe szczęście Jadzina, jak zawsze opanowany, rozpoznał kolegę po głosie. W taki oto sposób obaj zdekonspirowali się, a przecież w naszej działalności panowała żelazna zasada „nic nie wiedzieć, o nic nie pytać”. Od tego wypadku obaj dowódcy nie wychodzili poza swoje rewiry. O skuteczności ich działania zaświadczały cztery magazyny borni, które zorganizowałem na folwarku braci Błażewiczów w miejscowości Pojawro.

W związku z posiadaniem takich „skarbów” prowadziłem szkolenie żołnierzy w obchodzeniu się bronią. Instruktorem minerskim był Antoś Bernatowicz. Prowadząc szkolenia zdekonspirowałem się zupełnie, ale ufaliśmy sobie bezgranicznie.

Na przełomie 1942/43 r. przed zastępcą mjr. Węgielnego, kapitanem c.c., zdałem egzamin aplikacyjny na sztabówkach. Kpt. Janusz stwarzał na mapie przeróżne sytuacje, a ja musiałem je natychmiast rozwiązywać. Choć egzaminator był szalenie wymagający, zdałem ten egzamin i już wiosną 1943 roku Węgielny zawiadomił mnie i pogratulował awansu na porucznika. Awans ten był, jak się domyślałem uznaniem za zorganizowanie ośrodka dywersyjnego w Ignalinie, który z racji zamieszkiwania go w większości przez Litwinów uchodził za arcytrudny. Miałem pełną świadomość, że sukcesy naszej działalności są przede wszystkim zasługą tych wspaniałych ludzi, których spotkałem na swej drodze.

Wiosną 1943 roku kpt. Janusz powiadomił mnie, że mam zameldować się w punkcie kontaktowym w Nowych Święcianach. Kiedy się tam pojawiłem Januszowi towarzyszył nieco starszy mężczyzna, który przedstawił się jako Lizdejko. Powiadomiono mnie, że jest on dowódcą placówki na terenie Nowych Święcian i okolicy. Jak się później dowiedziałem Lizdejko był z zawodu nauczycielem i oficerem oświatowym na obozach przysposobienia wojskowego. Wcześniejszym rozkazem zostałem dowódcą 23 Ośrodka Dywersyjnego, do którego należał także teren podlegający Lizdecje. Zwróciłem lojalnie uwagę Januszowi, że Lizdejko jest starszy wiekiem i stopniem, on jednak odpowiedział, że „to jest rozkaz, a z rozkazem się nie dyskutuje”. Mój nowy podkomendny nie dał po sobie poznać afrontu i przyrzekł lojalną współpracę i podporządkowanie się. Musze przyznać, że do końca był całą duszą oddanym sprawie żołnierzem, należał bowiem do kresowej szlachty, dla której jedyną dewizą było salus Republicae suprema lex.

Lizdejko wniósł w skład mojej placówki około 40 żołnierzy. Na terenie Nowych Święcian prym wiódł Zygmunt Wieliczko, ps. Żarek, nauczyciel z zawodu (kolega szkolny z Seminarium Nauczycielskiego późniejszego dowódcy partyzantki sowieckiej – Markowa). Wieliczko już na przełomie 1939/40 r. stworzył wśród swoich kolegów szkolnych zręby konspiracji, a że cieszył się wielkim autorytetem, zrobił naprawdę dużo dobrego. Po jednej z akcji został aresztowany, ale miał dobre alibi i nie skończyło się to tragedią.

* * *

Czas przejść do akcji, która zabrała nam sporo zdrowia, ale przysporzyła też największej chwały. Luty 1944 roku był bardzo mroźny. Dyżurowałem na stacji Łabuńce, zaś w Ignalinie pełnił służbę Stanisław Szostak, ps. Jadzina. Utrzymywaliśmy stały kontakt łączami kolejowymi. Któregoś dnia po obiedzie otrzymałem od niego zaszyfrowaną wiadomość, że ze składu pociągu wojskowego odłączono wagon na skutek zatarcia się osi. Musiało być to coś szczególnie ważnego skoro Jadzina zdecydował się uruchomić ten szyfr. Kończyłem właśnie swój kolejarski dyżur, więc powróciłem do Ignalina, aby spotkać się z Jadzinem. Ten z uśmiechniętą miną oznajmił mi, że jest „bardzo dobry towar”; Wyłączony wagon wojskowy zawiera wg listu przewozowego broń. Odstawiono go już na bocznicę z dala od stacji. Niemiecka wacha, którą wydzielono do pilnowania wagonu, grzeje się w pomieszczeniach dyżurnego ruchu. Natychmiast ustalam z Jadzinem plan działania. Dyżurny ruchu, ps. Bary – brat Jadzina, ma za wszelką cenę zająć uwagę dwóch wachmanów. W takich razach wchodził w grę samogon oraz szpek. W trybie alarmowym wzywam patrol z krótką bronią pod dowództwem Śruta. Obok wagonu znajduje się plac, na którym składa się papierówkę ułożoną w sztaplach. Cały plac zajęty jest tarcicą. Następuje odprawa i podział ról. Jadzina jeszcze za dnia poluzował druciki plomby w wagonie, tak by pracujący w nocy nie zniszczyli jej. Zająłem stanowisko w odległości około 20 metrów od wagonu w stronę Dukszt; z drugiej strony w takiej samej odległości stanął Stanisław Bosijak, ps. Krótki, między sztaplami ukryli się, czekając na sygnał w postaci zielonej lampki elektrycznej, Jadzina, Śrut, Łuska, Długi oraz Władek. Co tu dużo mówić byliśmy wszyscy w kolosalnym napięciu. Dla zdobycia karabinu czy pistoletu wszyscy ryzykowaliśmy życie. Nagle widzimy długo oczekiwane zielone światło! Szybko otwierane drzwi wydają przeraźliwe skrzypnięcie. Z za sztapli jak duchy wyskakują moi żołnierze i w mig są w wagonie. Jak się później dowiedziałem z raportu, w wagonie z niemiecką pedanterią w kozłach poustawiane były kb., rkm., skrzynki z amunicją, granatniki itp. Z wagonu podają 7 sztuk rkm., jeden granatnik z dwoma skrzyniami pocisków i kilka skrzyń amunicji. Odbieraną zdobycz układano pomiędzy sztaplami papierówki. Powodzenie akcji w dużym stopniu zależało od zwalczania własnej zachłanności. W pewnej chwili musiałem wydać rozkaz przerwania akcji. Zawieszamy sobie karabiny na szyjach, między siebie bierzemy skrzynki z amunicją, przechodzimy przez tory na drugą stronę i tam w krzakach składamy zdobycz. Jadzina w tym samym czasie zamyka drzwi wagonu i po mistrzowsku montuje plombę. Nakazałem mu powrót na stację, tak aby miał alibi. Drogę z bezcennym ciężarem przemierzyliśmy kilkakrotnie. Teraz czekał nas kilometrowy odcinek do magazynu w posesji Bąka, który również przemierzyliśmy wielokrotnie.

Tak dużej ilości broni nie można było trzymać w jednym miejscu. Decyzja o jej rozlokowaniu musiała zapaść błyskawicznie. Około 2 km od Ignalina, w miejscowości Gawejkiany, Władysław Subocz, ps. Młynarz, miał nad jeziorem duży młyn. Trzeba pamiętać, że okolica była niemal w stu procentach litewska, co powiększało ryzyko każdej akcji. Odwiedziliśmy Młynarza i powiedziałem mu z czym przychodzę. Nie miałem pewności czy zgodzi się na przyjęcie tak niespodziewanego depozytu. On rozłożył szeroko spracowane dłonie, chwycił mnie w objęcia i dosłownie z płaczem rzekł:

- Wyście się narażali na śmierć, a ja miałbym tej broni nie przyjąć?!

Ustaliliśmy dzień i godzinę. Bąk zaprzęgnął swojego kłusaka. Na sankach złożyliśmy zdobycz, która następnie została przykryta workami z ziarnem do młyna. By dojechać do młyna należało pokonać przejazd kolejowy. Tam, przy samym torze usytuowana była koszarka dróżnika przejazdowego. W takich koszarkach wachmani często urządzali zasadzki na jadących na jarmark zabierając co popadło. Należało zatem zachować szczególną ostrożność. Idąc pieszo poprzedzałem sanki w odległości może 50 metrów z przodu. Powoził Bąk, obok niego siedział Śrut. Gdy sanki znalazły się na przejeździe, ujrzałem następujący obrazek: Śrut

zeskakuje z sań, podchodzi do wachmana i... prosi go o ogień. Później powiedział nam, że to najlepszy sposób odwracania uwagi. Wachmani, pracujący na stacji, znali wszyscy Śruta, gdyż był on oficjalnie pracownikiem kolei. Bez przeszkód dojechalśmy do młyna. Tam też nie było obcych. Młynarz przy naszej pomocy ukrył zdobycz w specjalnej kryjówce. Później zjedliśmy wystawny obiad – było co świętować. Znając Śruta nie pomyliłem się, że teraz będzie czas czastuszek i żurawiejek. Oprócz ludzi biorących bezpośredni udział w akcji na wagon ojcem chrzestnym sukcesu był brat Jadzina, Edward Szostak, który z prawdziwą ojcowską czułością przez cały czas „opiekował się” wachmanami na stacji. Po wysłaniu miesięcznego raportu o stanie uzbrojenia do kpt. Janusza odwrotną pocztą dostałem od niego wezwanie. Kiedy się pojawiłem, przywitał mnie dosyć ostro choć żyliśmy przecież na stopie więcej niż koleżeńskiej. Wyglądało na to, że nie bardzo dowierza moim zestawieniom. Opowiedziałem mu więc w detalach o akcji. Mocno wzruszony, uściśnął mnie serdecznie i pogratulował. Była to tak duża zdobycz, że nawet on nie mógł sobie odmówić przyjemności jej zobaczenia. Po jakimś miesiącu, kiedy służbowo przyjechał do Ignalina, kazał sobie wezwać w trybie alarmowym Śruta i Jadzina. Przybyli natychmiast, przedstawiłem ich dowódcy, którego nie znali. Zameldowali się służbowo, potem było podanie ręki i w postawie na baczność odebranie komunikatu o awansie do stopnia kaprała i o wniosku w sprawie Krzyża Walecznych, złożonym do komendy okręgu. Cóż to była za chwila: ci odważni do szaleństwa ludzie popłakali się jak bobry! Chwilę później dowiedziałem się od Janusza, że w mojej sprawie poszedł wniosek o nadanie mi *Virtuti Militari*, który otrzymałem w 1990 roku podobnie jak Jadzina, kiedy po wielu, wielu latach poniewierki, tortur i więzień ktoś w gabinecie ministra Onyszkiewicza odnalazł wniosek Wileńskiej Komendy Okręgu AK, który przeleżał w archiwum WP. Śrut swój Krzyż Walecznych otrzymał już po śmierci.

Spójrzmy jeszcze innymi oczami na opisaną przeze mnie akcję. Tadeusz Giza, ps. Łuska, zastępca Śruta w swoich wspomnieniach napisał: „...po odskoku od wagonu ze wszystkich zdobywczych rkm. pociągnęliśmy po Ignalinie...”. Ma się rozumieć, nie mogło to mieć zupełnie miejsca, choćby tylko ze względu na elementarne zasady konspiracji. Prawdą jest, że każdy miał nerwy napięte do ostateczności, lecz taki „wyczyn” nie byłby oznaką bohaterstwa a tylko karygodnej głupoty. Na szczęście następne szczegóły akcji Łuska oddał wiernie. Bardzo pokornie oddaje panującą wtedy atmosferę Jadzina w swojej relacji „Na szlaku Wilno – Dyneburg”. Trzeba przyznać, że byliśmy dalecy od traktowania siebie jako bohaterów. Każdy zmagał się jak potrafił z własną tremą. Najwięcej determinacji wymagało już samo wyjście z domu na akcję, która każdemu z nas groziła śmiercią.

* * *

Dobrym sprawdzianem nerwów i treningiem dla pododdziałów były akcje przecinania torów. W grudniu 1943 roku otrzymałem droga służbową rozkaz, że dnia X mam dokonać dwóch cięć torów na podległym sobie odcinku kolejowym (od miejscowości Pohulanka do Podudzia, około 50 km). Już znacznie wcześniej na polecenie Janusza miałem szczegółowo opracowane „czułe” miejsca do uderzenia. Polecenie Janusza brzmiało wyraźnie – dokonać cięć pod osobistym dowództwem szefa odcinka i jego zastępcy! Rzecz prosta chodziło tu o mnie i o Lizdejkę, który już od kilku miesięcy posiadał komplet kluczy do rozkręcania torów. Na tę akcję mógł być wytypowany sprawdzony w walce patrol Śruta. Samo założenie miny przypadło w udziale naszemu instruktorowi, Bąkowi. Na akcję wprosił się Jadzina. Nigdy nie mogłem mu niczego odmówić, choć on tej słabości nie wykorzystywał, jakkolwiek dobrze ją wyczuwał. Odbyły się regulaminowe czynności: alarm patrolu, zbiórka, omówienie zadania, wydanie broni, amunicji i opatrunków, wybranie awaryjnego miejsca zbiórki w razie rozproszenia, omówienie szczegółów zabierania rannych. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że moi podkomendni byli

umówieni ze sobą na dobiecie rannych, tak aby nikt z nich żywy nie dostał się w ręce wroga. Ta umowa nie była pozbawiona sensu i swojej przyczyny, gdyż od wiosny 1942 w okolicy działała partyzantka sowiecka, przeszkolona przez spadochroniarzy i nastawiona wybitnie antypolsko. Jej baza znajdowała się w Puszczy Koziatyńskiej w odległości około 30 km od terenu naszego działania.



TOSKANIA WIERSZE

VIETATO TOCCARE LE ROSE

(Zakaz dotykania róż. Napis na niewielkiej tabliczce wbitej w ziemię pośród kwiatów, w samym środku wirydarza franciszkańskiego klasztoru Santa Croce we Florencji; wyblakłe białe literki, grafitowoczarne tło; 12 lipca 2005 r.)

NOLI ME TANGERE...

*“Zobaczyłem granice wszelkiej doskonałości,
Twoje przykazanie sięga dalej”*

(PSALM 119,96)

Z LEKTUR (1)

*„tego lata
spełniło się na mnie
proroctwo Ezechiela
synu człowieczy
oto zabieram ci nagle
radość twych oczu*

*patrzę na cudowny świat
jest wielka słoneczna pogoda
na chwilę zatrzymał się upał
i cienie przystanęły na drodze*

*nad wzgórzami Toskanii
jak przejrzysty opar
unosi się radość
radość jest możliwa
radość jest tu wszędzie*

tylko nie w moich oczach”

(J. ST. PASIERB, LIPIEC '90)



POCZTÓWKA

Wiem, że się o mnie martwisz,
ale mam tu wszystko, czego mi potrzeba
by być szczęśliwym:
są tu ciepłe noce,
jestem daleko od tych, którzy mnie nienawidzą,
jest ze mną pamięć doznanej czułości,
jest chleb i wino.

Jadę grzbietem wzgórza,
w stronę Empoli, szpalerem cyprysów
i myślę o Tobie.

Nie umiem szczerze powtórzyć za Vianneyem:
„zdjąłeś ze mnie krzyż. Czy jesteś ze mnie niezadowolony,
skoro nie uznałeś mnie godnym, abym, go dalej dźwigał?”
Nie umiem, jak umiała Tereska, zamilczeć skargę
po to, żeby mój ból nie bolał Ciebie.
Ale przeczuwam związki między zaufaniem i cierpieniem,
bliskością i mrokiem, krwią i szczęściem.

Noce są tu ciepłe.
Myślę o Tobie nieustannie.
Myślę, że to jest miłość.

VILLA FIORENZI MARTORELLI, PSZÓW
11 LIPCA, 27 SIERPNI 2005 R.



ABBADIA ARDENGA. LIPCOWA NOC

Jest lato w Europie.
I wonna noc, głęboka.
I pinia rozłożysta za oknem,
ciemnosrebrna, szeroka.

Cyprysy cicho stoją.
Winnice, oliwne gaje,
złotobrunatne ścierniska,
zastygłe, ścięte upałem

czekają na rosę poranną.
Słuchają cykad, omdlałe.
Księżyc im światłem wysokim.

Wspominam żniwa w Pszowie
czterdzieści lat temu, znojne.
Słońce dnia oko, oko dnia pięknego...

I zapach słomy, lipca, potu.
Widzę: jest ojciec, jest
przyszłość niepewna w oddali.
Są rany, jest miłość

i ta nas ocali,
zachowa od złego.

Dziś wszystko jest inne:
ciepła włoska noc głęboka.
I jesień jako przyszłość:
złota, mroczna, niepewna, szeroka.

TOSKANIA, ŚLĄSK
LATO 2005 R.



Ks. Jerzy Szymik

Prof. teologii KUL, poeta, publicysta, autor rozpraw naukowych i tomów poezji; ostatnio na Wydz. Teologii Uniwersytetu Śląskiego; stale współpracuje z AP.



WŁOCHY

MARKOWI, TOMKOWI

Miasto na wzgórzu
lśniło zieloną śniedzią złota
jak skrzydła gołębiczy. Czyli
proroctwa odmawianych właśnie psalmów
spełniały się natychmiast, na naszych oczach.
Tak bywa.

Nie znaleźliśmy nazwy miasta,
ale zapamiętałem jego bezimienną słodycz.
Słońce dogrzewało winnice.
Było jasno, migotliwie, wietrznie.
Łykaliśmy drogę łąpczywie.

Czysta niecierpliwość nas niosła? Być może.
Ale szybkość nie była zamiast metafizyki,
choć niełatwo myśleć o śmierci,
gdy aż tak bujnie pleni się życie.
W każdym razie cokolwiek to było – było teraz.
Nie było wówczas żadnego przedtem ani potem.

Pewna była jedynie ta chwila, pęd
i żal. I pokora, jej niski głos:
nie wróci ta chwila i tak jest dobrze

VERONA, MANTUA, PSZÓW
20, 29 LIPCA 2005 R.

MELLOWNESS

Od godziny ochryple ballady Janis
Joplin wypełniały przestrzeń samochodu.
Na zewnątrz stały lasy Górnej Austrii
w nieruchomym powietrzu lipca.
Rozmawialiśmy niewiele.
Byliśmy tu i gdzie indziej, z innymi. Jak to ludzie.
Nie trzeba było niczego tłumaczyć.
Wiedzieliśmy już, że to, co gorzkie, bywa słodkie.
I odwrotnie.
I że cokolwiek jest – jest z Niego.
Z tęsknoty więc pochodziły obie: niemoc i siła.
Jechaliśmy na północ, w stronę ojczyzny.
Coraz liczniejsze chmury niosły coraz więcej
ciemności i ołowiu. Zbliżaliśmy się nieuchronnie
do ziem wilgotnych, do domu

LINZ, PSZÓW
22, 29 LIPCA 2005 R.



SANTA MARIA DEL FIORE. PONAD WSZYSTKIM

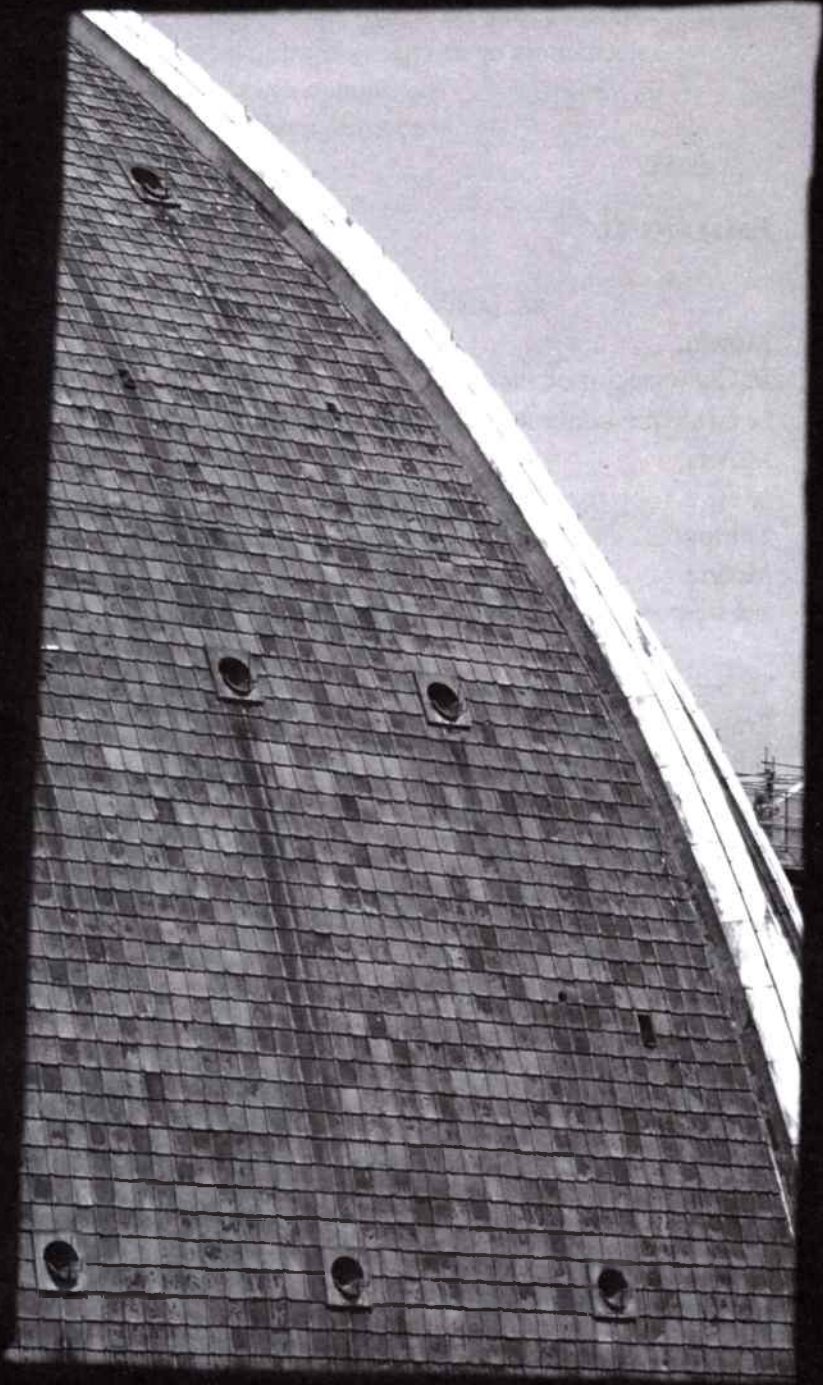
KS. JERZEMU SZYMIKOWI

z wysoka wyglądało to zupełnie inaczej.
 żadnych reklam. ani pamiątek
 nie na naszą kieszeń.
 żadnych okrzyków zachwytu.
 czterysta czternaście schodów poniżej
 falowało życie łowców nastroju.
 przed kwadransem byłem jednym z nich.
 tu rozpościerał się skansen. byliśmy sami.
 ta Japonka i troje Anglosasów.
 dzwon powietrza nad miastem
 pracował mi w sercu i niedotlenionej
 nadziei.
 czułem że mowa nasza
 jest żądaniem nie zaklęciem.
 ze oddychamy za głośno
 a pieśń nie sławi Pana.
 chwila rozpychała się w pamięci.
 pot zalewał złudzenia.
 wszystko było teraz.
 przekładano dachówki. znaczy
 Brunelleschi wciąż jeszcze pracował
 jak 25 marca 1436 roku. kiedy
 wszyscy byliśmy z Matki Od Kwiatów.

Firenze. Firenze. dobrze jest
 spełniać marzenia
 które nie ranią nikogo.

III 2006

WIERSZ POCHODZI Z TOMU „TERYTORIUM POWIERNICZE”,
 KTÓREGO PROMOCJA ODBĘDZIE SIĘ
 W RACIBORSKIM CENTRUM KULTURY 14.05.2006 R.



WIERSZE O BOGU

(Jesień, 2003 r.)

EMMANUEL

KS. JANUSZOWI ST. PASIERBOWI

Mówią,
że Cię wszechmoc uwiodła,
że Ci się nie udało starość i dzieci z wodogłowie.
Mówią,
że się z Tobą rozeszliśmy już dawno,
że hipoteza Twojego istnienia jest tanią pociechą.
Mówią,
żeś się pośliznął w kałuży naszej niewinnej krwi.

To ból mówi, nie oni, mówisz.
Pragnę. Nie wiedzą, co mówią.
Pragnę, by ich nie bolało.
Nie jestem niezwyknięty,
jestem jedynie wierny, mówisz.
Nie zejść z krzyża, milczysz.
Zostanę po ich stronie, byle mi nie zginęli.
Co zrobię, gdyby mi zginęli?

Ty miej o nich staranie, mówisz.
Oddam tobie, gdy będę wracał,
mówisz.

Pszów,

23 LISTOPADA 2003 R. – 8 MARCA 2004 R.

PRAWDA. W DRODZE DO LUBLINA

Benedyktowi XVI, Autorowi „Deus caritas est”

*„Zaklinam was, córki jerozolimskie:
jeśli umiłowanego mego znajdziecie,
cóż mu oznajmicie?
Że chora jestem z miłości”*

(Pnp 5,8)

To
było
późne popołudnie
i późny listopad
i pociąg wpadł w ciemność
coraz bardziej ciemną.
I byłem sam, jak zwykle.

Ale ciemność nie miała nade mną władzy absolutnej.
Zdarzały się bowiem błyski, bolesne,
jak smagnięcie bicza,
jak nagły skok tętna:
mleczność jarzeniówek,
rybie srebro ulewy,
ogień semaforów,
podczerwień tęsknoty;
świeciła szarość tej ziemi,
cała jej jaskrawość słynna.
Ale wiersz nie jest o tym.

Szukałem jej,
stąd ta podróż.

Wiedziałem, że moje życie
jest możliwe z niej tylko,
że jeśli Bóg rani, to po to, by koić,
że tak ma być,
że nie zrozumieć,
jeśli nie wybaczę.

I że dlatego brakuje mi słów,
bo jestem prawie u celu

KIELCE - LUBLIN, PSZÓW,
12-13 XI 2005 R., 5 II 2006 R.

STETOSKOP, KONFESJONAŁ

MOIM PENITENTOM

„Dzięki niemu
w napiętych brzuchach młodych kobiet
słyszałem dźwięk tworzenia,
a w piersi zmarłego mężczyzny ciszę
poprzedzającą tworzenie”.

Tak pisał Dannie Abse,
lekarz-poeta;
pisał o stetoskopie.

Rozumiem jego nocne krzyki, palącą czułość,
zgrozę rozróżniania szmeru od milczenia,
życia od śmierci.

Wiem, że miał rację,
że istnieją tajemne związki
między ciszą, dźwiękiem i tworzeniem.

Przykładam bowiem nieraz ucho do kraty konfesjonału,
kto wie czy nie czulszego w tej kwestii instrumentu.
I słucham szeptów stamtąd.

Wówczas, jak oszalały ptak,
bije we mnie serce dawno temu
uwiedzionego proroka.

Bóg jest wtedy blisko,
na odległość stetoskopu-kraty,
życiodajnego tchnienia.

Czasem słyszę jak ich głosy szeleszczą w mojej krwi,
jak mówią do siebie przeze mnie:
przebaczam, nie umieraj.
Bądź.
Idź

LUBLIN-KATOWICE,
14 STYCZNIA – 18 MARCA 2006 R.

REKOLEKCJE RZYMSKIE

Wilgoć ciągnie od Tybru i chłód przenikliwy.
I miejska wariatka wieści rychły koniec:

„jeszcze tylko dwóch papieży,
ten, biały jak gołąb,
potem czarny jak kruk
i od ptaków zaraza,
w rzece, po pęciny koni,
wielki bulgot krwi”

Słucham nieuważnie,
słabo rozumiem
i mocno nie wierzę.

Głoszę tu rekolekcje młodym polskim księżom.
Ich oczy świecą w półmrokach rzymskich kościołów.
Pragną Boga i samych siebie, na razie po równo.

Nie dawajcie Bogu odpadków serca, mówię.
Tylko miłość można dać naprawdę,
reszta nie jest nasza, radzę.

Czasem, nieoczekiwanie,
pomiędzy zdaniem i łoskotem myśli,
zapada cisza.

Słyszę wówczas,
jak w rzece ich młodego życia
bulgocze krew

RZYM, 1 MARCA 2006 R., ŚRODA POPIELCOWA



S. ANDREA APOSTOLO AN. SALVTI MDCLXV

JAN PAWEŁ II — PAPIEZ NA CIĘŻKIE CZASY

KIEDY W PAŹDZIERNIKU 2003 ROKU OBCHODZONY BYŁ W CAŁYM KOŚCIELE JUBILEUSZ 25-LECIA PONTYFIKATU PAPIEŻA JANA PAWŁA II, ZASTANAWIALIŚMY SIĘ W GRONIE PRZYJACIÓŁ NAD TYM, CO TAK NAPRAWDĘ POZOSTANIE PO TYM WIELKIM PONTYFIKACIE. A IM WIĘCEJ WÓWCZAS CZYTAŁEM, OGLĄDAŁEM PROGRAMÓW PUBLICYSTYCZNYCH, SŁUCHAŁEM AUDYCJI RADIOWYCH, TYM WIĘKSZY WYDAWAŁ MI SIĘ OGROM SPRAW I PROBLEMÓW, Z KTÓRYMI PRZYSZŁO SIĘ ZMIERZYĆ TEMU CZŁOWIEKOWI „Z DALEKIEGO KRAJU”. STWIERDZIŁEM WÓWCZAS, ŻE JAN PAWEŁ II TO PAPIEZ NA CIĘŻKIE CZASY. DZISIAJ, Z PERSPEKTYWY KOLEJNYCH LAT, A PRZEDĘ WSZYSTKIM CZASU ODCHODZENIA OD NAS I ŚMIERCI JANA PAWŁA II, CAŁEGO JUŻ ROKU BEZ JEGO OBECNOŚCI WŚRÓD NAS, TO PRZEKONANIE MI POZOSTAŁO.

Trudno nam jeszcze dzisiaj spokojnie i bez wzruszeń myśleć, mówić czy też pisać o Papieżu – Polaku. Któż z nas nie wzrusza się ową, po wielokroć powtarzaną sceną, gdy w oknie bazyliki Św. Piotra pojawia się nowy papież i słyszymy słowa: „Anuntio vobis gaudium magnum: habemus Papam!” („Ogłaszam wam radość wielką: mamy Papieża. (...) który przybrał imię Jana Pawła II.”). Jego pontyfikat, jego osoba, jego nauczanie zaważyło na życiu niejednego z nas. Wielu z nas ma doświadczenie osobistego spotkania i przeżywania wydarzeń, które związane były z osobą papieża. Pod jego wpływem podejmowaliśmy życiowe wyzwania, decydowaliśmy o naszej bliższej i dalszej przyszłości. Dokonywaliśmy życiowych wyborów. Uczyliśmy się życia według jego wskazań – w wymiarach moralny, religijny, ale i społeczny, gospodarczy czy polityczny. Wszystko to, co niósł ze sobą pontyfikat Jana Pawła II, a szczególnie nauczanie Papieża – Polaka, miało ogromny wpływ na nasze życie, życie Kościoła, jak i życie współczesnego świata. Nie ulega wątpliwości, że będzie kształtować myślenie w Kościele w najbliższych latach. Wiele zaś wskazuje, że nie tylko w Kościele.

Bez wątpienia pontyfikat Papieża-Polaka, 264-go papieża Kościoła Katolickiego, był jednym z najważniejszych w ciągu wieków dla Kościoła Katolickiego. Tak, jak okres reformacji i kontrreformacji w szesnastym wieku zdefiniował stosunek Kościoła Katolickiego do wyłaniającego się świata nowożytnego, tak II Sobór Watykański i pontyfikat Jana Pawła II stanowią „kamienie milowe” (G. Weigel), które najprawdopodobniej określą bieg światowego katolicyzmu daleko poza współczesność, w głąb trzeciego tysiąclecia historii chrześcijaństwa.

Rzeczą wartą podkreślenia jest, że dla dziesiątków milionów ludzi, z których wielu nie jest katolikami, był i jest On znaczącą postacią naszych czasów, obrońcą i głównym wcieleniem moralnej siły, wiodącej ludzkość ku nowym czasom i nowym wyzwaniom, poprzez to najkrwawsze ze stuleci, stulecie bezprecedensowych nikczemności, stulecie Oświęcimia i Gułagu.

ŚWIADEK WIARY

Jan Paweł II był przede wszystkim świadkiem Chrystusa. Poczawszy od apelu-wzwania: „Nie lękajcie się!”, jego najważniejszym zadaniem stało się umacnianie, powierzonych jego



Jerzy Staroń

(rocznik 1969), mieszka w Raciborzu, z wykształcenia jest historykiem (uczniem prof. Marka Czaplińskiego), studiował również filozofię i teologię, zawodowo jest prywatnym przedsiębiorcą; należy do współzałożycieli Raciborskiego Towarzystwa Patriotycznego.

pieczy, braci w wierze i wskazywanie, że bez Chrystusa nie można zrozumieć człowieka, i że w Chrystusie otrzymujemy odpowiedź na fundamentalne pytania, które ludzkość stawia sobie od początku swych dziejów.

Jan Paweł II poprzez swoją olbrzymią, zadziwiającą działalność duszpasterską tchnął w Kościół nowe życie i przywrócił chrześcijaństwu jego właściwą rangę cywilizacyjną. Dostosował samo papieństwo do XXI wieku, paradoksalnie czerpiąc nie z postmodernistycznej mody bycia „trendy i na czasie”, ale z wielowiekowej tradycji Kościoła, nawiązując do słów papieża Grzegorza Wielkiego, że biskup Rzymu pełni swą posługę jako *servus servorum Dei – sługa sług bożych*. Powracając do źródeł Nowego Testamentu papież stał się bardziej świadkiem wiary niż administratorem, a samo papieństwo stało się bardziej duszpasterzowaniem, niż rządzeniem. Na samym początku pontyfikatu Jana Pawła II zwrócił na to uwagę, zauroczony osobą papieża – Polaka, francuski pisarz André Frossard, który miał stwierdzić, że ten papież nie jest ani z Wadowic, Krakowa czy Rzymu. On jest z Galilei. Jak gdyby przybył tu, do serca Europy, w ślad za apostołami: Szymonem-Piotrem i Pawłem z Tarsu. I tak świat postrzegał go – jako wielkiego religijnego i moralnego świadka.

Jan Paweł II stanął w obronie dziedzictwa soborowego. Sobór Watykański II stał się przyczynkiem do zmian w Kościele w kierunku misji ewangelizacyjnej i duszpasterskiej. Sam sobór z resztą miał charakter głównie pastoralny, duszpasterski, a nie dogmatyczny. Pontyfikat Papieża – Polaka i jego interpretacja zaleceń Soboru Watykańskiego II, stanowiły jednocześnie sprzeciw wobec prądów laicyzacyjnych w łonie samego Kościoła (masowe odejścia kapłanów, zakonników i zakonnice, bardzo liczne w pierwszych latach po Vaticanum II, i to w krajach uznawanych dotychczas za ostoję katolicyzmu, np. Holandia czy Francja). Był to sprzeciw wobec współzawodnictwa Kościoła ze światem współczesnym. Słynne *aggiornamento* (unowocześnienie, bycie na bieżąco) Jana XXIII staje się wkrótce po soborze legitymacją do totalnej krytyki Kościoła jako ostoji obskurantyzmu i skostniałego organizmu. Nauczanie Jana Pawła II stało się całkowitym zaprzeczeniem wobec tych zarzutów.

Wydanie za pontyfikatu Jana Pawła II nowego *Katechizmu Kościoła Katolickiego* stanowiło potwierdzenie faktu, że Kościół może dać pełny, przekonujący i logiczny obraz wiary, nadziei i miłości. Dla wielu komentatorów, w tym dla niewierzących, było to również ważne wydarzenie kulturalne XX wieku, gdyż stawiało wyzwanie postmodernistycznemu przekonaniu, że wiedza nie jest logiczna.

ŚWIADKEM CZŁOWIEKA

Ogromnym osiągnięciem Jana Pawła II jest to, iż będąc wielkim chrześcijańskim świadkiem naszych czasów, postawił szereg pytań o znaczeniu fundamentalnym dla kondycji człowieka, świata i Kościoła, i zaproponował własne odpowiedzi na nie.

I tak, ukazując prawdę o człowieku w Chrystusie, podkreślając w swoim nauczaniu dobitnie godność osoby ludzkiej, Jan Paweł II nakreślił nową koncepcję teologiczną – teologię ciała. Przez wielu wybitnych teologów określana jako najbardziej przekonująca, chrześcijańska odpowiedź na rewolucję

seksualną lat 60-tych i 70-tych. W myśl tej koncepcji, prawdziwa miłość seksualna jest miłością, która wymaga ofiarowania siebie drugiej osobie, i nie polega na wykorzystaniu innej osoby dla chwilowej przyjemności.

Współczesne badania socjologiczne na amerykańskich kampusach uniwersyteckich pokazują, że nowe pokolenie, dzieci „dzieci kwiatów”, chce czegoś więcej, czegoś szlachetniejszego niż „sex, drugs & rock'n'roll”. Polskie badania z kolei pokazują inny fenomen, że młodzież polska jest bardziej przywiązana do katolicyzmu i do tradycji niż pokolenie ich rodziców! Dlatego właśnie młodzież była i jest nadzieją świata, jak często powtarzał Jan Paweł II.

W swoich wielkich encyklikach, jak „Centesimus annus”, „Veritatis splendor”, „Evangelium vitae” czy „Fides et ratio”, papież interpretuje kulturalne, polityczne, społeczne i ekonomiczne aspekty świata „postzimnowojennego”. George Weigel, wybitny amerykański myśliciel i biograf papieża – Polaka, stwierdza w swoich publikacjach, że Jan Paweł II przedstawił nową, oryginalną wizję wolnego, dobrze prosperującego i czystego moralnie społeczeństwa. Papież przeciwstawiał się marksistowskiej wizji społeczeństwa i koncepcji człowieka (robił to z resztą od wielu, wielu lat, będąc duszpasterzem młodzieży akademickiej w Krakowie, później jako wykładowca etyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, czy jako biskup, a potem kardynał krakowski), ale równocześnie przeciwstawiał się lewicującym prądom w samym Kościele, będących efektem swego „zauroczenia się” elit intelektualnych zachodniego świata sowieckim eksperymentem, m. in. tzw. „teologii wyzwolenia”, która była próbą połączenia socjalizmu z Ewangelią - „Chrystus z karabinem w ręku walczący o sprawiedliwość społeczną!”

Papież przeciwstawiał się, zataczającym coraz większe kręgi, utylityzmowi w traktowaniu człowieka, kiedy to „użyteczność staje się miarą człowieka”, konsumpcjonizmowi oraz „demokracji bez wartości”, która w ten sposób przeradza się w „tyranię większości”. Kryzys społeczny dzisiejszego świata, według Jana Pawła II, to efekt kryzysu współczesnej rodziny, zatarcia granic moralnych, w aspekcie indywidualnym i społecznym, to deptanie godności człowieka poprzez ograniczanie jego wolności – wolności osobistej, wolności religijnej i wolności ekonomicznej.

ŚWIADEK POKOJU

Z imieniem Jana Pawła II wiąże się nierozzerwalnie upadek komunizmu i żelaznej kurtyny, dzielącej Europę na pół od bez mała półwiecza. Nie ulega wątpliwości, że kres komunizmu to splot wielu czynników. Ale żeby zrozumieć, dlaczego upadł właśnie w 1989 roku i jak do tego doszło, musimy zwrócić uwagę na to, co nazwano „rewolucją sumień” zapoczątkowaną przez Jana Pawła II. W jej skomplikowanym scenariuszu Polsce przypadła efektowna rola, której symbolicznym początkiem było słynne wezwanie z Placu Zwycięstwa w Warszawie: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!” i festiwal wolności zapoczątkowany wydarzeniami sierpnia 80 roku. Pobudzając „rewolucję sumienia” Jan Paweł II wpłynął na rewolucję polityczną 1989 roku. Choć na pewno by się obruszył na określenie go politykiem, był na pewno wielkim mężem stanu, kimś w dzisiejszych, byle jakich czasach, niespotykanym. Za sprawą papieża Jana Pawła II, w praktyce okazało się, że chrześcijańska wiara może być narzędziem wolności i pokoju.

Polski papież swoim pontyfikatem zmienił coś, co wydawało się niemożliwe do zmiany w sferze publicznej – przywrócił polityce międzynarodowej pojęcie wartości podstawowych. Po wielkim papieżu odwoływanie się do wartości w polityce wydaje się czymś naturalnym i oczywistym. I mimo, że jego słowa bywały często lekceważone i pomijane lub, co gorsza!, wykorzystywane do załatwiania swoich politycznych interesów (znamy to przecież, aż nadto dobrze!), to jest faktem niezaprzeczalnym, że był dla świata autorytetem i drogowskazem, jasnym punktem odniesienia. Dzisiaj, kiedy Go już nie ma wśród nas, odczuwamy wyjątkowo dramatycznie brak autorytetów prawdziwych. Ten brak zdaje się mieć skutki opłakane, szczególnie w polskim życiu publicznym.

Papież na ciężkie czasy – czyż nie? Jak trafnie ujął to Paweł Milcarek, redaktor naczelny „Christianitas”, ze względu na wielowątkową obfitość dziedzictwa „Janowopawłowego” jesteśmy skazani na przyswajanie go w różnych aspektach i po części. Któż bowiem byłby w stanie ogarnąć, objąć umysłem na raz całość nauczania i życia tego wielkiego Pasterza. Będziemy go odkrywać wciąż na nowo i w coraz to nowym świetle. Tak bowiem trzeba, jeżeli mielibyśmy zasłużyć u potomnych na nazwanie nas „Pokoleniem Janowopawłowym”.



WIELKI TYDZIEŃ 1997

KARTKI Z DZIENNIKA

23 MARCA 1997, NIEDZIELA PALMOWA.

Spełnia się moje marzenie żywione od dawna, aby przeżyć Wielki Tydzień w Rzymie.

Plac świętego Piotra, na którym odbywa się liturgia, wypełniony jest ludźmi głowa przy głowie aż po via della Conciliazione. Jest to kolejny Dzień Młodzieży, który w czasie swego pontyfikatu wprowadził Jana Paweł II. Przecież to dzieci i młodzież witały Jezusa wjeżdżającego na osiołku do Jerozolimy. Stary papież mówi dziś, że wiosna jest najbardziej upragnioną porą roku dla każdego człowieka, niezależnie od jego wieku. Być młodym to szukać prawdy. Być młodym z Jezusem to jeszcze coś więcej. Ten, kto szuka, nagle odkrywa, że sam Jezus stawia mu pytania, poszukujący dowiadyuje się, że jest również poszukiwanym.

W rzędzie przede mną pięknie modlili się młodzi Niemcy, chłopcy ze szkoły średniej. Bardzo serdecznie przekazywali sobie znak pokoju. Trudno sobie nawet wyobrazić, ilu młodych ludzi spotkało się z Janem Pawłem II w ciągu 19 lat jego pontyfikatu. Młodzi sprzed lat stajemy się coraz mniej młodzi i coraz bardziej świadomi, jak wielkim darem jest młodość, ów czas wyborów i ustawienia w życiu. Dla człowieka w moim wieku przekraczającego granicę czterdziestki jest to właściwa pora na rachunek sumienia. Nie wolno być już jedynie beneficjentem historii.

Papieska liturgia trwała trzy godziny. Ojciec święty poświęcił palmy w pobliżu obelisku. Przywiózł go papamobil, którym potem udał się do ołtarza przed frontonem bazyliki. Papież z palmą w rękę przemierzał Plac w ciągu 15 minut – na osiołku nie byłoby wcale szybciej. Chór i diakoni pięknie odśpiewali Pasję. W tym miejscu, gdzie znajduje się grób św. Piotra i w obecności następcy Piotra dociera do mnie z całą ostrością, jak bardzo Pasja Jezusa Chrystusa jest dramatem Piotra. Zaśnięcie w Ogrójcu, płomienne deklaracje, a potem zdrada i łzy.

Podczas obiadu w Kolegium Czeskim, w którym obecnie mieszkam, rozmowa z Horstem Seidlem, który rezyduje tu od kilku lat jako profesor na Uniwersytecie Laterańskim oraz z dziekanem Wydziału Teologicznego Uniwersytetu w Pradze, spędzającym święta w Rzymie. Teologię wprawdzie przyjęto na uniwersytet, ale jego zdaniem jest ona traktowana gorzej niż astrologia. Dziekan wszędzie widzi masonów. Obawiam się, że z taką postawą okopanego żołnierza, nie zrobi zbyt wiele dla poprawy obrazu teologii w kręgach laickich.



Ks. Alfred Marek Wierzbicki

- (ur. 1957), duszpasterz, filozof i poeta. Opublikował pięć tomików wierszy: „jak ciemność w ciemności” (1991), „Inaczej każdej wiosny” (1993), „Kogut z Akwilei” (1999), „Znaki szczególne” (2000), „Miej-sca i twarze” (2003).

Mieszka i pracuje w Lublinie. Jest wikariuszem biskupim do spraw kultury, prorektorem Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Lublinie, pełni rolę zastępcy dyrektora Instytutu Jana Pawła II KUL. Prowadzi w tej uczelni wykłady z etyki dla ponad tysiąca studentów z wydziałów filozofii, teologii, prawa i humanistyki.

Interesuje się nowożytną i współczesną myślą włoską, czemu dał wyraz jako tłumacz A. Rosminiego „Zasad etyki” (1999) oraz autor monografii: „Filozofia i totalitaryzm. Augusta Del Nocego interpretacja kryzysu moderny” (2005). Opublikował kilkanaście artykułów w języku włoskim. Jako visiting profesor wykładał na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie oraz w Parmie i Sassari.

Tematy śródziemnomorskie stale towarzyszą jego twórczości literackiej.

Po południu z Seidlem poszedłem na spacer. Chciał mi pokazać „swoją” drogę do katakumb. W ciągu kwadransa po pokonaniu kilku uliczek na południe od kolegium znajdujemy się już na wsi. Przed nami rozpościera się Dolina Caffarella. Idziemy piaszczystą drogą. Na ogrodzonych pastwiskach pasą się owce. Mijamy kilka gospodarstw, które pochodzą jeszcze z czasów średniowiecza. Są to chłopskie zamczyska z czerwonej cegły. Czas się tu faktycznie zatrzymał. Mniej więcej po godzinie spaceru przecinamy Via Appia antica i docieramy do katakumb św. Kaliksta. Cieszę się z odkrycia tej enklawy rekreacyjnej tak bogatej w piękno krajobrazu i pamiętki historii. Wstąpiliśmy do kościółka Quo vadis, gdzie wedle opowieści Chrystus zostawił ślady swych stóp. W tym miejscu uciekający prześladowaniami Rzymu przed prześladowaniami Piotr spotkał zmartwychwstałego Pana. Na jego pytanie: „*Quo vadis Domine*” Chrystus odpowiedział: „Idę do Rzymu, aby mnie powtórnie ukrzyżowali za ciebie, Piotrze”. Powtórka zdrady i ponowne nawrócenie. Piotr powrócił do Rzymu i został ukrzyżowany w cyrku Nerona, gdzie dziś znajduje się bazylika św. Piotra. Od tej pory ucieczka papieży z Rzymu będzie nosić znamiona niewoli, a czasem także zdrady.

Znaleźliśmy przytulny taras w kafejce koło katakumb św. Kaliksta. Z niemieckim profesorem filozofii, wykładającym teraz w Rzymie, rozmawiamy oczywiście o filozofii. Jest on ciekawą umysłowością. Prowadzi stały spór niemal ze wszystkimi. W latach pięćdziesiątych studiował w Monachium, gdzie wówczas królowała jeszcze fenomenologia. Nie mógł się w niej odnaleźć i wtedy samodzielnie podjął badania nad filozofią starożytną i średniowieczną, w czym pomogły mu wcześniejsze studia z filologii klasycznej. Sam bez mistrzów akademickich odkrył tomizm i tradycję klasyczną. Kiedyś Hans Georg Gadamer miał mu powiedzieć: „Pan nigdy nie wyszedł poza Arystotelesa”, na co Seidl mu odpowiedział nie bez ironii: „A Pan nigdy do Arystotelesa nie doszedł”. Cechuje go ogromna ruchliwość, dużo pisze, uczestniczy w licznych kongresach, nie zmienia to jednak faktu, że pozostaje zafiksowanym przeciwnikiem wszystkiego, co nowoczesne. Z rzeczy, jakie pojawiły się w epoce pokartezjańskiej, zaakceptował chyba tylko ekspres do kawy. Rozmowa ze mną wcale go nie irytuje, stwarza mu okazję do przekonywania mnie o błędach modernistycznych, a to właśnie uznał za swą misję, dla której pędzi żywot filozofa, który dla siebie niczego nie wymaga. Jego filozoficzna bezinteresowność budzi mój głęboki szacunek. Ja zresztą też w tej rozmowie nie unikałem okazji, aby przedstawić mój punkt widzenia. Byłoby idealnie gdybyśmy się mogli porozumieć, ale wystarczyć musi sama możliwość rozmowy.

24 MARCA 1997

Ulewny deszcz. Cieszę się, że nie muszę dziś nigdzie wychodzić. Piszę kartki z życzeniami świątecznymi. Prawie wszyscy księża zamieszkujący w kolegium wyjechali na święta, a ja uparcie pozostaję w Rzymie. Cisza. Tęsknię za muzyką. W Lublinie mam tyle płyt. Przychodzi mi myśl chyba nie całkiem dziwaczna, że pokuta wielkopostna może mieć również wymiar powściągliwości od przyjemności estetycznych.

Dziś Wielki Poniedziałek. Ewangelia opowiada o namaszczeniu stóp Jezusa wonnym olejem. Zapowiedź pogrzebu. Gest Marii ma swą wartość ze względu na jej miłość do Chrystusa. Jak dobrze jest być taką Marią, która zawsze umie wybrać „najlepszą cząstkę” i zawsze potrafi być blisko we właściwej chwili.

25 MARCA 1997

Robię zakupy, a potem idę do fryzjera w pobliżu Piazza Concordia. Długa kolejka, więc słucham, o czym mówią w większości starsi panowie. Najpierw narzekają na swe dzieci, czasami na żony. Gdy już ich ten temat nuży, opowiadają o swych kotach i psach, czym je należy żywić, a czym nie należy, jak wychodzą z psem na spacer. Samo życie...

26 MARCA 1997

Poszedłem na wycieczkę na Zatybrze w towarzystwie dwóch Hiszpanów, Miguela i Antonia z Kolegium Laterańskiego. Napisałem Hiszpanów, ale w istocie są oni Katalończykami. Nie uczyłem się nigdy języka katalońskiego, ale kiedy oni mówią w swym języku a ja po włosku, doskonale się porozumiewamy.

Antonio pochodzi z Villarreal, gdzie znajduje się sanktuarium św. Pascala, dlatego pierwsze kroki kierujemy do kościoła św. Pascala Baylon. Jest to kościół franciszkanów hiszpańskich. W

pobliżu kościoła Antonio zauważa kwaciarnię, na chwilę znika i przychodzi z bukietem białych chryzantem dla swego świętego, który żył w XVI wieku i zasłynął z pobożności eucharystycznej. Leon XIII po kanonizacji ogłosił go patronem kongresów eucharystycznych. Antonio wydaje biuletyn poświęcony św. Pascalowi. Nie jest on dla niego postacią z zamierzchłej epoki, lecz kimś komu służy i czci.

W bazylice św. Cecylii, zbudowanej w starożytności na miejscu, w którym stał wcześniej jej dom i gdzie poniosła męczeństwo, znajduje się wspaniała rzeźba wykonana przez Maderno w końcu XVI wieku. Młoda kobieta w sukni z fałdami leży odwrócona twarzą do ziemi. Trzyma lekko rękę lekko uniesioną do góry i gestem trzech palców czyni wyznanie wiary w Trójcę Świętą. Artysta nie pokazuje krzywdy, jakiej doznała. Nie oglądamy cierpienia na jej twarzy. Można nawet mieć wrażenie, że zasnęła i zaraz kiedy się obudzi, zobaczymy, jak piękna jest jej twarz.

Obok bazyliki w klasztorze benedyktynek znajduje się znany fresk Pietro Cavalliniego przedstawiający Sąd Ostateczny. Tylko w niedzielę siostry otwierają salę na piętrze dla zwiedzających. Kilka lat temu przyprowadził mnie tu Claudio, który pokazywał mi największe arcydzieła Rzymu. Planuję powrócić tu któreś niedzieli. Przywołuję w pamięci postać Chrystusa Sędziego o bardzo miłosiernym spojrzeniu. Otaczają go chóry aniołów po lewej i prawej stronie ze swymi wielobarwnymi skrzydłami. Kto przełożył bizantyjską sztukę ikony na włoski – Giotto czy Cavallini? Sąd Ostateczny na Zatybrzu przekonuje, że zwrot renesansowy nastąpił równocześnie w Rzymie i we Florencji.

Ostatnim kościołem, który dziś odwiedzamy na Zatybrzu, jest San Francesco in Ripa. Mieszkał tu św. Franciszek w czasie swego rzymskiego pobytu. Wyobrażam sobie, jak stąd udawał się do papieża Innocentego III, a droga na Lateran jest dość daleka. Zwiedza się pokój na pierwszym piętrze, nazywany „santuario”, w którym Franciszek mieszkał. W gablocie za szkłem, chyba po to by nie dotykać, znajduje się kamień, na którym Święty opierał swą głowę podczas snu.

W bocznej kaplicy prawdziwe arcydzieło – rzeźba Berniniego. Przedstawia ona świętą Ludwikę Albertoni. Od razu zrozumiałem, że jest to rzeźba, której niemal po omacku poszukuję od czasu, gdy zobaczyłem Ekstazę św. Teresy. Obydwie rzeźby Berniniego dopełniają się idealnie.



Ekstaza św. Teresy ma kierunek wertykalny, jej twarz wznosi się ku niebu, natomiast św. Ludwika leży na łożu z głową wzniesioną do góry, ale cały ciężar zmęczonego, wyczerpanego ciała opada do dołu. Jest to rzeźba nagrobkowa, przedstawia ona akt umierania jako wypełnienie się miłości. Św. Ludwika była franciszkańską tercjarką. Pochodziła z bogatej patrycjuszowskiej rodziny, odziedziczony majątek pozwolił jej prowadzić wiele dzieł miłosierdzia.

Pięknie jest na Zatybrzu. Inny Rzym. Był na peryferiach świata cesarzy i papieży. Lubię jego wąskie uliczki, rodem ze średniowiecza. Miejscami trafia się jakaś stara mozaika na bruku. W czasach przedchrześcijańskich w zakolu Tybru mieściła się dzielnica żydowska, wyznaczona przez cesarzy. Tu Piotr i Paweł głosili Ewangelię zaczynając od gminy żydowskiej. Także współcześnie niedaleko stąd do Wielkiej Synagogi Rzymu, tak blisko położonej bazyliki św. Piotra.

27 MARCA 1997

W Wielki Czwartek wszyscy księża przebywający w Rzymie mogą koncelebrować z papieżem. Nie potrzeba wejściówki, wystarczy przynieść albę i stułę. Przed wyjściem do ołtarza w zakrystii spotkałem ks. Tadeusza Stycznia. Koncelebra Mszy Krzyża św. z Janem Pawłem w 15 roku kapłaństwa ma dla mnie wielkie znaczenie. Cieszę się, że siedzę obok księdza Stycznia wprost przed Konfesją św. Piotra. To pierwsza Msza, którą odprawiam z papieżem. Jak wszyscy księża polscy mojego pokolenia rozwijałem się patrząc od pierwszych dni po święceniach na polskiego kapłana, który został papieżem.

Ks. Styczeń zaprosił mnie na obiad do domu generalnego Salwatorianów przy via della Conciliazione. Spędziliśmy kilka godzin razem. Dopiero wczoraj przyjechał z Lublina, a ja chodzę po rzymskich ulicach już od miesiąca, a przedtem przez pół roku przebywałem w Mediolanie, więc z ciekawością słucham jego opowieści o żywej w Polsce dyskusji dotyczącej zmian w Konstytucji. Niepokoi go brak wystarczającej gwarancji dla ochrony życia ludzkiego. Najgorszym zaś byłoby, gdyby doszło do takiego kompromisu, że Kościół zgodzi się na przyjęcie niedoskonałej konstytucji za cenę ratyfikacji konkordatu przez rząd lewicowy. Gdyby tak się stało, dodałem, to myślenie prawnicze wzięłoby górę nad myśleniem moralnym. A to rujnuje demokrację, bo godzi w jej fundamenty. Kompromis Kajfasza i Piłata powinien stale być przestroga.

Po wyjściu od ks. Stycznia od razu pojechałem do Bazyliki św. Jana na Lateranie, gdzie papież sprawował Mszę Wieczery Pańskiej. Wzruszający widok starego papieża, gdy umywa nogi starcom. Teraz kiedy już słabnie fizycznie, z każdego jego słowa i każdego gestu emanuje jeszcze większa moc duchowa. W okresie Soboru pisał w swym rzymskim wierszu o starcach, którzy chcą dopędzić świat. Teraz sam jest jednym z nich. Trzeba widzieć, ile wysiłku kosztuje go chodzenie. Przytrzymuje się krawędzi przy ołtarzu i poręczy fotela, aby móc utrzymać się na nogach. Czyni to na oczach całego świata. Kamery pokazują każde drżenie jego ręki i każdy trudny krok. Budzi podziw papieska odwaga podejmowania nowych podróży. W kwietniu udaje się do Sarajewa, w maju do Czech i Libanu, w czerwcu do Polski.

28 MARCA 1997

Wczoraj spotkałem na Placu św. Piotra trzech księży studiujących filozofię na KUL-u, którzy w ubiegłym roku uczestniczyli w moim proseminarium. Zaproponowałem im spacer trasą placów od Piazza Navona przez Piazza di Spagna aż do Piazza del Popolo. Nazywam ją trasą Caravaggia, gdyż jego najsłynniejsze obrazy znajdują się w kościołach tej części miasta.

W San Agostino, aby uszanować ciszę Wielkiego Piątku, nie wolno zapalać dziś światła. W mroku oglądaliśmy Madonnę Pielgrzymów. Przed sarkofagiem św. Moniki modliłem się, dziękując za nawrócenie jej syna, za niepokój jego serca, za jego myśl, która ukształtowała dzieje Zachodu.

Na liturgię Męki Pańskiej w bazylice św. Piotra poszedłem wspólnie z ks. Styczniem. Jest on tu znaną i lubianą postacią. Przejście z nim zabiera sporo czasu, bo po drodze rozmawia za-

równy ze strażnikami jak i z kardynałami. Przy tej okazji również i mnie przypadły niezasłużone ukłony dla jego bliskiego współpracownika, jak mnie zwykł przedstawiać. Jeden z kurialnych biskupów mówi mi, że Padre Tadeo przynosi pogodę raju na ziemię. Sytuacja zaczyna być nieco krępująca, gdy porządkowi chcą nas zaprowadzić na miejsca przy samym ołtarzu. W Wielki Piątek przecież nie wypada pchać się tak blisko... Siadamy więc tam, gdzie są wolne miejsca w bocznej nawie. Okazuje się, że za chwilę obok nas usiądą znajomi z Polski i zrobi się niejako polski sektor, naszymi sąsiadami są Stefan Sawicki i Stanisław Grygiel. Niedaleko siedzi ks. Wacław Gubała z Krakowa, z którym w latach osiemdziesiątych uczestniczyłem w kursie języka francuskiego w Paryżu. Bazylika się wypełnia, wszyscy starają się rozmawiać szeptem, co sprawia wrażenie, jakby wtargnęły do niej fale wzburzonego morza. Trudno mi było przygotować się na ten moment ciszy, od której rozpoczyna się liturgia wielkopiątkowa. Dopiero wejście Ojca świętego spowodowało wyciszenie. W chwilach adoracji drzewa krzyża nawet jego obecność zesłała na drugi plan.

W drodze krzyżowej w Koloseum uczestniczą tłumy rzymian i cudzoziemców. Słyszę różne języki. Tekst rozważań napisał katolikos Armenii Karekin. Przejmująco prosty i oszczędny. Nie przesłonił słów Pisma świętego, które go poprzedzały. Najtrudniej jest wyrazić w słowach tajemnicę cierpienia Chrystusa. Nie znam żadnego utworu literackiego, który dorównałby artystycznej prawdzie Pasji według św. Mateusza Jana Sebastiana Bacha lub mediolańskiej Piety Rondanini Michała Anioła.

29 MARCA 1997

Wielka Sobota rozpoczęła się burzą nad Rzymem. Była czwarta rano, kiedy obudził mnie wiatr, który łomotał okiennicami.

Przed południem poszedłem do Bazyliki św. Krzyża (Santa Croce in Gerusalemme). Została ona zbudowana jako wyraz kultu drzewa krzyża świętego, którego szczątki znalazła św. Helena matka cesarza Konstantyna. Bazylika tworzy widoczną oś sakralną z bazyliką laterańską, a pośrodku tej osi znajduje się laterańskie sanktuarium pokutne „Świętych Schodów”, po których Chrystus schodził od Piłata. Myślę i odczuwam trochę jak człowiek średniowiecza. Nie jest dla mnie ważna autentyczność przedmiotu budzącego pobożność. Relikwie, podobnie zresztą jak dzieła artystyczne, spełniają przede wszystkim rolę medium. Pozwalają one umysłowi oprzeć się na czymś materialnym, aby dostrzec niewidzialne. Chodzi tu o symbol. Kiedy patrzę na dwa kawałki drzewa oprawione w kunsztowne relikwiarze, nie potrzebuję ani wylewu emocji, ani akrobatycznych ruchów intelektu, aby stanąć oko w oko z tajemnicą odkupienia człowieka przez miłość. Rzymski kawałek krzyża to belka z napisem Jezus Nzareński Król Żydowski. Napis w języku greckim i łacińskim wykonany został od prawej ku lewej stronie tak, jak się pisze po hebrajsku. *Se non è vero, è ben trovato*. Sztuka jest kłamstwem, które mówi prawdę.

* * *

W liturgii Wigilii Paschalnej w bazylice św. Piotra uczestniczę ponownie razem z ks. Stycznem. Już pół godziny przed rozpoczęciem ceremonii zostają wygaszone światła. Obrzęd poświęcenia ognia odbywa się na zewnątrz. Pozostając w bazylice, słyszymy tylko słowa modlitw odmawianych przez papieża. Kiedy poświęca pascha, jego głos brzmi bardzo wyraźnie. Jeszcze kilka tygodni temu Jan Paweł II miał trudności z mówieniem, ale dziś głos ma czysty i donośny. Bazylika wypełnia się jego charakterystycznym głębokim śpiewem. „Śpiew to istnienie” – napisał Rainer Maria Rilke. Jestem jednak w stanie wyobrazić sobie papieża, którego głos kiedyś zamilknie. Także wtedy nie przestanie być Nauczycielem. Jego homilie stają się coraz bardziej proste. I choć coraz mniej w nich rozmachu teologicznego jak kiedyś, ziarno wiary pozostaje to samo. Dziś w poruszający sposób mówił o walce ciemności i światła, życia i śmierci, którą Jezus toczył w grobie.

Po skończonej liturgii pozostajemy z księdzem Stycznem na swych miejscach zasłuchani w muzykę wykonywaną na organach. Nie mamy ochoty wychodzić nawet w momencie, gdy utwór już się skończył, zapanowała cisza i bazylika stawała się coraz bardziej pusta. Kiedy już zdecydowaliśmy się wyjść, zauważyliśmy piękny spektakl na Placu. Neokatechumeni w białych tunikach tańczą i śpiewają „alleluja”. Święto zaczęło się i trwa. Obchodzimy Plac wciąż rozmawiając o liturgii, ale także o planach na najbliższe miesiące. W sierpniu mamy zaproszenie do Castel Gandolfo, gdzie nasz Instytut przygotowuje sesję naukową. Takich jak my, którym nie śpieszy się do domu, jest wielu w okolicach Watykanu. Chodzimy więc po uliczkach przemierzając je kilkakrotnie. Mój Szef pożegnał mnie wreszcie na przystanku autobusu 64, odjechałem stamtąd w stronę Placu Weneckiego. Nad Rzymem świeci księżyc, tłumy ludzi przechadzają się ulicami, bardzo dużo młodych. Autobus oddala się od bazyliki, a ja wciąż widzę jak na filmie papieża z paschałem w rękach, chrzest dorosłych ze wszystkich kontynentów i światełka, które trzymaliśmy zapalone od paschału. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że papież homilię wygłoszoną po włosku nieoczekiwanie zakończył po rosyjsku: „Christos woskries! Woistinnno woskries!” Słów tych wcale nie przetłumaczył. Z tego pozdrowienia w swym ojczystym języku musiała się bardzo ucieszyć pani Irena Iłowajska Alberti, która dziś była obecna na liturgii. Chcieliśmy ją spotkać. Ksiądz Styczeń rozmawiał z nią rano przez telefon. Chyba wcześniej od nas wyszła z bazyliki. Osobiście poznałem ją dopiero dwa lata temu podczas jej wizyty w Lublinie, podziwiam ją jednak od lat. Z zainteresowaniem czytałem jej komentarze w „Trentagiorni” i „Il Sabato” w których pisała o Sołżenicynie i Sacharowie. Sama przez lata była sekretarką Sołżenicyna w Ameryce, potem powróciła do Europy. Założyła w Paryżu pismo „Russkaja mysl”. Teraz często jeździ do Rosji, gdzie wydaje swój tygodnik oraz prowadzi ewangelizacyjny program radiowy. Bez wątpienia jest ona Rosjanką, która dziś reprezentuje ten sam uniwersalizm, który sto lat temu rozwinął Sołowjow.

30 MARCA 1997, WIELKANOC

Kiedy przychodzę na Plac św. Piotra, rozbrzmiewa on już wieloma językami. Pewna Niemka pomyliła mnie ze swym znajomym. Złożyliśmy sobie życzenia i poszła szukać go dalej. Ołtarz na schodach przed bazyliką ozdobiony jest kwiatami podarowanymi przez Holendrów. Są tulipany, żonkile, azalie i mnóstwo kwiatów, których nazw nie znam. Owa kolorowa plama u stóp papieża staje się eksplozją życia. Wiosna sama w sobie rodzi radość, cieszymy się z powrotu do życia. Ale chrześcijaństwo jest czymś więcej niż celebrowaniem czysto naturalnej odnowy życia w rytmie kosmicznym. W liturgii – w dzisiejszych antyfonach śpiewanych przez chór sykstyński – przewija się myśl, którą papież rozwija potem w swym orędziu wielkanocnym: „Po zmartwychwstaniu Chrystusa nic nie pozostaje takim, jakim było przedtem”. Jest to wyznanie absolutnej nowości chrześcijaństwa. Być może będzie ono słabnąć w wymiarze socjologicznym, być może będzie zmniejszać się liczba chrześcijan i nasz wpływ na kształt współczesnej kultury, ale atrakcyjnością chrześcijaństwa na zawsze pozostanie tajemnica Chrystusowego zwycięstwa nad śmiercią i grzechem.

TRZY WIERSZE DLA WEGI

DOROCIE I BOGDANOWI POLEWCZYKOM
ORAZ ALI KOZAKIEWICZ,
KTÓRZY TAKŻE BRALI UDZIAŁ W TYM MISTERIUM.

PŁOWOŚĆ I

Była. Poruszała się
w rytmie czterech łap, tułowia, głowy i ogona
rozgadanego tajemnym szyfrem miłości.
Uszy i oczy też opanowały do perfekcji
mowę oddania i wierności. Na całe cztery doby
nazwałam ją ożywczym imieniem – Wega.
Przygarnięta z zimnej bezdomności,
wtuliła się w wymoszczoną miękkim samodziałem budę
i tylko latarki źrenic śledziły mnie z wiarą i nadzieją.
Nigdy nie wierzyłam bardziej
w swoją moc. Najpotężniejsze siły kosmosu
błagałam o wsparcie, ażeby uzdrowić
te biedne chore członki.
Ażeby nie zawieść jej ufności.
Śmierć przyszła nagle jak złodziej czwartego wieczoru
i tchnęła bezruch w tę drżącą bolesność. Pozostał po niej
zastygły kształt mozołu i zapach lekarstw
na koniuszkach sierści.
A przecież, gdy zamykam oczy,
wciąż wbiega mi pod powieki – jak płomień świecy -
nikła chwiejna płowość i ktoś przesuwając moje dłonie
ku ścieżce za oknem.
Co jednak mogą znaczyć t e r a z
we wszechświecie te błyski, gesty, słowa,
oprócz pustego żalu i gorzkiej przestrogi,
że nie dość ukochałam, by osiąść moc Boga.



Adriana Szymańska

– poetka, eseistka, krytyk literacki – urodziła się w Toruniu (1943), gdzie ukończyła polonistykę na UMK. Od początku lat 70. związana jest z Warszawą. Debiutowała zbiorem wierszy „Nieba codzienności” (1968), potem opublikowała kilkanaście książek poetyckich, ostatnio *Być. 123 wiersze dawne i nowe* (2004). Otrzymała kilka prestiżowych nagród poetyckich, w tym nagrodę Warszawskiej Premiery Literackiej i nagrodę im. Sępa-Szarzyńskiego – za „Kamień przydrożny” (1993), a także Nagrodę Poznańskich Wydawców – za *Lato 1999* (2000). Wielokrotna stypendystka Ministerstwa Kultury i ZaiKS-u. Jej wiersze, przetłumaczone na kilka języków, znajdują się w antologiach polskich i obcych. Szymańska jest również autorką dwóch książek prozą dla dzieci i powieści opartej na motywach autobiograficznych pt. „Święty grzech” (1995). I od roku 1987 jest członkiem rady redakcji miesięcznika „Przegląd Powszechny”, gdzie prowadzi dział recenzji poetyckich. Współpracuje też z innymi periodykami literackimi, takimi jak „Nowe Książki”, „Kwartalnik Artystyczny”, „Topos”.

PŁOWOŚĆ 2

Nie wydała żadnego dźwięku:
piśnięcia, szczeknięcia, skomlenia.
Dopiero na chwilę przed śmiercią
przeciągłe, żalosalne wycie wydobyło się z jej gardła.
Umarła parę tygodni temu, a ja
nie mogę zapomnieć pokory z jaką znosiła chorobę.
Zaledwie cztery dni była u nas,
choć od przeszło tygodnia widywano ją w okolicy:
płowa, czarno podpalana, niezbyt duża wilczyca
z uszami czułymi jak radary i smukłym pędem ogona.
W miarę jak słabła, poruszał się coraz rzadziej.
Czy pamięć jest karą miłości do życia,
które nie mogło trwać?
Którego nie można było wznowić?
Bo taka miłość jest biedna, biedniejsza
niż jakikolwiek inny odruch serca.
Kochać i nie móc dotknąć, objąć, zawołać,
to jakby toczyć kamień z mózgu przez żołądek do trzewi
i z powrotem. Ten kamień
nigdy się nie zatrzyma na przystanku: przyjaźń.
Ani: wzajemność. Ani nawet: najkrótszy wspólny bieg.
Ten kamień na zawsze pozostanie jak chińska tortura
w labiryncie tętnic, jak pytanie bez odpowiedzi:
czy nie można było zrobić więcej?

PŁOWOŚĆ 3

Pochowano ją – młodą – pod młodymi brzożami.
Kilka dni później ścięto brzozy, aby podleśny ugór
stał się czystym ugorem.

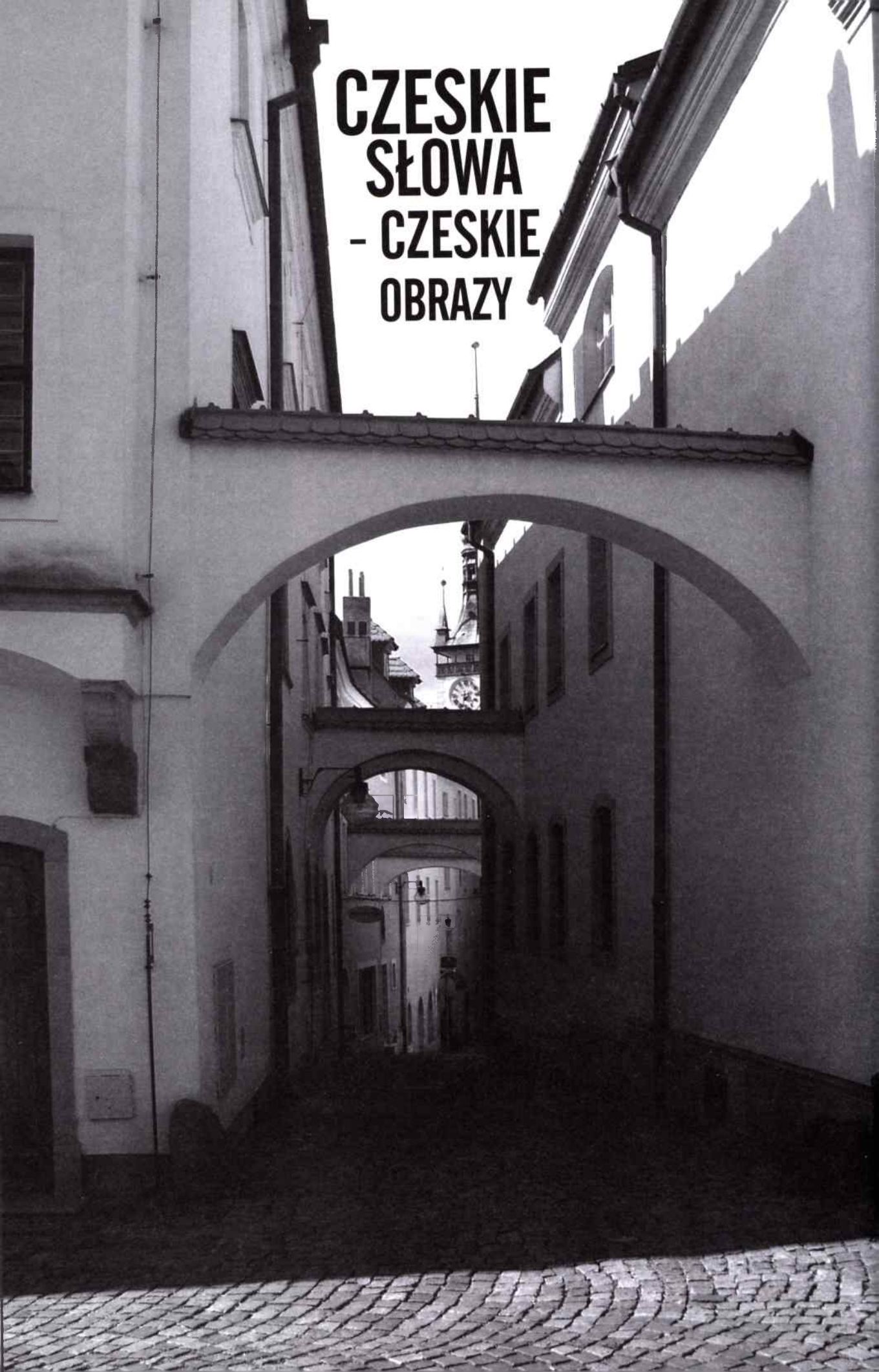
Absurd ludzkich zarządzeń zderzony ze smutkiem żałoby.
Piękny dom przyjaciół, którzy grzebali psie ciało,
też stracił na uroku bez brzożowej oprawy.

Kto wiąże wciąż moje myśli z tą umarłą suką?
Płowość jesiennych brzoż podobna do płowej sierści
– obie nagle zabrane.
– Pozostał płowy modrzew, pod którym
– jeszcze żywa – leżała ostatniego ranka. Z suchą
pożółką igielką na mokrej oselce nosa.

Pisze te słowa nocą i światło lampy z żółtym
abażurem zdaje się mówić do mnie,
że próżne to moje pisanie. Bo każdy, odchodząc,
najbardziej zostaje w swoich żywych w skazie
niedokochania. I nic i nikt nie zdejmie ze mnie
tej skazy.

PUETUSK, 16 LISTOPADA – 5 GRUDNIA 2005 ROKU.

**CZESKIE
SŁOWA
- CZESKIE
OBRAZY**



PLAC WACŁAWA

Ulubionym miejscem Ducha
są place. Dobro i zło
przekuwa się tutaj w broń.
Duch jest ślepy, potrzebuje
roзумu ludzi. Jan Palach
zamienił się w płomień prawdy.
Nie liczba, ale wola naszą mocą.
O wiecznie młoda Prago,
znowu jesteś placem Europy;
król Wacław na koniu, chłopcy
i dziewczyny tak młodzi i piękni,
że tylko im tańczyć.

22 11 1989

**WIERSZ POCHODZI Z DEBIUTU POETYCKIEGO AUTORA,
KSIĄŻKI "JAK CIEMNOŚĆ W CIEMNOŚCI",
WYDAWNICTWO LUBELSKIE. LUBLIN 1991.**

„BRNĘ PRZEZ ZIĄB DO MIŁOŚCI”

ZMAGANIA JANA ZAHRADNÍČKA Z ŻYCIEM I POEZJĄ

*Byłem jak most nad rajem dzięki chwilom wielu,
odzyskiwałem wzrok, ślepy od zgryzot,
i również tam, gdzie ścieżką wstydu szedł bez celu,
rozbłyskiwał jutrenką radości horyzont.
Nie przyszedłem zasiadać do nakrytych stołów,
brnę przez ziąb do miłości z cieniem swym pospołu.*

Jako wprowadzenie do rozważań o jednym z największych poetów czeskich minionego stulecia, JANIE ZAHRADNÍČKU (1905-1960), a ściślej – o przemianach na jego drodze życiowej i twórczej, wybrałem zwrotkę wiersza „Trzydziestolenni” w przekładzie Józefa Waczkowa. Utwór ten, zamieszczony w zbiorze „Spragnione lato” (*Žíznivé léto*, 1935), czwartym z kolei w dorobku pisarza, ma wyraźne rysy autobiograficzne, choć jednocześnie dzięki swemu przesłaniu oraz walorom artystycznym wykracza poza horyzont jednostkowego losu. Powstał w okresie, który dla Zahradníčka miał znaczenie przełomowe, ponieważ właśnie wtedy dokonywała się zasadnicza zmiana „orientacji” duchowej poety, zasygnalizowana już dwa lata wcześniej świetnym tomikiem „Žurawie” (*Jeřáby*, 1933), wyróżnionym prestiżową nagrodą wydawnictwa „Melantrich”. Jest to o tyle ważne, że dziś, z perspektywy lat – zupełnie odwrotnie niż w czasach komunistycznych, kiedy to autora Znak mocy usiłowano wykreślić raz na zawsze ze świadomości czytelników – postać poety nierzadko traktowana bywa w sposób monumentalny, posągowy, jak gdyby od razu urodził się herosem i męczennikiem, a jego twórczość nie miała dynamicznego charakteru.

Wspomniany „przełom” nie polegał bynajmniej na jakiejś polityczno-światopoglądowej konwersji z „lewej” strony - na „prawą”, czy na odwrót. Zahradníček nigdy nie angażował się w politykę, nie był i nie zamierzał być socjalistą, ale nieraz głosił otwarcie, a nawet praktykował ideał ewangelicznego ubóstwa, o czym zresztą będzie jeszcze mowa w niniejszym szkicu. Podobnie, nigdy nie sympatyzował z faszyzmem, co próbowali mu nikczemnie zarzucać komuniści. Najważniejsze jednak, że w połowie lat trzydziestych poeta przestał ulegać rozmaitym frustracjom i podjął olbrzymi wysiłek okiełznania własnych słabości oraz ściągnięcia cugli Pegazowi, który niekiedy zdawał się go unosić donikąd. Teksty Zahradníčka, powstałe w drugiej połowie lat trzydziestych, nie tylko poetyckie, lecz także eseistyczne, o istnieniu których mało kto wie, stanowią niezwykle świadectwo zmagania twórcy z pamięcią, z przeszłością, ze słowem, pokazują jego dramatyczną batalię o własną tożsamość. W ogniu tych potyczek i rozterek wykrystalizowały się najistotniejsze cechy charakteru Zahradníčka, okrzepł i zahartował się jego duch, a słowo poetyckie nabrało niebywałej mocy. Cały ten proces miał fundamentalne znaczenie dla dalszych losów poety i jego twórczości, która niejednokrotnie przemawia do nas z istic profetyczną siłą. Bardzo pięknie pisze o tym okresie inny czeski poeta, František Hrubín:

„Krucha, a jednocześnie nieokiełznana łodyga poetyckiej młodości Zahradníčka czerpie

soki swymi wątlami, lecz za to najgłębszymi korzonkami, dzięki czemu będzie miała siłę się utrzymać, zgięta w wielki łuk tragedii, który kiedyś w przyszłości jednym końcem oprze się o prosty wiejski grób”.

CZUĆ I ROZUMIEĆ

Chciałbym przybliżyć choć trochę klimat owych wewnętrznych zmagania poety, sięgając nie tylko do wierszy, ale również do wspomnień przyjaciół Jana Zahradnička oraz do zupełnie u nas nieznanymi jego esejów.

„Nie rozumiem mojej młodości do tej pory – zwierzał się pisarz w szkicu pt. Jest wiele plonów z roku 1938 - a jeśli czasami zaczynam ją rozumieć, to dzieje się tak dzięki słowu, dzięki poezji. Myślę, że zrozumienie zaczyna się od wyeliminowania przypadkowości, i jeśli nic, co zdarzyło się za młodu, nie będzie mi się wydawać przypadkowe, wtedy będę mógł doskonale zrozumieć swoją młodość, ale to chyba nie stanie się już na tym świecie. Jednak już teraz zaczynam rozumieć, że nie jest przypadkiem moje wiejskie pochodzenie od przodków – tych ze strony ojca i tych ze strony matki – którzy, jak wszystko na to wskazuje, od wielu pokoleń byli wieśniakami, że nieprzypadkowo mój kraj rodzinny leży na zachodnich Morawach, w pobliżu Jaromierzyc Otokara Březiny i Tasova Jakuba Demla, że nieprzypadkowo uczęszczałem do gimnazjum w Trzebiczu, i że na wydziale filozofii w Pradze, wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowałem, znalazłem się w otoczeniu przyjaciół z czasopisma „Tvar”, redagowanego także przez byłych uczniów trzebickiego gimnazjum. Nie były przypadkiem te pozornie zewnętrzne okoliczności i nie było przypadkiem całe moje błędzenie i dreptanie, i - jak już powiedziałem - zaczynam rozumieć swoją młodość także przez to, co robię; jestem przekonany, że tak się dzieje z każdym człowiekiem, ponieważ »jest wiele plonów w życiu, ale jest tylko jeden siew«. I nawet gdybym przewędrował cały świat i przestudiował wszystkie biblioteki, nie poszerzyłbym ani o piędź tego wewnętrznego ładu, który się we mnie uformował z zastygłej już, a niegdyś płonącej lawy młodości, i nie zmieniłbym przez to kształtu jej horyzontów, nie nadałbym innej logiki swojemu losowi.”

Jak widzimy, mieszają się tu ze sobą: bezradność („nie rozumiem”), nadzieja („zaczynam rozumieć”) i pewność („jestem przekonany”). Przewagę zyskuje pewność („nie poszerzyłbym ani o piędź”, „nie nadałbym innej logiki”) - ale nie jest to pewność, do jakiej dochodzi się drogą suchej, racjonalistycznej argumentacji. Nie jest to pewność fizyka czy matematyka. „Jeśli czasami zaczynam rozumieć – czytamy w pierwszym zdaniu – to dzieje się tak, dzięki słowu, dzięki poezji”. A zatem: poezja jako klucz do zrozumienia przeszłości? Do zrozumienia siebie i innych? W jaki sposób można dowieść, że nic nie jest przypadkowe? Ani rodowód? Ani data i miejsce urodzenia? Ani ludzie? Ani kolejność zdarzeń w życiu? Czy to aby nie idealistyczne mrzonki? I wreszcie: czy niechęć do poszerzania „wewnętrznego ładu” nie jest sprzeczna z prawem rozwoju i nie uwłacza prawdziwemu twórcy, który, zgodnie z wymogami nowoczesnej sztuki, za tym rozwojem powinien nie tylko nadążać, ale wręcz go wyprzedzać? Paradoksy te autor stara się wyjaśnić w następnym fragmencie:

„Nie znaczy to jednak w wcałe, że trzeba siedzieć z założonymi rękami i marzyć. Pisanie poezji to nie marzycielstwo, to wręcz jego zaprzeczenie, to działanie, w którym uczestniczą wszystkie składniki ludzkiej osobowości, a



Andrzej Babuchowski

ur. 1944 r. Absolwent filologii polskiej UJ; studiował także slawistykę. Dziennikarz, krytyk literacki, tłumacz literatury czeskiej. W latach 1967-1981 pracował w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia, a po wybuchu stanu wojennego – w tygodniku „Katolik”. Od 1988 do końca 2005 r. był kierownikiem działu kulturalnego w „Gościu Niedzielnym”; obecnie na emeryturze. Współpracuje z wieloma czasopismami w całej Polsce. Zajmuje się też historią i współczesnością czeskiego Kościoła, napisał na ten temat dziesiątki artykułów, wywiadów i reportaży. W swoim dorobku translatorskim ma około 20 książek, wśród nich jedyny polski wybór wierszy Jana Zahradnička „Śpiew niedokończony”, który ukazał się w 1992 r. nakładem IW Pax (w wyborze tym utworzy czeskiego poety tłumaczyli również Andrzej Czcibor-Piotrowski, Jacek Illg i Józef Waczków). Babuchowski jest autorem opublikowanej w 1998 r. przez poznańskie Wydawnictwo „W drodze” antologii czeskiej poezji metafizycznej XX wieku Na ostrzu płomienia, na którą złożyło się prawie 130 wierszy 48 poetów różnych pokoleń. Wkrótce w jego przekładzie ukaże się nakładem Wydawnictwa WAM w Krakowie książka wybitnego czeskiego teologa ks. Tomáša Halíka pt. Wzywany czy niewzywany. „Za przybliżanie polskiej i czeskiej kultury oraz przekłady wierszy Jana Zahradnička, zwłaszcza poematu Znak mocy” polski tłumacz podczas uroczystości w Welehradzie w r. 2000 otrzymał Honorowe Wyróżnienie Konferencji Episkopatu Czech.

więc rozum i wola, obok marzeń. Marzenie i przecucie pojawia się przed aktem rozumu i woli, poeta najpierw przeczuwa jakby we śnie kształt swego dzieła, a dopiero potem przychodzą rozum i wola, i starają się to dzieło urzeczywistnić. Rozum i wolę poeta może umacniać i pogłębiać przez całe życie, ale sfera marzeń i przecuć, ten wewnętrzny ład jego chłopięctwa i młodości, pozostaje bez zmiany, i czeka tylko na przyptyły jego męskich sił, aby im się poddać, aby ustawicznie poddawać się im w jego słowach.”

W latach 1934-1938, oprócz cytowanego wyżej szkicu „Jest wiele plonów”, Zahradníček napisał jeszcze trzy inne – Poeta i jego kraina (Básník a jeho krajina, 1934), Slovo (Slovo, 1936) i O wolności poetyckiej (O básnické svobodě, 1937), które złożyły się potem na tomik Ošlica Balaama (Oslice Balaamova, 1940), wydany w małym, niemal bibliofilskim nakładzie. Ta zapomniana, szczupła książeczka stanowi bezcenny dokument ewoluowania samoświadomości pisarza, dla którego podstawowym sensem pracy literackiej staje się fakt, iż ludzkie słowo posiada swoje zakorzenienie „w Słowie ciałem uczynionym”, zaś „poeci wszystkich narodów, bliscy i odlegli od tabernakulum, niezależnie, a nawet wbrew swojej woli, pracują w tajemniczym przy mierzu z tym najwyższym aktem miłości”. (Czytelników odsyłam do przetłumaczonego przeze mnie – specjalnie na użytek tego numeru – eseju pt. Slovo).

Mając już, przynajmniej w zarysie, wyobrażenie o najważniejszych składnikach artystycznego światopoglądu Jana Zahradníčka, spróbujmy prześledzić nieco dokładniej, jak kształtowała się osobowość poety, przez jakie meandry, próby i doświadczenia życiowe musiał przejść, by – zarówno w życiu, jak i w twórczości – sprostać maksymalnie trudnym wyzwaniom.

Urodził się 17 stycznia 1905 roku w Mastníku na Morawach jako jedno z siedemnaściorga dzieci Tomáša i Antonii z domu Lorenc. Pierwszy dramat rozegrał się we wczesnym dzieciństwie: na skutek nieszczęśliwego upadku chłopiec uszkodził sobie kręgosłup, co spowodowało trwałe, widoczne przez całe życie kalectwo. Wydawca wielu książek Zahradníčka i przyjaciół z lat jego studenckiej młodości, Bedřich Fučík we wspomnieniach Čtrnáctero zastavení zapisał takie oto spostrzeżenia:

„Z jednej strony nieśmiały i skromny, z drugiej – ironicznie uszczypliwy, a niekiedy wręcz napastliwy, zwłaszcza gdy coś go osobiście dotknęło lub gdy spotkała go jakaś przykrość. Na tych dwu poziomach rozgrywały się jego kontakty z przyjaciółmi, których miał w Pradze z początku niewielu, gdyż przez swą wiejską wstydliwość, małowówność i wybredność z trudem nawiązywał bliższe kontakty. Wszystko w tym wielkim mieście wydawało mu się zupełnie inne niż na wsi czy w Trzebiczu, gdzie był nie tylko świetnym uczniem, ale także wesołym kompanem i niekwestionowanym przywódcą klasy, pełniąc tę funkcję niejako honorowo, pomimo swej cielesnej ułomności. (...) Wnioskując z nóg i rąk nieproporcjonalnie długich w stosunku do tułowia, mógł Zahradníček, podobnie jak jego bracia, osiągnąć wzrost ponadprzeciętny, lecz wskutek wspomnianej wady nie przekroczył tak zwanej »normy wojskowej«; za to jego głowa, wciśnięta w tułów, wielka i kanciasta, z łagodnie wystającymi kośćmi policzkowymi i iskrzącymi oczami, przykuwała uwagę. Tam, na wsi i w trzebickim gimnazjum wszyscy traktowali go jak każdego innego kolegę, a on nie odczuwał żadnych psychicznych kompleksów – był po prostu jednym z wielu”.

Ciekawa rzecz! Musiało być coś naprawdę fascynującego w twarzy Zahradníčka, skoro grubo ponad pół wieku później młody gdański poeta, Wojciech Wencel, wyłącznie na podstawie zdjęć, dostrzegł, przy wszystkich różnicach, fizyczne podobieństwa między czeskim poetą a T. S. Eliotem: „Obaj przyszli na świat w wielodzietnych rodzinach (Anglik miał sześcioro rodzeństwa, Czech aż szesnaścioro!), a oglądając ich fotografie, trudno oprzeć się wrażeniu, że byli bardzo do siebie podobni. (...) Eliot aż do śmierci zachował postawę wyprostowaną, godną angielskiego gentlemana. Ale te twarze! Oprócz oczywistej zbieżności rysów jest w nich jakieś wspólne skupienie, podkreślone powściągliwym, męskim uśmiechem. Jakby odbijało się w nich to, co najważniejsze w obu biografiiach: dramat i wiara”. („Nowe Państwo” nr 2/2005).



Myślę, że nie popełnię niedyskrecji, jeśli dodam, iż żyjąca do dziś żona poety, pani Maria Zahradničková, zwierzyła mi się przed laty, że kiedy była jeszcze panną, w przyszłym mężu ujęła ją przede wszystkim jego niezwykła twarz.

Lata spędzone w Mastniku Zahradniček uważał za szczęśliwe. Potem wielokrotnie w swoich wierszach z radością wspominał buchające ciepłym oddechem zwierząt wiejskie obory, przywoływał, także w najbardziej dramatycznych i smutnych chwilach swego życia, łagodne, pokryte lasami wzgórze Wyżyny Czesko-Morawskiej, z lubością i zapamiętaniem, trochę podobnie jak nasz ksiądz Twardowski, nadawał roślinom imiona, ukazywał ich poetycką symbolikę. Trzeba jednak pamiętać, że przyroda nie była dla Zahradnička jedynie ornamentem, dodatkiem; przeciwnie – zawsze stanowiła integralny składnik, niekiedy nawet sam rdzeń jego twórczości, przenikała na wskroś całą jego filozofię. Widać to choćby na przykładzie wiersza Do drzew z tomu Žurawie:

Gwarne mieszkania wiatrów, które naraz
wiosną rozplomieniąją się zielono,
po czym na barki biorą gniazda szare,
gdy przed mrozami znów brązowo płoną.

O harfy tajnych drgnień, co umierają
w sercu proszącym o narodzin łaskę,
was tylko mocno czujący pytają,
jak miłość cieni zyskać swoim blaskiem.

O śpiewające filary w błękicie,
lasy jak zwierzę śpiące, pełne mroku,
jakiż swą ciszą budzicie niepokój!

Gdy w hełmach światła czule obścapiacie
godziny me, co dla was tylko biegną,
dajcie mi zaznać szczęścia zielonego.

(PRZEŁ. JÓZEF WACZKÓW)

„Z poezji Zahradnička – pisał František Hrubín – uczyć się, jak wyrażać miłość do krainy dzieciństwa: zachody słońca są u nas krwawo biczowane, a miedze koronowane cierniem”.



WINO WINNE I NIEWINNE

Rodzina Zahradníkůw nie tylko uprawiała ziemię, ale do lat trzydziestych ubiegłego wieku posiadała także karczmę, i dlatego syn karczmarza, przyszedł poeta, chętnie opowiadał, jak to w czasach dzieciństwa przed każdą wiejską zabawą pachniało w izbie igliwiem, a on sam podczas wakacji zmywał kieliszki, szklanki i kufle, obsługując jednocześnie miejscowych notabli. Niektórzy sugerują nawet, że to wtedy mógł zrodzić się u Zahradníčka nadmierny pociąg do wina, który ze zdwojoną siłą dał znać o sobie dopiero w latach studenckich:

„Wrodzona nieśmiałość zaczęła w atmosferze wielkomiejskiego zamętu i pośpiechu przerażać się w nieufność i dotkliwą nadwrażliwość, raz po raz buntującą się przeciwko nieczulemu otoczeniu. Przedziwne zbiorowisko uniwersyteckich kompanów z wydziału filozoficznego, przedstawiciele cyganerii artystycznej, w towarzystwie których się obracał, uczestnicząc w ekstrawaganckich wypadach do gospod i barów, niewątpliwie wyrobiło w nim przekonanie, że alkohol może być dobrym antidotum na liczne poniżenia, i płynące z nich, a nieznośne dla dumnego i wolnego ducha, poczucie niedowartościowania” - wspomina Bedřich Fučík, który znajomość z Zahradníčkem zawarł w owym krytycznym dla poety momencie.

Pobyt w Pradze miał jednak również swoje dobre strony. Tutaj Zahradníček uczęszczał m.in. na wykłady Františka Xavera Šaldy, „papieża” międzywojennej czeskiej krytyki literackiej, który bardzo wcześnie dostrzegł w nim zadatki na wielkiego twórcę i miał niemałą zasługę we wprowadzeniu go na rynek wydawniczy. Tu również utalentowany student z Moraw nawiązał współpracę ze świeżo powstałym czasopiśmie „Tvar”, na łamach którego zadebiutował w roku 1928. Tu wreszcie poznał wielu wybitnych pisarzy, a spośród tych nowych znajomości szczególną rolę w życiu Zahradníčka odegrała jego serdeczna przyjaźń z Františkem Halasem, o której - ze względu na dzielące obu pisarzy różnice światopoglądowe - krążyły rozmaite anegdoty. Przypomnę tylko jedną z nich: Obaj mieszkali przez pewien czas razem w sublokatorskim pokoju na przedmieściach Pragi. Nad łóżkiem katolika Zahradníčka wisiał obrazek Matki Boskiej, natomiast na marksistę Halasa spoglądał ze ściany Lenin. Podobno zdarzało się, że po małej sprzeczce przyjaciel przyjacielowi zdejmował „za karę” obrazek wiszący nad głową chwilowego adwersarza, po czym, jak gdyby nigdy nic, szli na lampkę wina do słynnej wówczas „Unionki”.

Tych blasków wielkomiejskiego życia nie było zbyt wiele. Zahradníček czuł się dobrze wyłącznie - jeśli wolno posłużyć się tu metaforycznym zwrotem - na łonie natury. Był typem z krwi i kości rustykalnym, antymieszczkańskim. Myślę, że jego psychika znajdowała się wtedy w takiej samej sytuacji, o jakiej wspominał niedawno w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”, tyle że w zupełnie innym kontekście, ks. prof. Jerzy Szymik: „Zdecydowana większość wielkomiejskich nieszczęść ma źródło w rozbracie z naturą. (...) A prawda o człowieku jest taka, że gdy jest on z naturą, to lepiej żyje i godnie umiera. O tym mówi Księga Rodzaju”.

W Pradze coraz częstsze wypadki alkoholowe nie tylko zagrażały, i tak już wątłemu, zdrowiu poety, ale zaczęły również niszczyć jego psyche. Ta pogarszająca się kondycja duchowa rzucała, niestety, na jakość jego wierszy.

„Wracał z tych wypadków - pisze Bedřich Fučík - pokorny, kajający się i zmięty jak flaga po deszczu; fizycznie był przecież znacznie delikatniejszy od swoich kompanów. Przykro było na niego patrzeć, zwłaszcza że w takim stanie nie miał nawet odwagi mówić, a świat wydawał mu się przerażająco czarny. Było mi go żal w takich sytuacjach, ale w pewnym momencie mój żal zaczął się na niego jeżyć. Nie z powodu jakiegoś purytańskiego moralizmu - ja sam pod tym względem też nie byłem święty - lecz dlatego, że widziałem, jak marnieje, wręcz gaśnie; i jak równocześnie cierpi na tym jego twórczość - te wiersze w swojej rytmice, melodii i obrazowaniu zataczały się od linijki do linijki na wzór jego zygzakowatych wędrówek od gospody do gospody, o czym świadczy debiutancki tomik „Pokusa śmierci” (Pokušení smrti, 1930), posępny, pełen rozpacz i lamentu”.

Otoczony tłumami swych oskarżających cieni
nie potrafię już sprostać słodkim pokusom śmierci
W żalonym rytmie serca odchodzi zawiedziony czas

i z twarzą zwróconą w stronę pustki
słyszę płacz swego życia
tak obcy już
jakbym słuchał wyłącznie opowieści o nim

(PRZEL. ANDRZEJ BABUCHOWSKI)

Oto początek wiersza „Pokusa śmierci” z tomu pod tym samym tytułem, a jednocześnie początek całego dzieła Jana Zahradníčka. I pomyśleć, że to ten sam autor, który ćwierć wieku później heroicznie, niczym biblijny Hiob, stawi czoła najokrutniejszym wyzwaniom losu!

Czy melancholijno-pesymistyczne tony debiutanckiego zbioru i przenikająca go fascynacja śmiercią, nicością, rozkładem stanowią wystarczający argument na poparcie tezy o samobójczych zamiarach poety, jak to próbowano kiedyś sugerować? Wątpię. Nie kwestionując mrocznej, dekadentckiej aury tego zbioru, pragnę zwrócić uwagę, że wpisuje się on w nową, choć nie posiadającą konkretnej nazwy, tendencję, jaka pojawiła się w literaturze czeskiej na znak protestu wobec dominującej w poprzednich latach beztróskiej euforii, upowszechnianej przez kierunek zwany poetyzmem. Znamienne, że w tym samym 1930 roku wyszły, jakby na zamówienie, dwie inne książki ze „śmiercią” w tytule – Vladimíra Holana „Tryumf śmierci” i Františka Halasa „Kogut płoszy śmierć”. Poza tym, w debiucie Zahradníčka widać wyraźne wpływy wielkiego poety metafizycznego z przełomu XIX i XX wieku, Otokara Březiny, piewcy bezkresnych dali kosmosu. Zmarły niedawno, wybitny teolog i eseista, Karel Vrána twierdzi, że w Pokusie śmierci „cała przerażająca rzeczywistość niezliczonych galaktyk wraz z ich otchłannym splendorem i przekleństwem grawituje niejako w stronę wrażliwej duszy poety. W jego spragnionym sercu zderzają się ze sobą te dwa metafizyczne bieguny wszechświata i niemal gwałtem domagają się od jego woli, aby dokonał wreszcie wyboru dalszej drogi, zarówno dla swego życia, jak i dla swojej twórczości, aby wypowiedział swoje tak i swoje nie.”

Rzeczywiście, Pokusa śmierci była w jakimś sensie ostrzeżeniem, dzwonkiem alarmowym. Dłużej z decyzją Zahradníček chyba już nie mógł zwlekać. W jej podjęciu bardzo mu pomógł jego przyjaciel, Bedřich Fučík:

„Aż wreszcie doszło do wybuchu, jak to często u mnie bywa, nagle i nie w porę; poszedłem ostro, na całość; kiedy po raz kolejny przyszedł do mnie kompletnie sponiewierany, wygarnąłem mu, że marnuje swoje życie, chociaż otrzymał je gratis i powinien być za nie odpowiedzialny; i że talent, który posiada w nadmiarze, też nie od niego pochodzi i nie jest tylko jego własnością... Było to bolesne i gwałtowne, twarde, ale życzliwe, i nawet mojej żonie Judycie nie udało się tej burzy zatrzymać, ani złagodzić. »Skazaniec« nawet nie pisał i przez najbliższy tydzień w ogóle się nie pojawił. A kiedy przyszedł, to napomknął jedynie, że przez cały ten czas nigdzie się nie włóczył, tylko pracował. Od tej chwili jego knajpiane wypadki stawały się coraz rzadsze. Nie, żeby się całkiem skończyły, na to miał w sobie zbyt wiele ognia, a wino wciąż miało dla niego nęcący smak, ale teraz zaczynał już nad tym smakiem panować, poskramiać go”

Przełom następował stopniowo, acz konsekwentnie. Surowa reprimenda ze strony przyjaciela musiała chyba w Zahradníčku wywołać głęboki wstrząs, skoro z podziwu godnym samozaparciem podjął wysiłek poskramiania alkoholowego nałogu, rozpoczynając w ten sposób mozolną pracę nad swoim charakterem. W efekcie, zmienił się też nastawienie poety do życia i świata, daleko idącym zmianom ulegnie jego wyobraźnia, a także warsztat literacki. W niedawno

opublikowanej książce *Spisovatelé ve stínu* (Pisarze w cieniu, 2005) krytyk Jaroslav Med zauważa, że w początkowej fazie twórczości Zahradníčka „pomiędzy tęsknotą za Absolutem a naturalną ludzką zmysłowością istnieje jeszcze wyraźny konflikt, z którego wyrastała melancholijna gorycz jego wierszy”. Potem jednak „konflikt ten zostaje definitywnie przewyciężony, a cała sfera zmysłowa zaczyna podlegać regułom ducha, który jako fundamentalna zasada wszelkiego bytu przenika i harmonizuje wszystko, przemieniając powierzchowny subiektywizm w prawdziwą głębię”. Nowe podejście Zahradníčka do spraw „tego świata” widać choćby na przykładzie motywu wina. W powstałym wiele lat później wierszu „Wino jest dobre” z tomu „Chusta Weroniki” (Rouška Veroničina, 1968) autor pokazuje, iż rzeczy stworzone mają charakter moralnie ambiwalentny, a wybór związanych z nimi „wartości” zależy wyłącznie od nas.

Wino nie jest winne ani jednej zbrodni, jaką mu przypisują
wino jest dobre jak Bóg, wino jest dobre jak słońce
Wino jest dobre, tylko my
wargi niegodne zanurzamy
w oltarzowym smaku jego

(PRZEL. ANDRZEJ BABUCHOWSKI)

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Pierwsze symptomy duchowego odrodzenia dają znać o sobie już w następnym tomiku zatytułowanym *Powrót* (Návrat, 1931). Następuje, choć jeszcze nie do końca, przewyciężenie kryzysu wywołanego wrogą atmosferą wielkiej aglomeracji i obojętnością żyjących w niej ludzi. Z gęstych mgieł udręki i ciemnych dolin pokusy wyłania się powoli słodka i wzywająca do miłości ziemia. Świadectwo prawdziwego przełomu stanowi jednak dopiero trzeci zbiór wierszy *Żurawie*. Jak potężną siłę woli wykazać i jak żmudną pracę nad sobą wykonać musiał poeta, zanim z jego ust zaczęły wyrywać się pełne zachwyty, a przecież dalekie od naiwności, aklamacje! Oto początek wiersza *Okrzyki*:

Tobie, mój wietrze, pozwalam tutaj wiać,
a tobie, zboże, w moich falować wierszach,
a tobie pośród słów się wiać, drogo
wolna, otwarta, królewska!

(PRZEL. JÓZEF WACZKÓW)

Zahradníček powraca do źródeł swej tożsamości i do źródeł wiary. Zarówno w *Żurawiach*, jak i w dwu kolejnych tomikach wydanych w okresie międzywojennym – *Spragnione lato* (Žíznivé léto, 1935) i *Pozdrowienie dla słońca* (Pozdravení slunci, 1937) konstituują się najważniejsze, najbardziej wyróżniające cechy Zahradníckowego pisarstwa. Oczywiście, poeta będzie je później stale rozwijał i udoskonalał, ale zasadniczy zrąb jego stylu i całej jego filozofii artystycznej wytworzył się właśnie w tamtych latach. Ważne novum w tej poezji, o czym pisałem już zresztą obszernie na łamach „Tygodnika Powszechnego” (Radosna potrzeba wielbienia, TP nr 3, 16 stycznia 2005), to pojawienie się szeroko rozumianego gestu sakralnego - przyroda przywdziewać będzie szaty liturgiczne („szumią podarte ornaty równiny/ i rozczochrany pluwał łąka”, w świątecznym pejzażu chleb ukazany zostanie jako „śnieg-manna Eucharystii świętej”, a kiedy indziej „jako kruszyna, którą kładą na język umierającym i podnoszą nad tłum” lub zostawiają w izolatce tabernakulum”).

Dalszy rozwój tej twórczości, zarówno pod względem merytorycznym, jak i warsztatowym, był niewątpliwie efektem ogromnej samodyscypliny, jaką narzucił sobie poeta, żeby wy-

dobyć się z duchowego marazmu. W tym też okresie, jak wspominają jego przyjaciele, złożył dobrowolny ślub ubóstwa, uznając, że prawdziwe życie możliwe jest wyłącznie wtedy, gdy człowiek rezygnuje ze swego dostatku na rzecz piękniejszych, egzystencjalnie i duchowo wyższych wartości. Mówi o tym między innymi nieco żartobliwy refren wiersza Bujna nędza (Bujará chudoba):

„Z tobą ślub wziąłem, bujna nędzo,
słyszę, jak kości świata jęczą”.

Dzięki nagromadzonemu „kapitałowi” doświadczeń duchowych, a następnie mocnemu zanurzeniu się w wierze i przyłgnięciu do chrześcijaństwa – Zahradniček nie uległ nadciągającej zewsząd wojenno-totalitarnej groźbie świata. Jego utwory pisane w czasie wojny odwołują się nie tylko do czeskich tradycji religijno-patriotycznych i do oczystej przyrody, ale szczególny nacisk kładą na konieczność odrodzenia słowa, będącego głównym nośnikiem bosko-ludzkiej wartości. W wierszu Święty Jan Nepomucen z tomu Chorągwie (Korouhve, 1940) autor postuluje, by:

owinąć niemowlęciu-słowu
sen, co stulecia w sobie chowa,
tak jak Maryja, gdy przyjęła
w swe serce słowa Gabriela

(PRZEŁ. ANDRZEJ BABUCHOWSKI)

Zahradniček, także przez swoją twórczość, radykalnie zaakceptował słowa zawarte w Ewangelii. I zaufał Słowu. Dłatego w najbardziej nawet dramatycznych, zawierających okrutną wizję zdesakralizowanego świata, utworach, jak *La Salette* (La Saletta, 1947) czy *Znak mocy* (Znamení mocy, 1968), ukazywał potęgę Bożego miłosierdzia. Ten „przypominający zimorodka” (określenie Zdeňka Kalisty) poeta, w stopniu zaiste heroicznym, na wzór męczenników Kościoła, z wielką godnością wytrzymał pasmo nieszczęść, jakie zwały się na niego po drugiej wojnie światowej. Przypomnijmy: Nieustanne, bezpardonowe ataki ze strony marksistowskiej krytyki literackiej, sfingowany proces przeciwko pisarzom katolickim, w wyniku którego skazany został na trzynaście lat więzienia (wyszedł z niego po dziewięciu latach), tragiczna śmierć córek, które zatrwały się grzybami, ciężka choroba serca – to wszystko nie zdołało zabić w nim nadziei. Wspaniałym, nie mającym precedensu w literaturze światowej, owocem tamtego okresu jest tzw. twórczość więzienna, o której pisałem już wielokrotnie na różnych łamach, więc nie chciałbym się w tutaj powtarzać. Pragnę tylko dodać, że temat ten niezwykle interesująco i kompetentnie opracowała niedawno polska bohemistka, Aleksandra Paják w artykule *Poezja więzienna Jana Zahradnička (Dům Strach i Čtyři léta)*, który ukazał się na łamach czasopisma „Bohemistyka” (1/2005).

Wieloletni pobyt w komunistycznym więzieniu nie mógł jednak nie pozostawić trwałych ran. Heroizm też przecież kosztuje. Zahradniček wypuszczony na wolność w kwietniu 1960 roku, pod datą 16 czerwca zanotował w swoim dzienniku.

„Tak jak odradzałem się między rokiem trzydziestym piątym a czterdziestym, tak i po tych latach posuchy i mroźnego odrętwienia muszę odrodzić się teraz. W granicach, jakie mi zakreśla mój wiek oraz mój stan fizyczny i psychiczny, zacznę się zmieniać, to znaczy odrzucać wszystko, co zbędne, gotowe, martwe, wszystko, co nie wymaga ode mnie żadnego wysiłku. Jest to sprawa, która dotyczy zarówno mego ciała, jak i mojej duszy”.

Poeta zmarł na atak serca 9 października 1960 w drodze do szpitala.

W niniejszych, dalekich od wyczerpania problemu, rozważaniach próbowałem pokazać, jak zawila i ciernista bywa droga człowieka, droga twórcy, brnącego „przez ziąb do miłości”. Myślę, że przykład Jana Zahradníčka dowodzi, iż jeśli ktoś nosi w sobie nieugaszone pragnienie Miłości i ufa Jej, ten prędzej czy później dotrze - jak czytamy o tym w wierszu Ofiara Abrahama - „do przybytków Tego, Który Jest”.



SONATA NOCNEGO DESZCZU

Przez całą noc wsłuchuję się w szum deszczu. Jego szklany
 smyczek lip senne struny do drgania podrywa.
 Wszystkiemu, co spało nieme, rozwiązuje języki,
 wszystko skrapia i ożywia ta szumiąca woda żywa.
 Z koron chórów liściastych głosy anielskie i ludzkie
 brzmią z puzonami, z bębnami, tylko woda śpiewa.

Nie śpię, w snach unoszony głosem wody, co muzyką się stała.
 Jestem namiętnym słuchaczem na tym koncercie nocy letniej.
 Słyszę drewno i sen i trawę i kamienie na ulicy, rozmowę
 rzeczy bliskich z rzeczami w chmurach ukrytymi jeszcze.
 Przeszłość pełna liści wyrusza na spotkanie przyszłości,
 pisklęcia, które kwili zdrętwiałe i zmoczone deszczem.

Pada. Deszcz pachnie i pryska. Te drobne kropelki, co zbiegają się
 na krążgankach nocy i padają potem z wolna
 na włosy ciemności, na czarne liście, na kłosa pachnące chlebem,
 to urzekający koncert. Debussy, Haydn. To ta sama woda,
 co w kanałach i ściekach, woda płaczka. Zmarli obmyli w niej twarz.
 A teraz o liść się ociera, głosem gromów oczyszczona, wiecznie młoda.

Woda kropielnic, woda domostw, brudna, ponizona,
 woda pomyj, tyle już razy wzięta w niebo.
 Płynie znów łukiem tęczy i coraz to lżejsza
 powraca, skąd przyszła, w trawę pada miękko.
 Groźna woda powodzi z chlupotem się rozbija
 o szkło stawów, czesze lasy, pachnie burzą letnią.

Woda ocean, woda łza, co paląc przelatuje
 przez mrok ludzkich losów. Słyszę rozbrzęczaną,
 w każdej łzie to morze goryczy, we łzie każdej,
 która spływa po twarzach tych, co odwiedzają
 szpitale, więzienia, pola walk... Woda-więzień i woda-żołnier.
 Słyszę, jak w deszczu i mroku te kroki się oddalają...

Pryskaj, deszczu, w każdej twojej kropli łaska chrztu się skrywa.
 W twoim dreptaniu chciałbym odnaleźć dziecięce spojrzenie.
 Nadal cieniutkie palce kropel bębnią w zielony klawesyn,
 a w strugach jak w piszczałkach organów woda huczy po ulewie.
 Burza cichnie w oddali, lato odchodzi, żegnajcie ogrody.
 Zostanie tylko wiatr i słońce i garstka ptaków na niebie.

(Z TOMU CZTERY LATA, 1969)
 PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI

W SIERPNIU

BEDŘICHOWI FUČÍKOWI

Zapach gorzkich migdałów z alei olch wionie,
surowy oddech ziemi poranionej
drży w źdźbłach, nad bagnem bzyczenie komarów
ginie od białego pożaru.

Przy strasznym huku słońca, pod światła ciśnieniem
krainy jak owce idą na strzyżenie
a złote runo pszenic, owsa łany srebrne
źniw stal ognista rozedrze.

Droga gdzieś gubi się w kosmicznym trakcie,
w głowie turkocą wozy drabiniaste,
słyszę muzykę kos, skrzypienie osi
i koła stękające z obfitości.

Dziwna tęsknota często tych ogarnia,
co w polu są, gdy rosa znika ranna,
liśćmi potrząsa metaliczny szelest,
kłosy się bronią gniewliwym syczeniem.

To chwila, kiedy czuję ciśnienie ukropu
jak w wielkim piecu krain bez obłoków,
płonę w oddechu strasznego Władcy,
sam się wydając na strzyżę snów własnych.

To chwila, kiedy gwiazdy są bardziej odległe,
a wiatry przynoszą żar od widnokręgów,
co we mnie płytkie, czego tylko pół,
niech zniszczy żarów tych ogień i sól.

Odeszła już ode mnie cudna lilia biała,
która czoło me sławą chłodną oplatała,
wydano mnie na pastwę żarów złych i mściwych
bym wreszcie w myśl stężał i kłos z siebie wydał.

(Z TOMU ŻURAWIE, 1933)

PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI

W TAMTYM CZASIE

W tamtym czasie
gdy z taką namiętnością rzucaliśmy kostki słów
czekając niecierpliwie
jak wypadnie wiersz
zawsze jakoś cudownie odsłaniał się nam
rąbek rzeczywistości
a my dostrzegaliśmy harującą przyszłość

Ale w sumie nikt nie podwyższał stawki
wartej tyle co bezładny sen nad ranem
lub odgłosy burzy dalekiej
Domy wciąż stały a ludzie spacerowali
Od poniedziałku do soboty zawsze to jakoś upływało
Wciąż istniały rezerwy, z których można było czerpać
Czas zdawał się nie mieć kresu
i wino także

I kiedy tak sobie siedzieliśmy
za plecami ktoś zaczął nam ustawiać świat
do góry nogami
podobnie jak kelnerzy którzy o północy stawiają krzesła na stół
wywijają mokrą szmatą
i wietrzą

Pośród niedopałków
wróżby o zgrozo zaczęły się spełniać
Od tamtej pory światło bezlitośnie przecina głębie nocy
z których kiedyś wypływały wiersze jak ryby świecące
Mimo nieprzeniknionego mroku wszystko jest jawne
zarówno na ziemi jak i w gwiazdach wszystko jest przygotowane
na wielkie przyjście

(ZE ZBIORU CHUSTA WERONIKI, 1968)
PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI

SŁOWO

Kiedy pytamy o miejsce, jakie zajmuje poezja w naturalnym porządku rzeczy, otrzymujemy odpowiedź, że sytuuje się ona na samej granicy owego porządku, mając za sobą całe życie na ziemi, a przed sobą pustkę, którą powinna wypełnić swoją własną wizją.

Żeby poezja mogła spełnić to zadanie, musi być, jak mawia Jakub Deml, „uziemiona”, musi być powiązana z głębszymi, żarzącymi się warstwami zdarzeń; staje się w ten sposób sejsmografem wszystkich przesunięć w skorupie dziejów i informuje nas o ruchach, które jeszcze nie nastąpiły, o drganiach, które dopiero zapowiadają przyszłe wstrząsy. W ten bezpośredni związek z jądrem życia wprowadza ją sama jej materia, którą urabia i z której buduje tkankę swoich wizji - ludzka mowa.

Ludzka mowa jest jakimś zwielokrotnionym palimpsestem, na którym w niezliczonych warstwach zostało zapisane i wciąż jeszcze zapisuje się wszystko, co wydarzyło się na ziemi. Wszystkie wargi, jakie się poruszały, wszystkie wichury, wszystkie powodzie, wszystkie trzęsienia ziemi, wszystkie wędrówki tworzyły mowę ojczystą poety. Jak wszystko, co się stało, stało się w obecności słowa i przez słowo, od upadku i wygnania pierwszych ludzi z raju aż po Wcielenie, i dlatego wszystko, co się stało, pozostawiło także swój ślad w słowie.

Poezja zaś, wybierając i ważąc słowa nie wedle ich bieżącej ceny, która z dnia na dzień się zmienia, lecz według ich nominalnej wartości, którą zostały naznaczone już w chwili swego powstania, tym właśnie różni się znacząco od pozostałych ludzkich działań, związanych także z pracą w słowie. Kiedy porównujemy jej tworzywo z materiałem, jakim posługują się inne dziedziny sztuki, widzimy, że tylko muzyka idzie dalej, biorąc za swój budulec coś jeszcze lżejszego niż słowo. Możliwości poezji w porównaniu z muzyką są, co ma swoje dobre i złe strony, znacznie węższe, ale obie te dziedziny, niepracujące w stiukach, ani w marmurze czy w złocie, cechuje dostępność i podatność ich budulca. Albowiem poezja również buduje z kamienia, o którym można by powiedzieć, że został odrzucony przez budujących. Ze słów, z tych samych słów, które w swej złośliwości odrzuca demagog, przekręca oszust, wypłuka plotkarz lub wyszeptuje stręczycielka, ze słów, które już nasiąkły grobowym odorem tyłu ust - w zdumiewającym podobieństwie do Słowa ciałem uczynionego, które, ukryte w chlebowym opłatku, wydaje się całkowicie na pastwę ludziom - ze słów, których twórczą wartość na nowo sobie uświadamia, buduje poeta swoje wiersze, niosące ze sobą powiew międzygwiazdnych przestrzeni. Gdybyśmy spróbowali wyjąć słowa zawarte w najpiękniejszym wierszu i zapisać je w porządku alfabetycznym, być może ktoś potrafiłby z nich ułożyć anonim pełen oszczerstw i pomówień, ale któżby oskarżał poezję o podstęp?

A w jaki sposób stajemy się panami tej ogromnej puszczy słów? Jak dochodzimy do tego, że możemy ich używać wedle swojej woli, brać je do ust i zabijać nimi albo uzdrawiać, wywoływać nimi echo w otchłaniach piekła albo na niebiosach? Istnieją dwa sposoby zdobywania władzy nad słowem: pierwszy - zewnętrzny, powiedzielibyśmy naukowy, kiedy uczymy się obcej mowy z podręczników gramatyki i słowników i stopniowo z jej obrzeży przesuwamy się w głąb. Pokonując większe lub mniejsze przeszkody, przedzieramy się do jej serca, którego puls czujemy w

każdym słowie, choć nigdy nie udaje się nam przenieść go do samego końca. Większość słów takiej mowy na zawsze będzie zwrócona do nas swą zewnętrzną, słownikową stroną, i podobnie, jak to się dzieje z ciemną stroną księżyca, nieznanie pozostanie dla nas ich prawdziwe oblicze, którym zwracają się ku swoim tajemnym początkom.

Przy drugim sposobie osławiania mowy, poetyckim sposobie dzieciństwa, słowa zwracają ku nam właśnie swe wewnętrzne oblicze, ponieważ wychodzimy ze środka w stronę obrzeży i wszystkie słowa skrzą się wtedy odblaskiem słowa pierwotnego. Jesteśmy jeszcze przed bramami raju i słowa są nam posłuszne, wysiłek potrzebny do ich opanowania jest niewidoczny. Także od tej strony zna słowa i obcuje z nimi poeta. Jemu jednak nie może wystarczyć owo spontaniczne ujarzmienie mowy ojczystej jak w czasach dzieciństwa. Nie przebywa już w raju, znalazł się na ziemi, i słowa, te rzeczy skażone jak całe stworzenie, odmawiają posłuszeństwa jego poleceniom,



już nie przylegają tak ściśle do jego przeczuć i wizji, i nie wyrażają ich tak dokładnie. Musi zmagać się z nimi, musi je ugniatać i uciekać się do przemocy, aby zdobyć nad nimi dawną władzę i wykrzesać z nich pierwotne iskrzenie. Inni ludzie, przyjmując słowne zasoby swojej mowy ojczystej, pozostawiają je w tym samym położeniu, w jakim je zastali. Poeta jednak to ten, kto porusza słowami, kto przenosi je na inny poziom, wprowadza między nimi nowe relacje, szlifuje ich krawędzie albo po prostu rozrzuca je swoim oddechem, tworząc nowe, na pozór przypadkowe, stany skupienia.

(...)

Istnieje z pewnością coś takiego jak siła wizji, jakaś wewnętrzna radioaktywność, która popycha poetę do przesuwania słów z ich normalnego położenia, bo przecież nie ulega wątpliwości, że do takiego przemieszczania i układania słów w nowe konstelacje potrzebna jest energia. Jednak sama siła wizji nie wystarczy, trzeba, żeby poeta wszedł w nowe relacje z rze-

czami. W swoich szczytowych przejawach poezja jest grą, grą wolnych synów Bożych, i chodzi o to, aby poeta, krocząc po ziemi, osiągnął tę wtórną lekkość, która pozwala mu pokonać siłę ciężenia. Co dla poety oznacza napisanie wiersza, jak angażuje się w to całe jego jestestwo, cały jego ludzki los i jakiego wytchnienia, jakiej ulgi się spodziewa, pokazuje nam modlitwa Charlesa Baudelaire'a:

„Niezadowolony ze wszystkich i niezadowolony z samego siebie, chciałbym się wyzwolić i stać się trochę bardziej dumny w ciszy i nocnej samotności. Dusze tych, których kochałem, dusze tych, których opiewałem, umocnijcie mnie, oddalcie ode mnie kłamstwo i zgubne wyziewy świata; a Ty, Panie i Boże mój, daj mi łaskę stworzenia kilku pięknych wierszy, które udowodniłyby mnie samemu, że nie jestem ostatnim z ludzi, i że nie jestem gorszy od tych, którymi pogardzam.”



To jest sytuacja poety w chwili, gdy decyduje się na napisanie wiersza, niezadowolony z samego siebie, potrzeba wyzwolenia się, a przede wszystkim gest wyrzeczenia. Mając tak wysokie pojęcie o wartości słowa jako ekwiwalentu rzeczy, ponieważ słowem była każda rzecz wywołana z niebytu, poeta całym sercem lgnie ku słowu, wyrzekając się osobistego udziału w użyteczności rzeczy.

Nawiasem mówiąc, Opatrzność często sama troszczy się to, by poeta wyłączony został z bezpośredniego uczestnictwa w życiu, ze wszystkich działań, do których tęskniłaby jego natura. Ślepy Homer, wygnany z ojczyzny Dante, uwięziony Villon, stanowią przykład takich właśnie odgórných ingerencji. A poeci przyszłych pokoleń zapewne uznają, zgodnie z przewidywaniami Yeatsa, że ich ofiara będzie polegać na tym, iż sami wyrzekną się tego, co dawnym poetom nie było dane od początku, ponieważ, jak wieść niesie, poetom wolno jedynie tęsknić za życiem, a wszystko inne powinno być u nich lamentem lub wielbieniem. Chodzi o tak zwane nie-mienie,

bycie wykluczonym z bogactwa życia, aby oczy poetów zapłonęły blaskiem i aby wszczepiona w ich języki chwała przyniosła owoce prawdziwej radości. Nie powinni mieć nic, aby być panami wszystkich rzeczy, aby wszystkie rzeczy były im posłuszne w ich słowie.

Poezja, będąc esencją życia na ziemi, sycąc się wszystkimi jej sokami i kipiąc jej bogactwem i wspaniałością, będzie zawsze wydawać świadectwo o poetach jako „ubogich nie z własnej woli”. Nie wybrali oni ubóstwa na swojego Władcę, ale ubóstwo zostało im wbrew ich woli narzucone, stało się dla nich zadaniem, aby z musu dorastali do wolności – i do radości. Nawet poeta, który obdarowany został ziemskimi dobrami, będzie musiał pewnego dnia spojrzeć na nie tak, jakby nie należały do niego. Żaden dom nie jest dla niego dość mocny, żadne schronienie dość pewne, i nic nie może go osłonić przed deszczem. Kocha na przykład swój kraj i swoją rodzinę, na śmierć zapatrzył się w horyzont swojej małej ojczyzny, a złote magnificat dojrzewających pszenic przez cały rok wypełnia mu serce wdzięcznością do tej jego ziemi, ale przy tym jakby ustawicznie był w drodze ku nowym przybytkom.

(...)

Ale możliwości poezji są niewyczerpane, tęsknota za wysłowieniem wszystkich rzeczy jest zawsze tak samo gwałtowna, a czas i nowe formy życia będą domagać się nowych sposobów wypowiedzi. I właśnie w tym okresie przejściowym, gdy tyle rzeczy zawiodło, gdy wielu, czy to z prawa czy z lewa, nie ma odwagi powiedzieć, co jest czarne a co białe, tym większa jest potrzeba świadectwa tej, która kłamać nie chce i nie może. Przede wszystkim nie chce, ponieważ poeta, jest samą szczerością, i w chwili, gdy od niej ucieka, przestaje być poetą, a my przestajemy się nim interesować. A poza tym, poezja nie może kłamać. Słowo wprawdzie wydane zostaje na łaskę lub niełaskę człowieka, przekazujemy je z ust do ust w imieniu tego czy owego, jednak w poezji, jak już było powiedziane, liczy się wartość nominalna, poeta zaś jest dlatego i dopóty poetą, dopóki potrafi tę jej niezmienną wartość uchwycić. Podobnie jak oślica Balaama, którą biją i szturchają, aby zesłała z drogi, słowo poety trwa dalej przy swoim, ponieważ widzi przed sobą anioła. Poeci bywają często zmuszani do wypowiedzania rzeczy, które są całkowitym przeciwieństwem ich osobistych przekonań, i wyznawcy materialistycznego światopoglądu niekiedy sami się dziwią, do jakich to wynurzeń przywiodły poetów ich podstępne słowa.

Swoją rolę świadka poezja może pełnić jedynie za cenę pełnej autonomii, o którą stale zabiega. Poezja ma swoje surowe reguły, zgodnie z którymi porusza się po firmamencie naszego czasu, odzwierciedlając w sobie i ukazując wszystkie nasze potrzeby, lęki i pragnienia, tyle że na swój sposób i zgodnie ze swymi regułami, a ten, kto chciałby tę gwiazdę zmusić, aby mu służyła, naraża się na niebezpieczeństwo, że ujarzmi nie gwiazdę, lecz monstrum plujące frazesami. A przecież już tak się dzieje, poezja socjalna, proletariacka, czy najnowszy, powstający na naszych oczach realizm socjalistyczny, świadczą o tym, że z toporną obróbką słów mamy do czynienia wtedy, gdy autorzy kurczowo trzymają się swoich programów, a z dziełami wartościowymi - gdy o tych programach zapominają.

(...)

Poeta, będąc przecież także człowiekiem i czując na sobie ciężar człowieczeństwa, od którego nic go zwolnić nie może, towarzyszy człowiekowi od jego narodzin aż do śmierci, był razem z nim przy wygnaniu z raju, o który, jak o utraconą ojczyznę, nie przestaje się upominać, i, jeśli Bóg pozwoli, będzie z nim aż do dnia Sądu, przygotowując go nieustannie swoimi wizjami na grozę dni ostatecznych. Będzie niekiedy błdzić, będzie wywiedziony w pole przez swoich komentatorów i protektorów, będzie się podlizywał i szukać wygód, ale tylko na pewien czas. Potem się nawróci i przyjdą inni, spragnieni, tęskniący za rzeczami irracjonalnymi, a ich wiersze pełne będą zdradliwych wirów, gorzkiego niepokoju, narzekania i poszukiwań, będą oddziaływać tak, jak życzy sobie tego Paul Claudel, by czytelnicy wstawali od jego książek – zaniepokojeni i poruszeni. Poeci będą się rodzić we wszystkich środowiskach, we wszystkich narzeczach, będą

gorszyć i cieszyć, będą wzbudzać pogardę i miłość, ale przede wszystkim będą zawsze odczuwać niepohamowane pragnienie brania na siebie jak najwięcej, zagarniania jak największej ilości bytów i rzeczy w swój własny wir. I od czasu do czasu pojawi się taki, któremu mocą słowa uda się podporządkować cały wszechświat widzialny i niewidzialny.

(...)

A jeśli poeta zada sobie pytanie, kto kazał mu to robić, nie otrzyma innej odpowiedzi niż ta:

*Wszechmocny Bóg to był,
Bóg miłości, drobnych słów...*

I podczas gdy codziennie przy wszystkich ołtarzach świata tłumy wiernych przyjmują do swych ust Słowo ciałem uczynione, poeci wszystkich narodów, bliscy i odlegli od tabernakulum, niezależnie, a nawet wbrew swojej woli, pracują w tajemniczym przymierzu z tym najwyższym aktem miłości. Cokolwiek by się działo, wkładają ludziom w usta słowo, śpiewają na cześć człowieka. Szerokość ich wierszy jest na miarę ludzkiego oddechu i nie może zostać przekroczona, gdyż w przeciwnym razie byłby to oddech jakichś olbrzymów, nadludzi. Poeci śpiewają o sprawach wielkich i strasznych, gorących i zimnych, jasnych i ciemnych, które daleko wykraczają poza ludzką miarę, ale wszystko przechodzi przez ich oddech, oddech człowieka, zwężany strachem, rozszerzany nadzieją i miłością. Wysławiają wszechświat w ludzkiej postaci, tak jak człowiek sam wysłowiony został w postaci Bożej, aby wszystko było w Słowie, które było na początku.

PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI

Esej ten napisany został w roku 1940 i pochodzi ze zbioru „Oslice Balaamova” (Oślica Balaama). Tłumaczenia – z niewielkimi skrótami – dokonałem na podstawie wydania rzymskiego (Rzym, Nepomucenum 1989).





Jaromír Šavřda

urodził się 25 maja 1933 roku w Ostrawie. Studiował literaturę czeską w Uniwersytecie Karola w Pradze, który ukończył w roku 1956. Od roku 1957 pracował w Ostrawie, najpierw jako bibliotekarz, potem jako nauczyciel w średniej szkole. W 1963 został, jak mówi się w Czechach - „spisovatelem z povolání” czyli zawodowym pisarzem. W czasie zmian i nadziei czyli podczas miesięcy Praskiej Wiosny był redaktorem dziennika „Nová svoboda”, pisywał także dla czeskiego radia w Ostrawie. Tuż po inwazji rozpoczęła aktywną pracę w „Spojených ostravských denících”, następnie w brneńskim „Moravskoslezském týdnu”. Jego odważne artykuły nie uszły uwadze władz i Šavřda musiał opuścić redakcję, bardzo krótko pracował jako prawnik w wydawnictwie „Puls” (ukończył również studia prawnicze). Po zamknięciu wydawnictwa był (do czasu, gdy okazało się, że nie ma odpowiednich kwalifikacji) magazynierem, potem robotnikiem, gdy podupadł na zdrowiu przeszedł w roku 1975 na rentę inwalidzką. Od lat 70-tych jako prawnik pomagał ludziom, którzy z wielu absurdalnych przyczyn narazili się reżimowi, a oprócz tego hodował perskie koty, które stały się bohaterami jednej z jego książek. Jego droga literacka rozpoczęła się młodzieńczymi wierszami już pod koniec lat 40-tych, potem była proza detektywistyczna i fantastyczno-naukowa, w której pod płaszczem gatunku poruszał zdecydowanie głębsze problemy. Najwyraźniejsze podteksty polityczne zabrzmiały z powieści „Kniha kolovratů” (Księga karuzeli) wydanej w roku 1971, książka ta nie dostała się już nawet do dystrybucji.

MĘSKI CHÓR

Przez całą drogę śpiewa mi
Męski chór

Zamiast koguta
Zamiast słowika
Zamiast sowy

Raz w dur
Raz w moll

Czasem po czesku
Czasem bez słów
Czasem cudzymi słowami

Jednego tygodnia rożnowski zegar bije
do szaleństwa

Jednego miesiąca dyrygent po takcie
czy po dwóch taktach powtarza

Jedne takty są starannie wyćwiczone
jedne falują w ptasiej improwizacji

Przez całą drogę śpiewają mi męskie chóry
Tylko ja je słyszę
i nikt inny

To moje prywatne memento mori
albo elegia nieszczęśliwej ojczyzny?

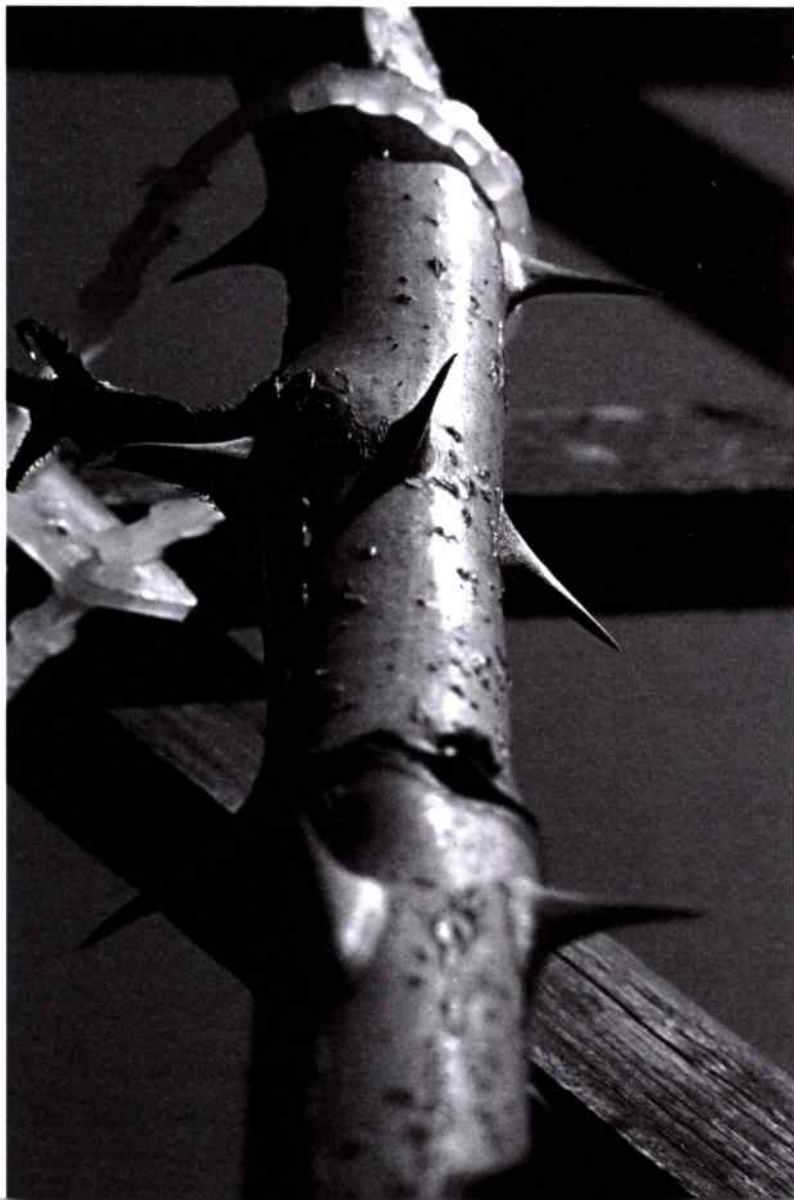
KROKI ZA DRZWIAMI

Całe noce
całe noce tam chodzi
Raz jak kapral
Raz jak tancerka
Raz jak złodziej

Pstrykają wyłączniki
Stukają buty
Metalowo grzmiały ościeżnice

A rybki w oświetlonych akwariach
opętała bezsenność
Nieustannie (i w nocy) na baczność
muszą błyszczeć w pełnej krasie
dla obcego obojętnego oka które czasem

zajrzy



Początek lat siedemdziesiątych to moment, w którym nazwisko Šavrdy znika z oficjalnego kręgu wydawniczego, zaczyna się tym samym czas zupełnie nowej drogi - pisarza zakazanego, wydawcy samizdatów, sygnatariusza Karty 77 i więźnia, który spędził za kratkami niemal 5 lat. Był więziony między innymi za kolportaż nielegalnych książek i własną działalność wydawniczą, jego LIBRI PROHIBITI było jednym z pierwszych wydawnictw niezależnych, powstało bowiem już w roku 1972. Tu ostrawski dysydent wydał między innymi „Archipelag Gułag” i wiele innych książek zakazanych, w tym własne utwory, ściśle współpracował również z praską Edice POPELNICE Jiřego Gruntorada, dziś słynna czeska biblioteka niezależna nosi nazwę właśnie LIBRI PROHIBITI.

W tym czasie na twórczość Jaromíra Šavrdy składają się utwory ściśle związane z przeżyciami więziennymi, są to: zbiory poetyckie „Cestovní deník” (Dziennik podróży) i „Druhy seřit deníku” (Drugi zeszyt dziennika) czy wspomnienia z kryminalów Ostrova i praskiego Pankracu zatytułowane „Přechodné adresy” (Przejściowe adresy), a także te odnoszące się do szerszego kontekstu historycznego i kulturowego jak „Historické reminiscence” (Historyczne reminiscence), „Česká Kalvárie” (Czeska Kalwaria), „Plachetnice Santa Maria” (Żaglowiec Santa Maria) czy „Má vlast” (Moja ojczyzna). Ostatnią dokończoną i wydaną książką były historie z życia hodowcy perskich kotów pod tytułem „Kočky z mého domu” (Koty z mojego domu). W rękopisie pozostał niedokończony poemat „Růženec otce Popieluszka” (Różaniec ojca Popieluszki), który był wyrazem szczerzego zainteresowania sprawami polskimi.

Jaromír Šavrda odszedł 2 maja 1988 roku, był ciężko chory, 55 miesięcy spędzone w więzieniach, niemal wszystkie wyroki odsiedziane w całości - „zrobili swoje”. Ogromna większość utworów pisarza pozostała do tej pory w edycjach samizdatowych i czeka na wydawców. Prezentowane tu utwory zostały napisane w więziennym szpitalu w Brnie w roku 1979 i znalazły się w zbiorze „Cestovní deník”. Tłumaczenia oraz zdjęcie publikujemy za zgodą żony pisarza Pani Dolores Šavrdovej.

/jmb/

TWARZE

I

Ale co zeznać o twarzach
kiedy nie ma twarzy

Zamiast twarzy tylko
szare smugi ludzkiej niepamięci
raczej oblicza ale nie twarze
raczej tylko kształty

Dawno już nie rysy
łącznie z tą moją twarzą były

Były różne

Ale czy ma to sens
badać co było
pytać się od kiedy nie
W myślach
w poezji
w ładowniach łodzi
wczorajszy grosz dziś poza obiegiem
Rzeźbi nas identyczny los
i drukuje nam identyczną twarz
Bezzębne dziąsła
oczy w głębinach oczodołów
usta jak pusty woreczek na tytoń
młyn szczęki już nie miażdży brednia
no bo i czemu
i tak nie ma po co

II

Są ziemie urodzajne jak brzegi Eufratu
i bogate jak raj

zanim wąż zwiódł Ewę
jabłkiem wiedzy
jabłkiem niewiedzy

Już dawno jest tam płot
i nigdzie ani jednego Prometeusza

Ale przeskoczyć płot (Eden jest za płotem)
to przegrana z góry cwaniaku Prometeuszu
I nie tylko to

Niech nikt nie próbuje
wieść rozważania próżne i podstępne
na przykład o tym jak to wtedy było
z jabłkiem wiedzy
z jabłkiem niewiedzy

PRZEŁOŻYŁA JOANNA MAKSYM-BENCZEW

CUDAK

Andzia miała przedziwną figurę, od pasa w górę niczym makrela, ale podwozie jak rasowa babka. Gdy ją więc ujrzałem, stojącą przed witryną na drugim końcu placu, wiedziałem na sto procent, że to ona, i bez wahania przyśpieszyłem kroku. Wpaść gdzieś na lampkę z Andzią, której nie widziałem od dobrych ośmiu lat, było idealną okazją, żeby na chwilę dać odpocząć mojej skołatanej głowie.

- Siema – powiedziała z miną, jakbyśmy się widywali co drugi dzień.

Usiadłszy w winiarni „U Agnieszki”, przez chwilę sprawdzaliśmy naszą pamięć o starych czasach.

- Co poza tym? – zagadnąłem, kiedyśmy już wszystko przerobili.

- Eee, ciągle nic – westchnęła – i ciągle coś, tyle że gówno warte. Ostatnio niejaki Ziutek.

- No i?

- Nic, jak zawsze. Może powinnam już to olać i pójść do klasztoru, żeby tam podlewać bratki.

- Aha, akurat ty. To co z tym Ziutkiem?

- A co ma być? Przywoity, chłopak, przy tym niegłupi, niby wszystko okej, trochę taki bardziej zamknięty w sobie, cichy, nieśmiały, ale mnie to pasowało, wiesz. Tylko jedno mnie u niego dziwiło. Twierdził, że ma własne mieszkanie, ale chodziliśmy wyłącznie do mnie, nigdy mnie nie zaprosił. I w końcu go zapytałam, dyskretnie, znasz mnie przecież...

Przytaknąłem. Znałem tę jej *dyskrecję*. Andzia, wieczna stara panna. Miała trzydzieści pięć lat, dziecko i wciąż nie mogła znaleźć tego prawdziwego. Niebrzydka, niegłupia, skora do zgrywy. Ale gdy tylko schodziło na uczucia i zamążpójście, natychmiast traciła rezon i wpadała w dołek, a wtedy w jej snach pojawiał się olbrzymi, czterometrowy, czarny facet, który idzie za nią ulicą i sapiąc niczym maszyna parowa, gromko dyszy nad jej uchem: *Aleś ty wstrętna! Wstrętna! Jesteś wstrętna!*

- I co on na to?

- Spowaźniał i mówi: Zależy ci, żeby pójść do mnie? A ja, czemu nie, i wtedy on, że dobra, że mnie zaprasza. Ale powiedział to jakoś tak uroczyście, że aż się złękłam. No to się odpicowałam i poszłam. Dzwonię, on otwiera i nawija, całkiem jak w filmie: Wejdz, proszę! A przy tym cały był jakiś nieswój... Wchodzę, siadam, patrzę: normalne mieszkanie, nic szczególnego, żadnych uszu w spirytusie, żadnych pogryzmoonych czaszek ani innego paskudztwa. Tylko że on cały czas był jakiś dziwnie nerwowy... No, abyśmy!

Trąciliśmy się, podniecona opowieścią Andzia zdjęta zakieciak, odsłaniając światu swoje dziecinne ramionka.

- Dopiero po chwili zobaczyłam! Wzdłuż trzech ścian miał ogromną biblioteczkę, same oszklone półki, no to rzuciłam okiem, co też on czyta. A tam nie było ani jednej książki, z góry na dół same papierowe modele czołgów, samochodów pancernych i takich tam innych, uwierzyłbyś? Setki, tysiące!

- Serio?

- Aha, ale żeby tylko czołgi! Miał tam różne, no, jakby scenki! Rozumiesz: podstawka, na niej kilka domków, jeden jakby spalony, wszędzie porzucane deski i cegielki, po prostu ulica jak żywa, kiosk, latarnie, wszystko; a na przykład pod tym kioskiem leżał trup esesmana, za rogiem stały amerykańskie czołgi, a za murkiem czaili się Niemcy z działkiem, żeby rąbnąć w te czołgi. I wyobraź sobie, na tym murku były o, takie małe naderwane plakaty z hakenkrojcami... Albo inna scenka, jak żołnierzyki naprawiają czołg. Jeden grzebie w silniku, drugi wyciera w szmatę usmolone ręce, trzeci, rozebrany do pasa, ma włochatą klatę i pucuje karabin maszynowy, a następny siedzi na wieży i je chleb z kielbasą! Ty, zobacz, tycia kromeczka!

I jeszcze mi opisała, jak na czołgu siedział żołnierz w hełmie na głowie, pod hełmem miał ciemne okulary, spod których patrzyły na Andzię malutkie, jasnoniebieskie oczy, podczas gdy inny żołnierz siedział na przewróconym dziupie, popijając z puszeki kolę. „Zauważ, że już drugą”, skomentował Ziutek drżącym z podniecenia głosem, „tu leży jedna zgnieciona”... I rzeczywiście, na ziemi walała się zmięta czerwona puszczałka. Inny wojak sikał pod płotem. Przyjrawszy się dokładnie, dostrzegła, że ze spodni moro sterczy małeńki, blade siurek, a z niego tryska łukiem jasnożółta strużka, padając na przestrelony hełm, który się walał na ziemi. „On leje...”, wypsnęło się jej. „Aha. Wziąłem przezroczysty polistyren i nad płomieniem wyciągnąłem z niego taką nitkę”, wyjąkał Ziutek. „Zabarwiłem ją na jasnożółto, żeby wyglądało bardziej realistycznie...”

- I co jeszcze tam miał, opowiadaj – rzekłem oczarowany.

- To byśmy tu byli do rana – machnęła ręką. – Pokazywał mi te scenki, jedną po drugiej, chyba że trzy godziny, do tego non stop robił herbatę. A potem otworzył jakąś zakurzoną whisky, która stała na szafie co najmniej od Bożego Narodzenia, ale sprzed dwóch lat, no i opowiadał na okrągło: Ty, zobacz, tu jest niemieckie p-c-r-k-v trzy, czy jak to tam nazwał, ale zauważ, bo to ciekawe, że ma całkiem inną wieżę z rosyjskim działem. A czemu? Ponieważ Ruscy go zdobyli i przerobili, ale potem Niemcy zdobyli go z powrotem i znowu włączyli do stanu! I pokazał mi taką obdrapaną pokrakę, co wyglądała tak, jakby ją obszczała krowa, a pies wylizał!

- Andzia, i ty tak wszystko zapamiętałaś? - spytałem.

- Niby co?

- No, te nazwy, itepe...

- Przecież grałam w teatrze, to musiałam zakuwać na pamięć, no nie?

- Aha. I co tam jeszcze było?

- Chmara rzeczy. On był w swoim żywiole, nawijał i nawijał, a ja mu nalewałam whisky, wiesz, żeby nabrał siły i zmienił temat. A on po trzech lufkach w końcu mi się tak nawalił, że przez dziesięć minut próbował komórką włączyć telewizor... Ale powiedz, co nowego u ciebie?

- W kółko po staremu, szkoda gadać... I co, potem już go nie widziałaś?

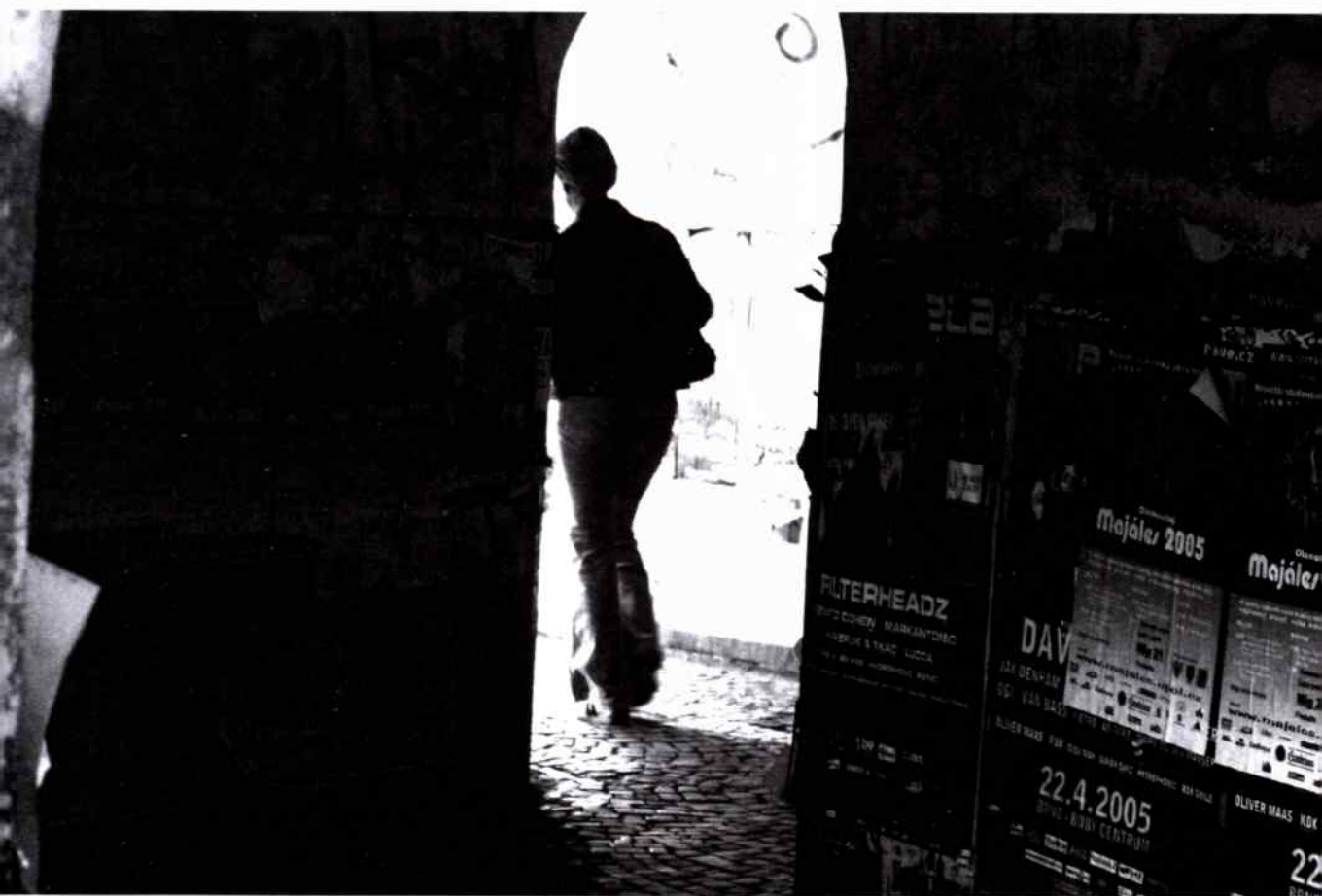
- Jak to, przecież byliśmy razem prawie dziewięć miesięcy! A kiedy już nabrał pewności, że z powodu tych sklejanek nie będę nim gardziła, bywała u niego częściej niż u siebie... Miał tam taki kącik i ledwie przyszedł do domu, siadał i zabierał do się cięcia i malowania. Dobra nasza, myślałam sobie, nie bądź krowa, jakby zniknął po nocach, a rano dzwonił i podejrzenie słodkim głosem mówił, że nocował w robocie, wtedy byłoby gorzej. A tak przynajmniej wiesz, gdzie go znaleźć... No więc robiłam mu za służbę, gotowałam, ścierałam kurze. Raz wycierałam ci ja kurz na jednej półce, a wtedy on jak się nie zerwie: Jezu, tylko nie tam! Bo z tej półki nie wolno było ścierać kurzu, on go zbierał pędzelkiem i przyklejał do tych swoich modelików, żeby wyglądały na zaprawione w boju!

- Coś takiego...

- No... A kiedyś zabrał całą trójkę na wycieczkę. Dobra jest, pomyślałam, idzie na lepsze, myśl o rodzinie! Zapakował nas i pojechaliśmy gdzieś pod Nowy Bor. Zajeżdżamy i... no, jak myślisz, co tam było?

Wzruszyłem ramionami, chociaż się domyślałem.

- Spęd miłośników wojskowego sprzętu! Fura dżipów i ciężarówek, wokół których pętali się głupole poprzebierani za żołnierzyków, Ziutek przywitał się z połową i od razu z nimi gadał, a ja tam stałam jak dupa wołowa. I cały dzień to trwało! Ci wojacy uganiaли się po pagórkach, co nie, Niemcy przeciwko Amerykańcom, upał jak szlag, a do tego jeszcze się objiali, bo co chwila jakiś spocony grubas dekował się za krzakiem i z manierki wlewał w siebie lemoniadę, no mówię ci, świry totalne... A Ziutek jakby dostał jobla, serio, na okrągło filował przez lornetkę i radził: Nie strzelaj, niech podejdzie bliżej... Hej, jest za tobą... Puść go bliżej... Zarepetuj i czekaj! No a szczytem wszystkiego było, jak z lasu wyjechał czołg, stanął i rąbnął... Wtedy Ziutek, cały szczęśliwy, zaczął się śmiać. I w zasadzie to była ta ostatnia kropla – westchnęła. – A jak parę dni później



żeśmy się pokłócili, głupia dałam mu do wyboru: albo ja, albo czołgi! No i teraz znowu jestem sama...

- Hm – pokiwałem głową. – To co, jeszcze po lampce?

- Nie lepiej całą butelkę? – wymyśliła Andzia.

Potem ni stąd, ni zowąd ściągałem buty w jej przedpokoju. Ni stąd, ni zowąd siedzieliśmy w kuchni mieszkania w bloku i robili grzańca. Gaz syczał, a niebieskozielone ząbki palnika podgryzały dno garnka. W powietrzu unosił się leczniczy zapach cytryny, goździków oraz cynamonu. Kiedy wino było gotowe, każde z nas pociągnęło łyżeczkę i poszliśmy do łóżka. Jak to z Andzią, bez zbędnych ceregieli. I jak przed laty wszystko poszło szybko, aż za szybko.

- Ty, słuchaj... – usłyszałem w gęstniejącej mgłę snu.

- No?



Emil Hakl

(właśc. Jan Beneš) – ur. 1958 r.
Absolwent wyższej szkoły zawodowej (Konservatorium Jaroslava Ježka) w Pradze. Pracował w różnych zawodach, m.in. jako magazynier, bibliotekarz, mechanik na stacji benzynowej, dźwiękowiec, autor tekstów reklamowych. Aktualnie dziennikarz tygodnika „Instinkt”.

Debiutował w roku 1991 tomikiem wierszy *Rozpojená slova* (Rozłączone słowa). Po wydaniu kolejnej książki poetyckiej spróbował swych sił w prozie, publikując dotychczas dwa zbiory opowiadań, powieść oraz nowelę *O rodičích a dětech* (O rodzicach i dzieciach), za którą otrzymał prestiżową czeską nagrodę literacką *Magnesia Litera* (2002) i która w roku 2006 została sfilmowana przez Ladislava Michálka, reżysera znanego również w Polsce obrazu „Zabić Sekala”.
Prezentowane opowiadanie zaczerpnięto z tomu *O létajících objektech*, 2004 (O obiektach latających).

- Jak tam mój brzuszec? Wciąż taki ładny, jak dawniej?

- Aha – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Ale poza tym z tyłu ud i łydki miała rozrastającą się sieć żyłaków, co zauważyłem, kiedy wychodziła z łazienki. Dawniej jej nogi były białe, jędrne i gładkie, jak z alabastru.

W środku nocy zbudziło mnie jakieś ostre pieczenie. Skąd się to wzięło? W końcu nie wytrzymałem i zacząłem się drapać. Końcówki nerwów ogarnęła dzika rozkosz. Drapałem się jak szalony, aż swędzenie zmieniło się w ból. Andzia obok zaczęła się wiercić.

- Wiesz, mam lekkie zapalenie, jakieś drożdżaki czy coś takiego. Nie gniewasz się?

- Nie.

- Spoko, to nic groźnego. Ja się leczę, smaruję się takim jednym świnięstwem...

- Dobra, śpij.

Między domami hulał poranny wiatr. Z fioletowego pasa nad horyzontem powoli wynurzały się kontury miasta. Niebo przypominało śnieg na stoku za osiedlem, rozjeżdżony przez dziecięce sanki. Wacek swędział tak strasznie, że ledwie szedłem. Otoczony okoliczną ludnością spieszącą do pracy, nawet się nie mogłem porządnie podrapać.

Koło autobusowego przystanku był otwarty kiosk. Kupiłem kawę w gnącym się polistyrenowym kubku, usiadłem na ławeczce i gdy tylko to było możliwe, drapałem się, ale swędzenie było coraz większe.

Prowadząc dygoczącego, zaspanego ratlerka, minęła mnie pewna siebie rudawa samica w sukni z rozporkiem. Piesek przyczłapał, obwąchał mój but i podniósłszy łapkę, strzyknął parę kropli na moją teczkę, opartą o betonową nogę ławki.

Babka musnęła mnie wzrokiem:

- Jeeezu, co za osioł, nie gniewa się pan?

Na pieska się nie gniewam, pomyślałem. Można wytrzymać.

- Na pieska się nie gniewam – powiedziałem na głos.

- No, chodźże już, głupie bydlę! – nakazała pieskowi.

Nie patrz tam, ofuknąłem sam siebie w myślach. Nie patrz tam, nie rób sobie obciachu. Ale to chyba rodzinne, bo ojciec, jak zagadnął kobitkę, nigdy nie zapomniał zawiesić oka na jej nogach, dziadek to samo, wujek też. Więc przynajmniej ty bądź przyzwoity! I żadnego wykręcania głowy! Pij kawę, nie drap się, a przede wszystkim tam nie patrz!

Spojrzałem za odchodzącą kobietą i wtedy zobaczyłem, jak chodnikiem zbliża się do mnie kurczak z potwornie poważną miną, wysoki na metr dziewięćdziesiąt, jak kroczy w moim kierunku na olbrzymich, drżących pazurach i gapi się wprost na mnie. Z przerażenia zamarło mi serce, ale zaraz się połapałem, że to tylko jakieś ubrane w kostium biedaczysko, które tam sobie dorabia, reklamując KFC.

Z TOMU „O LÉTAJÍCÍCH OBJEKTECH” (O OBIEKTACH LATAJĄCYCH),

PRAGA 2004

PRZEŁOŻYŁ JAN STACHOWSKI

UKOŃCZONY DZIENNIK

*To, co mówimy,
łatwo będzie zrozumieć,
ale poznać, dlaczego
to powiedzieliśmy
będzie bardzo trudno.*

(Ludwig Wittgenstein)

W DRODZE Z POŁUDNIOWYCH CZECH, KWIECIEŃ 1992

(połowa opowieści)
na przełomie roku
w samo południe
w momencie
gdy akurat to sobie uzmysłowił
stał tam
i patrzył

KARLOWE WARY, CZERWIEC 1992

zapomnijcie że stało tu drzewo
mężczyzna który je zasadził
kobieta które je podlewała
zapomnijcie że stał tu ktoś
kto mówił wam byście zapomnieli
zamknijcie oczy
wstrzymajcie oddech
na dziś to zupełnie wystarczy

NA MARGINESIE LISTU DO HAGIR, CZERWIEC 1992

jest tego tyle czego nie da się napisać
tyle czego nie wolno
i tyle czego nawet się nie chce

ale pisze się nadal
jak to się w końcu skończy nie wie nikt
jest to jak droga
to jest droga

BEZ DATY, 1992?

przypomnij sobie
było to czyste i ostre
tylko parę sekund
spojrzenie w bok
cisza
zachwyty

W KUCHNI, GRUDZIEŃ 1992

w roztargnieniu ukroiłem kromkę chleba
tępą stroną noża
(wydaje się że wszystko zależy tylko od
stanowczości)

SOUKENICKÁ, KWIECIEŃ 1994

w papierowych butach
i w atropie smokingu
z parą monet na oczach
bez treningu
ruszamy w drogę
by wkrótce powrócić
z krzykiem niemowlęcia

STARÓWKA, MARZEC 1994

tym co trzyma twoją twarz
jest uśmiech
zaciśniesz wargi i mina skona
jesteś niczym
twarzą w którą mogą
powoli wsiąkać łzy

W DOMU, CZERWIEC 1994

mam wrażenie że umieram
siedzę w swoim fotelu
wyglądam z okna
skreślam nie napisane zdania
nie wierzę twarzom obłoków
każda minuta naprzód
jest też minutą wstecz
wdech
wydech
mrugnięcie oka
dlaczego

pytajnik powinien zaczynać zdanie

W MOIM POKOJU, LIPIEC 1997

świat przez szparę w drzwiach
niebo spada w oknie
nie wyduszę niczego
z siebie
nawet zdania

to co mówię
jest tylko piaskiem między zębami
zwierzęta w moim wieku
zwykle umierają

nauczyć się
raz jeszcze patrzeć
przez zamknięte powieki

W KRĘGU OGNIA, SIERPIEŃ 1997

stoję tu
jak za dawnych lat
jak za dawnych lat
gwiazdom
na pośmiewisko

Z TOMU „ZAKOŃCENÝ DENÍK” (UKOŃCZONY DZIENNIK), PRAGA

1997

PRZEŁOŻYŁ JAN STACHOWSKI

MISTRZOWIE: MIROSLAV HOLUB

prostota
jest nadal tym na czym zależy
poecie

klucz dzikich gęsi nad teatrem
młode wino na grobie
żydowskiej dzielnicy
pochodnia słów w latach milczenia

poetą prostoty był Czech
Miroslav Holub

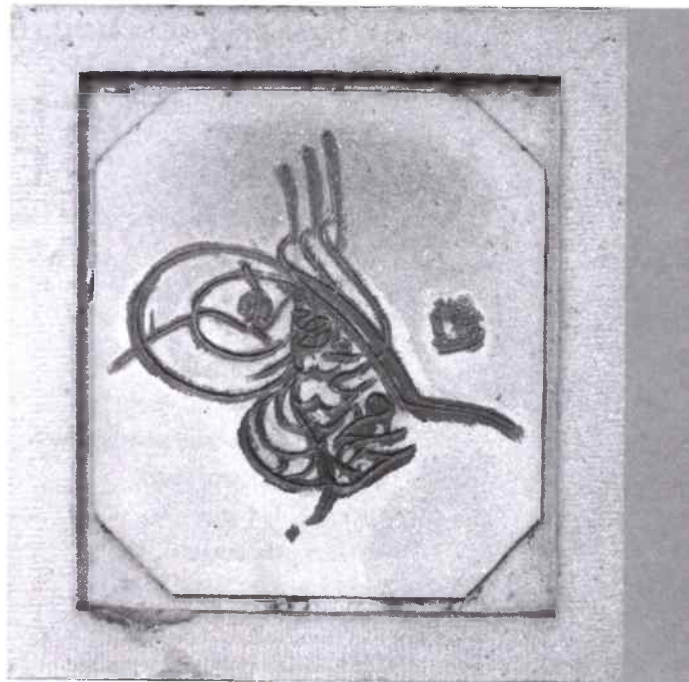
żeby nie uzależnić się
od czegoś
(władzy
alkoholu
postępu w medycynie
przesądów
fałszywych pocieszeń)

pisał
między pracą w laboratorium
i spacerami z dziećmi
(odkrył że limfocyt
jest nosicielem
wewnętrznej mądrości ciała)

Miroslav Holub
pracował nad systemem odpornościowym
w poezji

ale umarł
i nie wiadomo czym zajmuje się
w wolnych chwilach

czemu stawia opór
jego wiersz



4-25 XII 2003

ZWYCZAJNI PRZECHODNIE

Wstają wczesnym rankiem.
Ledwie zaświta
nowa epoka a ludzie
przecierają zaczerwienione oczy
i język trze jeszcze
o szmergiel niezwykłości,
a już tu są,
depczą po głowach tłumu,
dudnią kopyta w czaszkach,
już końskimi pyskami prawią odwieczne prawdy
i bratają się bez problemu.

Centaury przy korycie.
Zawsze pierwsi.

I kiedy ludzie powtarzają jeszcze
wczorajszą sztukę,
oni już wiedzą,
że król Lear nie powinien być królem,
że Poloniusz nie powinien stać za kotarą,
że Romeo naprawdę powinien być Julią.

I że byliśmy wszyscy fatalnie obsadzeni.

Depcząc po głowach, wkroczą
na scenę, wyciągną końską uprząż
i rozpoczną własnego Ryszarda III.

Kopyta istniały już przed Szekspirem.

BOGINI ZWYCIĘSTWA

Nike z Samotraki
naprawdę była malutka,
twarz podziobana przez ospę,
w ręce gałgan na byczą krew.

Dezerterka z wojny żab z myszami.

Pogrzażyła się w ziemi
na pastwisku czarno-białych krów.

Przez tęsknotę urosła,
ze zmęczenia straciła głowę
i zyskała chwałę.

Utracono jej ręce
i wyrosły skrzydła.

Poczuła
ból fantomowy.

Teraz w Luwrze
wskazuje drogę na górę
przy dźwiękach Bolera Ravela
stąpa w miejscu jak bielusiński torreador,
który zabił ostatniego byka
na niebiańskiej korridzie.



Miroslav Holub

(1923-1998) – jeden z najwybitniejszych i najbardziej znanych w świecie poetów czeskich, eseista, przyjaciel Polski, tłumacz m. in. liryki Zbigniewa Herberta. Z wykształcenia lekarz i wybitny immunolog. Współtwórca nurtu „poezji dnia powszedniego” w powojennej liryce czeskiej. Debiutował w 1958 roku tomem wierszy Denní služba (Codzienny dyżur).

POMPEJE

W Pompejach
po turkoczącym bruku
ulicy Wenusjańskiej
w pełnym antycznym słońcu
Czerwony Kapturek ciągnie
kosz z darami.

Takie piękne czasy.

Babcia ma
opryszczkę, ale
nie wie, co to jest.

W cieście
zaczyniono cholere.
Ale centurionowie nie wierzą
w możliwość infekcji.

Takie piękne czasy.

W dali
mruczy Wezuwiusz i płonie
gaz ziemny.
Ale geologia
przepadła z Empedoklesem
w kraterze Etny.

Taka wspaniała epoka.

Światelka robaczków świętojańskich
już bledną.

Wkrótce
wszyscy zapieką się
w kamiennym bagnie jak
rodzynki nieśmiertelności

a w trakcie wykopalisk zabrzmia
chorały Hamletów, wilków i konkubin
o tym, jak było wspaniale.

GANESIA

Bóg Śiwa rozzłościł się z łatwością.

Kiedy synek przeszkodził mu w kąpeli,
uciął mu głowę. Potem
poszedł do siebie, i na sposób
wszystkich metafizyków
synowi Ganesiowi przyprawił
głowę słonika, którego
zabił przy tej okazji.

Tak więc Ganesia to pierwszy transplantowany,
a pozostała część słonia nie jest dla historii interesująca.

Ganesia zrobił karierę
jako potwór. Jeździ na szczurze
i odwiedza nas w Boże Narodzenie
z pytaniem,

który to Śiwa
uciął tego roku
głowę
nam.



OJCZYŻNA

Na czubku igły.

W oku wirtualnego cyklonu.

W Pilźnie. W San Francisco.

W umierającym gnieździe, w wierszu,
w płomieniu neuronów.

W pajęczynie. W polu widzenia.

W głuszy polarnej prowincji,
zwanej Ty.

Na brzegu koła,
pod nią jest już tylko
drżący firmament
i niemy bezsens,
zwany wiecznością.

WSZECHŚWIAT MYSZY

Amfora ciemności. Hetyckie ziarno
do dziś urodzajne. Czarna melodyjna kulisa
ziemi. Katedra znakowana moczem,
pamiątkowe bobki pozostaną jako
cząstki elementarne.

Serce bije od przerażenia do przerażenia.

W środku opancerzone robaczki
i mutacje w chromosomie 11.
Na zewnątrz nietoperze skóry,
Jupiter czworonogi, spowity mgłą,
zębatka pewności.

Nie pozwoli nigdy linieć futerkom,
nie dopuści do złamania kręgosłupa.

Aż litościwe ząbki
zazgrzytają w pierwszej lepszej minucie
naszej śmierci

a nasze czarne oczko
ustawione tak samo
jak martwe oko człowieka ukrzyżowanego
będzie odbijało
Bagno Przyczyny, Wieczny Odpoczynek

Odpowie dostojnym głosem na pytanie,
którego nikt nie zadawał.

PIERWSI ANIOŁOWIE

Pierwsi aniołowie byli ciemni, przygarbieni,
włochaci, z płaskim cofniętym czołem
i grzebieniem na ciemieniu,
ręce jak szufle.
W miejscu skrzydeł jedynie fałdy skórne do szybowania
w wicherach wywołanych przez wybuchy wulkanów,
trochę jak polatuchy o północy.

Mieli pełne zaufanie,
dokonywali potężnych cudów
przeistoczeń, metamorfoz,
przemian bagna w prapłetwowce,
nadymania koni na biegunach
do cudownych rozmiarów,
łączenia atomów w temperaturze pokojowej,
podstawiania lustra przed ryj,
powstawania świadomości,
majestatu śmierci.

Tworzyli się,
wiercili się w zaświatach,
pływali w czarnej wodzie,
tulili w jajowodach,
stali za drzwiami,
czekali.

Nie doczekali się.

PRZEŁOŻYŁ KRZYSZTOF LISOWSKI

**KONSULTACJA FILOLOGICZNA:
URSZULA LISOWSKA I JAN STACHOWSKI**

**MIROSLAV HOLUB – WIERSZE WYBRANE Z TOMU
„NARODZINY SYZYFA” (MLADÁ FRONTA, PRAHA 1998)**



FELIETONY OŁOMUNIECKIE

(Z POCZĄTKU LAT DZIEWIĘCDZIESIĄTYCH)

OŁOMUNIEC TO MIASTO NA NASZEJ TRASIE DO PRAGI. POKOCHALIŚMY JE OD PIERWSZEGO WEJRZENIA – Z RACJI JEGO HISTORII, ARCHITEKTURY, ALE PRZEDE WSZYSTKIM DLATEGO, IŻ ŻYJE TAM VÁCLAV BURIAN, POETA, ESEISTA, JEDEN Z NAJWYBITNIEJSZYCH CZESKICH TŁUMACZY JĘZYKA POLSKIEGO. VÁCLAV BURIAN TO CZŁOWIEK – INSTYTUCJA, MIŁOŚNIK OŁOMUŃCA, A TAKŻE NIEMORDOWANY PRZYJACIEL POLSKI I POLAKÓW. Z PRZEWODNIKIEM TAKIM JAK VASZEK WIĘKSZOŚĆ TAJEMNIC OŁOMUŃCA STAJE OTWOREM PRZED PRZYBYSZEM Z ZEWNĄTRZ.

PONIŻEJ PREZENTUJEMY DWA PIERWSZE UTWORY LITERACKIE NASZEGO PRZYJACIELA Z OŁOMUŃCA. (RED.)



KOLAŻ WIEKÓW W METROPOLII

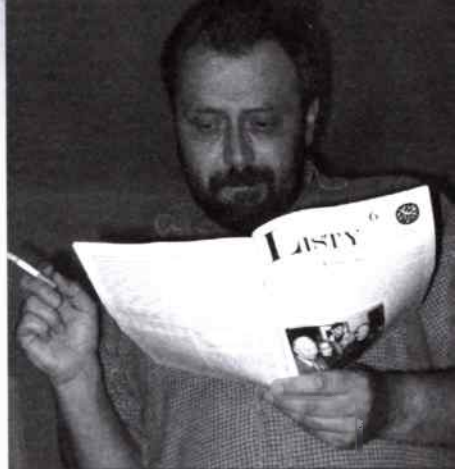
Jak zaprezentować Ołomuniec komuś, kto przybywa z daleka? Co powiedzieć przed pierwszym spotkaniem? I jak wyrazić - albowiem jest to koniecznością - nasze ambicje kulturalne? Może i obylibyśmy się bez naszych ambicji kulturalnych, ale nie możemy. Parki pogrążone w zadumie przy murach obronnych, katedra, zaułki starego miasta i uniwersytet wspólnie wpajają nam, że winniśmy mieć, że musimy mieć ambicje kulturalne.

Ołomuniec podoba się turystom, wpadają jednak do metropolii hanackiej szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Chociażby wtedy, kiedy zepsuje im się na autostradzie hanackiej (mamy taką, choć nie jest to wcale autostrada) samochód i muszą się na chwilę zatrzymać. Zatrzymajmy się przy zgrabnym pojęciu „metropolia hanacka”. Powstało ono na potrzeby ołomunieckich dziennikarzy. Powszechnie znana reguła szkolna mówi, że nie wolno nader często powtarzać tego samego wyrazu. Ołomuniec jest jednak tematem głównym ołomunieckich dziennikarzy, dlatego też ołomunieccy dziennikarze, piszący o Ołomuńcu, muszą czasem słowo „Ołomuniec” zastąpić wyrażeniem „metropolia hanacka”. Nieprawidłowo odczytane, połączenie to brzmi zarozumiale, czyli następująco: wprawdzie „hanacka”, ale jednak „metropolia”. My, w Ołomuńcu, rozumiemy je, bez żadnej zarozumiałości, następująco: wprawdzie „metropolia”, ale jednak „hanacka”.

Poza metropolią hanacką, mamy jeszcze Ateny hanackie, stworzone na potrzeby dziennikarzy kromierzyskich, i Wenecję hanacką, którą stworzyły sobie litowelskie kręgi dziennikarskie. W Kromierzyżu i Litowli mieszka jednak dziś niewielu dziennikarzy i nawet w czasach Pierwszej Republiki nie było pod tym względem gorzej.

Poza zabójstwem ostatniego z Przemyslidów, Ołomuniec może poszczycić się zegarem ratuszowym. Uniwersytet Łomonosowa to nie jest, nie ma też w sobie nic z strzelistego rozmachu warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, rewolucyjny duch moskiewskiego metra złagodzony jest elementami folkloru hanackiego, w politycznej strefie umiarkowanej niepowtarzalność zegara ratuszowego jednak jest niewątpliwa. Ratusz ołomuniecki jest więc dziś wyjątkowym kolażem późnego gotyku, renesansu i socrealizmu.

Tam, gdzie mieszkaniac Pragi spodziewałby się apostołów starej wiary, kroczą apostołowie postępu - naukowcy, lekarze, piłkarze i inteligencja techniczna. Stosowne miejsce przydzielono też humanistycznej inteligencji pracującej. Zamiast dekadentckiej praskiej kostuchy, na ziemi hanackiej blaszany kogut od niepamiętnych czasów odstrasza śmierć.



Václav Burian

Urodził się w Přerovie w roku 1959. Mieszka w Ołomuńcu. Z powodu zaangażowania rodziców w wydarzenia „Praskiej Wiosny”, jak wielu jego rówieśników, miał utrudnioną drogę edukacji, został więc laborantem, a maturę zdał w trybie zaocznym. Pracował w fabryce farmaceutycznej, później w latach 1982-1989 był dozorcą. Studia mógł rozpocząć dopiero po aksamitnej rewolucji. W 1997 został absolwentem Uniwersytetu Pałackiego w Ołomuńcu kończąc polonistykę i bohemistykę. Jest dziennikarzem i tłumaczem. Był współtwórcą samizdatowego czasopisma „Ječmínek”, a po roku 1989 był między innymi redaktorem „Hanackich novin”, „Literárních novin” i „Scriptum”. Od roku 2003 wydaje w Ołomuńcu legendarne „Listy”, czasopismo wychodzące niegdyś w Rzymie. W roku 2000 otrzymał nagrodę dziennikarską im. Ferdinanda Peroutki.

Vašek to niepoprawny polonofil, miał małego fiata i uważa, że polskie piwo jest lepsze od czeskiego. Jego przygoda z Polską rozpoczęła się od Jazz Jamboree w roku 1977. Uczył się języka polskiego czytając polską prasę i słuchając radia. W lekturze tej znalazł się między innymi „Tygodnik Powszechny”, który mimo czechosłowackiego reżimu był dostępny w prenumeracie. W latach 90. Burian został stałym współpracownikiem krakowskiego tygodnika, pisał również dla „Literatury na świecie” i „Gazety Wyborczej”.

Jego przekłady ukazywały się jeszcze w samizdacie, oprócz wielu dzieł Czesława Miłosza tłumaczył także Sławomira Mrożka, Tadeusza Konwickiego, Stanisława Barańczaka, Karola Wojtyłę, Janusza Tazbira, Adama Michnika. W roku 1997 otrzymał medal polskiego ministra kultury Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Václav Burian bywa także poetą, jego wiersze w tłumaczeniu Leszka Engelkinga ukazują się zazwyczaj w Polce, w roku 1997 wydał tomik „Czas szuflad”, a w 2003 był jednym z autorów prezentowanych w raciborskiej antologii „Od słowa ke slovu”. jmb

Kalendarium przypomina o urodzinach Josifa Wissarionowicza. Karelowi Svolskiemu udało się zilustrować także bajkę dla dorosłych.

Ołomuniecki ratusz wynurzył się z rusztowań i okrywające go płótno opadło. Ponownie ukazał się, wymknąwszy się debolszewizacji, obiekt wywołujący radość u pozytywnie i negatywnie nastawionych turystów.

W celu debolszewizacji estetycznej, tuż po wybuchu wolności, powstał Komitet Przebudowy Ołomunieckiego Zegara Ratuszowego jako wspólne ciało powołane przez Radę Miejską, muzeum, galerię, arcybiskupstwo, uniwersytet i Forum Obywatelskie. Ostatni z wymienionych członków międzyczasie przestał istnieć, pozostałym brakuje pieniędzy na wiążącą się z wysokimi kosztami renowację. Od czasu do czasu na wszystkie strony rozchodzą się wieści o planowanym przeniesieniu zegara do ściany barokowej świątyni św. Michała, czy też o niespodziewanym źródle finansowym, które wytrysnęło dzięki naszym Niemcom. To chyba nieprawda.

Komitet Przebudowy Ołomunieckiego Zegara Ratuszowego ma swoje konto w banku.





ODA PRZED SEZONEM TURYSTYCZNYM

Ołomuńcu! Z okolicznych wsi przez łąny zboża patrzyliśmy na Twoje wieże, zanim przeprowadziliśmy się do Twych kamiennych i ceglanych murów. Po Twych krętych uliczkach nie spacerujemy dziś jako prawnukowie karbonariuszy, wnukowie uczestników wojennej wyprawy, synowie uczestników ruchu oporu. Ba, nawet nie jako prawnuczki cukrowników, wnuczki modystek, czy córki zarządców dóbr.

Słodka Praska Wiosna - tam kończą się wspomnienia. Wycofali się, to już parę lat, najeżdźcy, na razie ostatni, i jakby odeszli do krainy duchów. Jakby się zapadli pod ziemię w tumanie kurzu na polnej drodze, jakby wniknęli do cegieł w murach. Czy w ogóle to się wydarzyło? I kiedy? Duże mieszkania lekarzy i adwokatów poprzegradzane zostały ścianami działowymi i są z nich małe mieszkania. Do willi słodowników wchodzimy wejściem dla służby. Twych niedokończonych dzielnic willowych, o miasto, nie zamieszkują wdowy po legionistach. Motocykl w ogrodowej altanie nie zdobył grand prix na żadnym ze znanych torów i już zaczyna rdzewieć. A altana ogrodowa służy do przechowywania motocykla. Ostatnie wspólne śniadanie obyło się w roku 1939.

W twoich kawiarniach, które kawiarniami nie są, bowiem ich okna zdobią zielone światłone żmije, w twoich piwiarniach, które piwiarniami nie są, bowiem naszą swoją grę przemianowano na bilard, rozbrzmiewa nasza chłoporobotnicza mowa. Zamiast hrabiego L. Górny Rynek przemierza Odwieczny Znawca Ojczystego Kraju. Nie mamy zamku, pod którym, w skale, mógłby mieszkać smok. Księżniczek nigdy nie mieliśmy w nadmiarze. Dla dzielnego rycerza skały są nie dość urwiste i nazbyt niskie. Twoje łuki romańskie, o miasto, trzeba było podomykać w sklepienia. Twoje bulwary, które bulwarami nie są, nie prowadzą do lasów i gajów, ale przecina je betonowy mur, ulubione miejsce źle wychowanych dzieci na rowerach. A kiedy turysta zapyta, w którym domu mieszkał Franz Kafka, to stwierdzimy: „Franz Kafka tu nie mieszkał.”

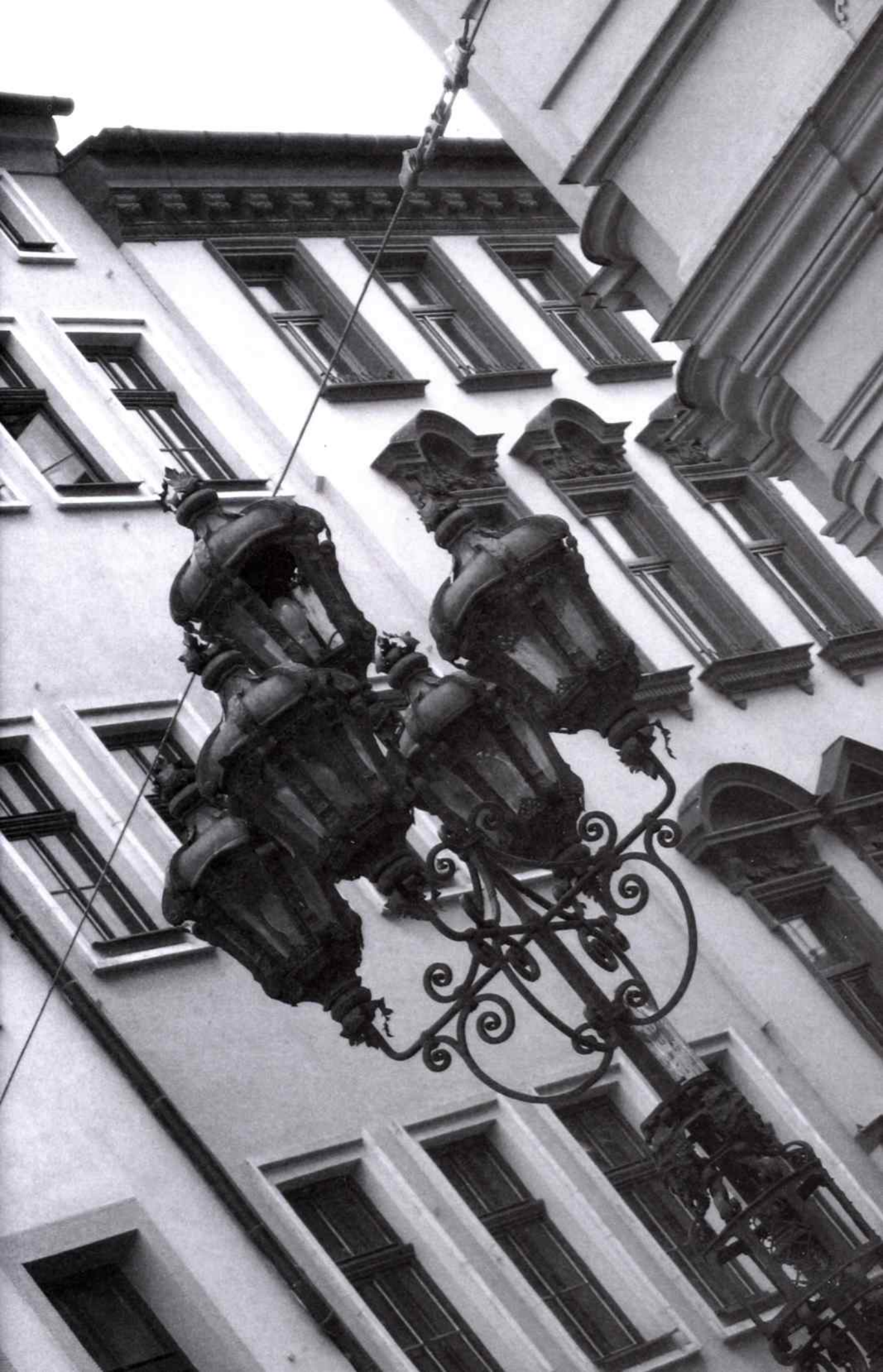
Twoi dziennikarze, Ołomuńcu, rozmyślali o życiu oglądając serial rysunkowy o Szybkich Strzałach, no i oczywiście o Ostatnim Mohikaninie. Twoi pisarze wyjechali przez Brno do Pragi po pierwszą nagrodę państwową. Twoich pisarzy tutaj sprowadzano. Twoi profesorowie, o miasto, pochodzą z podgórszych chałup i hanackiej roli. Twoi biskupi czytali o Kái Mařiku pod maszynami do szycia swych ojców. Twoi pastory czytali sobie o świetlikach przy szewskim zydłu swoich dziadków. Twoje starsze duchy pojawiają się często, ale ich nieznanego języka nikt już nie rozumie. Duch generała Lafayette'a czuje się nieswojo na murach. Młodsze duchy przemawiają językiem tak zrozumiałym, że aż banalnym, więc nikt ich nie słucha. Ołomuńcu, nie jesteś jednak wolny od magii. Magiczne są twoje domy stowarzyszenia „Sokół” na przedmieściach, doczesne świątynie wiary okresu przejściowego. Magiczne są kamienie z czerwonymi gwiazdami na drogach dojazdowych. Magiczne są tablice, które na peryferiach do tej pory potępiają marnotrawienie materiału, czasu pracy i pociski interkontynentalne. Magiczne są żeliwne kraty kanalizacyjne firmy „Salivar”. Magiczny jak opuszczone krematorium jest budynek operetki na wyspie między torowiskiem tramwajowym a jezdnią czteropasmową. Magiczni są żeńcy, radośni jak sam socjalizm w półmroku hali Dworca Głównego.



Nadchodzi lato. W lecie, które jest zwierzęce i nieokrzesanie wulgarne, Olomuniec nie będzie magiczny. Duchy nie cierpią biur podróży, przyczepy kempingowej, budki z lodami, Co-ca-Coli, śpiewu Karela Gotta, szortów, ani radia Haná na basenie. Duchy odlatują do cichych miejsc. Będą ich szukać w Odessie, Weronie, Krakowie, a może i we Władywostoku czy Paryżu. W sierpniu, wraz z pierwszym chłodnym przejrzystym porankiem, stopniowo zbierać się będą do powrotu. Wąwozy po wozach pancernych będą zarastać trawą.

PRZEŁOŻYŁ JACEK MOŁĘDA









Mariusz Kubik

(ur. 1975) - Politolog, dziennikarz, fotograf. Absolwent Uniwersytetu Śląskiego. Stypendysta, rekomendowany przez premiera Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego laureata „Pelikana” - nagrody pisma Listy; praca redakcyjna, dziennikarska i naukowa;

Od 07. 2000 współpracownik „Tygodnika Powszechnego” (Kraków) oraz „Zeszytów Literackich” (Warszawa); teksty i wywiady o tematyce kulturalnej.

Uniwersytet Śląski; Katowice: Praca dziennikarska w „Gazecie Uniwersyteckiej UŚ”; m.in. redaktor prowadzący dodatków kulturalnych, poświęconych Romanowi Polańskiemu (VI 2000), Jerzemu Giedroycowi i paryskiej „Kulturze” (IX 2001), japońskiej poezji haiku (V 2002), Han Suyin (VII 2002) i Joachimowi Ringelnatzowi (X 2002) i „Zeszytom Literackim” (XII 2002); publikacje prasowe i koordynacja informacji uczelnianych w Internecie; współtworzenie stron internetowych (np. strona poświęcona pisarzowi Lucjanowi Wolanowskiemu: <http://free.art.pl/wolanowski>); współpraca z ogólnopolskim pismem uczelnianym „Forum Akademickie” (Lublin) w zakresie wymiany informacji i newsów prasowych;

01.09.2002 - 31.03.2005:
Polska Fundacja im. Roberta Schumana;
Warszawa:

Redaktor naczelny miesięcznika „Polski Kalendarz Europejski”, poświęconego tematyce europejskiej.

„SZTUKA W OBLICZU TAJEMNICY SŁOWA WCIELONEGO”

Dokładnie taki właśnie tytuł nosi 5 punkt „Listu do Artystów” Jana Pawła II, jednego z najświetniejszych tekstów pontyfikatu. To jest też – w moim przekonaniu – kluczowy teologicznie fragment dokumentu, w sam raz dla twórców i odbiorców naszego „Almanachu...”

Bowiem z chrześcijańskiego punktu widzenia i rozumienia to właśnie Mysterium Incarnationis Bożego Syna jest kulminacją wniesienia w dzieje ludzkości prawdy, dobra i piękna (właśnie: piękna!) według Boskiej miary i obfitości (por. p. 5). Odtąd ludzka sztuka „powstaje” i „dzieje się” w najgłębszym z możliwych odniesieniu – w związku z tajemnicą, wobec, w odpowiedzialności – do „Słowa, które stało się ciałem” (J 1, 14).

Tej relacji – Wcielenia i sztuki - dotyczy moja refleksja.

1. PARADOKS WCIELENIA. CHRYSOLOGICZNE ŹRÓDŁA KULTURY

Pokora płynąca ze świadomości ostatecznej niepojmowalności i niewyraźności Mysterium Incarnationis – to cecha najlepszych kart teologii chrześcijańskiej. Pokora, która – na wzór Biblii – przewyższa apofatyczne milczenie, choć zna jego wartość i uzasadnienie, a także wie, że przystoi ono i towarzyszy narodzinom każdego prawdziwego „słowa-o-Bogu” (teo-logii). Wcielenie przekracza bowiem możliwości ludzkiego języka, obrazowania i pojęciowania, przekracza ludzki świat, choć go dotyczy, przenika, zbawia. Wcielenie, jako akt historyczny i ponadhistoryczny, akt nie mający żadnej analogii w świecie stworzeń, stanowi najwyższy paradoks. Choć już „sama Ewangelia pełna jest paradoksów” i choć „sam człowiek stanowi żywy paradoks”, to jednak Wcielenie stanowi „paradoks najwyższy: Παράδοξος παραδόξων – powtarza za Ojcami Kardynał de Lubac¹. Cud Inkarnacji stanowi paradoks nie tylko w znaczeniu słownikowym. Pojęcia: osobliwość, dziwność, sprzeczność, absurdalność słusznie wyrażają nieprzystawalność Wcielenia do jakichkolwiek ludzkich wydarzeń, doświadczeń, logik i języków. We Wcieleniu kryje się jednak paradoksalność jeszcze głębsza, ontyczna, przewyżczająca tamtą: paradoksalność niepojętej, ale i naturalnej (od-Bosko zamierzonej) jedności Stwórcy i stworzenia.

To był zawsze i jest nadal czuły i niebywale płodny punkt chrystologii: zmierzyć się twórczo z paradoksalnością Inkarnacji, próbować ją wyrazić, hartować myśl i język w jej ogniu. Gdzieś w tych rejonach i wychodząc z Tajemnicy Wcielenia doskonalili figurę coincidentia oppositorum Mikołaj z Kuzy. To on w ramach konstruowanej przez siebie teologii pojmowanej jako docta ignorantia, próbował jej treści wyrażać jako „współistnienie sprzeczności”, które współistnieją nie znosząc (nie niwelując) się nawzajem, a zarazem nie likwidując istniejącego między nimi nieusuwalnego napięcia². Taki też – inkarnacyjny – punkt wyjścia posiada kategoria „pozytywnego paradoksu” w rozumieniu i zastosowaniu Kierkegaarda i Bartha. Również Nossol, kiedy pisze o „inkarnacyjnej strukturze” chrześcijaństwa jako „religii Wcielenia” ma na myśli jej najwyższą paradoksalność: „Swoista «materializacja Boga» leży u podstaw tajemnicy Chrystusa, tegoż najświętszego w ogóle «paradoksu». A gdy się weźmie pod uwagę konkretne wejście nieskończone-

go Boga w czas – Betlejem oraz bosko-ludzkie zatriumfowanie nad czasem i jakby wyjście zeń – Kalwarię, to czy można w ogóle zbliżyć się do niej inaczej jak nie na drodze radykalnej wiary?”³, pyta retorycznie, sugerując odpowiedniość: paradoks Chrystusa – radykalizm wiary.

„Ontologiczna” paradoksalność inkarnacji jest nierozzerwalnie sprzężona z paradoksalnością „ekonomiczną” misterium Wcielenia. Jej przeczcucie pobrzmiewało zawsze w intuicjach filozofii religii wyrosłej na judeochrześcijańskim gruncie („Paradoks polega na tym, że ludzkie otwarcie na Boga jest w gruncie rzeczy zamknięciem. Bo Bóg przychodzi zawsze z innej strony, nie z tej, na którą się człowiek otworzył” – mawiał Tischner⁴). Jednak pierwsze skrzypce w wygranu jej burzącej wszelki schematyzm inności grały mistyka i teologia. Tak brzmi synteza ontycznego i ekonomicznego wymiaru inkarnacyjnego paradoksu w ujęciu Węclawskiego: Chrystus, „Jego boska tożsamość, objawiona w prostocie Jego ludzkiego śmiertelnego życia. Oznacza ona (...), że Bóg chce człowieka bardziej, niż ktokolwiek dotąd pomyślał; i że właśnie w tym On sam, Bóg jedyny, okazuje się inny, niż ktokolwiek pomyślał. Inaczej mówiąc, Bóg przyszedł w Jezusie nie od tej strony, od której miał przyjść, nie tam, gdzie Go oczekiwano”⁵. Παράδοξος παραδόξων.

Paradoksalność Wcielenia sprawia, że to, co jest cudu owego skutkiem (chrześcijaństwo) znajduje się w stanie nieustannego kryzysu⁶, permanentnej „niewysłowioności”, konieczności stałej zgody na daleko idące niezrozumienie, na niezgodność z „oczywistością”, z oczekiwaniami. Skutki Inkarnacji noszą znamiona owego Paradoksu: dziwią, oburzają, zaskakują, fascynują, oświecają. Przynoszą światło z innego świata, innego porządku. W nieusuwalnych paradoksach życia i dzieła Jezusa zanurzony jest bez reszty Kościół. To jest jego kenotycznie-paradoksalne znamię, par excellence chrystologiczne. Hans Urs von Balthasar na ten temat: „Kościół, który składa się z ludzi grzesznych i omylnych, który przez dwa tysiąclecia ciągle ukazywał swoją nie zabezpieczoną flankę, okazuje się w swych paradoksalnych jednościach o wiele bardziej podatny na demontaż. Niemniej ciągle stawianie mu sprzecznych ze sobą zarzutów przypomina chrystologiczny paradoks”⁷. Pyta, czy Chrystus „w jakiś niepojęty sposób, na niedosiętej płaszczyźnie nie godził rzeczywistości najbardziej sobie przeciwstawnych?” [podkr. JSz]⁸. I wszystko, co prawdziwie Chrystusowe – podąża tym szlakiem, musi nim iść... Bez wątpienia tak jest, choć Kościół nie może szukać tu łatwych usprawiedliwień. Szukać ma jedynie krzyża.

2. ARS INCARNATIONIS, INCARNATIO ARTIS. POKREWIEŃSTWA, IMPLIKACJE

Na szczególną uwagę i pogłębienie zasługują w tym wymiarze związki Tajemnicy Wcielenia z tajemnicami sztuki⁹. „Paradoksalność” jest ważnym tropem tego pokrewieństwa. Więż ta jest twórcza obustronnie. Z jednej strony bowiem, sztuka wydaje się dostarczać chrześcijańskiemu universum języka (środków) do wyrażania niewyraźnego, czyli – w tym wypadku – pomaga przewycięzać milczenie w kwestii cudu Inkarnacji. Z drugiej strony, sztuka zdaje się żyć (w najgłębszym swym sensie i przejawach) oraz czerpać własne początki i wiarę w swoje możliwości z rzeczywistości, która nie tylko jest „zaprojektowana” (stworzona) jako otwarta potencjalnie na „Wcielenie Boga”, ale w której Inkarnacja factum est. Sztuka – jaka jest – możliwa jest w świecie jaki jest: który Bóg stworzył, którego pragnie i w którym „stał się ciałem”.

By odwołać się do dwóch tylko przykładów, ze sztuki poetyckiej wziętych. Oto z jednej strony niezrównane wersety Dantego, które wyrażają paradoksy Inkarnacji językiem mariologii i wysokiej poezji zarazem:

Dziewico Matko, Córo swego Syna,
Korna, a w takiej u aniołów cenie,
Ostojo, w której pokój się poczyną;
Ty uczacniłaś ludzkie przyrodzenie,

Tak, że Stworzyciel, zszedłszy z majestatu,
Nie wzgardził wmieszać się między stworzenie.
W twym łonie miłość zapłonęła światu¹⁰

Z drugiej strony, strofa Pasierba, w której sztuka stanowi medium – pomost między materią a duchem:

grając dotykam zżółkłych kości i trumiennego hebanu
malując używam sierści nieżyjących zwierząt
rzeźbiąc wstępuję jak w wąwóz w śmiertelny chłód kamienia
pisząc pokrywam czarnymi znakami całun w którym szeleszczą zabite drzewa

gdy gram maluję rzeźbę piszę
spod moich drętwiejących palców
wytryska życie¹¹

Teologia dopowie: to dzięki inkarnacyjnemu pomyślanemu i stworzonemu przez Boga kształtowi życia, Boskie jest do wyrażenia w ludzkim, a hymn ku czci życia może „tryskać” ze śmiertelnej materii. Sztuka jest możliwa, bo jest Chrystus.

Człowiek potrzebuje nut, miseczek z farbami, dłuta, słowa, żeby wyrazić i realizować pragnienie Transcendencji. Bóg „potrzebuje ciała”, żeby wyrazić i realizować pragnienie immanencji. I Bóg, i człowiek, są paradoksalni w swoim wychodzeniu „poza siebie”. Paradoks paradokson – Wcielenie – jest tych Bosko-ludzkich pragnień najwyższym przecięciem i komplementarnością; spotkaniem.

W perspektywie chrystologii kultury sztuka jawi się więc jako uprzywilejowane miejsce wyrażenia Misterium Paradoksu. Jako możliwość materialnej artykulacji duchowej głębi człowieczeństwa; jako ludzka odpowiedź na Boskie dzieło, czyli na inkarnacyjną strukturę rzeczywistości¹². Oczywiście, bez popadania w fałsz angelizmu: struktura stworzenia jest dogłębnie zaburzona przez inne misterium – misterium iniquitatis, tajemnicę ciemności, upadku, grzechu. I sztuka może funkcjonować (i – bywa – tak nieraz funkcjonuje...) jako zaprzeczenie inkarnacyjnej drogi, w postawie non serviam... Ale jest jednak faktem niezbitym i bez jakiegokolwiek analogii, że Wydarzenie Wcielenia angażowało w ciągu ostatniego tysiąca lat sztukę europejską w nieporównywalnych z niczym innym skali i sposobie. „The incarnation fired their imagination and engaged their energies”¹³ – lapidarnie podsumowuje zjawisko Gerald O’Collins. Jego studium „Incarnation”, w którym odwołuje się do licznych dzieł europejskiej literatury i malarstwa¹⁴ jest tego fenomenu dobrą ilustracją.

3. INKARNACYJNA ODNOWA DIALOGU

Owa relacja, „Wcielenie – kultura (sztuka)” – trwale obecna w naszej cywilizacji, płodna – możliwa jest tu tylko do najprostszej (choć koniecznej w tym miejscu) ewokacji. „Boże Narodzenie, które dla świata jest początkiem rzeczywistości, dla naszego kontynentu jest także źródłem kultury” – puentuje esej „Niebo nad stajenką” Wojciech Wencel¹⁵. Dopowiedzmy, by uniknąć uproszczeń: Wcielenie jest źródłem kultury w sensie daleko głębszym niż tylko jako źródło ikonograficznej inspiracji (choć też). Inkarnacja rozpala wyobraźnię i angażuje energie twórcze (O’Collins) ludzkiej sztuki w aż takim (najwyższym z możliwych) stopniu, ponieważ zawiera ona przesłanie, że TO jest możliwe: jeśli Bóg stał się człowiekiem, „wyraził się w ciele”, to znaczy, że materia i Najwyższy Duch mogą się w Chrystusie spotkać; że droga między ziemią a niebem, ciałem i duchem, naszym ciężeniem a aspiracjami – jest pokonalna. Że sztuka jest możliwa, że racja

jest po jej stronie... Po stronie spełnienia tęsknoty, którą od jaskiń Lascaux i Altamira wyraża – dotykając kości, używając sierści, ryjąc dłutem w kamieniu.

Wcielenie Boga nie tylko więc legitymizuje kult obrazów¹⁶ – jak brzmiał argument (jak najbardziej słuszny zresztą) obrońców obrazów w sporach ery ikonoklazmu, ale teologicznie do wartościowuje życie w takiej formie, w jakiej jest nam dane i w jakiej jest przeżywane. Życie w jego materialno-duchowym splocie, w jego przemijalności i pragnieniu trwałości, w zgrozie i zachwycie, które budzi. Inkarnacja uzasadnia sztukę i teologicznie wiąże ją „na zawsze” z chrześcijaństwem.

Czasy ikonoklazmu wypracowały po temu mocną teologicznie argumentację, do której warto wrócić, by zreinterpretować ją i wzmocnić doświadczeniem naszej epoki. Kto odrzuca ikony – uczył św. Teodor Studyta, a za nim sobory – ten odrzuca także ostatecznie tajemnicę Wcielenia¹⁷. Chrystologia i estetyka nie są pozbawionymi styku monadami, wręcz przeciwnie. Istnieje wiele racji po temu, by określenie hezychazmu autorstwa Jana Klimaka – „Hezychastą jest ten, kto w mieszkaniu ciała stara się ogarnąć rzeczy niecielesne”¹⁸ – rozumieć jako chrystologicznie motywowaną parabolę sztuki i jej celu. Wcielenie bowiem zmodyfikowało zasadniczo wizję Boga i świata, człowieka i jego dzieł. W tej ostatniej przestrzeni ukazało wspólne źródła kultu i sztuki, nie tożsamych rzecz jasna, ale zrodzonych „ze spotkania nieba i ziemi, rzeczywistości Boskiej i ludzkiej” i temu spotkaniu dających „ciągle nowe impulsy życia” – pisze Schönborn¹⁹.

Sztuka potrzebuje chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo potrzebuje sztuki²⁰. Katolicyzm rozumie to ze szczególną wrażliwością, pojmując Kościół jako płodną artystycznie i przyjazną dla sztuki przestrzeń – dlatego, że otwartą ze swej istoty na Bosko-ludzkie misterium²¹. To, co Jan Paweł II powiedział o relacji „wiarą – kultura” dotyczy – z zachowaniem proporcji, choć z tą samą mocą – relacji „teologia – sztuka”: „Wiarą, która nie staje się kulturą, jest wiarą nie w pełni przyjętą, nie w całości przemyślaną, nie przeżyta wiernie”²². Czegoś istotnego brakowałoby chrześcijaństwu, teologii, Kościołowi gdyby zabrakło im nachylenia ku sztuce. I wynika to z inkarnacyjnych źródeł chrześcijaństwa.

4. KOŚCIÓŁ, SZTUKA, WZAJEMNOŚĆ

„Zwracam się do was, artyści całego świata, aby raz jeszcze wyrazić wam mój szacunek oraz by przyczynić się do ponownego nawiązania bardziej owocnej współpracy między światem sztuki a Kościołem” – czytamy w „Liście do artystów” Jana Pawła II²³. Warto zwrócić uwagę na zwrot „raz jeszcze”. Sądzę bowiem, że postrzeganie papieskiego dokumentu w kategoriach sensacji, „zaskakującego przełomu”, taktycznej doraźności, nowej i chytrej (a wówczas, w gruncie rzeczy, obłudnej) strategii Kościoła przymuszonego do poszukiwania partnerów w sytuacji zagrożenia własnych pozycji itp. itd. – byłoby błędem ignorancji (jeśli nie złej woli), skazującym z góry odczytanie „Listu...” na interpretację chybioną.

Owszem, chrześcijaństwo miało i miewa swoje „kłopoty ze sztuką” (sprawa to zresztą arcyciekawa, ważna i nader skomplikowana; nie tu na jej roztrząsanie miejsce i czas). Generalnie jednak, od samego swego początku, czyli od Wcielenia Bożego Syna i na fundamencie tego aktu jest ono nierozzerwalnie spokrewnione z kulturą i sztuką. Tak zwana „optyka inkarnacyjna”, czyli sposób widzenia całej rzeczywistości przez pryzmat Tajemnicy Wcielenia, każe chrześcijaninowi traktować kategorie rzeczywistości ziemskich, materii, ciała, piękna, świat kultury i sztuki – z powagą i partnerstwem, z wolą dialogu i współpracy. I nie istnieje dla tej postawy alternatywa w ortodoksyjnym chrześcijaństwie. Liryka obecna w biblijnych tekstach, Święty Paweł cytujący kilkakrotnie pogańskich poetów, Ojcowie Kościoła rozczytujący się w greckich oraz łacińskich wierszach i dramatach, strzeliste sylwetki gotyckich katedr rozsiane po całej Europie, Kaplica Sykstyńska, Giotto, da Vinci, ks. Janusz Pasierb, Hans Urs von Balthasar; konstytucja „Gaudium et Spes” Soboru Watykańskiego II; Papież-poeta na przełomie tysiącleci... „List do artystów” i

„Tryptyk rzymski” są – tylko i aż – jednymi z najnowszych kamyków (prawda, że wielkiej urody) w tej wielobarwnej mozaice wielowiekowego współdziałania Kościoła i sztuki²⁴.

„Kościół potrzebuje sztuki” – powtarza Jan Paweł II w „Liście do artystów” i pyta prowokacyjnie w tym samym dokumencie „Czy sztuka potrzebuje Kościoła?”. „O ileż uboższa byłaby sztuka, gdyby oddaliła się od swego niewyczerpanego źródła – Ewangelii” – pisze (cytuje tu Mickiewicza, Norwida, Chagalla)²⁵. Kultura, zwłaszcza kultura atlantycka, pozbawiona swych ewangelicznych źródeł skazana byłaby na wysuszenie. Płaski materializm, cele ograniczone do interpretacji rzeczywistości przy pomocy błyskotliwej ironii jedynie, myślenie o człowieku i jego świecie z nieuchronną rozpaczą w tle... By tak nie było kultura potrzebuje Kościoła, nie jako policjanta, ani nawet nie jako mecenasa, raczej jako najważniejszego partnera we wspólnym wy-czuleniu na misterium istnienia, w odkrywaniu tajemnicy i prawdy bytu, partnera, który pomaga odkrywać duchowe głębie życia. Po to potrzebny jest dialog na linii „Kościół – kultura” i wzajemny „wkład”.

Powtórzmy, że szczególnie uprzywilejowaną dziedziną życia Kościoła i teologii chrześcijańskiej do dialogu z kulturą jest chrystologia. Z paradoksem Tajemnicy Wcielenia u źródeł – z których tryskają obie. A jest tak dlatego, że – co warto powtarzać ludziom sztuki – „kto wpuszcza Chrystusa, nie traci nic, absolutnie nic, co czyni życie wolnym, pięknym i wielkim. (...) On niczego nie zabiera, a daje wszystko”²⁶. W ten sposób Benedykt XVI przedłużył - w inaugurującej nowy pontyfikat homilii - chrystologiczny rdzeń przesłania Autora „Listu do artystów”.

Bowiem sztuka nigdy nie jest i nie może być zamiast religii. Mała sztuka udaje religię, bo nie jest pewna własnej tożsamości. Prawdziwie wielka „nie tyle dostarcza substytutu objawienia religijnego, co wyzwala nas od jego uproszczenia”²⁷.



PRZYPISY

- 1 H. de Lubac, *Paradoksy i Nowe paradoksy*, tłum. M. Rostworowska-Książek, Kraków 1995, s. 7.
- 2 Por. J. Szymik, *Problem teologicznego wymiaru dzieła literackiego Czesława Miłosza*. *Teologia literatury*, Katowice 1996, s. 48-49.
- 3 A. Nossol, *Teologia na usługach wiary. Wokół zagadnień odnowionej teologii*, Opole 1978, s. 37.
- 4 *Spotkanie* (rozm. A. Karoń-Ostrowska), Kraków 2003, s. 122.
- 5 T. Węclawski, *Wielkie kryzysy tradycji chrześcijańskiej*, Poznań 1999, s. 38-39.
- 6 Por. tamże, s. 29-49.
- 7 H. U. von Balthasar, *Catholica*, tłum. W. Szymona, Kraków 1998, s. 30-31.
- 8 Tamże, s. 31.
- 9 Por. T. Boruta, *O Bogu i obrazie. Sztuka a Kościół: krótka historia długiego związku*, „Tygodnik Powszechny” 58(2004) nr 17, s. VIII.
- 10 Dante Alighieri, *Boska komedia*, tłum. E. Porębowicz, Warszawa 1975, s. 486.
- 11 J. St. Piasierb, *Sztuka*, w: tenże, *Jak Jakub z aniołem. Wiersze wybrane*, Warszawa 1996, s. 156.
- 12 Por. M. Ziolo, *Jedyne znane zdjęcie Boga*, Poznań 2003, s. 23-25.
- 13 O’Collins, *Incarnation*, London – New York 2002, s. 129.
- 14 Por. *The Image of Christ. The catalogue of the exhibition SEING SALVATION*, London 2000.
- 15 W. Wencel, *Przepisy na arcydzieło. Szkice literackie*, Kraków 2003, s. 23.
- 16 B. Sesboüé, J. Wolinski, *Bóg zbawienia. Historia dogmatów*, t. I, tłum. P. Rak, Kraków 1999, s. 390-391, 395.
- 17 Ch. Schönborn, *Ikona Chrystusa*, tłum. W. Szymona, Poznań 2001, s. 249.
- 18 *Awierincew. Jezus w chrześcijaństwie prawosławnym*, w: *Jezus. 2000 lat obecności*, tłum. T. Grodecki, W. Zasiura, Kraków 1999, s. 117.
- 19 Schönborn, *Ikona Chrystusa*, s. 250. I dopowiada polemicznie: „Tak było zawsze. Wszystkie religie były miejscem rozwoju sztuki i ten fakt bardziej niż cokolwiek innego zaprzecza tezie Zygmunta Freuda, według której religia jest neurozą ludzkości”. Tamże, s. 251.
- 20 I. Görres, *O naszym obrazie Chrystusa*, w: *Jezus. 2000 lat obecności*, s. 21.
- 21 Por. Schönborn, *Ikona Chrystusa*, s. 252. „(...) chrześcijaństwo zawsze znajdowało odzew przede wszystkim wśród ubogich i słabych. Np. w Indiach to najniższe kasty jako pierwsze otwarły się na chrześcijaństwo. To, co działo się w całej dotychczasowej historii chrześcijaństwa odpowiada słowom samego Chrystusa, który objawił się prostaczkom i takich ludzi powoływał na uczniów. Ale chrześcijaństwo nigdy nie ograniczało się wyłącznie do nich. Zawsze podobało mi się, że do Dzieciątka Jezus najpierw przychodzą pasterze i biedacy. Bogaci mędrcy ze Wschodu przybyli trochę później, ale jednak przecież też przybyli! Podobnie było z ewangelizacją basenu Morza Śródziemnego: od początku niewolnicy dość łatwo przyjmowali chrześcijaństwo, ale jednocześnie także w wyższych sferach, nawet w domach cesarzy nie brakowało ludzi poszukujących, którzy nie dali się oslepić bogactwu, co zaważyło w dużym stopniu na wielkim potencjale filozoficznym chrześcijaństwa”. J. Ratzinger, *W co wierzy Kościół* (rozm. K. Tomasiak, M. Zajęc), „Tygodnik Powszechny” 57(2003) nr 21, s. 1, 8.
- 22 Jan Paweł II, *Powołanie do życia Papieskiej rady do spraw Kultury. List do Kardynała Sekretarza Stanu Agostino Casaroli*, Rzym, 20 maja 1982 r., w: Jan Paweł II, *Wiara i kultura. Dokumenty, przemówienia, homilie*, red. M. Radwan, S. Wylęzek, T. Gorzkula, Rzym – Lublin 1988, s. 148.
- 23 nr 14.
- 24 Paweł VI, „Do artystów”, *Kaplica Sykstyńska*, 10 maja 1964 r. (tłum. St. G., „Znak” 16(1964) nr 12(126), s. 1426): „Nasza posługa wymaga waszej współpracy, bo jak wiecie, polega ona na głoszeniu i przybliżaniu umysłem i sercem świata ducha, świata tego, co niewidzialne i czego nie można nazwać. Wy umiecie znaleźć formy przystępne i zrozumiałe dla rzeczy niewidzialnych – to wasz zawód i wasze powołanie. Wasza sztuka polega właśnie na porywaniu skarbów ze świata ducha i przyodziewaniu ich w słowa, barwy, formy – w dostępną dla ludzi. I to nie taką, o jaką ubiega się nauczyciel logiki czy matematyki. (...) Wy macie jeszcze ten przywilej, że możecie w samym akcie, w którym czynicie świat ducha przystępnym i zrozumiałym, zachować jego niewysłowność, jego transcendencję, jego tajemnicę oraz konieczność dochodzenia do niego z łatwością i równocześnie z wysiłkiem. Jeśli zabraknie nam waszej pomocy, nasza posługa stanie się jękaniem i czymś niepewnym”.
- Jan Paweł II, „Do przedstawicieli świata nauki i sztuki”, *Wiedeń*, 12 września 1983 r. (w: *Wiara i kultura...*, s. 209): „Tak jednostka, jak i społeczność potrzebują sztuki dla interpretacji świata i życia, dla rozjaśnienia epokowych wydarzeń, dla ujęcia wielkości i głębi istnienia. Potrzebują sztuki, aby zwrócić się ku temu, co przewyższa sferę samej użyteczności i dopiero w ten sposób człowiek jest w stanie spojrzeć na samego siebie. Potrzebują literatury i poezji: słów łagodnych, a także proroczych i gniewnych, które częstokroć lepiej dojrzewają w samotności i cierpieniu. Według głębokiej myśli Beethovena, artysta poniekąd powołany jest do służby kapłańskiej. Także Kościół potrzebuje sztuki, nie tyle po to, ażeby zlecać jej zadania i w ten sposób zapewnić sobie jej służbę, ale przede wszystkim po to, aby osiągnąć głębsze poznanie *conditio humana*, wspaniałości i nędzy człowieka. Kościół potrzebuje sztuki, aby lepiej wiedzieć, co kryje się w człowieku: w tym człowieku, któremu ma głosić Ewangelię”.
- 25 nr 3, 4, 5, 13, 16.
- 26 Benedykt XVI, *Homilia z 24 kwietnia 2005 r.*, „Gazeta Wyborcza”, 25 04 2005 r., s. 17.
- 27 A. Debeljak, w: *Trudniej runąć w nicosis gdy w dole rozciąga się wiersz. Poezja wobec nihilizmu* (rozmowa – prowadzi H. Woźniakowski), tłum. T. Bieroń, „Kontrapunkt” 2000 nr 11(49), s. 11.

JESZCZE O ZAPOMNIANYM PIĘKNIE LITURGII RZYMSKIEJ

W dyskusjach na tematy liturgiczne używany bywa często (przez osoby niechętne wobec tradycyjnej liturgii katolickiej) argument zaiste przedziwny. Brzmi on mniej więcej w następujący sposób: przedsoborowa liturgia była kompletnie niezrozumiała dla większości wiernych, traktowali ją oni jako coś w rodzaju zabiegów magicznych (!), o czym ma świadczyć rzekoma etymologia quasi-magicznego zaklęcia – „hokus pokus” (ma ono bowiem być karykaturalnie zniekształconą ... formułą konsekracji: „Hoc est enim Corpus Meum”). Wypadałoby się jedynie nad tego typu „racjami” dobrodusznie uśmiechnąć, gdyby nie to, że bywa, iż szermują nimi ludzie ze stopniami naukowymi, ba, nawet ...specjaliści od liturgii. Co można rzec na takowe dictum? Sięgnijmy do jednego z bardzo wielu, adresowanych do przeciętnych, niewykształconych katolików, kompendiów, zawierających istotne informacje katechetyczne. Dzieło, o którym myślę, autorstwa księdza Leonarda Goffinego, nosi wspaniały barokowy tytuł *Książka do oświecenia i zbudowania duszy chrześcijańsko-katolickiej, czyli krótki wykład Lekcyi i Ewangelii na wszystkie niedziele i święta wraz z wynikającą stąd nauka wiary i obyczajów i gruntownem wyjaśnieniem roku kościelnego, najgłówniejszych obrzędów kościelnych, mszy świętej, nabożeństwa domowego i dla chorych, drogi krzyżowej, jako też życiorysami Świętych Pańskich, czczonych mianowicie przez lud polsko-katolicki*. Licząca 976 (!) stron księga, wydana przez „Wydawnictwo Dzieł Ludowych” Karola Miarki w Mikołowie w 1893 roku, zaopatrzona w imprimatur Książęco-Biskupiego Konsystorza Diecezji Krakowskiej, jest przewodnikiem umożliwiającym „zwyczajnym” wiernym czerpanie z przebogatego skarbcza Kościoła katolickiego. Wśród mnóstwa cennych informacji książka ks. Goffinego zawiera także wykład sposobów uczestnictwa we Mszy świętej. Autor charakteryzuje i zaleca cztery takie sposoby. Jeden z nich polega na traktowaniu Mszy św. jako wiernego obrazu męki, śmierci i zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Wszystkie bez wyjątku składniki Najświętszej Ofiary, poczynając od szat liturgicznych, poprzez gesty kapłana, a kończąc na treści modlitw liturgicznych, postrzegane są w tym przypadku jako odpowiedniki poszczególnych faz dzieła zbawczego Jezusa Chrystusa.

Trzy obrusy leżące na ołtarzu przypominają prześcieradła, którymi owinięte zostało przed złożeniem do Grobu Ciało Jezusowe. Humerał (chusta naramienna, którą zakłada kapłan) ma przypominać chustę, którą nakryto „oblicze Zbawiciela, gdy żołdactwo Mu urągało”. Alba oznacza „białe okrycie, jakie z rozkazu Heroda na Chrystusa narzucono, aby Go wystawić na pośmiewisko”. Pasek przytrzymujący albę przypomina „pęta, któremi skrępowano Chrystusa”. Stuła oznacza więzy, jakie „niósł Jezus, aby nas uwolnić od więzów grzechu”. Ornat symbolizuje krzyż dźwigany przez Chrystusa. Biret to cierniowy wieniec na głowie Zbawiciela.

Sama celebracja Mszy św. w rycie trydenckim jest wizerunkiem Męki Pańskiej. Oto jak udokumentował to zjawisko autor prezentowanej książki:

KAPŁAN	CHRYSTUS
Idzie do ołtarza	Idzie na Górę Oliwną
Rozpoczyna Mszę świętą	Rozpoczyna modlitwę w Ogrójcu
Odmawia „Confiteor”	Pada na ziemię i poci się krwawym potem
Wstępuje na ołtarz i całuje go	Zdradzony przez Judasza pocałunkiem
Idzie na stronę epistoły (lekcji)	Pojmanego Jezusa wiodą przed Annasza
Czyta introit	Jezus fałszywie oskarżony i zelżony
Idzie na środek ołtarza i mówi „Kyrie”	Chrystusa postawionego przed Kajfaszem trzykrotnie zapiera się Piotr
Mówi „Dominus vobiscum”	Pan Jezus spojrzeńmiem nawraca Piotra
Czyta epistołę (lekcję)	Chrystus doprowadzony przed oblicze Piłata
Mówi na środku ołtarza: Munda cor meum”	Jezus wiedziony do Heroda
Czyta Ewangelię	Chrystus znów przed Piłatem i oskarżony
Odkrywa kielich	Jezus obnażony
Ofiaruje chleb i wino	Chrystus okrutnie wysmagany
Nakrywa kielich	Jezus ukoronowany ciemnową koroną
Umywa ręce	Piłat obwieszcza niewinność Jezusa
Mówi „Orate fratres”	Piłat ukazuje tłumowi poranionego Chrystusa ze słowami Ecce homo”
Odmawia ciche modlitwy	Chrystus opluty i wyszydzony
Odmawia prefację i sanctus	Barabaszw uwolniony od kary, a Chrystus skazany na śmierć
Modli się za żywych	Chrystus dźwiga krzyż
Trwa w cichej modlitwie (odmawia Kanon)	Chrystus spotyka Matkę i pobożne niewiasty
Żegna chleb i wino	Chrystusa przybijają do krzyża
Podnosi Przenajświętszą Hostię	Chrystus podwyższony na krzyż
Podnosi kielich	Krew leje się z pięciu ran Chrystusowych
Odmawia ciche modlitwy (Kanon)	Chrystus widzi pod krzyżem Matkę
Mówi głośno: „nobis quoque peccatoribus”	Modli się na krzyżu za ludzi
Mówi Pater noster	Mówi na krzyżu siedem słów
Łamie Hostię	Oddaje Bogu ducha i kona
Cząsteczkę Hostii wpuszcza do kielicha	Chrystus zstępuje do otchłani
Mówi „Agnus Dei”	Wielu rozpoznaje w Ukrzyżowanym Syna Bożego
Spożywa Ciało i Krew	Chrystus złożony do grobu
Oczyszcza kielich	Namaszczenie Ciała Chrystusowego przez pobożne niewiasty
Ubiera kielich	Chrystus zmartwychwstaje
Mówi „Dominus vobiscum”	Chrystus ukazuje się Matce i uczniom
Odmawia ostatnie modlitwy	Ukazuje się uczniom i naucza przez 40 dni
Mówi po raz ostatni „Dominus vobiscum”	Żegna się z uczniami i wstępuje do nieba
Udziela błogosławieństwa	Zsyła Ducha Świętego
Mówi: „Ite missa est” i czyta ostatnia Ewang.	Rozsyła apostołów po świecie

Taka forma uczestnictwa we Mszy świętej zapewniała wszystkim wiernym, nawet tym najślabiej wykształconym, wniknięcie w Tajemnicę Zbawienia. Lekceważące mówienie o „siedzeniu jak na tureckim kazaniu” jest w tym kontekście mocno niesprawiedliwe i krzywdzące dla naszych przodków, przez całe stulecia uczestniczących w Mszach świętych sprawowanych w rycie trydenckim.



MAŁE PROZY



Janusz Szuber

(ur. 1948), sanoczanin, zadebiutował późno, w wieku 46 lat (przez ponad dwie i pół dekady pisząc wyłącznie do szuflady) tomikiem „Paradne ubranko i inne wiersze” (1995). Publikuje również szkice i eseje. Swoje utwory ogłaszał m.in. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, „Kultury” – paryskiej, „Twórczości”, „Odry”, „Kwartalnika Artystycznego”, „Zeszytów Literackich”, „Voix d'encre”, „Archipel”, „La Poligraphie”, „Books in Canada”, „Die Horen”, „Viento Sur”. Jego wiersze są tłumaczone na język francuski, niemiecki, angielski, ukraiński, hiszpański, słoweński, hebrajski i flamandzki. Współzałożyciel stowarzyszenia Korporacja Literacka w Sanoku i pierwszy redaktor naczelny „Dodatku Kulturalnego”, członek zespołów redakcyjnych: „Impresje Muzealne” (przy Muzeum Historycznym w Sanoku) i „Acta Pancoviana”. Pod jego redakcją i w jego wyborze ukazał się tom wierszy Mariana Pankowskiego „Moje słowo prowincjonalne”. Współpracownik „Nowej Okolicy Poetów” i „Rzeczypospolitej”, gdzie ma swój stały felieton „Czytane na prowincji”. Dotąd wydał: „Paradne ubranko i inne wiersze”, „Apokryfy i epitafia sanockie”, „Pan Dymiącego Zwierciadła”, „Gorzkie prowincje”, „Srebrnopióre ogrody”, „Śniąc siebie w obcym domu”, „O chłopcu mieszającym powidła”, „Biedronka na śniegu”, „7 Gedichte/Wierszy”, „Okrągłe oko pogody”, „Z żółtego metalu”, „19 wierszy”. W roku 2001 ukazał się jego kolejny tom „Las w lustrach”, w 2003 „Lekcja Tejrzasza” i „Glina, ogień, popiół”, a w 2004 „Tam, gdzie niedźwiedzie piwo warzą”. Laureat Nagrody Fundacji Kultury, Nagrody Poetyckiej im. Kazimierza Iłakowiczówny, Nagrody Literackiej im. Barbary Sadowskiej, Nagrody Fundacji im. Turzańskich (Toronto), dwukrotnie wyróżniony Nagrodą Miasta Sanoka oraz Nagrodami Wojewody Krośnieńskiego i Prezydenta Miasta Rzeszowa. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu.

Naprzód był wiek złoty, z Franciszkiem Józefem I, cesarzem wielu ludów, nobowiwały brody i wąsy, moi dziadkowie mówili po polsku, niemiecku, rusku, rozumieli nawet w jidysz. Co by nie powiedzieć, było jak być powinno.

Po nim był wiek srebrny, jak wężyk na kołnierzu pana Marszałka. Mama chodziła do gimnazjum Emilii Plater i kochała namiętnie Clarka Gable'a. Ojciec – jeszcze-nie-ojciec został pilotem, ale nim zaczął na dobre, wszystko się skończyło.

Wiek brązu i żelaza zdawał się nie mieć końca, więc przy lada okazji wspominano dwa wieki poprzednie, a kiedy ja dostawałem w tyłek, babka strofowała matkę, że wprowadza do domu bolszewickie obyczaje. Nie mieściło się w głowie, w końcu jednak musiało się zmieścić: byt określa świadomość, genius loci i duch czasu istnieją na przekór lub – jak kto woli – w zgodzie z prorokami ponowoczesności.

Konfitury z róży i rajszych jabłuszek – z tym to dopiero były ceregiele. Do pani Dengmajerowej! Tylko żeby się nie spóźnić, bo płatki róży już w sam raz do smażenia. A Głowackiego w dół, do przystanku, od pani Kossakowej z bernardynem na smyczy idzie rudowłosa dama, Olga Didur-Wiktorowa, wielki świat, że aż tu słysząc rześiste okłaski, i fraki w miniaturze na ciałach jaskółek.

Stop. Jeszcze raz: a Głowackiego w dół, od pani Kossakowej do sklepu tuż za przystankiem kolejowym, z koszykiem w zębach owczarek niemiecki pani Olgi Didur-Wiktorowej. Dziwi się tutejsi i przyjezdni. Bo kiedy rampa do góry i oni w górę Sienkiewicza, to ten owczarek przez tory i już w sklepie. I już ekspedientka wyciąga z koszyka karteczkę i pieniądze, wkłada towar i resztę, i pies truchcikiem tym razem Głowackiego pod górę. Z powrotem.

Dzieci jak to dzieci mają z tego frajdę.

I autor bo nie pamięta jak było naprawdę.

Tyle, że w górę i w dół, w górę i w dół.

Rówieśnik poetów „Nowej Fali”, przez 27 lat pisał wyłącznie do szuflady, i jego późny debiut nastąpił dopiero w 1994 roku, kiedy zdecydował się na sukcesywne ogłaszanie swego, dalej pomnażanego, dorobku. Choroba, której początki sięgają okresu studiów na Uniwersytecie Warszawskim, sprawiła, że porusza się na wózku inwalidzkim. Cykl pierwszych pięciu tomików („Paradne ubranko i inne wiersze”, „Apokryfy i epitafia sanockie”, „Pan Dymiącego Zwierciadła”, „Gorzkie prowincje”, „Srebrnopióre ogrody”), zwany „pięcioksięgiem”, określił pozycję Szubera na mapie współczesnej poezji polskiej: zaliczony został do „najwybitniejszych poetów nie tylko swojego pokolenia”. We wrześniu 2003 r. był gościem raciborskiego Projektu „Prowincja – matczynik słowa”.

Życie „na co dzień i od święta” czasami przypominało sceny z czeskiego filmu, kiedy indziej z „Amarcordu” Felliniego, najczęściej nic nie przypominało, było wyłącznie z siebie i dla siebie.

Ojciec pracował w Aeroklubie Podkarpackim i przez sześć dni w tygodniu dojeżdżał pociągiem do Krosna, dlatego też jego sanockość mogła budzić uzasadnione wątpliwości – między oboma miastami jątrzyły zadawnione i aktualne animozje.

Pamiętam, że kiedy już przestał czynnie uprawiać hokej i raz w zastępstwie sędziował mecz między Sanokiem i Krosnem, oberwał porządnie od naszych kibiców, którzy w jego decyzjach wietrzyli stronnictwo, czyli sprzyjanie grającym na wyjeździe Krośniakom. Może nie tyle oberwał, co nasłuchał się wyzwisk i gwizdów.

Tamte późne lata pięćdziesiąte to było jego apogeum; wyszedł cudem z prawie śmiertelnego wypadku lotniczego, dalej latał na szybowcach i samolotach, szarżując jak dawniej, skakał ze spadochronem. Poza tym polował, wędkował... Wprawdzie przestał grać w hokeja, za to zabierał mnie na narty, no i te szaleńcze wyprawy motocyklem po wertepach, paryjach, gdzie diabeł mówi dobranoc, a błoto po kolana.

Istniała jednakże druga, ciemna strona medalu. Jeszcze wiele lat po wypadku budziło nas w środku nocy jego nieprzytomne, przez sen: „Jezus Maria, śmierć przede mną”, zapowiadające parodniowy psychiczny niż.

Żeby nie zostawał wieczorem w domu sam, bo bez uprzedzenia wygaszano całymi kwartałami światło, a z lampą naftową to lepiej uważać, rodzice, kiedy szli do kina, zostawiali mnie pod opieką Janka – modelarza. Jeszcze dobrze nie zatrasnęły się za nimi drzwi wejściowe na parterze, już włączaliśmy radio. Janek szukał odpowiedniej stacji, ja szykowałem perkusję: kartonowe pudła, pokrywki, puszki grzechoczące śrutem, którym ojciec napełniał gilzy – drobniejszym na ptactwo, grubszym na zające. Trzeba było się zsynchronizować z radiem i wtedy jazda, jazz band na pełny gaz.

W przerwach sesji Janek w moim szkolnym bloku rysował od ręki „Bardotki” w kostiumach kąpielowych bikini i bez kostiumów, pod jednym wszakże warunkiem: dowody rzeczowe co do jednego musiałem usunąć, paląc pod kuchnią, nie bez żalu, kartka za kartką, a gorejące resztki dokładnie rozkruszać pogrzebaczem. Ile mogłem mieć wtedy? Góra dziesięć lat, a Janek z dziewiętnaście.



Nowe radio mrugało zielonym okiem, jednak Głosu Ameryki i Wolnej Europy lepiej się słuchało na ebonitowym „pionierze” wzmacniając odbiór pokojową anteną, systemem drutów, które biegnęły pod sufitem. Na 1 Maja kopalnictwo naftowe, dwa kroki od nas, przygotowywało imponującą jak na

skromny Sanok dekorację, raz globus, kiedy indziej model Pałacu Kultury, oświetlone od środka, no i nieodmiennie olbrzymie portrety w girlandach lampek; kogo tam nie było, cały komunistyczny Olimp, z zarostem i bez. Do światła hurmem ciągnęły chrabąszcze, więc za nimi, z czym kto może, a potem kto się nawinie, temu za kołnierz, do rękawa, we włosy.

W tym miejscu, mówiąc ogólnie, rozmiągam się z prawdą. Nie było żadnego „my”, żałuję, rada by dusza po latach do raj. Ene-due-rabe.

A ten tu czego? Słowo ciałem się stało, bo oto w krąg światła lampy naftowej wkracza pan polowniczy z dwoma zziąjanymi pieskami. Z polowania? Na polowanie? Znikąd donikąd? A bo ja wiem?

Guzika przy kieszonce kurtki pan polowniczy odpina, piersiówkę srebrną wyjmuje i tyk-tyk, gul-gul pociąga, wąsiki stroszy rudawe, a nos jak brzuszek u gila czerwony i wągrowaty że hej! Więc do niego: Toś mnie pan, panie-tego, zaskoczył z win- kła i z gwinta.



Nie wierz gębie, połóż na zębie. Zje pica szlachcica, to i chłopu da radę – on na to, i w ciemność z kręgu naftowej jasności uchodzi, jakby tam zwierzynę pod wiatr nosem swoim gilowym zwąchał.

Nieraz myślałem: a może by tak założyć elitarny klub wyłącznie dla tych, już bardzo nielicznych, którzy w dzieciństwie bawili się na polach franciszkańskich vel księżych łąkach i w kryształicznym, leniwie rozlanym potoczku łowili traszki, miniaturowe smoki, przynoszone potem do domu w słoiku wecka...

Na księżych łąkach wybudowano szpital, dla odróżnienia od starego szpitala nazywany „nowym” i tak się przyjęło, że są „stary” i „nowy”, chociaż ten drugi też ma już swoje lata. I kiedy w 1994 na kilka miesięcy znalazłem się w nim z rozlatującą się dosłownie nogą, to w sali numer 6 zjawiał się codziennie z pożywnym zawiniątkiem od Jadzi Zygmunt Pankowski, który w przeddzień mojej operacji wpadł jeszcze raz sprawdzić, co i jak, i ucisnąć dłoń na „do zobaczenia”. I kiedy trzy dni później wybudzałem się z narkozy – on parę korytarzy dalej, na Oddziale Intensywnej Terapii, umierał na atak serca. Co prawda leczył się u kardiologa, ale na pozór wcale tak źle z nim nie było.

Dwa miesiące wstecz zrobił mi Pan Zygmunt niespodziankę: przyszli do szpitala obaj bracia Pankowscy i Marian markował dla mnie niektóre epizody z dopiero co napisanego „Księdza Heleny”, a ja mu się zrewanżowałem zasłyszonym od salowej „nieokrzesanym” wierszykiem o pająku.

I kiedy teraz do kupy tę tu moją moją zbieram, to mi Marian prosto do ucha z Brukseli po latach ten wierszyk odsyła, jakby wypominki dla hecy w mięsopust odprawiał.

Idzie pająk po drabinie.

Dokąd idziesz, sk...synie?

Więc my teraz po latach do słuchawek w śmiech.





Coś w rodzaju własnej autobiografii

Mimo, że opiewam piękno ziemi raciborskiej, urodziłam się na Śląsku w Gliwicach, z dala od pól i lasów tej okolicy. Moja rodzina mieszkała, między innymi, także przez pewien czas w Chorzowie. Może właśnie ta ciągła obecność na horyzoncie czarnych hałd węgla i dymiących, dniami i nocą, kominów hut, gnała mnie do pięknych okolic nad Odrą. Właśnie w Raciborzu spędzałam szkolne wakacje, a przed emigracją do Australii zamieszkałam tam na kilka lat wraz z Rodzicami i rodzeństwem. Tak więc zaadoptowałam te zielone i pachnące hojnością okolice jako swoje miejsce szczęśliwe.

W Australii, mojej nowej ojczyźnie od 1963 roku, pasjonowałam się podróżami po pustyniach. Nie mogę mówić o tej pasji w czasie przeszłym. Prawie każdego roku można mnie znaleźć gdzieś na szlaku. Piszę w jednym z moich wierszy...„odczułam kwintesencję pustyni i przejadę wszędzie i wzdłuż poszukując jej ciągle od nowa...

Ta więc chęć poznania i doświadczenia pcha mnie do ciągłej wędrówki. Nie tylko piąty kontynent jest celem moich podróży. W 2004 spełniłam swoje młodości marzenia i wspięłam się do tajemniczych ruin Macchu Pichu w Peru. Czekam na mnie Antarktyda i Biegun Północny, ale to są na razie dalekosiężne plany, albo już tylko mrzonki.

Ze swym pierwszym mężem, dwójką małych synów oraz z moim ojcem, A. Marcinem Stanisławskim, odbyliśmy wiele podróży po kontynencie australijskim. W tym czasie zrealizowaliśmy trzy pełnometrażowe filmy dokumentalne – wyświetlane z ogromnym sukcesem w Australii i w państwach Europy. Podczas

CZERWONO-CZARNA Z ŻÓŁTYM KRĄŻKIEM

RÓŻNE SĄ SYMBOLE, KTÓRE UZNAJEMY ZA WYRAŻAJĄCE DUMĘ NARODOWĄ. JESTEŚMY GOTOWI POŚWIĘCIĆ WIELE DLA ICH UTRZYMANIA. NASZA PRZYNALEŻNOŚĆ DO PEWNEJ GRUPY DAJE NAM POCZUCIE TOŻSAMOŚCI I SIŁY. CZASAMI TAKIMI SYMBOLAMI SĄ FLAGI, KTÓRE PODNIESIONE WYSOKO NAD GŁOWAMI, KAŻĄ NAM SPOJRZEĆ W GÓRĘ. FLAGA ABORYGENÓW AUSTRALIJSKICH ZWRÓCIŁA IM NADZIEJĘ NA PRZYSZŁOŚĆ. ZAPROJEKTOWANA PRZEZ HAROLDA THOMASA, ARTYSTĘ ABORYGENSKIEGO, TRÓJKOLOROWA FLAGA, TO: PAS CZERWONY - KOLOR ZIEMI, PAS CZARNY - ORYGINALNI MIESZKAŃCY AUSTRALII ORAZ ŻÓŁTY KRĄŻEK - SŁOŃCE.

Corocznie, dwudziestego szóstego stycznia, Australia przybiera patriotyczne szaty. Ta letnia, styczniowa data jest uroczystym dniem całej Australii. Właśnie 26 stycznia 1788 roku kapitan Artur Phillip wciągnął na maszt brytyjską flagę i wziął w posiadanie (ponownie - ponieważ zrobił to wcześniej, bo w 1770, kapitan James Cook) Nową Południową Walię. Osiem dni wcześniej, a więc 18 stycznia, statki wysłane z Anglii przybiły do brzegu Zatoki Botany, ale że okolica nie była odpowiednia na zasiedlenie jej, kapitan Phillip popłynął dalej na północ. I tak zaczęła się historia dzisiejszego Sydney, pierwszej osady białych ludzi. Ta data to równocześnie pierwszy dzień początków kolonizacji na tym kontynencie. Dla historiografii Australii, to ważny dzień, a dla wielu jej obywateli - raczej wolny dzień od pracy. Jest okazja do zrobienia barbecue (rożeń), napicia się piwa i ostatecznie gry w krykieta, w parku albo na własnym podwórku. Mimo, że każdy federalny rząd próbuje wprowadzić bardziej uroczysty ton w tym dniu, Australijczycy wolą przeważnie obchodzić to święto na swój sposób - easy (relaksowo). Dla nowo przybyłych emigrantów ten dzień jest często momentem, kiedy wielu z nich przyjmuje australijskie obywatelstwo. Każdy nowy obywatel otrzymuje zaświadczenie o swoim nowym statusie oraz sadzonkę australijskiego drzewka. Dla polityków partii politycznych jest to okazja dla pokazania się i uściśnięcia dłoni przyszłych, w ich nadziei, wyborców. Na wysokim maszcie zwieńczającym budynki Parlamentu w Kanberze powiewa, w ten dzień, flaga związku australijskiego (Commonwealth of Australia).

Obecna flaga Australii jest pozostałością czasów kolonialnych dawnego mocarstwa Wielkiej Brytanii. Znajduje się na niej: mały prostokąt, tak zwany Union Jack - flaga - symbol połączonej Wielkiej Brytanii: są to trzy krzyże, pierwszy to krzyż świętego Jerzego (Anglia), drugi świętego Andrzeja

(Szkocja), trzeci świętego Patryka (Irlandia). Z prawej strony jest Krzyż Południa, gwiazdozbiór nieboskłonu Australii oraz z lewej umieszczono siedmioramienną gwiazdę symbolizującą jedność narodową. Do dzisiaj nominalną głową państwa australijskiego jest Królowa Elżbieta II, którą reprezentuje Gubernator Generalny. Ten symbol nowoczesnej Australii dla zwolenników przekształcenia dawnej kolonii w państwo republikańskie jest plamą na ich patriotycznej świadomości. I właśnie o zachowanie tego małego prostokąta walczą zwolennicy monarchii, a o jego usunięcie zwolennicy republiki. To niby tylko symbol, ale jak wiele sobą przedstawia. Początki Australii, a tak naprawdę wprawdzie tylko wschodniej jej części - Nowej Południowej Walii, zaczęły się w cieniu flagi Imperium Brytyjskiego. W roku 1901, kiedy to z wielką fanfaramą połączyły się niejako niezależne przed tym od siebie kolonie, powstało nowe państwo, Związek Australijski. I to wtedy ogłoszono konkurs na projekt nowej flagi. Zatwierdzony projekt został widocznym symbolem nowopowstałej koalicji. Pod tym sztandarem Australijczycy walczyli na różnych frontach świata, są więc uczuciowo powiązani z jego symboliką.

Inaczej obchodzą 26 stycznia autochtoni Australii – Aborygeni, prawowici właściciele tego kontynentu. Dla nich ta data to dzień kiedy skończyła się ich wolność. Kiedy pod flagą Wielkiej Brytanii w 1788 ląduje pierwszy transport zesłańców w Nowej Południowej Walii zaczyna się okupowanie ich ziemi. Jest ono bezwzględne i krwawe. Aborygeni tracą nie tylko swoje szczepowe tereny, ale także systematycznie niszczone i nie szanowana była ich kultura oraz ich sposób na życie. Prawa kolonizujących miały pierwszeństwo. Nie dopuszczano do głosu i jakichkolwiek decyzji ludzi, którzy mieszkali na tym kontynencie przecież już od tysięcy lat. Sporadyczne próby polepszenia bytu tubyl-

wyprawy, w 1974 roku, na Pustyni Gibsona (Zachodnia Australia), spotkaliśmy kobietę i mężczyznę, parę Aborygenów, którzy żyli tak jak ich przodkowie przed tysiącami lat. Byliśmy pierwszymi białymi ludźmi, jakich ci Aborygeni, Yatungka i Warri za szczepu Mandjildjarra, spotkali w swoim życiu.

Wielokrotne podróże po kontynencie australijskim, ciągły kontakt z Aborygenami i ich kulturą zainspirowały mnie do twórczości poetyckiej, która często jest poświęcona właśnie pierwotnym mieszkańcom tego zadziwiającego kraju. Piszę także artykuły dla australijskiej i polskiej prasy oraz jestem autorką i współautorką kilku książek o sztuce Aborygenów australijskich. Wydałam także kilka tomików poezji ilustrowanych fotografiami.

Pomiędzy podróżami mieszkam w Melbourne, stolicy stanu Wiktoria razem z moim drugim mężem, byłym wykładowcą literatury francuskiej na Uniwersytecie Monash. Moja trójka synów: Olaf, Conrad i Alexander zarazili się także bakcyłem podróży.



ców nie dawały pozytywnych rezultatów, ponieważ były podejmowane bez konsultacji z ludźmi, którym chciano pomóc. Pierwsi przybysze z Anglii, ci wolni (żołnierze do pilnowania więźniów) oraz zesłańcy, byli na tych nowych ziemiach przeważnie nie z własnego wyboru. Zbrutalizowani przez system więzienny nie czuli sympatii do ludów, których tu napotkali. Aborygeni także okazywali swoje niezadowolenie z przybyszów. Od początku zaczęły się represje. Mimo tego Aborygeni próbowali dostosować się do rządzącej elity. Było wiele przypadków – prób zasymilowania najeźdźców do wspólnoty szczepowej. Jednakże różnice kulturowe i nieposzanowanie odrębnego sposobu na życie przeważnie spelzało na masakrach ludności tubylczej.

W 1988 Australia obchodziła swoje dwustulecie istnienia. Obchodzono to święto z wielkim rozgłosem i fantazją. Duma narodowa wielokulturowego narodu osiągnęła apogeum, kiedy to do pięknej zatoki w Sydney w Nowej Południowej Wali wpłynęły stare wielomasztowce z wielu państw świata. Na sydneyjską plażę znów przybiła „szalupa kapitana Jamesa Cooka a jeden z jego marynarzy” oddał symboliczny strzał ze starej strzelby. Tym razem Aborygeni protestowali dosyć skutecznie, aby zwrócić uwagę opinii świata na swój los. Ogłoszono 26 stycznia tak zwanym Sorry Day - Dniem Żałoby. Aby wyciszyć te głosy niezadowolenia, ówczesny Premier Australii (Bob Hawke) odwiedzał wiele osad aborygeńskich obiecując poprawę ich losu. Dni Australii skończyły się tryumfem dla wielu, rozdano medale i odznaczenia, a każde dziecko szkolne otrzymało specjalnie wybity medal upamiętniający dwieście lat ich ojczyzny. A los Aborygenów toczył się dalej tym samym trybem. Problemy znalezienia się w dwudziestym wieku piętrzyły się na każdym kroku. Frustracja narastała, że zmiany są tak powolne, a rozległa biurokracja zjadała większość pieniędzy przeznaczonych na rozwój społeczności aborygeńskiej. Mandawuy Yunupingu, Aborygen z małej osady nad Zatoką Karpentarii, w Terytorium Południowym, skomponował w 1991, razem z dwójką innych muzyków, piosenkę, która wyraża żądania jego współbratymców. Jest to piosenka Treaty Now (Teraz Traktat), zostaje ona zaadoptowana jako nieoficjalny hymn Aborygenów australijskich.

Podjęto nowe próby integracji ludności pierwotnej z przybyszami, którzy osiedlali się od dwustu lat na tych ziemiach. Wybrano grupę prominentów ze społeczności aborygeńskiej i lu-



dzi z pochodzenia nieautochtonicznego. Komisja Pojednania miała dać podwaliny do nowego podejścia do spraw aborygeńskich. Konferencja trwająca od 1988 do 1998, której zadaniem było znaleźć rozwiązania, aby Aborygeni poczuli się pełnymi i szanowanymi członkami wspólnoty, podjęła wiele nowych inicjatyw. Ludność w większości popierała założenia konferencji. W 1998 ogromne rzesze wyszły na ulice w miastach i miasteczkach niosąc flagi, transparenty i hasła mówiące: Przepraszamy. Jednakże obecny premier Australii (John Howard) nie mógł jakoś wykształcić tego słowa, a więc konferencja zakończyła się raczej fiaskiem.

W roku dwutysięcznym w stronę Australii zwróciły się kamery telewizyjne i oczy ludzi całego świata. Igrzyska Olimpijskie w Sydney w 2000 roku miały pokazać ludzkości "the lucky country" - ten szczęśliwy kraj. Wielu turystów szuka jednakże nie tylko wyczynów sportowych, ale interesuje się także kulturą danego kraju. Australia może poszczycić się przepięknymi obrazami artystów aborygeńskich. Teraz to chluba, ale początki tej sztuki w latach 1970-tych były trudne i wcale nie popierane przez rządową administrację. Ten rodzaj artystycznej ekspresji to historia przetrwania pomimo trudności. Kulminacją dumy Aborygenów z ich kultury i równocześnie uzewnętrznienie innym, że mimo wszystkich prześladowań przetrwali, był moment, kiedy w czasie Igrzysk Olimpijskich, Kathy Freeman, Aborygenka z Queensland, zdobyła w biegu na 400 metrów złoty medal dla Australii i podnosiła z dumą w górę nieoficjalną flagę, ale właśnie flagę aborygeńską. W tryumfalnym obiegu dookoła stadionu Kathy dołączyła do flagi aborygeńskiej także flagę Australii. Ten wspaniały moment był ogromnie ważnym wydarzeniem dla społeczności Aborygenów. Flaga aborygeńska, używana przedtem sporadycznie w czasie różnych lokalnych celebracji, teraz weszła na arenę światową. Ten symbol pierwotnych mieszkańców Australii został legalnie zatwierdzony specjalnym aktem. Czarno-czerwona flaga z żółtym krążkiem w środku jest historią ludzi, którzy walczą o przetrwanie, uznanie ich kultury i o niezależność myśli.

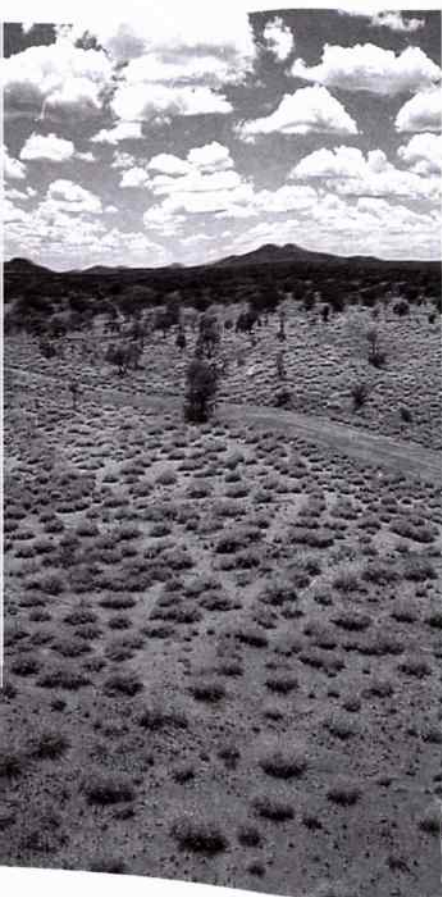
MARZEC 2006

NA ANTYPODACH

Zimne deszcze, gdy w Europie bawi lato,
drzewa tracą korą zamiast liści.
Korzenie brzoź-emigrantek czepiają się ziemi
ich korona pod innym niebem pije słońce.

Zapach eukaliptusów drażni nozdrza,
pory roku myślą kwiaty i liście
a metrowe dżdżownice kręcą się pod ziemią -
nie dla polskiego szpaka takie śniadanie.

Niebieska kopuła w odcieniach intensywna
i bardziej wypukła, tak widzi się oku.
Mowa ulicy nie pieści już uszu
zdrobnieniami znajomych wyrazów
lecz w innej empatii przekazuje myśli.



JAK MOGĘ

Jak mogę twierdzić że jestem już zadomowiona
kiedy kości moich przodków pochowane są gdzie indziej.
W poprzedniej mojej ojczyźnie
ich groby są opuszczone i zarośnięte chwastami

Targana między zobowiązaniami dla rodziny i krewnych
a chęcią poznania nowego wspiełam się na dalekie wybrzeża.
Pożegnałam jedno aby poznać coś odrębnego
jednocześnie błagając przodków o błogosławieństwo

Jednakże miejsce gdzie budowałam nowe życie
należało już od wieków do innych

Hałdy muszli zalegają rozległe plaże
gdzie bawię się z moimi australijskimi już dziećmi.
Drzewa poznaczone rytami oznajmniają obecność innych -
dawnych właścicieli i ich sposób na życie

Terra Australis zadeklarowana Terra Nullius, została,
za sprawą Eddie Mabo,
ziemią która ma granice i drogi handlowe,
każda część ziemi rozpoznana w opowieściach,
pieśniach i legendach.
Kości ich przodków bieleją w pieczarach,
uświęcone prochy w trumnach z pni

A więc jak mogę czuć się zadomowiona
bez uznania tego i pojednania się z Aborygenami?

Edward (Eddie) Mabo, Aborygen ze szczepu Wik z Cieśniny Torres, zabiegał przez wiele lat o zwrot ziemi swoich przodków. Spawa Eddie Mabo została rozpatrzona przez Najwyższy Sąd Australii, który obalił w 1992 pojęcie Australii jakoziemi "niczyzej", tak zwanej "Terra Nullius". Pierwsi osadnicy opierali zajęcie całej Australii na tym właśnie prawie. Middens - hałdy muszli na australijskich plażach to jeden z dowodów wielowiekowego użytkowania bogactwa mórz przez tubylców.

PODZIAŁY ADMINISTRACYJNE NA ŚLĄSKU

NA TLE DZIEJÓW POLITYCZNYCH DZIELNICY OD X DO XIV W. *)

Między Sudetami, Beskidem Śląskim, Wyżyną Krakowsko-Częstochowską i Ziemią Lubuską, w dorzeczu górnej i środkowej Odry leży Śląsk. Składa się on z wielu ziem. Na przestrzeni wieków ustaliły się ich odrębne nazwy, jak np. Śląsk Dolny, Środkowy, Górny, Cieszyński, Opawski, Północny, Pogórze Sudeckie. Ziemie te w ciągu minionych stuleci wchodziły w skład różnych organizmów państwowych i prawie nigdy nie znajdowały się w całości pod panowaniem jednego władcy.

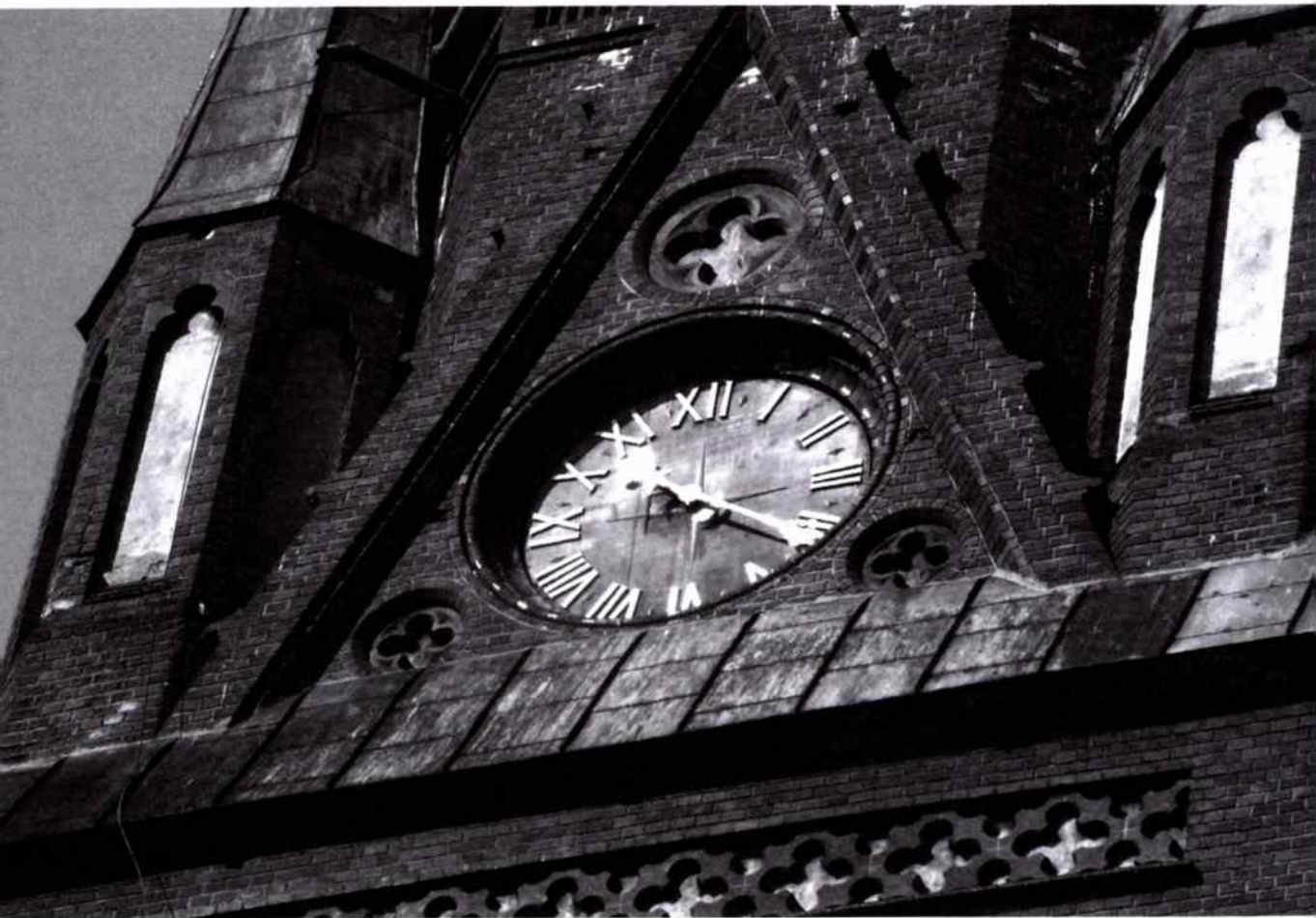
Śląsk znalazł się w granicach tworzonego przez Piastów państwa polskiego w końcu X wieku. Dokonało się to za panowania pierwszego historycznego władcy polskiego Mieszka I, prawdopodobnie między rokiem 985 a 990. W roku 1000 już prawie cały Śląsk znajdował się w granicach Polski Piastowskiej. Pierwsi władcy piastowscy zaczęli organizować na Śląsku zręby organizacji państwowej. Jednym z przejawów ich zapobiegliwej działalności było wzniesienie szeregu grodów, które służyły zarówno do obrony kraju przed najazdem wrogów, jak również były to siedziby możnych panów feudalnych. Do znacniejszych należały: Wrocław, Opole, Racibórz, Cieszyn, Legnica. Stolicą Śląska został Wrocław, gdzie w 1000 roku powstało biskupstwo jako jedno z trzech utworzonych na ziemiach polskich za czasów panowania Bolesława Chrobrego. Administracja kościelna wspomagała wówczas administrację młodego państwa, z drugiej strony korzystała z jego ochrony i licznych bogatych nadań.

Ogromnemu zniszczeniu uległ Śląsk w czasie wielkiego ludowego powstania oraz najazdu czeskiego księcia Brzetysława I, który miał miejsce w 1038 lub 1039 roku. Co do daty nie ma zgodności w źródłach. Na skutek tego najazdu Śląsk przeszedł na kilkanaście lat pod panowanie czeskie. Zajął go orężnie i odzyskał dopiero Kazimierz Odnowiciel około 1050 roku. Sprawa państwowej przynależności Śląska została rozstrzygnięta dzięki pośrednictwu cesarza niemieckiego, na mocy pokoju zawartego w 1054 roku w Kwedlinburgu. Brzetysław I zwrócił Polsce prawie cały Śląsk, zostawiając sobie jednak ziemię opawską, poza tym władcy polscy zobowiązani zostali do płacenia Czechom pieniężnego rocznego trybutu, co stało się jedną z przyczyn walk polsko-czeskich.

W 1097 roku ówczesny władca Polski, Władysław Herman wydzielił Śląsk jako osobną dzielnicę dla syna Zbigniewa. Kiedy jednak Zbigniew ponownie wystąpił przeciwko ojcu i został w walce pokonany, Śląsk – bez miasta Wrocławia – otrzymał młodszy syn Władysława Hermana, Bolesław zwany później Krzywoustym. W międzyczasie Czesi zagarnęli pograniczny gród

Kłodzko. W 1108 roku Bolesław Krzywousty w odwecie za najazdy czeskie urządził wyprawę na Czechy, w wyniku której zdobył Racibórz. Ostatecznie walki z Czechami zakończył pokój zawarty w 1137 roku, na mocy którego przy Czechach pozostała ziemia opawska i Kłodzko, natomiast władcy czescy nie powracali do sprawy trybuntu ze Śląska.

W 1138 roku umarł Bolesław Krzywousty. W myśl jego testamentu Śląsk przypadł, jako dziedziczna dzielnica, najstarszemu jego synowi Władysławowi, który równocześnie jako najstarszy z rodu – senior objął w posiadanie ziemię krakowską i rządzić miał, jako władca naczelny ‘princeps’, całym państwem. Fakt, że właśnie seniorowi i władcy całego państwa przydzielona została ziemia śląska dowodzi, że uchodziła ona za jedną z największych i ważnych. Przeciwno Władysławowi wystąpili młodszy bracia, a także śląskie możnowładztwo z Piotrem Włastem na



czelu. Władysław został zmuszony do opuszczenia kraju, a Śląsk przeszedł na kilkanaście lat pod rządy Bolesława Kędzierzawego, który został również władcą całego państwa. Sytuacja zmieniła się dopiero w parę lat po śmierci Władysława w 1163 roku. Zawarty został układ między braćmi Władysława Wygnańca a jego synami, na podstawie którego ci ostatni otrzymali cały Śląsk w granicach z 1146 roku z Ziemią Lubuską, ale bez Kłodzka. Dwaj najstarsi synowie Władysława podzielili między siebie dzielnicę śląską w ten sposób, że Bolesław I Wysoki dostał cały Dolny i Środkowy Śląsk (z Opolem i Lubuszem), a Mieszko I zwany Płatonogim, kasztelanię cieszyńską i raciborską.

Między Piastami toczyły się walki w całym państwie, w których brali udział książęta śląscy walcząc również między sobą. Ostatecznie walki zakończyły się zawarciem pokoju, na podstawie

którego Bolesław Wysoki utrzymał się na Dolnym Śląsku, Opolszczyznę otrzymał jego starszy syn Jarosław, który później został biskupem wrocławskim, brat Konrad ziemię głogowską i legnicką, zaś Mieszko książę raciborski dostał od Kazimierza Sprawiedliwego Bytom, Oświęcim i Siewierszczyznę. Ziemie te weszły w ten sposób w skład Śląska.

W następnych latach posunął się na Śląsku bardzo poważnie, w stopniu jeszcze większym niż to miało miejsce na innych ziemiach polskich, proces dalszego rozdrobnienia posiadłości tutejszych Piastów.

Z początkiem 1201 roku zmarł syn Bolesława Wysokiego Jarosław i będąca w jego posiadaniu Opolszczyzna przeszła z powrotem w ręce ojca, a kilka miesięcy później po śmierci Bolesława całość przejął najmłodszy z synów Henryk I, zwany Brodatym. Z tym stanem rzeczy nie chciał się pogodzić stryj Henryka Mieszko Płatonogi i wkrótce wcielił te ziemie do swego księstwa raciborskiego. Henryk Brodaty nie był wówczas w stanie toczyć walki ze stryjem i otrzymał od Mieszka Płatonogiego za 1000 grzywien część Opolszczyzny (Otmuchowskie), pogodził się z nim.

Z chwilą śmierci Mieszka, a wobec rezygnacji Władysława Laskonogiego ze starań o tron krakowski, najpoważniejszym kandydatem stał się Henryk Brodaty jako najstarszy po księciu wielkopolskim przedstawiciel rodu Piastów. Gdy około 1229 roku zmarł Kazimierz książę opolski (syn Mieszka księcia raciborskiego), wdowa po nim księżna Wiola oddała swych małoletnich synów Mieszka i Władysława pod opiekę Henryka Brodatego. W ten sposób stał się panem całego Śląska, od ujścia Warty do Odry aż po Oświęcim. Od 1234 roku tytułował się księciem Śląska i Krakowa, był najpotężniejszym polskim księciem.

Po jego śmierci w 1238 roku oderwała się Opolszczyzna, gdzie samodzielnie zaczął rządzić Mieszko II Otyły, wnuk Mieszka I Płatonogiego. Syn i następca Henryka Brodatego, Henryk Pobożny kosztem niewielkich ustępstw terytorialnych utrzymał tron zjednoczonych przez ojca ziem. Śląsk był dobrze zorganizowaną i zagospodarowaną dzielnicą. Niestety, w 1241 roku Polska i Śląsk przeżywa najazd Tatarów. Doszli oni aż do Legnicy, gdzie w trakcie bitwy zginął Henryk Pobożny. Po klęsce legnickiej nastąpił szybki rozpad państwa śląskich Henryków. Henryk Pobożny zostawił pięciu nieletnich synów, najstarszy Bolesław, zwany później Rogatką, miał w chwili śmierci ojca zaledwie 10 lat. On też początkowo objął rządy w księstwie, wkrótce jednak dokonany został podział, który potem parokrotnie ulegał zmianom. Ostatecznie, w latach pięćdziesiątych XIII wieku, Bolesław Rogatka posiadał Legnicę, Głogów i Świdnicę. Oddał jednak wkrótce księstwo głogowskie swemu bratu Konradowi, Henryk zwany Białym otrzymał księstwa wrocławskie i nyskie, Otmuchów, Kluczbork, Wolczyn i Byszynię, Władysław nie otrzymał nic, zostawszy bowiem arcybiskupem salzburskim nie rościł sobie pretensji do udziału w spadku po ojcu.

W 1249 roku Bolesław Rogatka odstąpił arcybiskupowi magdeburskiemu połowę Lubusza i ziemię lubuską. Uczynił to w zamian za pomoc udzieloną mu w walce z bratem Henrykiem Białym. Już w następnym roku również druga połowa ziemi lubuskiej przeszła w ręce niemieckiego arcybiskupa. Z drugiej strony Henryk Biały szukał w tej walce sprzymierzeńców i w tym celu dał margrabiemu miśnieńskiemu do wyboru albo pas ziemi między Kwisą a Bobrem, albo ziemię krośnieńską. Były to pierwsze dobrowolne rezygnacje książąt śląskich z części ich ziem jako konsekwencja prowadzonych przez nich bratobójczych walk.

Inne niepomysłne wydarzenia to nawiązanie bliższych kontaktów z władcami Czech. Zbliżenie prawie wszystkich śląskich książąt do czeskich władców nastąpiło za panowania Ottokara (1260-1265).

Po śmierci Henryka Białego w 1266 roku rządy w księstwie wrocławskim objął jego jedyny syn Henryk IV Probus, czyli Prawy. Podjął on i kontynuował zapoczątkowaną przez Henryków Brodatego i Pobożnego walkę o zjednoczenie ziem polskich. Temu celowi miał służyć układ,

jaki zawarł w roku 1280 z książętami opolskimi Władysławem i jego synem Bolesławem. Henryk Probus wszczął walki z innymi Piastami odnosząc zwycięstwa. Sytuacja jednak uległa zmianie po śmierci wiernego sprzymierzeńca Władysława księcia opolskiego. Jego czterech synowie (Mieszko I, książę cieszyński i oświęcimski; Kazimierz II, książę bytomski i kozielski; Bolesław I książę opolski i Przemyśl książę raciborski) nie zamierzali kontynuować polityki swego ojca.

W 1287 roku władca Krakowa Leszek Czarny nawiązał kontakt z Probussem. Zawarty został układ, na mocy którego Henryk Probus po śmierci Leszka Czarnego miał objąć rządy w Krakowie. Kiedy w 1288 roku zmarł Leszek Czarny, Probus zajął Kraków. Jednak już w 1289 roku musiał się Probus z Krakowa wycofać, gdyż na miasto maszerowały wojska króla czeskiego Wacława II, który po drodze skłonił księcia bytomskiego Kazimierza II do złożenia hołdu. Wkrótce Probus ponownie zajął Kraków. Niestety, w 1290 roku zmarł. Przed śmiercią sporządził testament, na mocy którego zapisał swoją dzielnicę wrocławską stryjeczemu bratu Henrykowi III księciu głogowskiemu, Kraków i ziemię sandomierską księciu wielkopolskiemu Przemysławowi II, a ziemię krośnieńską swemu siostrzeńcowi Fryderykowi, margrabiemu Turynгии. Polecił również zwrócić królowi czeskiemu ziemię kłodzką, wiążąc z tym zobowiązanie, aby król czeski uszanował wszystkie postanowienia jego testamentu. Przeciwnikiem tych planów okazało się mieszczaństwo wrocławskie, które wbrew postanowieniom testamentu wrocławskiego księcia nie wpuściło do miasta Henryka księcia głogowskiego. Podobnie zachował się król czeski Wacław II zgłaszając pretensje do całego spadku po Henryku. Na przełomie 1291/1292 udało mu się opanować Kraków. We Wrocławiu na żądanie mieszczaństwa rządy objął książę legnicki Henryk V Gruby. Nie zamierzał jednak zrezygnować z uprawnień przyznanych mu ostatnią wolą wrocławskiego księcia Henryk książę głogowski. Doszło więc do walki z księciem legnickim, w której zwyciężył Henryk głogowski. Pokonany musiał odstąpić znaczną część swych posiadłości, w rezultacie czego księstwo wrocławskie obejmowało od tej pory jedynie wąski pas wzdłuż Odry, od Otmuchowa, Nysy do Złotoryi. W ten sposób straciło na znaczeniu jedno z największych księstw śląskich, którego władcy rościli sobie pretensje do odegrania decydującej roli w dziejach Śląska i Polski.

Na czoło wysunęły się natomiast w tym czasie dzielnica głogowska rządzona przez dwóch braci Henryka III księcia głogowskiego i Konrada księcia żagańskiego oraz dzielnica jaworsko-świdnicka pod rządami syna Bolesława Rogatki, Bolesława I księcia świdnickiego. Henryk książę głogowski nie zaprzestał walki o zwiększenie terenu swego władania, broniąc się równocześnie skutecznie przed zaborczymi zakusami króla czeskiego. Pozyskać potrafił książąt śląskich: Bolka księcia opolskiego i Mieszka księcia cieszyńskiego, a także zdołał poszerzyć swoje księstwo aż po granice Wielkopolski. Dalsze możliwości zwiększenia obszaru jego panowania przyniósł testament Przemysława księcia wielkopolskiego, który swoim następcą uznał Henryka księcia głogowskiego. Napotkał jednak na opór Władysława Łokietka i musiał mu odstąpić prawie całą Wielkopolskę. Nie zaprzestał mimo to walki, w której uzyskał pomoc Bolka I księcia świdnickiego, pod którego rządami księstwo świdnickie poważnie się rozrosło. Bolko I przyłączył do swojego terytorium sąsiednie ziemie i następujące miasta: Strzegom, Świdnicę, Strzelin. Mianowany po śmierci brata Henryka V Grubego opiekunem jego małoletnich synów Bolesława księcia brzeskiego, Henryka VI księcia wrocławskiego i Władysława księcia legnickiego objął swą władzę cały Dolny i środkowy Śląsk.

Zupełnie inaczej kształtowała się sytuacja w południowej części kraju, na Górnym Śląsku, gdzie następował szybki podział i rozdrobnienie istniejących księstw. W 1280 roku posiadłości Władysława księcia opolskiego podzielone zostały w ten sposób, że Mieszko dostał księstwo cieszyńskie, Kazimierz - bytomskie, Bolesław - opolskie, Przemko - raciborskie. Drobnicy książęta, władający niewielkimi państewkami, niezdolni byli do prowadzenia jakiegokolwiek samodzielnej polityki. W tej sytuacji łatwo było sąsiadom, szczególnie władcom czeskim uzyskiwać wśród nich

wpływy. W 1291 roku król czeski Wacław II doprowadził do porozumienia z Bolkiem księciem polskim i Mieszkim księciem cieszyńskim. Zgodzili się oni wpuścić czeskie załogi do swoich grodów i zobowiązali się wspomagać w razie czego króla czeskiego. Układu takiego natomiast nie zawarł Przemko książę raciborski.

Był to okres szczytowego rozbicia feudalnego na Śląsku. Na początku XIV wieku istniało tu 17, a niekiedy 18 małych księstw. Ich władcy uważali się za niezależnych, nie uznawali władzy księcia krakowskiego, natomiast gotowi byli uzależnić się od króla Czech. Potrzebując ciągle pomocy i pieniędzy uzależniali się od miast, których rola stale wzrastała.

W 1311 roku podzielono dzielnicę Henryka V Grubego między jego synów: Henryka VI, który otrzymał Wrocław i Władysława, któremu przypadła Legnica; najmłodszy Bolesław miał zostać przez obu braci sflacony, szybko jednak upomniał się o swoje prawa. W spowodowanych tym bratobójczych walkach wrocławscy książęta, a szczególnie Bolesław, szukali pomocy u króla czeskiego. W rezultacie Bolesław otrzymał Legnicę.

Również w drugim dolnośląskim księstwie, w księstwie głogowskim, doszło w 1312 roku do podziału między pięciu braci: Konrad i Bolesław dostali we wspólne władanie Oleśnicę, Wołów, Trzebnicę i część Wielkopolski, Henryk i dwaj najmłodszy: Jan i Przemko – Głogów, Żagań i Ścinawę z dzielnicą poznańską. Także ci książęta nie wykazywali większego zainteresowania dla spraw szerszych, zajmowali się tylko własnymi niewielkimi dzielnicami. W roku 1319 odstąpili margrabiemu brandenburskiemu pas Wielkopolski i Śląska od Zbąszynia po Międzyrzecz, Świebodzin i Lubszę.

Książęta śląscy, podający się za książąt polskich, nie chcieli uznać koronacji Władysława Łokietka na króla Polski. Spośród nich wierności Polsce dochowali synowie księcia świdnickiego Bolka I: Bernard, Bolko II książę ziębiicki i Henryk I książę jaworski. Przyszedł zresztą czas, że do Polski, do jej władcy Władysława Łokietka, zbliżyli się również ci górnośląscy książęta, którzy poprzednio wiązali się z Czechami: Kazimierz II książę bytomski i Władysław książę kozielski. W latach 1319-1320 deklaracje o tym, że są polskimi książętami, a ich księstwa stanowią część państwa polskiego złożyli: Bernard książę świdnicki, Henryk książę głogowski, Konrad książę namysłowski, Przemko książę głogowski. Nie uznawali oni jednak nad sobą zwierzchnictwa polskiego króla.

Po śmierci Bolesława księcia oleśnickiego w 1320 roku doszło do walki między kilkoma śląskimi książętami. Jeden z nich, Konrad I książę namysłowski przybrał tytuł dziedzica polskiego królestwa, a wtedy Łokietek wyprawił się zbrojnie na Śląsk. W toku walki powstała koalicja książąt śląskich stojących u boku Łokietka. Byli to: Bolesław III książę brzesko-legnicki, Henryk VI książę wrocławski, Bolesław II książę opolski i miasto Wrocław. Zwycięstwo Łokietka doprowadziło do tego, że książę wrocławski, mieszczanie i kapituła, Bolesław II książę opolski i Konrad I książę namysłowski uznali zwierzchnictwo polskiego króla nad Wrocławiem. W 1323 roku Konrad I, władca księstwa oleśnickiego i namysłowskiego oraz Bolesław II książę opolski zawarli w Krakowie z królem polskim układ, w którym określili go jako swego pana zwierzchniego. Na stronę króla przeszedł również Przemko książę głogowski. Był to szczyt sukcesów Łokietka na Śląsku. Jego władzę królewską uznali: Henryk VI książę wrocławski i miasto Wrocław, Bolesław III książę brzesko-legnicki, Konrad I książę oleśnicko-namysłowski, kapituła wrocławska, obaj książęta świdniccy Bernard i Henryk I książę jaworski oraz książęta górnośląscy. Sprawą Śląska nie interesowali się polscy możnowładcy, nie widząc w tym żadnych dla siebie korzyści. Pod ich naciskiem Łokietek zdecydował się na rezygnację z Wrocławia, a na Śląsku przewagę i wpływy zaczęli uzyskiwać Czesi.

W dniach 18 i 19 lutego 1327 roku na dworze króla czeskiego Jana Luksemburczyka w Opawie stawili się czterej górnośląscy książęta: Bolesław I książę niemodliński, Kazimierz książę cieszyński, Władysław książę kozielski i Leszek książę raciborski. Przybyli tam, aby złożyć królo-

wi czeskiemu hołd, uznać się jego lennikami. W parę dni później uczynił to samo książę oświęcimski Jan. Nie zjawił się tylko najpotężniejszy z grona książąt górnośląskich Bolesław II książę opolski.

4 kwietnia 1327 roku w Pradze książę wrocławski Henryk VI zawarł z królem czeskim układ, na mocy którego swoje księstwo przekazał dobrowolnie koronie czeskiej. Władzę książęcą miał tam sprawować do końca życia. Otrzymał również w dożywocie ziemię kłodzką oraz 1000 grzywien srebra pensji rocznie. 6 kwietnia tegoż roku we Wrocławiu złożył czeskiemu władcy hołd lenny ostatni z górnośląskich książąt Bolko II opolski. W dwa lata później w 1329 roku we Wrocławiu uczynili to samo czterej książęta środkowo- i dolnośląscy: Jan książę ścinawski, Konrad I książę oleśnicki, Henryk II książę żagański i Bolesław III książę brzesko-legnicki. W ten sposób znaczna część Śląska dostała się pod panowanie czeskie.

Kilku książąt śląskich nie uległo jednak wtedy naciskowi króla czeskiego. Byli to: książę świdnicki Bolko II Mały, jaworski Henryk I i głogowski Przemko. W 1331 roku zmarł książę Przemko, po czym jego księstwo mieli objąć zgodnie z zawartym wcześniej układem Jan książę ścinawski i Henryk II książę żagański. W Głogowie i Bytomiu nadodrzańskim rządy objął książę świdnicki Bolko II Mały, syn księcia Bernrada. Sprzeciwił się temu jednak Jan Luksemburczyk i urządził zbrojną wyprawę, która zdobyła podstępnie Głogów. Miasto to król czeski wcielił do korony czeskiej. W rezultacie niezależność utrzymało już tylko trzech przedstawicieli świdnickiej linii Piastów: Bolko II Mały, Henryk I książę jaworski i Bolko II książę ziebicki. Niezależne od Czech było również biskupie księstwo nysko-otmuchowskie.

W czasie układów w Tenczynie w 1335 roku król czeski domagał się od króla polskiego zgody na oderwanie Śląska od Polski, ofiarując w zamian rezygnację z pretensji do korony polskiej. Kazimierz Wielki tych warunków nie przyjął i ze Śląska nie zrezygnował. Pod koniec 1335 roku zmarł książę wrocławski Henryk VI, a księstwo jego przeszło pod bezpośrednie władanie króla Czech. W 1336 roku książę ścinawski Jan porozumiał się z królem czeskim i w zamian za dożywotnie posiadanie Głogowa odstąpił mu księstwo ścinawskie. W tym samym roku Henryk I książę jaworski odstąpił Czechom Żytawę i Zgorzelec, utrzymując jednak swą niezależność. W 1337 roku Bolko książę ziebicki zobowiązał się, że jego poddani złożą hołd czeskiemu królowi, on sam zachował dla siebie tylko Ziębice. W tymże roku po bezpotomnej śmierci księcia raciborskiego Leszka, król czeski oddał to księstwo w lenno Mikołajowi II opawskiemu, z rodu czeskich Przemyślidów. W 1338 roku zmusił księcia oleśnickiego Konrada I do odstąpienia mu Lubina z okregiem.

Kazimierz Wielki, który nie uznał warunków traktatu tenczyńskiego i zwlekał jak najdłużej z uznaniem zaborów dokonanych przez Czechy, w 1339 roku wystawił w Krakowie dokument, na mocy którego zrezygnował z wszelkich pretensji do księstw wymienionych w akcie tenczyńskim. Rezygnacja ta nie obejmowała więc księstwa ziebickiego, którego władca złożył hołd po roku 1335. Nie dotyczyła też tych książąt, którzy nie poddali się królowi czeskiemu. Byli to Bolko II Mały świdnicki i Henryk I jaworski oraz biskupie księstwo nysko-otmuchowskie. Ale już dwa lata później musiał Kazimierz Wielki objąć rezygnacją również księcia ziebickiego. A w 1342 roku także księstwo biskupie uznało zwierzchnictwo króla czeskiego.

*) Fragment pracy seminaryjnej z historii Śląska, napisanej pod kierunkiem dra hab. M. Masnyka w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Raciborzu, na kierunku historia.

PLAC DŁUGOSZA I JEGO OKOLICE



Stojąc na raciborskim Rynku pod kolumną Maryjną i spoglądając w kierunku południowym dostrzeżemy basztę więzienną, stojącą przy ul. Basztowej. Młodszy mieszkańcy naszego miasta są przekonani, że zawsze tak było, że – nie licząc 800-letniej fary – teren od Rynku do ul. Basztowej, a nawet dalej, do ul. Drzymały, był jedną, wielką, otwartą przestrzenią, z obszarami zieleni. Taka sytuacja istnieje jednak dopiero od 1945 roku, a nawet od lat 1960-ych. Trudno sobie bowiem wyobrazić, aby w średniowiecznym mieście, otoczonym murami, gdzie cenna była każda piędź ziemi, były tak duże obszary niezabudowane. Przyjrzyjmy się tej części miasta, jak zmieniła się w ciągu stuleci.

Wychodząca od Rynku w kierunku południowym ul. Nowa na odcinku do ul. Solnej była niegdyś nazywana ul. Kramarską. Później przyjęła się dla całości nazwa ul. Nowej, co zapewne stanowiło nawiązanie do Bramy Nowej. Mury miejskie opasały miasto od strony południowej na wysokości ul. Basztowej. Jeszcze dzisiaj znajdziemy ich fragmenty obok baszty a także w podwórzu byłego szpitala przy ul. Lecznicy 7. Na końcu ul. Nowej mieściła się brama miejska, nosząca miano 'Bramy Nowej', bo też została najpóźniej zbudowana. W dokumencie z 1299 roku księcia raciborskiego (w latach 1290-1306) Przemka, wymienia się mury miejskie i dwie bramy – Odrzańską, i Wielką – na końcu dzisiejszej ul. Długiej. Dopiero z 1351 r. mamy wzmiankę o trzeciej bramie, 'Nowej' właśnie.

Ulica Nowa była oczywiście zabudowana. Urbarz z 1595 r. wymienia przy „Neuegassen” 32 domy mieszkalne, zobowiązane do płacenia różnych danin na rzecz miasta, a na ul. Kramarskiej dodatkowo 9 domów. Przywołajmy za urbarzem nazwiska niektórych mieszczan: Puchala, Massurekh, Rusga, Puzderko, Kirschner czy Binder. Zaś przy wspomnianej ulicy Kramarskiej mieszkali i Lenhart Tschach i Woytekh Chechowicz, Paul Goldtschmidt i inni. Nawet zważywszy, że urbarz był pisany po niemiecku, nie sposób nie zauważyć, że w Raciborzu mieszkali obok siebie ludzie różnych narodowości.

Kiedy pruski minister hrabia Georg Karl von Hoym w dniu 27 kwietnia 1783 r. pisze do swojego króla, wytyka wiele braków, jakie stwierdził w Raciborzu, nadmienia jednak, że ul. Nowa [obok Rynku, ul. Kolegiackiej (Mickiewicza), i ul. Panieńskiej (Chopina)] jest wybrukowana. W 1802 r. dyrektor policji Blühdorn kazał zamontować na swoim domu przy ul. Nowej pierwszy w Raciborzu piorunochron. Cztery lata później przy ul. Nowej zaczadziła się cała rodzina rzeźnika Wunscha – był to pierwszy wypadek zatrucia spowodowany stosowaniem nowego opału – węgla kamiennego. Budżet miasta na 1879 r. przewidywał na ul. Nowej zmianę 'kocich łbów' na kostkę granitową, gdyż „ulica jest już skanalizowana”. Późniejszy założyciel ogromnej fabryki czekolady przy ul. Batorego-Środkowej-Podwalu, Fr. Sobotzick, uruchomił przy ul. Nowej pierwszą w Raciborzu cukiernię. Kiedy, zbudowana w 1857 r., gazownia w roku 1873 stała się własnością miasta, wprowadzono w Raciborzu oświetlenie gazowe, zaczynając właśnie od ul. Nowej. W latach 1880-ych przy ul. Nowej działało 10 lamp gazowych najnowszej produkcji. W 1915 r. przy ul. Nowej, liczącej 26 ponumerowanych domów, było zainstalowanych aż 35 telefonów.



Paweł Newerla

urodz. w 1932 r. w Pietrowicach Wielkich w powiecie raciborskim. Świadectwo dojrzałości uzyskał w 1951 r. w raciborskim gimnazjum. Absolwent wydziału prawa uniwersytetu wrocławskiego. Pracę zawodową rozpoczął w Narodowym Banku Polskim w Raciborzu. W NBP, w którym pracował przez 26 lat, zajmował różne stanowiska; w latach 1972-77 był dyrektorem tego banku w Raciborzu. Po odejściu z banku do dziś pracuje jako radca prawny.

Z zamiłowania historyk, w szczególności zajmujący się dziejami Raciborza, ziemi raciborskiej a także Śląska. Autor względnie współautor kilku książek. Publikuje po polsku, po niemiecku i po czesku. Jego „Opowieści o dawnym Raciborzu”, które Towarzystwo Miłośników Ziemi Raciborskiej opublikowało w kilku wydaniach, osiągnęły łączny nakład 4 500 egzemplarzy, co można zapewne uznać za sukces wydawniczy. Poszerzoną, niemiecką wersję tej książki „Ratibor einst und jetzt” sprzedano w nakładzie 1 900 egzemplarzy. Obie pozycje są od dawna wyczerpane. Jest współautorem „Zarysu historii Krzanowic – Abriss der Geschichte von Kranstädt” (Krzanowice 1996) i „Dziejów parafii WNMP w Raciborzu” (Racibórz 2005).

Opracował kilka wydawnictw okolicznościowych, jak np.: „725 lat parafii Pietrowice Wielkie” (Pietrowice W. 1992), „Kościół św. Krzyża w Pietrowicach Wielkich” (Pietrowice W. 2000) czy „Sąd Rejonowy w Raciborzu 1826-2006” (Racibórz 2006).

Twórca tekstów do kilku wydawnictw albumowych: „Racibórz czarną kreską” Wiesława Gąziowskiego (Racibórz 1997), „Racibórz w fotografii Bolesława Stachowa” (Katowice 1998), „Racibórz wczoraj i dziś” pod red. Ryszarda Frączka (Racibórz 1998), „Ziemia Raciborska w fotografii Bolesława Stachowa” (Ra-

Ulicą Nową przechodziły wiernopoddańcza pochody i manifestacje ku czci królów i cesarzy, tu maszerowały w latach 1920-30-ych formacje SA i SS (w latach 1930-ych ul. Nowa została przemianowana na ‘Strasse der SA’). Również za czasów PRL ul. Nowa i pl. Długosza były miejscem odbywania manifestacji i pochodów.

Cała wschodnia (lewa) strona ul. Nowej jest dzisiaj niezabudowana. Do 1945 roku ul. Nowa była gęsto zabudowana, nawet na skwerku, oddzielającym ulicę od kościoła, stały wysokie kamienice. Naprzeciw wlotu ul. Solnej jest plac, pokryty dużymi płytami betonowymi. Był to ‘Nowy Targ’ (Neumarkt). Następnie wzdłuż ul. Nowej ciągnie się plac, wykorzystany dzisiaj jako parking. Ten teren był także zabudowany. Później następuje kolejny wybetonowany plac, zwany niegdyś ‘placem Marcelego’ (Marzellus-Platz), poświęcony legendarnemu obrońcy naszego miasta przed najazdem Scytów.

Wróćmy na Nowy Targ (dla zlokalizowania poszczególnych obiektów i zdarzeń będziemy się posługiwali starymi nazwami, ponieważ ‘pl. Długosza’ obejmuje teren zbyt duży). W innych dokumentach plac ten jest nazywany także ‘Małym Rynkiem’ – zapewne dla odróżnienia od głównego Rynku. W dokumencie z 1510 roku nadano pewne przywileje domowi z browarem i ogrodem przy ‘Targu Końskim’. To kolejna nazwa dla tej przestrzeni. Targi końskie odbywała się niegdyś na placu przed ‘Kamienicą’ w Ostrogu, niedaleko mostu zamkowego. Miasto jakimś sposobem ściągnęło te targi do miasta i wyznaczyło Nowy Targ do prowadzenia handlu końmi. Dodajmy przy tej okazji, że na pl. Zborowym (dzisiejsza część ul. Mickiewicza w pobliżu pomnika Eichendorffa) handlowano bydem i trzodą chlewną. Przeniesienie targów do miasta doprowadziło zresztą do sporu z hrabią Feliksem von Sobeck, ówczesnym dzierżawcą dóbr raciborskich, w którego karczmie ‘Klepacz’ w Ostrogu zmniejszyła się sprzedaż piwa i gorzałki; sporu rozstrzygniętego przez wrocławskie władze zresztą na korzyść miasta.



W 1817 r. powołano w Raciborzu ‘Wyższy Sąd Krajowy dla Prowincji Górnośląskiej’ ustanawiając go najwyższą instancją sądową dla całego Górnośląska. Nie godziło się, aby w mieście, chlubiącym się sądem krajowym,

niedaleko centrum odbywano targi zwierzęce, dlatego magistrat zdecydował o przeniesieniu tych targów przed bramy miejskie – na pl. Międzymurza (Zwingerplatz), dzisiejszy pl. Wolności.



Po usunięciu targów końskich plac został w 1818 roku wybrukowany. W tym samym roku ustawiono na placu statuę św. Jana Nepomucena. Pomnik jest prawdopodobnie dziełem Jana Melchiora Oesterreicha, twórcy kolumny Maryjnej na Rynku i pomnika św. Jana Nepomucena, stojącego do dziś przy ul. Bosackiej. Statua z Nowego Targu stała na dziedzińcu klasztoru pań dominikanek (dzisiejszy Zespół Szkół Ekonomicznych przy ul. Gimnazjalnej). Po sekularyzacji klasztoru ówczesny proboszcz od raciborskiej fary, Jan Nepomucen Zolondek, zlecił poddanie na własny koszt renowacji pomnika swojego patrona i kazał ustawić go na Nowym Targu. Poświęcenia dokonał proboszcz miejski osobiście dnia 16 września 1818 roku.

Musimy także nadmienić, że wraz z wybrukowaniem Nowy Targ otrzymał także oświetlenie; zainstalowano wówczas w mieście 55 nowych latarni (pierwsza latarnie uliczne – tranowe i oliwne – umieścili na swoich domach niektórzy raciborscy kupcy już w 1803 r.).

Ponieważ z placem związane były tradycje handlowe, z czasem urządzano tu w czwartki sprzedaż nabiału, głównie masła. Spowodowało to powstanie obiegowej nazwy „targu masłanego” (Buttermarkt). Z przekazu znane jest zdarzenie sprzed I. wojny światowej, kiedy jedna z handlarek, widząc iż żandarm sprawdza rzetelność wagi sprzedawanych towarów, wepchnęła do osetki masła monetę pięciomarkową, aby przezornie zwiększyć ciężar. Jedną z kucharek, która widziała całe zdarzenie, chciała kupić właśnie tę osetkę masła. Mimo oporów przekupka, wobec żandarma, musiała jednak tę „ciężką” osetkę masła sprzedać.

Nowy Targ związany jest także ze szkolnictwem. W 1780 r. wybudowano na dzisiejszym skwerku z fontanną za 1026 talarów nowy budynek szkolny. Z pisma magistratu z roku 1783 wiemy, że w szkole były dwie klasy: w pierwszej kantor uczył abecadła, a w drugiej rektor przyswajał dzieciom sztukę czytania i liczenia oraz uczył religii. Tematyka raciborskiego szkolnictwa jest, szczególnie z dzisiejszego punktu widzenia, arcyciekawa, ale na to tu nie miejsce. Już po 40

cibórz 2001), „Dawne Rudy” Grzegorza Wawoczego (Racibórz 2002), „Poeta Ziemi naszej – Der Dichter unserer Heimat, Fotografie Bolesława Stachowa do tekstów Josepha von Eichendorffa” (Racibórz 2004) czy „Kościoły Raciborza” (Katowice 2006).

Autor ponad 100 artykułów, poświęconych historii, gospodarce, finansom, kulturze a także wyróżniającym się ludziom, ogłoszonych w „Nowinach Raciborskich”, „Zeszytach Raciborskich »Strzecha«, „Ziemi Raciborskiej”, „Zeszyty Eichendorffa – Eichendorff-Hefte”, „Gazecie Raciborskiej”, „Unser Oberschlesien”, „Der Ratiborer”, „Vlastivědné listy” i in. Opracował także 50 biogramów do „Słownika Biograficznego – Raciborzanie Tysiąclecia” (Racibórz 2002). Uczestnik wielu konferencji, na których wygłaszał referaty — „Dziedzictwo kulturowe pogranicza śląsko-morawskiego”, „Dzieje Opawy”, „Z dziejów Ziemi Raciborskiej”, „Stosunki ludnościowe w Raciborskiem w XIX. i XX. wieku”, „Wybitne postacie ziemi raciborskiej w XX wieku”, „Integracja Europy na pograniczu trzech kultur – Twórczość i postać Josepha von Eichendorffa oraz ich wpływ na proces integracji” czy „Pejzaże pogranicza polsko-czeskiego”, i in.

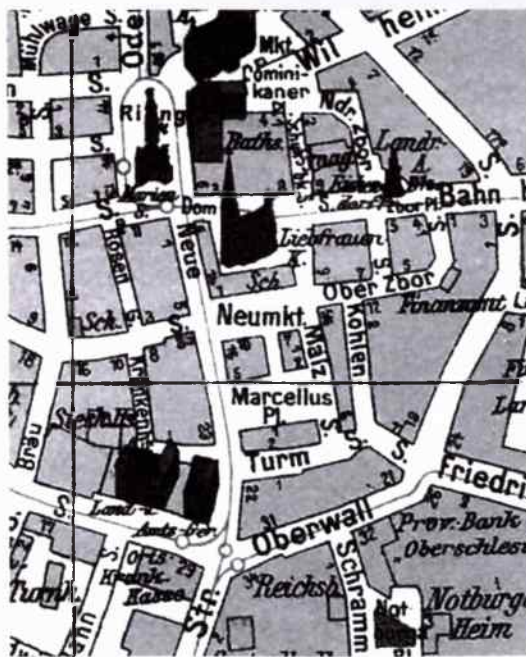
Autor, spotykających się z dużym zainteresowaniem, odczytów poświęconych różnej problematyce – od „EURO – nasza (przyszła) wspólna waluta” po „Racibórz połowy XIX wieku”.

Uczestnik szeregu spotkań z młodzieżą szkolną i gimnazjalną.

Laureat nagrody za osiągnięcia w dziedzinie kultury Prezydenta Miasta Racibórz oraz podobnej nagrody Starosty Raciborskiego.

latach szkoła nie pomieściła wszystkich uczniów i zaszła potrzeba wybudowania nowego budynku.

Miasto wykupiło od parafii sąsiadującą ze szkołą wikaarówkę. Ze względu na obecne 'cykle budowlane' warto przywołać daty związane z budową szkoły (uznajemy jednak za niegodziwe powoływanie jako przykładu kontrastowego szczegółów budowy – nowoczesnymi, zmechanizowanymi metodami – np. szpitala przy ul. Gamowskiej). Dnia 1 kwietnia 1829 r. nastąpił koniec roku szkolnego i dzieci opuściły budynek, który natychmiast został rozebrany. Położenie kamienia węgielnego pod nową budowlę według projektu królewskiego inspektora budowlanego Bogumiła Tschecha nastąpiło 4 maja tego samego roku. Z braku



miejsca musimy pominąć ciekawe informacje o znaleziskach archeologicznych, odkrytych na głębokości 6 m. Dnia 18 października 1830 roku, zatem po roku i pięciu miesiącach budowy, ks. prałat Zolondek dokonał uroczystego poświęcenia nowej szkoły. Koszt budowy wynosił 18 321 talarów i 9 srebrnych groszy. Szkoła była koedukacyjna. Dopiero w 1880 r., kiedy 'wyższą szkołę mieszczańską' ulokowano w budynku przy pl. Mostowym, chłopców przeniesiono do gmachu przy ul. Solnej, i szkoła na Nowym Targu stała się „katolicką szkołą ludową dla dziewcząt im. św. Jadwigi”. W grudniu 1944 r. w budynku urządzono szpital polowy, a w 1945 r. spłonął; później ruiny rozebrano, a na skwerku urządzono fontannę.

Południowa część pl. Długosza w 1846 r. otrzymał nazwę 'pl. Marcelego', a cztery lata później został wybrukowany. W 1851 r. na placu ustawiono marmurową cysternę, skąd okoliczni mieszkańcy mogli czerpać dobrą wodę sprowadzaną miejskimi wodociągami z Obory.

Jednak w 1779 roku na tym placu poświęcono kamień węgielny pod budowę kościoła ewangelickiego. Bardzo obszerny kościół, znacznie przekraczający potrzeby wojskowych i świeckich raciborskich protestantów, został poświęcony w 1782 r.

Wokół kościoła został urządzony cmentarz. W maju 1801 roku szerzyły się pogłoski, jakoby na tym cmentarz pochowano żywcem żonę parobka składu celnego, Lindnera. Słyszano jakoby gwizdy i jęki wychodzące z cmentarza. Dla uspokojenia wzburzonego tłumu magistrat nakazał przeprowadzenie ekshumacji pod nadzorem fizyka miejskiego, jak wówczas nazywano lekarza urzędowego. Stwierdzono, że ciało pani Lindnerowej było już w stanie rozkładu, a odgłosy pochodziły od gołębi i z dachówek okolicznych domów.

Ze względu na złe posadowienie kościół, który groził zawaleniem, trzeba było zamknąć. Gminie żydowskiej, która zaoferowała najwyższą cenę za budynek i działkę (z zamiarem wybudowania tam synagogi) odmówiono sprzedaży. Król pruski, na którego koszt kościół wybudowano, kazał kościół rozebrać a plac przeznaczył na cele publiczne.

Wspomnieliśmy, iż na Nowym Targu w czwartki handlowano nabiątem. Na wybrukowanym już pl. Marcelego codziennie handlowano mięsem i drobiem.

Warto jeszcze nadmienić, że na pl. Marcelego na początku lat 1920-ych wybudowano pierwszą w mieście stację benzynową wraz z szaletem publicznym. Budynek ten, mimo likwidacji stacji benzynowej, nadal się zachował.

Środek pl. Długosza, stanowiący dzisiaj parking, był gęsto zabudowany wysokimi kamienicami, pełnymi sklepów. Poza ul. Nową i ul. Piwną, łączącymi Nowy Targ z pl. Marcelego, przez środek dzisiejszego parkingu przechodziła jeszcze jedna, wąska uliczka, nosząca nazwę 'ul. Marcelego'.

Skoro wspomnieliśmy ul. Piwną warto zauważyć, że nazwa ta stanowi nawiązanie do niegdyś istniejącego na rogu tej ulicy i ul. Zborowej, browaru. Miasto, potrzebujące pieniędzy na spłacenie długów wojennych, sprzedało ten browar wraz ze słodownią w 1818 r. za 8 000 talarów burmistrzowi Prechtowi. Właśnie słodownia (niem. 'Malz') nadała tej ulicy niemiecką nazwę 'Malzstrasse'. Pod koniec XIX wieku część zabudowań przebudowano na restaurację a obok wybudowano duży browar, który z niewielkimi zniszczeniami uchwalił się z pożogi wojennej. Do wczesnych lat 1960-ych, kiedy browar ostatecznie rozebrano, aby zrobić miejsce pod duży blok mieszkalny (ul. Piwna 2-12), w zabudowaniach mieściła się wylęgarnia drobiu.

W latach powojennych wszystkie zabudowania wokół ul. Nowej i pl. Długosza rozebrano, choć wiele budynków niewielkimi nakładami nadawało się do odbudowy. Powstał wielki, pusty pl. Długosza. Ta przestrzeń została jeszcze optycznie powiększona przez odsunięcie zabudowy zachodniej pierzei od ul. Nowej. Wspomnieliśmy już, że na tym wielkim placu za czasów PRL urzą-

dzano manifestacje z okazji różnych świąt państwowych. Dla tych celów przy ul. Basztowej zbudowano betonową estradę. Ostatnio ten plac był zapelniony, kiedy tysięczne rzesze raciborzan w dniach 7 i 8 kwietnia 2005 roku zebrały się na uroczystościach związanych ze śmiercią nieodżałowanego papieża Jana Pawła II.



NIEZNANE KARTY HISTORII ZIEMI RACIBORSKIEJ OBOZY DLA POLAKÓW 1942 – 1945 R.

- POLENLAGER NR 82 W POGRZEBIENIU

Jest rzeczą zaskakującą, że wiele lat po II wojnie światowej społeczność Raciborza prawie nic nie wie o obozach organizowanych przez hitlerowców na naszych terenach. W historiografii miasta pojawiają się jedynie rzadkie, krótkie wzmianki o istnieniu Polenlagru w Pogrzebieniu.

Prace dotyczące polskiej martyrologii odnotowują obozy w powiecie raciborskim, ale jedyną monograficzną pozycją dotyczącą Polenlagrów pozostaje książka Romana Hrabara „Niemieckie obozy dla Polaków na Śląsku w czasie II wojny światowej „Polenlager” z roku 1972.

Najwyższy czas już przypomnieć i wprowadzić tę trudną i bolesną tematykę do świadomości raciborzan oraz na karty historii lokalnej.

OSIEDLEŃCY NIEMIECCY.

Bezpośredni wpływ na powstanie obozów dla ludności polskiej miała polityka przesiedleńcza Niemiec. Z jednej strony starano się sprowadzić do Rzeszy szeroko rozumianą ludność niemiecką z różnych krajów Europy, z drugiej wyrzucić polskich rdzennych mieszkańców z terenów Rzeszy oraz terenów przyłączonych. W latach 1939- 44 w ramach polityki wzmocnienia niemieckości Śląska dokonywano przesiedleń na podstawie dekretu Adolfa Hitlera z 07.10 1939 roku w sprawie przesiedleń ludności niemieckiej. Nad całością czuwał Heinrich Himmler jako Reichsfürer SS i Komisarz Rzeszy dla Umacniania Niemczyzny. Dekret wykonywało kilka instytucji m. in. Volksdeutsche Mittelstelle (VoMi) (Centrala Przesiedleń Niemców, Niemieckonarodowy Urząd Pośrednictwa lub Etnicznoniemiecka Placówka Pośrednictwa).

Po wrześniu 1939 roku Racibórz znalazł się w tzw. Odcinku Górnośląskim jako powiat miejski oraz powiat wiejski. Przy czym po zmianach administracyjnych powiat raciborski obejmował część obecnych terenów czeskich z Dolnym Benešovem oraz część dzisiejszego powiatu wodzisławskiego z Gorzycami i Gorzyczkami.

W Raciborzu Niemcy z ZSRR i Lotaryngii mieszkali m. in. w raciborskich parafiach: św. Mikołaja - „Nikolaus - Heim” nr 73 Najświętszego Serca Pana Jezusa - „Herz- Jesu- Stift” nr 74, św. Paschalisa, w klasztorze Franciszkanów - Franziskaner - Kloster nr 77 i Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, Domu św. Notburgi „Notburgaheim” nr 78.

W Raciborzu i Pogrzebieniu przebywali także w obozach przesiedleńczych Niemcy z Bukowiny. Znalazło się wśród nich, jak i w innych obozach, wielu Rumunów i Ukraińców nie utożsamiających się z narodem niemieckim, część była rozczarowana przyznanymi gospodarstwami, a część została odrzucona przez komisję rasową jako nieprzydatni dla III Rzeszy. Powstała nawet specjalna komisja niemiecko - rumuńska, która działała od 26.10 do 09.12 1942 roku w Gliwicach. Wizytowała ona obozy dla przesiedleńców, którzy zdecydowali powrócić do swego



kraju („Rückkehrerlagry”) m. in. w Raciborzu.

Według danych z 01.08 1943 roku w powiecie raciborskim osiedlono tylko 6 Niemców na 36 531 przesiedleńców osadzonych w Prowincji Górnośląskiej. Dane te potwierdzają, że tereny raciborszczyzny nie były objęte akcją wzmocnienia narodowego.

POLENLAGER

Obozy dla ludności polskiej powołał Heinrich Himmler i wpisał je w strukturę VoMi w połowie 1942 rozszerzając działalność tej instytucji, która zajmowała się przede wszystkim przesiedleniami Niemców. W Prowincji Górnośląskiej podlegały one gauleiterowi Fritzowi Brachterowi, a zarządzane były bezpośrednio przez VoMi. To właśnie część obozów dla przesiedleńców została przystosowana na obozy dla Polaków. W Katowicach mieściło się Dowództwo Operacyjne VoMi dla Górnego Śląska, a w niektórych powiatach dowództwa powiatowe, w tym w Raciborzu.

Sieć obozów nazwanych Polenlager umiejscowionych jedynie na terenie Śląska w rejencji opolskiej i katowickiej, była jednym z instrumentów represji wobec Polaków, którzy byli w nich germanizowani i wykorzystywani do pracy. Według zgodnych relacji więźniów i okolicznych mieszkańców lagrów największym problemem był głód i choroby, które były wynikiem strasznych warunków sanitarnych. Obozów, w których umieszczano z zasady ludność polską było 24, w tym 4 na obecnym terytorium Republiki Czeskiej, lagry tworzone na obszarach zamieszkałych przez ludność niemiecką lub czeską, a przynajmniej tak postrzeganą przez niemieckie władze. Okolicznych mieszkańców informowano, że za drutami przebywają przestępcy i bandyci.

Do obozów trafiali Polacy wysiedlani z Żywiecczyny, żeby zrobić miejsce przesiedleńcom niemieckim, ale też np. aresztowani w Zagłębiu Dąbrowskim w ramach akcji „Oderberg”. Po masowych aresztowaniach w lutym i sierpniu 1943 roku w Polenlagrach znalazło się wiele dzieci, których rodzice trafili do obozów koncentracyjnych.

W Polenlagrach przebywało w ogóle stosunkowo dużo dzieci. Były tu dzieci oderwane od rodzin, ale też również całe rodziny. W korespondencji między instytucjami niemieckimi wymienia się także różne warstwy społeczne, do których należeli więźniowie kierowani do obozów, byli to: wyżsi oficerowie, nauczyciele, urzędnicy, rzemieślnicy, rolnicy i pracownicy rolni, ale procent więzionych przedstawicieli inteligencji polskiej nie był wysoki, dominowali rolnicy i robotnicy.

Stan osobowy ulegał ciągłym zmianom. Z obozów hitlerowcy wywozili więźniów na roboty w głąb Niemiec, zwalniali w przypadku podpisania Volkslisty, zdarzały się rozstrzelania więźniów, ale i nakazy osiedlenia się w Generalnej Guberni. Polenlagry wizytowały także komisje rasowe, które wyznaczały dzieci spełniające kryteria aryjskości do umieszczenia ich w rodzinach niemieckich w głębi Rzeszy.

Czasem nad bramami umieszczano napisy „Arbeit macht frei” - w Lyskach, „Zbuntowani Polacy przeciwko Niemcom” - w Kietrze. W powiecie raciborskim znajdowały się obozy: Racibórz - Strzelnica nr 75, Pogrzebień nr 82, Beneszów nr 83, Gorzyce nr 168, Gorzyczki 169. Obóz w Raciborzu mieścił się w zabudowaniach Strzelnicy przy ul. Wiesenstrasse 23 (dzisiejsza ul. Łąkowa). Być może wykorzystano na ten cel dobudowaną do strzelnicy w 1911 roku olbrzymią salę, która mogła pomieścić wiele osób. W tym miejscu od roku 1940 funkcjonował już obóz dla przesiedlanych Niemców. Przekształcono go w Polenlager między 15 a 20 czerwca 1942 roku, jego komendantem był 23 letni SS-man Willi Lerch. Do Raciborza przenoszono również więźniów z innych obozów. Z Pogrzebienia przysłano, we wrześniu 1943 roku część dzieci, niektóre dane mówią, że wszystkie, a w październiku 13 osób.

Obsada lagrów nie była zbyt liczna, zandarmi byli wyznaczani na podstawie zarządzenia Inspektora Policji Porządkowej we Wrocławiu Grussendorffa z 04.05. 1942 r. do służby w obozach w Gorzycach, Gorzyczkach, Pogrzebieniu i Dolnym Beneszowie.

W Raciborskiem koordynacją lagrów zajmowało się Dowództwo Powiatowe Obozów (Kreisleitung) w Raciborzu. Jego kierownikiem był Möbius - Sturmführer, Hauptlagerführer. Po nim funkcję tę objął Schömitz - członek SS.

Być może, istniał obóz w Brzeziu, dzisiejszej dzielnicy Raciborza, jednak nie udało się ustalić żadnych szczegółów na jego temat. W zeznaniu niemieckiej intendentki Heleny Grzybek pojawia się on jedynie w kontekście przewiezienia do niego części więźniów z likwidowanego obozu w Gorzyczkach. Możliwe, że lager w Brzeziu nie podlegał VoMi, a może nastąpiła jakaś pomyłka i więźniów tylko przetransportowano do Brzezia. Do tej stacji kierowano pociągi z więźniami, którzy trafiali do Pogrzebia. Tak się stało np. z Polakami z Żywiecczyny, którzy musieli pieszo dotrzeć do obozu nr 82.

Na marginesie dodam, że prawie nic nie wiemy o obozie dla Żydów z Zachodu (Westjudenlager), który mieścił się na terenie cegielni Lüttge na Płoni. Wspomina o nim Państwowy Urząd Zdrowia w Raciborzu (PUZ) w sprawozdaniu z 14.01.1943 roku.

OBÓZ NR 82 W POGRZEBIENIU.

Obóz mieścił się w budynku seminarium duchownego przy klasztorze salezjanów. Wcześniej utworzono w nim na krótko obóz przejściowy dla reemigrantów niemieckich z Besarabii i niemieckiej Bukowiny.

Powstał między 15 a 20.06.1942 r. Jego pełna nazwa odnosiła się od najwyższej jednostki, poprzez pośrednie, aż do samego obozu i brzmiała: Reichskommissar für die Festigung Deutschen Volkstums – Volksdeutsche Mittelstelle – Einsatzführung Oberschlesien – Polenlager 82 Pogrzebin. Znajdował się on w jurysdykcji SS, strażnicy mieli w razie próby ucieczki użyć broni. Przebywali w nim Polacy w większości z Żywca i jego powiatu. Po wypędzeniu zgromadzone ich w punkcie zbornym w fabryce papieru w Żywcu, skąd pociągami przewożono do Brzezia. Ze stacji szli już pieszo do Pogrzebia. Po szczegółowej rewizji czekały już na nich dwu piętrowe przyce zbite z desek, wymoszczone słomą i jeden koc na osobę. Obóz otoczony był podwójnym



DZIEWCZYNY Z POLENLAGRU Z POGRZEBIENIA PO WYZWOLENIU OBOZU W ALTENBURGU, DO KTÓREGO ZOSTAŁY PRZEWIEZIONE W STYCZNIU 1945 ROKU. W ŚRODKU, SIEDZI IRENA RAŚ, OD PRAWY ZOSIA Z BIELSKA, MARIA BAŃKA, ORAZ NN Z CZELADZI, SOSNOWCA.

rzędem drutu kolczastego wysokości około 4 metrów. Według relacji mieszkańców Pogrzebia na początku istnienia lagru informowano miejscową ludność o tym, że znajdują się w nim przestępcy i tzw. element niebezpieczny. Kierownika PUZ w Raciborzu w czerwcu 1942, na podstawie informacji od kierownika obozu, podaje liczbę 350 więźniów „stłoczonych na najciaśniejszej przestrzeni” z czego 75 % miało zawzione głowy i odzież.

Do Pogrzebia przybywa wizytacja urzędnika do spraw zdrowia przy prezydencie rejencji opol-

skiej. W jego notatce służbowej z 24.07.1942 r. czytamy „omówiono możliwości przeprowadzenia odwszenia. Szczególne trudności polegają na tym, że umieszczeni w obozie Polacy, na skutek szybkiej ich ewakuacji z mieszkań w większości nie zabrali ze sobą odzieży na zmianę.”

We wrześniu więźniów miało być 280, w tym 64 mężczyzn, 99 kobiet i 50 dzieci poniżej 14 lat i 10 niemowląt. 07.09.1942 PUZ informował: na terenie obozu jest jedno źródło wody - studnia, z której ręcznie czerpie się wodę, na szkarlatynę zachorował jeden 9- letni chłopiec,

w związku z tym zarządzono dwutygodniową izolację pałacu. Sprawozdanie z 14.01.1943 roku odnotowuje dalsze zachorowania w listopadzie i grudniu 1942 r. Zachorowało wtedy siedmioro dzieci na szkarlatynę i jedno na dyfteryt. Dzieci nie przewieziono do szpitala. W obozie nadal brak jest wody. Naczelnikowi lagru nie udało się uzyskać wozu na wodę. PUZ winą za ten stan rzeczy obarcza „odpowiedzialne instytucje”, które nie porozumiały się przed przejściem budynków z właściwymi władzami i Urzędem Zdrowia oraz nie informowały o istnieniu takich miejsc, tak jak i obozu dla Żydów w Raciborzu. W kwietniu 1943 przybyło do obozu kolejne 53 osoby. W sierpniu 1943 roku PUZ w Raciborzu informował prezydenta w Opolu o 127 nowych więźniach, w tym 20 samotnych dzieciach, których rodziców wysłano do obozu w Auschwitz. Z liczby 127 osób około 100 przeszły przez nowo powstały obóz we Frynsztacie. Mimo to ich ubrania były zawzione. Dezynfekcją zajęły się siostry z Niemieckiego Czerwonego Krzyża, które pełniły w lagrze rolę pomocniczą, sanitarną. Panowały w nim trudne warunki, a więźniowie musieli pracować m. in. na roli, przy budowie kanału Ulga, na kolei i w raciborskich fabrykach. Niektórych wysłano na roboty do Rzeszy.

Na podstawie nadesłanych sprawozdań prezydent rejencji opolskiej informował w piśmie z 14.06.1942 roku katowicki Urząd Komisarza Rzeszy do Spraw Umacniania Niemczyzny, że dowiedział się, iż w powiecie raciborskim przebywa w obozach duża ilość Polaków w różnym wieku, różnej płci i różnych zawodów. Wymienione zostają obozy w Pogrzebieniu, Gorzycach, Gorzyczkach, dla robotników przymusowych w Błachowni i Polenlager w Raciborzu. Dalej prezydent stwierdzał, że więźniowie zdolni do pracy mają być zatrudnieni w majątkach, gospodarstwach rolnych i wracać na noc za obozowe druty. Osoby zaś posiadające jakieś kwalifikacje – mechanicy, spawacze mają być wywiezieni do okręgów przemysłowych. Prezydent zwracał uwagę, że wśród więźniów wykryto na głowach i ubraniach duże ilości wszy, więc ludzie ci są zagrożeniem dla ludności niemieckiej, zwłaszcza, że bakcyle istniejącej niewątpliwie gruźlicy i tyfusu spowodują powstanie ognisk zarazy. Twierdził także, że skomasowanie na tak niewielkiej przestrzeni obozowej tak dużej liczby osób w bardzo niehygienicznych warunkach stanowi ogromne niebezpieczeństwo. Prezydent prowincji domagał się od Komisarza Rzeszy, by niezwłocznie poinformowano go: w jakich miejscowościach powstały tego typu obozy, gdzie ewentualnie planuje się dalsze, czy podjęto akcję odwziewania i dezynfekcji, czy poczyniono jakieś kroki w celu zapewnienia nadzoru lekarskiego. Prosił także, by komendanci lagrów skontaktowali się z właściwymi PUZ w celu opracowania planu zwalczania epidemii. Można sądzić, iż dane zawarte w piśmie pochodzą ze sprawozdania kierownika PUZ w Raciborzu dr Urbacha wysłanego do prezydenta rejencji 25.06.1942 r.

Do obozu trafiali np. ludzie, którzy odmówili podpisania volkslisty. Spotkało to małżeństwo Romowiczów i ich pięcioro dzieci. W pierwszej połowie 1942 roku w ich mieszkaniu w Żywcu pojawiło się dwóch Niemców, którzy za podpis na volksliście obiecywali polepszenie warunków życia. Emilia Romowicz, której mąż był wtedy nieobecny, odparła, że nie może podjąć decyzji bez niego. Wezwany w tej sprawie do żywieckiego Landrata, mąż Emilii chcąc grać na czas, oświadczył, że musi się jeszcze zastanowić. Już 05.06.1942 r. cała rodzina została aresztowana i po pewnym czasie umieszczona w Polenlagrze w Pogrzebieniu.

W pogrzebieńskim lagrze panowały trudne warunki, a więźniowie musieli pracować na roli, przy budowie kanału Ulga i w raciborskich fabrykach. Niemcy bali się wybuchu epidemii, która mogła przedostać się poza obóz. Zaszczepiono jednak tylko personel obozowy. W piśmie Państwowego Urzędu Zdrowia z Raciborza ze stycznia 1943 roku czytamy: „U niektórych komendantów obozów spotykano się z tego rodzaju nastawieniem, jakoby przy nadzorowaniu obozów nieco za wiele robi się ambarasu z Polakami, co do sprostowania wyjaśnialiśmy, że środki nadzoru stosuje się przede wszystkim dla ochrony niemieckiej ludności cywilnej. Obozy bowiem nie są hermetycznie zamknięte, lecz dostarczają siły roboczej licznym zakładom fabrycznym i

rolniczym, która pracuje z robotnikami niemieckimi, a więc wchodzi z nimi w najbliższy kontakt, przez co może, stosownie do okoliczności stanowić dla zdrowotności publicznej poważne zagrożenie.” W tym samym piśmie podano stosunek procentowy mężczyzn, kobiet i dzieci. Wynosił on kolejno: 28,71%, 44,39%, i dzieci do lat 14 – 26,9%.

DZIECI ZA DRUTAMI – KINDERLAGER.

Do Pogrzebienia trafia 200 dzieci z tymczasowego więzienia policyjnego w Mysłowicach z przeprowadzonej przez Niemców akcji „Oderberg”. Była to akcja aresztowań przeprowadzona z 11 na 12 sierpnia 1943 w Zagłębiu Dąbrowskim. Rodziców zesłano do obozów koncentracyjnych, a dzieci początkowo trafiły do Pogrzebienia. Stamtąd do Lysek, Kietrza, Gorzyczek, Beneszowa, Bogumina i część do obozu w Potulicach.

Być może w związku z dużą ilością dzieci i częstymi przeniesieniami dzieci z akcji „Oderberg” postanowiono powołać dla nich specjalne miejsce. Obóz w Pogrzebieniu został przekształcony 11.08.1943 roku w Kinderlager, czyli obóz dla dzieci, jedyny w systemie Polenlagrów. Znajdowało się w nim 220 dzieci w wieku od 2 tygodni do lat 16, w tym 12 niemowląt. Te ostatnie przywieziono same, a dopiero nazajutrz przybyło 8 matek oraz 7 kobiet w ciąży, z których jedna urodziła dziecko. Wybrano to miejsce, choć występował tam problem z wodą. Potwierdza to korespondencja prowadzona przez władze niemieckie. Warunki były bardzo trudne, panował głód, było brudno. Nie dziwi w związku z tym fakt, że przy tak fatalnym stanie sanitarnym wybuchały epidemie.

Z relacji Ireny Grim możemy poznać losy osób, które zostały aresztowane w ramach akcji Oderberg:

„Po aresztowaniu naszej rodziny w Bytomiu trzymali mnie w więzieniu w Mysłowicach i obozie w Auschwitz. Do Pogrzebienia trafiłam 06.12.1943 roku. Pierwszego komendanta, Kratkiego wspominam dobrze, drugiego, którego nazwiska nie pamiętam źle. Ten drugi się mścił za to, że stracił nogę podczas walk w roku 1939 w Polsce.

Już wieczorem dostałam od dziewczyn z sali kartkę, którą później przekazałam człowiekowi, który pracował poza lagrem, u krawca pana Kłoska. Na kartce napisałam adres swojej rodziny, informacje te trafiły do Kłoska, który zawiadamiał rodziny. Niedługo potem przyjechała moja ciocia. Odwiedziny mogły odbywać się dosyć często, jeśli kogoś było stać, mógł przyjeżdżać co tydzień. Wtedy to przekazywano jedzenie, ubrania. Do jedzenia dostawaliśmy w obozie jedną kromkę czarnego chleba i czarną kawę, czasem jakąś herbatę, czy zioła. To samo było na śniadanie i kolację. Na obiad były ziemniaki z wodą, albo kasza. Nic innego.

W obozie były oprócz pilnujących nas Niemców także trzy siostry Czerwonego Krzyża. Zajmowały się chorymi, to były dobre kobiety, mówiły po polsku, a jedna pamiętam pochodziła z okolic Gorzyc. Rozmawiały z nami, nie krzyczały, nie biły.

Polenlager miał kawałek pola przy pałacu i tam chodziliśmy pracować. Obok mieszkali i mieli swoje pole Grimowie. Kiedy wykonywaliśmy jakieś prace, oni też przychodzili i mogliśmy porozmawiać. Gdy rodzina Grimów dowiedziała się, że byłam w Auschwitz, zainteresowali się mną. A to dlatego, że Antoni Grim prawdopodobnie za odmowę podpisania Volkslisty i hardą postawę trafił do Auschwitz, ale został zwolniony w sierpniu 1943 r. Zaczął mi wtedy pomagać. Zostawiał w krzakach mleko, chleb, mięso. Mieliśmy umówiony taki sygnał, jak zaczął spacerować po drodze koło obozu znaczyło to, że coś dla mnie schował.



A jak mnie nie było w pobliżu, inni dawali mi znać i ubezpieczali w razie pojawienia się Niemców”.

Mieszkańcy Pogrzebienia starali się pomagać osadzonym rzucając na przykład chleb za ogrodzenie obozu. Gdy starsze dzieci transportowano do pracy, korzystano z okazji i podawano im coś do jedzenia. Gdy nie było strażników, karmiono je także w trakcie prac polowych. Czasem dzieci przedostawały się przez druty i szły do kościoła, gdzie parafianie zostawiali na ławkach jedzenie.

Lucja Gorywoda mieszkanka Pogrzebienia była jedną z tych osób, które niosły pomoc więźniom. Po latach wspomina:

„W czasie żniw przechodziłam codziennie razem z innymi osobami koło obozu. Na jego terenie było dużo krzaków malin i widzieliśmy, jak więźniarki zbierały te maliny. Były prawie ciągle pilnowane i nie miały prawa schować ich dla dzieci, czy zjeść nawet jednego owocu, a ci, którzy pilnowali zwracali baczną uwagę i na nas. Mama kroїła chleb, który chowaliśmy pod ubranie. Przy ogrodzeniu rosły kasztany i zarośla, które nas trochę zasłaniały. Rzucaliśmy kromki, które były trochę posmarowane i sklezione w te krzaki. Nie pakowaliśmy ich w papier, bo za bardzo szeleścił. Jednego razu czekaliśmy aż ta, która je pilnowała oddali się, ale za długo czekaliśmy, bo nie zauważyliśmy, że z drugiej strony idzie druga, która też pilnowała kobiet i jak rzuciliśmy jedzenie to zdemaskowały nas wrony, które się spłoszyły. Więźniarki miały problem, jak wziąć ten chleb, ale miałyśmy nadzieję, że jakoś to do nich trafi. Staraliśmy się pomagać, gdzie się dało i gdzie można było pomóc, choć pomoc była zakazana i groziła poważnymi konsekwencjami”.

Wielu mieszkańców Pogrzebienia starało się pomóc małym więźniom, a nawet udało się komuś (niestety nic o nim nie wiadomo) uratować czteroletnią dziewczynkę. Według relacji Józefa Zyzaka złożonej przed Komisją Badającą Zbrodnie Hitlerowskie oddział w Katowicach dowiadujemy się, że ktoś idąc koło obozu zobaczył drobną, wychudzoną dziewczynkę przy drutach okalających klasztor, a ponieważ w pobliżu nie było strażników, nawiązał z nią rozmowę. Dziewczynka była nieufna, dał jej cukierka, którego szybko zjadła, uśmiechnęła się wtedy do niego. Dowiedział się, że ma imię Urszulka, ma cztery lata i nie wie gdzie są jej rodzice. Powiedział, że zaprowadzi ją do rodziców, po czym pomógł jej sforsować zasieki, wziął ją na ręce i szybko się oddalił. Nagle pojawili się wartownicy, ale uciekinierzy zdążyli ukryć się za drzewami. Strażnicy dostrzegli rozsunięte druty, ale nie zauważyli zbiegów. Tego samego dnia (Niestety nie znamy daty, przyp. autora) późnym wieczorem wyruszyli do jednej z dalszych miejscowości, gdzie mieszkała siostra mężczyzny z mężem. Nie mieli swoich dzieci, więc przyjęli Urszulkę z radością. Być może, iż rodzice dziecka zginęli w obozie koncentracyjnym, bo nikt jej nie szukał. Została już na stałe w nowej rodzinie. Józef Zyzak i jego rodzina byli osadzeni w lagrze i zajmowali się pracami związanymi z funkcjonowaniem obozu.

Przymus pracy obowiązywał od 12 lub 14 roku życia, ale młodsze dzieci mogły iść do pracy jeśli chciały, często tak robiły, była to bowiem okazja do wyjścia z obozu i dodatkowego jedzenia.

W pewnym okresie w Pogrzebieniu najmłodsze dzieci podczas nieobecności matek umieszczano w jednej z większych sal, tu pod opieką polskiej nauczycielki bawiły się i uczyły po kryjomu polskich piosenek.

Kinderlager zlikwidowano w październiku przenosząc dzieci do różnych obozów w tym do Raciborza. Przypuszcza się, że uczyniono to w związku z badaniami rasowymi, które przeprowadzano co jakiś czas i potrzebą umieszczenia kolejnych przesiedleńców ze wschodu. Po wywiezieniu dzieci w Pogrzebieniu pozostało 102 Polaków, których umieszczono w kaplicy klasztornej odgradzonej od części pałacu, w której przebywali Niemcy. Ewakuacja lagru nastąpiła w styczniu 1944 roku. Polaków przeniesiono do obozu w Gorzyczkach, a stamtąd wiele osób deportowano do obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Oranienburg.



Beno Benczew

Urodził się w Krakowie w roku 1968. Mieszka w Raciborzu. Bezrobotny absolwent Uniwersytetu Opolskiego. Zajmuje się historią najnowszej Czechosłowacji i Polski. Był wydawcą między innymi pisma literackiego „Hermes, pies i gwiazda” i pierwszych reprintów przedwojennych pocztówek Raciborza. Publikował w prasie regionalnej. Od lat jest animatorem pozainstytucjonalnej współpracy polsko-czeskiej, zorganizował w Polsce wiele imprez popularyzujących kulturę naszych południowych sąsiadów, od lutego 2005 roku wydaje informator kulturalny „Po czeskiej stronie”. Tłumaczy z języka czeskiego, jego pierwszy przekład zamieściła „Gazeta Wyborcza”, była to polska wersja spróśnego czeskiego żartu. Jest rzecznikiem Oddziału Regionalnego Stowarzyszenia Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka.



Oto dane o obsadzie obozu, które udało się ustalić: Kratky, członek SS - pierwszy komendant (popęłnił samobójstwo na terenie obozu z powodów osobistych), Reinhold Banik, członek SS - zastępca komendanta, Nagel, członek SS - drugi komendant, Feistenauer (Fürstenauer?), członek SS - trzeci komendant, Grel (Groel?), członek SS - czwarty komendant obozu, Paul Ast ur.

21.10.1895r. - żandarm, Erich Bayer ur. 11.10.1894r. - żandarm, Richard Elster ur. 02.01.1894r. - żandarm, Fritz Grieger ur. 15.07(08?). 1896r. - żandarm, Gustav Klose ur. 13.06.1896r. - żandarm, Hermann Klose ur. 16.07.1891r. - żandarm.

PO WOJNIE.

Do dzisiaj sprawa Polenlagrów nie jest dostatecznie zbadana. Akta i inne dokumenty obozowe zostały w większości zniszczone przez ich komendantów w trakcie ewakuacji lub likwidacji obozu. Trudno też określić ilość osób, które poniosły śmierć. Najczęściej chowano zmarłych na okolicznych cmentarzach, ale i w mogiłach zbiorowych pod drutami lub w przypadkowych miejscach.

W Pogrzebieniu na cmentarzu znajduje się 27 pojedynczych i zbiorowych mogił oraz 16 pochodzących z roku 1944 pojedynczych i zbiorowych mogił dzieci, które przybyły w jednym z transportów w tym czasie.

Sledztwo dotyczące Polenlagrów jest wciąż prowadzone, a zajmuje się nim Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej.

Przy pałacu w Pogrzebieniu znajdują się tablice poświęcone więźniom obozu nr 82 i obozu dla dzieci. A jedynymi zachowanymi śladami na terenie pałacu są blizny po drucie kolczastym na pniach starych dębów naprzeciwko bramy wjazdowej.

BIBLIOGRAFIA:

Powyższy tekst powstał na podstawie: Hrabar R. Tokarz Z., Wilczur J. E., Czas niewoli i czas śmierci. Martyrologia dzieci polskich w okresie okupacji hitlerowskiej, Warszawa, 1979; Hrabar R., Niemieckie obozy dla Polaków na Śląsku w czasie II wojny światowej „Polenlager”, Katowice 1972; Hrabar R., Skazane na zagładę. Praca niewolnicza kobiet polskich w II Rzeszy i los ich dzieci, Katowice 1989; Hrabar R., Przeciwko światu przemocy, Katowice 1982; Szefer A., Przesiedlenicy niemieccy na Górnym Śląsku w latach 1939 – 1945, Katowice 1974. Artykuł ten jest fragmentem tekstu o obozach na Ziemi Raciborskiej, który ukaże się w najbliższym czasie. Zaprezentowany zostanie również w raciborskim portalu: www.raciborz.com.pl



JEDNO ZDANIE

Prawa do utworów Karola Wojtyły dzierży pewien kardynał ze Lwowa. To, co mówił jako papież, koncesjonuje kuria warszawska. Za to prawa do wizerunku osoby Jana Pawła II ma wyłącznie Watykan. Chciałoby się powiedzieć za Norwidem: Coś ty Atenom zrobił Sokratesie... Wiem to, gdyż jako składnik zespołu Federacja miałem okazję pięć lat temu przypatrywać się zdobywaniu zezwoleń wydawniczych w ramach projektu, którego celem było wydanie płyty z wierszami K. Wojtyły i fragmentami wypowiedzi Jana Pawła II (w świetle prawa to nie jest ta sama osoba). Płyta z pięknymi kompozycjami moich kolegów ujrzała w końcu światło dzienne, natomiast oświecone społeczeństwo i jego światłe elity nie dojrzały tej płyty. Można mówić, że rezonans jej przeszedł najśmielsze oczekiwania - był zbliżony do zera. Oto księgarnia na Jasnej Górze nie chce jej wziąć, nawet w komis. Oto szef muzyczny sieci Radia Plus w Warszawie (radia katolickiego), sławny Jan Pospieszalski, odmawia obecności tego krążka na antenie choć zobowiązywała do tego umowa patronacka. Oto lokalna rozgłośnia lubelska tegoż radia nawet nie rozpakowała kartonów z „gratisami” dla słuchaczy i po dwóch latach zwróciła wydawcy. Oto proboszcz parafii Strzelce Wielkie mówi:panowie, mam tę płytę, ale wy mnie jej nie grajcie, bo to za trudne dla moich parafian. Zagrajcie kolędy i coś swojego. Nasz attaché kulturalny w Londynie doradzał nam:... “chłopaki, wiem, że jedziecie do Nowego Jorku. Grajcie tam swoje piosenki. Zostawcie tego papieża w spokoju”. Kiedy byliśmy w owym NY i pojechaliśmy zagrać do kościoła p.w. św. St. Kostki na Staten Island - okazało się, że nie wystawiono nagłośnienia, więc byliśmy prawie niesłyszalni. Ponadto proboszcz zabronił zagrać po mszy więcej niż cztery utwory. Jakież było moje zdziwienie, kiedy podczas przyjęcia w sali parafialnej zauważyłem, stojące za kotarą profesjonalne nagłośnienie. Stwierdzam zatem pewną gruntowną niechęć do konstatacji, że nasz „monarcha” jest artystą. Nawiasem mówiąc tzw. branża wystawiła płycie wysokie noty, a publiczne media, podejrzewane o antyklerykalizm, jako jedyne odnotowały życzliwie to przedsięwzięcie. Wnioskuje stąd, że media państwowe wcale antykościelne nie są, za to kościół w masie swej (i jego media), zdaje się, nie zamierza wgłębiać się w słowa papieża. Jemu potrzebna jest ikona. Znak, pod który zaciągną się liczne zastępy, a którego sens można będzie w każdej chwili modyfikować.

Bycie poetą, bycie artystą, jest stanem nieoczekiwanym przez społeczeństwo. Jest czynnością samozwańczą, a przez to zuchwałą. Można powiedzieć bez wielkiego ryzyka, że bycie duchownym też. Tyle, że duchowieństwo ma elegancki zamiennik dla zuchwalstwa – powołanie. Przy okazji - dla przeżycia czy pomnażania dóbr doczesnych obydwie stany okazują się zbędne. Ale czy w długiej perspektywie poprzednie zdanie jest prawdziwe? Jaki może być praktyczny użytek z artysty? Ano taki, że artysta jako wystający element społeczności kieruje się zawsze pod wiatr, tedy społeczeństwo może dowiedzieć się, skąd wieje. Duchowny z kolei, ma obowiązek bezpiecznie, przy możliwie najmniejszych stratach, przeprowadzić rzesze przez zagrożenia doczesne aż do łąk wiecznej szczęśliwości. Mówiąc inaczej: powinien umieć ustawić nawę optymalnie w stosunku do wiatru historii.

Kiedy więc w jednej osobie spotyka się poeta i duchowny, i jest to jednostka wybitna, to zbieg okoliczności może być szczęśliwy. Poeta wie skąd wieje, duchowny wie jak z tego skorzystać i obaj są w jednym. Kiedy jest to jednostka mniejszej miary, wtedy najczęściej mamy do czynienia z tym, co poeta Waldemar Żelazny określa jako „księżowskie pisanie”, czyli zbliżone do apokryficznego, roztkliwienie się, na przykład, nad skąpością pieluszek Jezuska, który - jak wiadomo - urodził się w Zakopanem. Grozi nam też ze strony tej osoby czułościowa kontemplacja kapłaństwa i infantylna, nachalna katecheza.

Słowa w pieśni są ważniejsze niż muzyka. Odkrywcze zdanie, najlepiej genialne zdanie, zostanie na zawsze w pamięci, można się nim zachwycać wciąż na nowo. Podczas gdy muzyka jako nośnik emocji, w pewnym momencie, po iluś wysłuchaniach przestaje działać. Te wielce ryzykowne słowa często wypowiada sławny kompozytor - polonista Jerzy S. To on właśnie założył się z naszym kolegą, że projekt z płytą papieską będzie artystycznie nieudany. Po wysłuchaniu tejże przeprosił przez telefon za swoje niedowiarstwo i powiedział, że wygraliśmy ten zakład. Dwa lata później spotkałem go w klubie Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie. Upomniałem się o wygraną. - Wiesz, powiedział, ja nadal mam wątpliwości, czy Wojtyła napisał chociaż jedno gigantyczne, poetyckie zdanie, które byłoby tylko jego zdaniem i niczym innym... Przez moment przestałem słuchać Jerzego, bo coś mi się przypomniało. Przebiegłem w myślach wstępy do książek K. Wojtyły zamawiane przez wydawców. I co? Wrażenie jest takie, że ludzie piszący je unikali czysto artystycznej oceny dzieł literackich późniejszego papieża. Pisali je przeważnie systemem malarza Styki. Na klęczkach. Podając biografię twórcy zamiast wyskalowania wagi dzieła, zamiast umieszczenia jej w odpowiednich kontekstach. Czyżby uznali, że wartości ono nie posiada?

Ja pamiętam wiele zdań. Wiele z nich jest mocnych i odrębnych na gruncie literatury - w takie słowa uderzyłem do Jerzego: - Może fakt, że ciebie nie obalają żadne wojtyłowe zdania mówi, iż nie jesteś adresatem tej wypowiedzi. Może ty po prostu wiesz, co trzeba, by ocalić się i zbawić samodzielnie. Postaw się na niższym szczeblu wtajemniczenia, bliżej przeciętnej umysłowości...

Jerzy przerywa. Mówi, że wartość artystyczna jest obiektywna i ponadczasowa, gdy mierzy się ją w odniesieniu do największych zdobyczy ludzkości, a nie wtedy gdy się daje upust i dzieli na klasy. Ponadto, jego zdaniem, dramat Wojtyły (jako poety) jest podobny do tego, jaki był udziałem Juliana Przybosa. Polegać miał na tym, że obaj ukochali lud prosty i z całej siły służyć mu chcieli, natomiast będąc wierni zasadom sztuki współczesnej i swojej wiedzy, przemawiali konstrukcjami, których ów lud nijak pojąć nie był w stanie.

Tu znowu pobiegłem myślami wstecz. Był czerwiec roku ubiegłego. Plac Zamkowy w Warszawie. Kończył się wielodniowy Festiwal Muzyki Dobrej, który zorganizowało katolickie Radio Praga Południe. Graliśmy finał finałów imprezy i oczywiście utwory do tekstów K. Wojtyły. Półtora tysięczna widownia, która jeszcze chwilę wcześniej płaśała pod dictum zespołów, co to naprzykrzają się Panu Bogu, oswajając go, poklepując jak kumpla; - więc ta widownia masowo opuszczała plac, kiedy tylko usłyszała papieskie strofy. Cóż, Papież nie spoufala się ze Stwórcą, zatem jako autor nie jest „cool” i jawi się zapewne potwornym zgreдем...

Popatrzyłem na profil rozmówcy i pomyślałem, że czymś go zaskoczę. - Posłuchaj Jerzy - mówię - zacytuję teraz fragment wiersza sprzed wojny. Polska była wtedy w olbrzymiej mierze ksenofobiczna, Jedwabne wzyerało z co drugich oczu i większości ambon, a młodzieńki Wojtyła pisał coś takiego:

Panie jam Dawid syn Izai
Piastowy jestem syn
Ty mi na sercu znak wypalisz
Zasłucham się w twój rym



Wiosną – ś przyoblókt, wiosną tęsknot
Ciało i siłę bark
Niechaj jesienią nie rozpękną
Tęskniące struny harf

Ja jestem Dawid, jam jest pasterz
Błagalną wiodę pieśń
Byś się zmiłować chciał nad Piastem
Byś żniwo zwolił zwieźć *
(...)

- Popatrz, jak odważnie porównuje Piasta do patryarchy Izai, a siebie do psalmisty Dawida. Jakim potężnym skrótem operuje, by wpisać się jednym zdaniem w dziedzictwo Starego Testamentu. Teza niezwykła na owe czasy. Pełna prawdziwie artystycznego, bezkompromisowego, odważnego porywu ducha. I jaka pełna konsekwencji, gdy przypomnimy sobie wizytę Autora, już w szatach papieskich, pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie. Przy okazji zauważ, że jak przystało stylizowanemu psalmiście, Wojtyła umiejętnie archaizuje tekst, stosuje rytm i rym. Pokazuje dojrzały warsztat. Ponadto ma profetyczne przeczucie zagrożenia dla Polski, które zaraz potem okazało się realne, a tego typu wizje są domeną proroków i wieszczów.

- Ja bym nie popadał w przesadny zachwyty – mówi Jerzy. - To tekst juvenilny. Treść mogła wyjść przypadkiem. Poza tym rymy są niedokładne, a Dawid był synem Jessego, nie Izai. Chyba, że chodzi o tę samą osobę, tylko inaczej nazywaną w różnych językach.

- No to może inny przykład rozważmy – zaproponowałem. - To Norwid tak ładnie powiedział, że poezja jest potrzebna tam, gdzie rzeczy poza wierszem wyrazić się nie chcą. Zasada owa obowiązuje do dziś. Zobacz, jak Wojtyła przy pomocy obrazów poetyckich mierzy się z największymi tajemnicami ludzkiego życia: ze śmiercią, z wierzeniami, przekonaniami, dogmatami, czyli

tym wszystkim, czego język dyskursu, język nauki nie uniesie. Potrzebna jest specjalna konstrukcja słowna, by czytelnik nie tyle zrozumiał tajemnicę, ile ją odebrał zmysłem metafizycznym. Weźmy takie zdanie:

Więc w mroku jest tyle światła
ile życia w otwartej róży
ile Boga zstępującego
na brzegi duszy **

...Czyli mrok nosi w sobie potencjał światła, życia – mówiąc inaczej. Kwiat róży, jako narząd rodny rośliny nosi w sobie potencjał życia nowego, dusza zaś ma potencjał boskości. Przy czym autor nie definiuje Stwórcy, a proponuje rozpoznawać go poprzez sposób działania. Imiesłowowa forma „zstępującego” sugeruje, iż jest to czynność nieskończenie stała. W odniesieniu do linearnego postrzegania czasu przez człowieka, szalenie trudno byłoby to wyrazić innym słowem. Jednym słowem. To już jest koronkowa robota, czysto artystyczna. Przy okazji okazuje się, że dusza ma „brzegi”, zatem zdefiniowana jest jako byt ograniczony przez materię w której się rozlewa, czytaj: - przebywa. Jednocześnie jest bytem samodzielnym, bo Bóg dociera tylko do „brzegów duszy”. Dzięki samodzielności duszy możemy mówić o wolnej woli, możemy mówić o dobru i złu. Nie wiedzielibyśmy, czym jest życie (światło) gdyby nie śmierć (mrok). Trudno byłoby doświadczać dobra bez świadomości tego, że istnieje zło. Proszę ile słów zużyłem, żeby wysupłać część tylko znaczeń, które niesie powyższe zdanie...

- Mnie się wydaje - mówi Jerzy - że twoja analiza jest mętna. Przecież mrok sam w sobie jest już pomieszaniem czerni i światła, jest stanem przejściowym. Mrok powinien symbolizować moment przeistaczania się. Gdybyś miał rację, w pierwszym wersie powinno być: “W czerni jest tyle światła....”; jest natomiast wyraźnie: „ w mroku”. Przyjmijmy inną hipotezę: może chodzi o to, że mrok składa się częściowo ze światła i jest jednocześnie potencją pełni światła. Może otwarta róża jest przemieszaniem życia jej własnego z potencjalnym życiem, następnym. Może dusza to twór z niewielkim pierwiastkiem boskości, a jednocześnie potencjał jego pełnej obecności. W takim rozumieniu to niepozorne zdanie byłoby, wynikłą ze zdumienia, próbą zobrazowania fenomenu bytu. Wszechbytu. Mam tylko zastrzeżenia- dodał - co do kwiatka. Czemu wybrał tak zbanalizowany? Książdz Jan Twardowski dałby w to miejsce coś bardziej oryginalnego.



Zamilkliśmy na chwilę, po czym Jerzy poprosił o kolejne przykłady tekstów, które uważam za istotne. Przypomniałem wtedy wiersz niezwykle, synkretyczny kulturowo i stylistycznie. Nazywa się "Magnificat". Bardzo erudycyjny. Jakby z ducha T. S. Eliota. Dyskretnie czerpie z Leśmiana przez zastosowanie neologizmów. Poprzez archaizację i przewijający się wątek obrzędu sobótkowego przywołuje Kochanowskiego z jego Pieśnią Świętojańską o Sobótce, tym samym koduje w systemie znaków wiary chrześcijańskiej zwyczaj pogański. Jest to oczywista prefiguracja ekumenizmu. Przy tym pojawia się tam cała seria obrazów o charakterze wizyjnym, swoisty strumień świadomości, gdzie w podniosłej formule hymnu pochwalnego jest miejsce na opis kondycji ludzkiej, na przesłanie dla poetów, na prośbę, na dziękczynienie i akt zawierzenia.

(...)

Tyś jest najcudowniejszy, wszechmogący Świętkarz

Otom jest niwa wieśnia, podświetlona grządka

(...)

Bądź błogosławion Ojczy, za smutek anioła

za walkę pieśni z kłamstwem, bój natchniony duszy

i małość słowa wszelką zniwecz w nas i połam

i kształt co jako człowiek głupi się napuszył

Chodzę po Twych gościńcach – Słowiański trubadur

przy sobótkach gram dziewczom, pasterzom wśród owiec

ale pieśń rozmodloną, pieśń wielką jak padół

rzucam przed tron dębowy jedynemu Tobie

(...) ***



Zbliżał się chyży, letni świt. Docierał do nas za pośrednictwem lustra między półkami baru. Od dawna byliśmy jedynymi gośćmi, a Jerzy stwierdził, że powyższy rodzaj nagromadzenia wątków i technik niespecjalnie się nadaje na puentę wieczoru. Poprosił o coś klarownego. Rozglądając się za wierzchnim okryciem zanuciłem więc:



Miłość mi wszystko wyjaśniła
miłość wszystko rozwiązała
dlatego uwielbiam tę Miłość
gdziekolwiek by przebywała
(...) ****

Mój rozmówca przywdział uśmiech Giocondy, który nie wiem co wyrażał. Pomyślałem, że nie jest tak źle z tą poezją, skoro dwóch muzykantów jest w stanie noc przez nią zarwać. Ruszyliśmy do wyjścia. Klub w Hotelu Europejskim zegnał nas milczeniem. Wychynęliśmy z westybulu drobnym krokiem, kiwając głowami jak perszerony, a grzywy nam płowiały w miarę jak mrok ustępował potężde światła.

PRZYPISY:

- * Renesansowy Psalterz. Biały Kruk 1999, str.17
- ** Miłość mi wszystko wyjaśniła. Wydawnictwo Literackie 1999, str.10
- *** Poezje i Dramaty. Wydawnictwo Znak, Kraków 1999, str. 295-297
- **** Miłość mi wszystko wyjaśniła. Wydawnictwo Literackie 1999, str.8

TEKST PONIŻSZY UKAZAŁ SIĘ W PIŚMIE „LUBLIN. KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO”, A OSTATNIO W LONDYŃSKIM „DZIENNIKU POLSKIM”. I TU I TAM REDAKTORZY OCENZUROWALI GO (W RÓŻNYCH MIEJSCACH). JAKO, ŻE WYWOŁAŁ PEWNE PORUSZENIE – ZAMIESZCZAM GO W CAŁOŚCI NA SWOJEJ STRONIE. J. K.

WIERSZE

JONASZ

nie pójde Panie do Niniwy
czy może proch być Twym prorokiem
nie czuję w sobie takiej siły
by mówić o tym że ją kochasz

każde Twe słowo pali serce
więc chciałbym się przed Tobą schować
nie wiem jak mógłbym jej powiedzieć
że ją wyryłeś na swych dłoniach

wolę pozostać w brzuchu ryby
być jej nienarodzonym dzieckiem
nie pójde Panie do Niniwy
chyba że Ty mnie tam zaniesiesz

ZIARNO

tyle czułości nie wypowiedzianej
zamkniętej w ścianach skulonego ciała
tyle miłości mogłoby wyrosnąć
gdyby ktoś w końcu to powiedział głośno

gdyby na słowa te odnalazł miejsce
i mógł wykrzyknąć wydobyć je z siebie
to by się zaraz tutaj ogród zrobił –

zbyt ciężkie ziarno by je dłużej nosić

KROPLÓWKA

dajesz mi siebie po kropelce
jedną kropelkę na godzinę
a ciało woła prędeż prędeż
a Ty przesączasz się przez żyłę

płyniesz przeze mnie jak przez tunel
ciemność nasycasz głębszą czernią
to jest jak z nocą pocałunek
jakby się śmierć kochała ze mną

jakby się chciała ze mną droczyć
rozciągać chwilę w nieskończoność
i kłamiąc w ciągle żywe oczy
nie pozwalała mi do-konać

a przecież Ty nie jesteś śmiercią
i nie ma w Tobie nic z trucizny
przelej się we mnie rwącą rzeką
od-żyw mnie proszę swą decyzją

CHODŹ

Chodź ze mną na spacer – pokażę Ci wszystkie
miejsca, w których byłem, kiedy Cię nie było.
Wezmę Cię daleko, za granicę skóry,
przez noc i ból w krzyżu – na szczyt i na dno.

Niech to wędrowanie będzie uzdrowieniem,
niech zasklepi rany w popękanej ziemi.
Przyłóż swoje usta do wyschniętych drzew.
Nagie pnie obejmuj. I obejmij mnie.

Położ się na ziemi. Tu jest nasze miejsce:
pośród krecich kopców i opadłych liści.
Tu, wtuleni w siebie, pośniemy jak dzieci.
Miękki i łagodny przykryje nas śnieg.



Szymon Babuchowski

urodził się 15 maja 1977 roku. Poeta,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”.
Mieszka w Katowicach Giszowcu. Wydał
tomiki: „Sprawy życia, sprawy śmierci”
(2002) i „Czas stukających kołatek”
(2004). W przygotowaniu książka po-
etycka „Wiersze na wiatr”. <http://free.art.pl/babuchowski>

* * *

Boże ukołysz tę bezbronność
wiszącą na krawędzi nocy
podłóż poduszkę pod jej głowę
i miękki dywan pod jej stopy

spraw by zasnęła na momencik
dusza spętana pentagramem
a potem zdejmij z niej te więzy
i obmyj czule każdą ranę

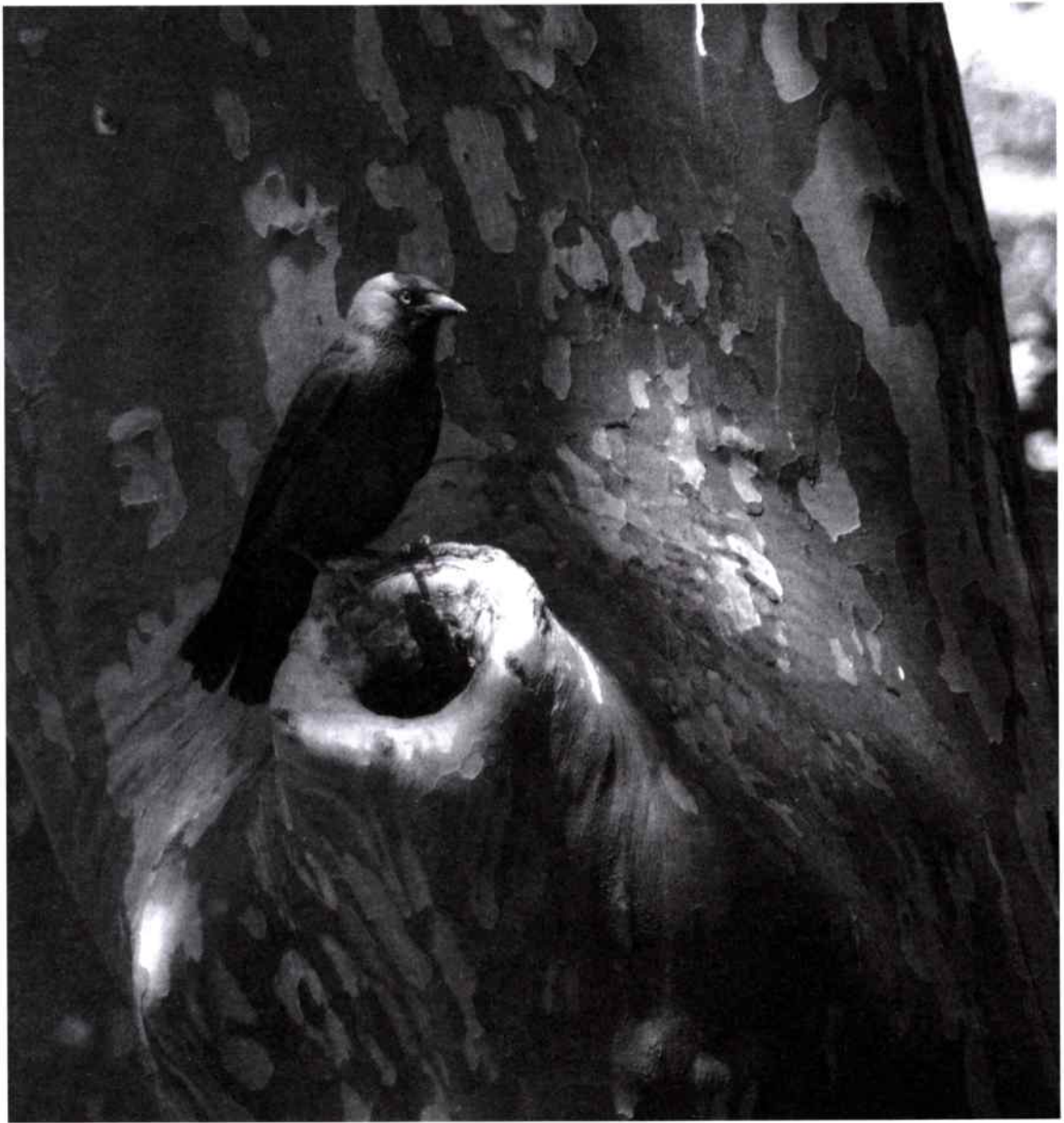
niech każda rana Ci zaśpiewa
i każdy ból Twe imię chwali
w języku ryby mowie drzewa
bo noc już śpi i śmierć umarła

OBRAZ

anioł stał nad nią uśmiechnięty
rankiem przy uchylonym oknie
a po jej twarzy łzy płynęły
kiedy klęczała na podłodze

jeszcze go wtedy nie widziała
zgięta w połowie pochylona
a on się bawił jej włosami
i splatał z nimi promień słońca

nie musiał nawet trzymać miecza
który w powietrzu przed nim wisiał
bo nikt się do niej zbliżyć nie śmiał
taka ta chwila była czysta



GŁOS W SPRAWIE POEZJI KSIĘDZA TWARDOWSKIEGO

Kilka miesięcy temu odszedł od nas poeta ksiądz Jan Twardowski. Frazy z jego wierszy na stałe wpisały się w historię literatury polskiej. Co jednak ważniejsze, tkwią w naszej zbiorowej wyobraźni. Jego poetyckie puenty stały się wyrazicielem naszych refleksji na temat złożonej natury miłości, Boga, wiary, życia samego... i śmierci.

Z twórczością księdza zetknęłam się pod koniec lat siedemdziesiątych. Ciężko było zdobyć jego wiersze. Wychodziły *po cichu* w bardzo niskim nakładzie i... od razu znikaly z półek księgarskich. Tomik „Poezje wybrane” pożyczyłam od koleżanki z duszpasterstwa akademickiego. To był początek mojej fascynacji tą poezją. Zdecydowała ona o wyborze tematu pracy magisterskiej. W dobie oficjalnie panującego światopoglądu materialistycznego nie był to temat popularny. Zaryzykowałam.

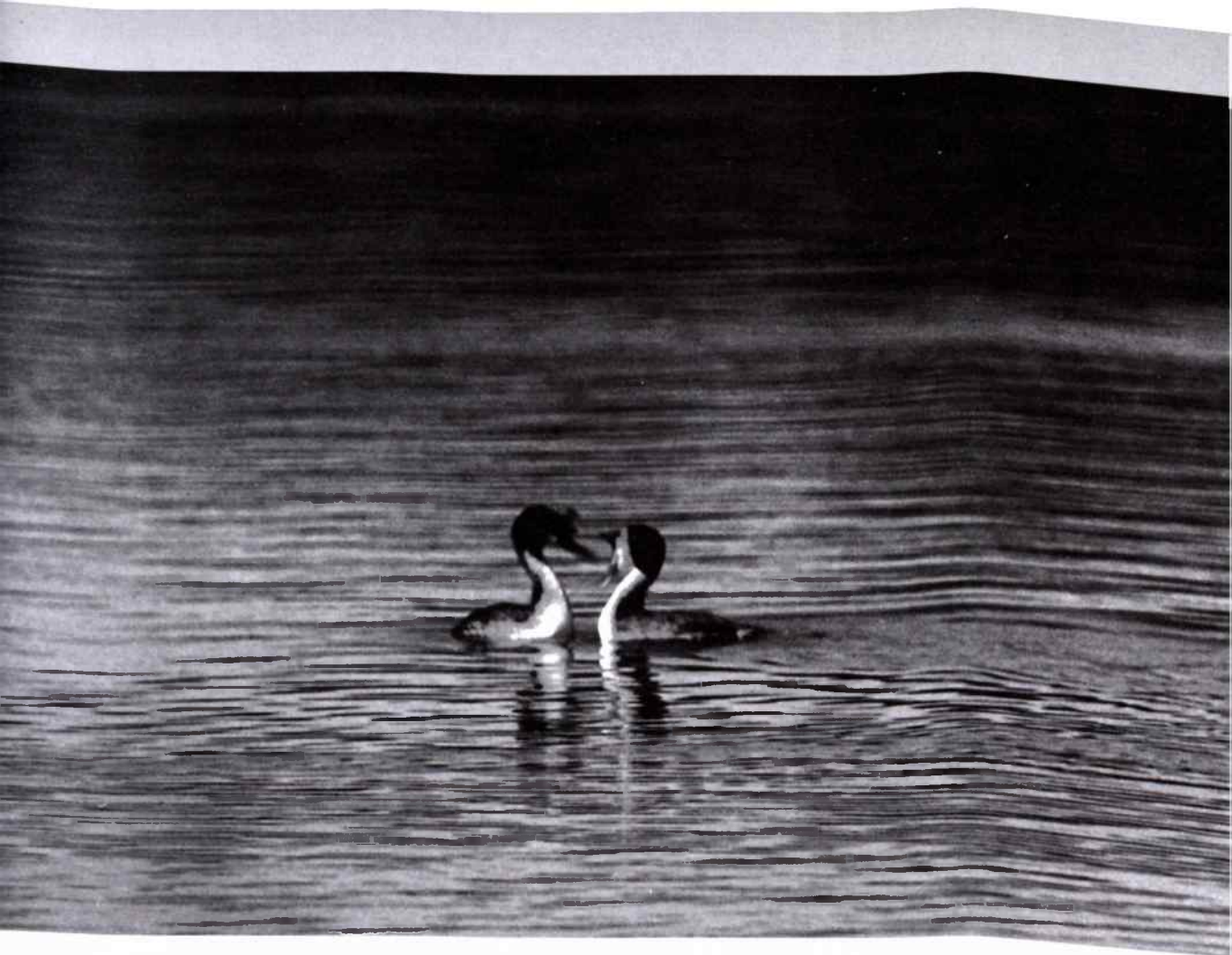
W trakcie zbierania materiałów miałam szczęście dwa razy spotkać się z księdzem Janem w Warszawie. Pierwszy raz pojechałam do niego w listopadzie 1981 roku, na krótko przed ogłoszeniem stanu wojennego. Przyjął mnie bardzo serdecznie. Mieszkał przy kościele SS Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Zajmował małe mieszkanie na piętrze domu. Wchodziło się do niego po drewnianych trzeszczących schodach. Wystrój wnętrza był bardzo skromny. Niewiele sprzętów: stół, krzesła, klęcznik, sekretarzyk, a na nim fotografia matki. W rogu pokoju duży kaflowy piec z malunkami poety: ptaszki, kwiaty... Z czasem na tym piecu podpisywali się goście księdza.

Byłam bardzo przejęta spotkaniem. Szybko jednak odkryłam w moim rozmówcy człowieka bardzo skromnego, pokornego. Był zakłopotany, kiedy wyraziłam zachwyt jego poezją. Dziwił się swojej popularności. I było to szczere. Dziecięce zdziwienie stanowi istotę jego twórczej osobowości.

Nie mówił wiele o sobie. Dyskretnie słuchał. Słuchał dziewczyny, która przyjechała z dalekiej prowincji do stolicy i która miała mnóstwo pytań. To, co usłyszałam, zawierało się w jednym jego zdaniu: *Wiersze to jeszcze jeden sposób mówienia do drugiego człowieka*. Nie mówił do mnie z pozycji tego, kto już wie wszystko. Taka jest również jego poezja. Twardowski szukał w niej prawdy o świecie, próbował dotrzeć do tajemnicy istnienia. Udało mu się to poprzez stworzenie atmosfery zaufania, zawierzenia Bogu i ludziom.

Z perspektywy czasu widzę, że to spotkanie z poetą było przede wszystkim spotkaniem z człowiekiem, świadkiem wiary i miłości. Zatrzaszczył się o moją pracę: podarował mi, nie do zdobycia wtedy, tom swojej poezji z dedykacją. Zatrzaszczył się o mój pobyt w Warszawie. Ni stąd ni zowąd na pożegnanie włożył mi do kieszeni 1000 zł. (moje miesięczne stypendium, z którego się utrzymywałam, wynosiło 1500 zł.). Był realistą w życiu i sztuce. Liczył się dla niego konkret.

Pamiętał o mnie długo. Przez kilka lat otrzymywałam od niego okazjonalne kartki z życzeniami. Był jednym z tych, którzy swoim życiem i twórczością, nadali odpowiedni kierunek mojej drodze. Odszedł, ale pozostała literatura, którą tworzył.



Poezję Jana Twardowskiego zajmowało się wielu krytyków literackich. Niniejszy esej zakłada jeszcze jedną próbę rekonstrukcji jej systemu estetyczno – filozoficznego. Wiąże się to z określoną metodą badawczą. Polegać ona będzie na analizie utworów ze względu na zawarte w nich wartości.

OD KONKRETU DO METAFIZYKI

Próbna lista frekwencyjna będąca zbiorem rzeczowników z kilku reprezentacyjnych tomików poezji („Poezje wybrane” 1979, „Niebieskie okulary” 1980, „Rachunek dla dorosłego” 1982) wykazała wyraźną przewagę słów mieszczących się w granicach słowa konkret. Na drugim miejscu znalazły się rzeczowniki, będące synonimicznymi odmianami szeroko rozumianego zwrotu *rzeczywistość niematerialna*.

Słowo – klucz *konkret* zawiera w sobie przede wszystkim motywy przyrodnicze.

Świat przyrody i wszystko, z czym człowiek obcuje na co dzień, są dla Twardowskiego punktem wyjścia ku *rzeczywistości niematerialnej*, duchowej. Bóg, miłość, prawda, radość, a obok tego cierpienie, smutek, śmierć to pojęcia abstrakcyjne, niemiarodajne. Poeta ufa więc przede wszystkim nazwom bezpośrednio postrzeganych konkretów. Poprzez opis poszczególnych jestestw dociera do duchowego, niewysłowionego bytu:

*Żółknie pora roku
węgorce wyruszają w ostatnią podróż(...)
kamień usnął ze zmęczenia
liść osiki się trzęsie narzeka na ogonek
księżyc kawaler stale tylko jeden
i jeszcze tyle niewidzialnego
bez tego nie byłoby nic widać*

Tytuł wiersza *Niewidzialne* sugeruje gradację wartości, jaką zastosował poeta pomiędzy *konkretem*, a tym co *niewidzialne*. Materialność świata jest podporządkowana sferze duchowej. Z tego typu postawą poety spotykamy się nie tylko w poetyce immanentnej, ale i sformułowanej. W swoim słowie odautorskim pisze:

To co widzialne, dotykalne pozwala określić granice niewiadomego i niepoznawalnego. Bez tej jedynej, bliskiej miary świata nie dałoby się też dostrzec i pojąć jego nieuchwytnych tajemnic.

Tak jednoznacznie określona postawa twórcza przywodzi na myśl wyraźne skojarzenia z postawą artysty – realisty. Stoi ona blisko epistemologii tomistycznej. Niczego nie ma w umyśle, czego nie byłoby najpierw w zmysłach, *poznaje to, co czuje i czuje to, co poznaje*. To wzajemne przenikanie się rozumu i zmysłów pozwala mu na abstrakcję, ale – jak dowodzi E. Gilson w dziele *Realizm tomistyczny – abstrakcję realistyczną, która jest ujmowaniem tego, co powszechne w tym co szczegółowe i tego, co szczegółowe, poprzez to, co ogólne*. Tak więc prawdą jest, iż istoty bytów możemy pojąć, tak jak i prawdą jest, iż istoty bytów pozostaną dla nas nie do końca znane, gdyż *forma, która im udziela pojęciowości, sama jest czysto pojęciowa; to zaś, co czysto pojęciowe umyka naszej intuicji, lecz jednak je pojmujemy*.

W poezji Twardowskiego – realisty:

*Indyczek którym głowy nagle czerwienieją
leszczynowej ścieżki
dzięcioła co nie śpiewa tylko woła
koguciego ogona w którym jest pięć kolorów
zielony granatowy czarny biały i żółty (...)
demonów duszy i ciała
psa co radości nie zna gdy nie ma ogona
tych co będąc dla siebie pozostają obok
i w ogóle wszystkiego
nie można zrozumieć do końca*

(WSZYSTKIEGO)

Podmiot liryczny poznaje rzeczywistość poprzez wrażenia. Jej *sensualizacja* jest punktem wyjścia do końcowej *abstrakcji realistycznej*, zawierającej się w zdaniu: *i w ogóle wszystkiego / nie można zrozumieć do końca*. Tą metodą, konstruując szczegółowe obrazy poetyckie, poeta ujmuje istotę bytu, dotyka przez empirię pierwszych, jedynek, niezaprzeczalnych czynników tego, co istnieje. Mówiąc językiem filozofii tomistycznej, Twardowski dotyka *istnienia w bycie, opisując realną treść*.

Mimo to często daje odczuć, iż *słowa sprawiają, że widzi się tylko połowę*, że istoty opisywanych bytów umykają intuicji, co wcale nie oznacza, iż podmiot liryczny ich nie pojmuje. Ciągłe jednak potyka się o tajemnicę istnienia.

Największą tajemnicą w utworach Jana Twardowskiego jest Bóg. W świetle powyższych wywodów nie jest On tylko dla poety wartością transcendentną, tak jak i nie są nią wartości dobra, miłości, prawdy:

*Bóg się ukrył dlatego by świat było widać
gdyby się pokazywał to sam byłby tylko
kto by śmiał przy nim zauważyć mrówkę
piękną złą osę zabieganą w kółko(...)
miłość której nie widać
nie zasłania sobą*

(ŚWIAT)

Widać tu próbę przybliżenia jednego z immanentnych przymiotów Boga, jakim jest miłość. Przy tym poeta wyraźnie sugeruje, iż Boga jako byt trudno opisać. Ukrył się w stworzonym

przez siebie świecie. Realiami więc tego świata można Go przybliżyć. Broni się przed spekulacjami intelektualnymi na Jego temat, bo *nawet Bóg podobny tylko do Boga nie/ istnieje*.

PARADOKS MIŁOŚCI

Poetyka Twardowskiego oparta jest na paradoksach. Paradoksalne formuły słowne jego utworów zdają się usuwać paradoksy opisywanej rzeczywistości:

Dziękuję Ci, że sprawiedliwość Twoja jest nierównością(...)

jest noc żeby był dzień

ciemno żeby świeciła gwiazda(...)

wierzymy bo inni nie wierzą

umieramy za tych co nie chcą umierać(...)

nierówni potrzebują siebie

im najłatwiej zrozumieć że każdy jest dla wszystkich

i odczytywać całość

(SPRAWIEDLIWOŚĆ)

W wierszu tym, w grze antytez i antonimów (*sprawiedliwość (...)* *nierównością*), dostrzegamy wyraźną dążność podmiotu lirycznego do harmonii i jedności. Można zaryzykować stwierdzenie, iż zostaje ona osiągnięta. Dla racjonalisty konkluzje w wyżej cytowanych wersach mogą wydawać się absurdalne. Prawdziwie odkrywcze okażą się jednak dla kogoś, kto przyjmuje zasady myślenia paradoksalnego. Logika paradoksalna – jak dowodzi Erich Fromm w *O sztuce miłości* – jest w opozycji do logiki Arystotelesowskiej, gdzie A jest A i odwrotnie. Logika paradoksalna zakłada, że A i nie A nie wykluczają się wzajemnie. Filozoficzne, moralne i poetyckie prawdy przekazał nam w swoich paradoksalnych myślach między innymi: Sokrates, Sęp-Szarzyński, Pascal. Z zasad logiki paradoksu wypływają w głównej mierze prawdy zawarte w Piśmie Świętym. Prawda płynąca z paradoksów jest prawdą pełną, gdyż mieści w sobie obszar znaczeniowy zawarty pomiędzy skrajnymi granicami:

Dziękuję Ci za to

że niedomówionego nie domawiałeś

nieskończonego nie skończyłeś

nieudowodnionego nie udowodniłeś

(SPRAWIEDLIWOŚĆ)

Mechanizm paradoksu w poezji Twardowskiego działa na zasadzie paralelizmu budowy leksykalnej i syntaktycznej kontrastowych segmentów znaczeniowych. Efekt użycia tego typu środków poetyckich pozwala poecie na automatyczne zmierzenie się z sprzecznościami świata. Prawda, którą pozostawia nam w puentach (*nie mówiąc / powiedziałeś mi tyle o Bogu*), nie jest absurdem – jak wynikałoby z logiki Arystotelesowskiej, jest pewną wartością proponowaną odbiorcy, a jak każda wartość jest zarazem propozycją rozwiązania jego sytuacji. Rozwiązanie to jest w wypadku Twardowskiego zawsze heroiczne. Poeta, dostrzegając sprzeczności tego świata i wynikające z nich problemy, nie poddaje się rozpacz. Przeciwnie proponuje wartość bardzo budującą – miłość, na którą składają się ufność, wiara, nadzieja, radość, choć również i ...cierpienie, smutek, samotność. Niemniej, dla poety te pierwsze wartości są swoistego rodzaju *znakami ufności* w dzisiejszym świecie, zdolnymi ocalić i wyrwać człowieka z poczucia bezsensu. Wszechobecna miłość sprawia, iż mimo ciągłego ścierania się kontrastowych wartości, poezja Twardowskiego cechuje się swoistego rodzaju jednorodnością, a jej świat poetycki jawi się Arkadią. Jest to Arkadia heroiczna, proponująca *zaufanie*

drodze

wąskiej

takiej na łeb na szyję

*z dziurami po kolana(...)
ale przecież wychodzi się
na łąkę stała święta Agnieszka
- nareszcie – powiedziała
martwiłam się już
że poszedłeś inaczej
prościej
po asfalcie
autostradą do nieba
i że cię diabli wzięli*

(ZAUFAŁEM DRODZE)

Heroizm tej Arkadii polega na ciągłej walce, na ciągłym wyborze wartości dodatniej, mimo że jej zdobycie trzeba okupić wieloma trudnościami. Nieustanny wysiłek wspierany jest miłością ku Bogu – Stwórcy. Miłość w swej paradoksalnej istocie ocala poetę-księdza przed tragicznym buntem w stylu Mickiewiczowskiego Konrada. Dzięki tej wartości godzi się on ze światem takim, jakim jest. Więcej, potrafi go afirmować, zachwycać się nim. W tej postawie wydaje się bliski koncepcjom filozoficznym francuskiego filozofa – przyrodnika P. Teilharda de Chardina, dla którego świat, dzięki swym paradoksalnym sprzecznościom, ewoluuje, zbliżając się tym samym do ewangelicznej Omegi. Jest to swoistego rodzaju widzenie sensu w pozornym bezsensie. *Credo contra absurdum* – paradoksalne powiedzenie Terencjusza w poezji Twardowskiego jawi się jako ocalająca od tragizmu prawda. Nie można zarzucić mu cłkiwego sentymentalizmu:

*jeszcze się trzymasz własnego szczęścia za włosy
odkładasz sobie w byle garnuszku
piszesz pamiętnik to znaczy stawiasz sobie pomnik
dlatego powietrze karmi cię skąpo
nie prowadzą niewidzialne ręce
to co wielkie nie przychodzi mimo woli
ból daremny – bo nie umierasz
nie umiesz oddać siebie
jakże masz dostać wszystko*

(JESZCZE)

Podmiot liryczny w formie ostrej apostrofy zwraca się do odbiorcy, tłumacząc mu, dlaczego nie doświadcza miłości dojrzałej, bo prawdziwie kochać – to przede wszystkim dawać, a nie brać. Doświadczając radości płynącej ze śmierci ego, doświadczamy części prawdy ostatecznej, wartości najwyższej. Droga do tego jest trudna, bolesna, ale jedyna. Podmiot liryczny sugeruje, iż nie wolno się na niej zatrzymywać, bo wszystko będzie *bólem daremnym*. Parafrazuje Pismo Święte, nauczając, iż *trzeba do końca umrzeć, aby zmartwychwstać, tak jak Chrystus*. Dla bohatera lirycznego wierszy Twardowskiego jest On:

*(...)
przeraźliwie doskonały
wieczny i nieśmiertelny
nierozpoczęty i nieskończony
zbawiający bo umiejący słuchać
skoro nie lękałeś się umrzeć z miłości
skoro nie bałeś się być słabym
oddychać ciężko po każdym złudzeniu
być zbitym na kwaśne jabłko*

(WIEM)



Ukochanie i zapatrzenie się w tę doskonałość, pozwala poecie ciągle od nowa kochać. Dąży on do mistycznego zespolenia się z Bogiem. Nie boi się tak jak Dante, w poszukiwaniu swojej miłości – Beatrycze, zejść do piekła, nie boi się rozpaczy, bólu płynącego z paradoksów otaczającego nas świata. Patrzy na świat przez *niebieskie okulary* zaufania tajemnicy. Jego świat poetycki to walka, a zarazem godzenie sprzeczności, które

*tak jak dwa jeże sobą zdziwione
szukają razem miejsca dla siebie*

(RAZEM)

Szukają i znajdują:

*Tak w pana Boga naprawdę uwierzył
że mógł się modlić jakby Go nie było
i widzieć smutek ogromny na polu
pszenicę która nie zakwitła w czerwcu
i same tylko niewierzące dzieci(...)*

*wierzyć – to znaczy nawet się nie pytać
jak długo mamy jeszcze iść po ciemku*

JAKBY GO NIE BYŁO

Bohater liryczny dąży do wiary ślepej, ale o nią trzeba zabiegać, *stukać do nieba*. Niech będzie:

*zawsze świeżą bo nieskończoną
taką co biegnie jak owca za matką
nie pojmuje ale rozumie(...)*

PROSZĘ O WIARĘ

Do takiej wiary można dojść – jak sugerują wiersze poety – poprzez pokorę. Wzoruje ją artysta-kapłan na doskonałej pokorze Chrystusa, który jak pisze św. Paweł *ogolił samego siebie przyjąwszy postać sługi*.

Poeta zakłada, że nie w jego kompetencji leży poznawanie i wyjaśnianie otaczających nas sprzeczności. Stąd bierze się u niego niechęć do uczonych wywodów teologów, którzy wszystko

starają się nazwać w swej *zadufanej mądrości*. Broni się przed porastaniem w słowa. Pisze:

*Modłę się Panie żeby nie zasłaniał
był byle jaki ale przeźroczysty(...)
aby już Ciebie tylko było widać*

(PRZEŹROCZYŚĆ)

Nie boi się Twardowski zagubienia, tak jak Dante, tak jak biblijny Hiob. Spiętrzające się paradoksy rzeczywistości nie prowadzą go do poczucia bezsensu:

*że nie można poznać
To nic
wystarczy kochać słuchać i obejmować*

Konkluzja wiersza *Niewidoma dziewczynka* jest wyraźnym opowiedzeniem się poety za tym, że gdzie kończy się droga poznania przez rozum, tam zaczyna się droga poznania w akcie miłości. Rzeczywistość aksjologiczna, która pozostaje właściwie poza zasięgiem ludzkiej interpretacji, poprzez skondensowane przeżycia emocjonalne podmiotu lirycznego zostaje zaprezentowana odbiorcy jako coś określonego, uchwytnego. Zostaje zaprezentowana językiem paradoksu.

POEZJA I MIT

Poeta odrzucając racjonalne wyjaśnienia aksjologicznych tajemnic, odzegnując się od wszelkiej schematyzacji, tkwi w wypełnionej przeczuciem sferze innego myślenia, myślenia zdolnego odkrywać poziomy świata wartości. Istnieją teorie, które porównują to myślenie do myślenia człowieka pierwotnego, mitologicznego. Odrzucam oczywiście założenie jakoby Twardowski świadomie przyjął pogląd, że poeta myśli kategoriami człowieka pierwotnego (jak to czynili niektórzy twórcy, między innymi Leśmian). Jest to raczej nieświadomiony czynnik organizujący jego poezję, co właściwie potwierdza słuszność głównej tezy badaczy, iż mechanizmy myślenia poetyckiego podobne są do myślenia człowieka pierwotnego.



Punkty wspólne zawierają się przede wszystkim w specyficznej logice, według której poeta i człowiek pierwotny ujmują rzeczywistość. Logika ta, jak sądzi francuski etnolog-strukturalista C. Levi-Strauss, zdolna jest rozwiązać zadania analogiczne do tych, jakie rozstrzyga logika oparta na zasadach naukowych. Często utożsamiana jest ze wspomnianą już logiką paradoksu. W swoim założeniu łączy się z charakterystycznym obrazowaniem, z *tu i teraz* przestrzeni i czasu świata przedstawionego, ze specyficznym tłumaczeniem związków przyczynowo-skutkowych (brak przypadku – wszystko posiada swoją przyczynę), z emocjonalną zmysłowością, konkretnością w ujmowaniu rzeczywistości. Człowiek o pierwotnej i ... poetyckiej świadomości potrafi żyć czasem sakralnym, sytuować się w *kontekście kosmicznym*.

Rzeczywistość, jaka jawi się w świecie poetyckim Twardowskiego, wyraźnie wskazuje na podobieństwo wyobraźni jej kreatora do opisywanych wyżej cech wyobraźni człowieka pierwotnego. Oto wiersz **DRZEWA NIEWIERZĄCE**:

*Drzewa po kolei wszystkie niewierzące
ptaki się zupełnie nie uczą religii
(...)
nie znają ewangelii owady pod korą
nawet biały kminek najcichszy przy miedzy
zwykle polne kamienie
krzywe łzy na twarzy
nie znają franciszkanów
a takie ubogie
nie chcą słuchać mych kazań gwiazdy sprawiedliwe
konwalie pierwsze z brzegu bliskie więc samotne
wszystkie góry spokojne jak wiara cierpliwe
miłości z wadą serca
a takie wciąż czyste*

Obrazy poetyckie, jakie jawią nam się w tym wierszu, układają się w opisywaną *teorię bytu*. Podmiot nie wyodrębnia się z otaczającego świata przyrody. Przeciwnie, ukazuje analogię pomiędzy człowiekiem a naturą, ujednocila prawa rządzące podmiotem i przedmiotem. Jest to efekt instynktownego poczucia jedności ze światem przyrody. Nie jest to jednak naiwny antropomorfizm człowieka pierwotnego. Takie obrazowanie świadczy raczej o potrzebie kontaktu pomiędzy podmiotem a światem. Nie chce on wyjść poza to, co zna z samoobserwacji. Świat zewnętrzny staje się dla niego równouprawnionym partnerem, więcej, świat przyrody przewyższa podmiot w poczuciu wierności największemu prawu w świecie, jakim jest prawo miłości.

Serce człowieka skażone jest rozumem. Twardowski często krytykuje *biedną, logiczną głowę*, która chce mieć wszystko poukładane, wytłumaczone, *lecz Pan Bóg wie najlepiej, więc wszystko inaczej*. Myślenie poetyckie Twardowskiego broni się przed wtłaczaniem rzeczywistości w logiczne schematy, obciążone racjonalistyczną kulturą. Dlatego też swoje obrazowanie opiera na emocjonalnym, pełnym ekspresji zestawieniu konkretów. Jest ono bliskie obrazowo – emocjonalnemu myśleniu człowieka pierwotnego, który kieruje się swoistego rodzaju logiką podświadomości. Levi-Strauss sądzi, iż logika tego typu jest zdolna rozwiązać zadania analogiczne do tych, jakie rozstrzyga logika racjonalna. Poeta, idąc za swoją intuicją, dochodzi więc do mądrości podświadomej, irracjonalnej. Głównym czynnikiem tej mądrości nie jest wytwór rozumu, ale serca, czyli miłość, wiara, zaufanie nienazwalnemu Bogu, bo

*Pan Bóg jest jak Pan Bóg pewny i prawdziwy
Tylko dla filozofów garbaty i krzywy*

(NA WSI)

Dla filozofów kierujących się w procesie poznania tylko rozumem. Poznanie intuicyjne natomiast, na pozór nielogiczne, jest zdumiewająco trafne, bo rodzi się z wyobraźni, tajemniczej głębi człowieka. Potrafi od razu wskoczyć w środek sprawy, objąć całość. Tajemnicza głębia to Jungowski mit, będący symbolem wiecznych tęsknot za strefą sakralną, pierwotną, w której możliwe jest rozwiązanie tajemnicy bytu człowieka. Tę tęsknotę za płaszczyzną *sacrum* znajdujemy w prawie każdym wierszu Twardowskiego. Bóg – miłość, będący fundamentem tej strefy, jest *dla poety odnaleziony i nie odnaleziony jeszcze*, bo twórca jest cały czas w drodze do Arkadii. Jest ona od niego dalej lub bliżej.

Jego świat poetycki nie opiera się tylko na sferze *profanum*, nie mieści się także całkowicie w sferze *sacrum*. Takie jednoznaczne rozwiązanie możliwe było tylko w świecie człowieka pierwotnego, jak dowodzi Eliade, oraz we wszystkich religiach niechrześcijańskich, zwłaszcza hinduskich, które zakładają, że *tylko sacrum jest per excellence rzeczywiste*. Inaczej patrzy się na *profanum* wychodząc z gruntu judeo – chrześcijańskiego. Jest to jedyna na świecie religia, która waloryzuje historię *świecką*, konkretyzującą się w czasie i przestrzeni. Bóg żydów i chrześcijan to osobowość, która nieustannie interweniuje w historię. Objawienie Chrystusa dokonało się nie w czasie mitycznym, ale *onego czasu za Poncjusza Piłata*. Świat poetycki księdza Twardowskiego budowany jest więc na płaszczyźnie *profanum* uświęconego. Poeta wchodzi, jak przystało na prawdziwego chrześcijanina, z podniesioną głową w dramatyzm historii *świeckiej*. Nie ignoruje go, lecz wytrzymuje w nadziei i miłości do Boga-człowieka, którego *mędracy odnaleźli/ Pod niebem spadającym jak głębinowe żelazo*. Ta wiara w Boga osobowego, który umarł na krzyżu, pozwala godzić się Twardowskiemu z istnieniem *15 milionów trędowatych, 30 milionów obłąkanych, pomordowanych przez białego chrześcijanina*,

*bo gdybym nie wierzył
osunęliby się w nicość*

(WIERZĘ)

Bóg chrześcijański to osobowość, dla której wszystko jest możliwe. Poecie brak uzasadnień racjonalnych:

*dlaczego
żubr jęczy(...)
człowiek mówi śpiewa i wyje
tylko motyle mają wielkie oczy
i wciąż jeszcze tyle przeraźliwego milczenia
które nie odpowiada na pytania*

(DLACZEGO)

Pozostaje więc zaufanie, że On wie najlepiej. A może po prostu
*jeszcze nie powstał na serio świat
jeszcze trwa Twój uśmiech niedokończony*

(KTÓRY)

Pytania te pozostają bez odpowiedzi, zlewając się na płaszczyźnie Arkadii heroicznej.

Twardowski jawi się twórcą rozdartym w stylu Sępa-Szarzyńskiego pomiędzy ewangeliczne *ciało* – czyli złe skłonności natury i *ducha*. Jego świat przedstawiony w ostatecznym rachunku ukazuje się jednak odbiorcy jednorodnym. *Profanum* zostaje uświęcone, zanurzone w boskim, sakralnym wymiarze rzeczywistości:

*Jeden Bóg trwa nad nami
pod nim wszystko mija
jak noc w górskim schronisku
i młodość szczęśliwa*

(JAHWE)

Pomimo ciągłych nawrotów do przeszłości, do różnych konkretnych miejsc (parafie na wsi, szkoła dla dzieci chorych umysłowo, szpital, Betlejem), świat poetycki Twardowskiego to niezmiennie *tu i teraz*. Pisząc o tych, co odeszli, tłumaczy:

*że jest tylko jedna
że już są razem chociaż się nie widzą*

(O NIEOBECNYCH)

Nie dzieli poeta życia na ziemskie i to po śmierci, życie człowieka jest wiecznością. Składają się na nie tylko różne etapy. Najważniejsze z nich to życie i śmierć –

*dwie czyste chwile
tak bardzo szczere że obie nagie*

(PRZEPIÓRKA)

Czas konkretyzujący się w ziemskim życiu każdego człowieka opleciony jest wiecznością. To tylko ludziom się zdaje, że *wszystko jest nietrwale wciąż tylko na niby*.

*Wciąż wieczność była z nami a
a nam się zdawało*

Puenta utworu *Wieczność* jest swoistym podsumowaniem czasoprzestrzennego ujmowania rzeczywistości przez Twardowskiego. Wskazuje ona na złudność przekonania o istnieniu tylko czasu świeckiego, historycznego. Uludę tą warto przekraczać w imię ocalenia przed tragizmem. Bohater liryczny przekracza ją przede wszystkim dlatego, że zaufał niewidzialnemu i wieczystemu Bogu. Bóg Twardowskiego nie mieszka gdzieś w innym wymiarze. Jest czynnikiem składowym konkretnego, świeckiego czasu i przestrzeni. Jest Bogiem immanentnym, wpisany w rzeczywistość. Przez to zmienna konkretność zyskuje cechy wieczności. Świat jawi się jednorodnym w oczach poety. Jawi się Arkadią, ale heroiczną, bo ciągle przez niego na nowo zdobywaną.



DZIECIĘCOŚĆ I HUMOR

Wielu krytyków wypowiadających się na temat poezji Twardowskiego poruszało problem jej dziecięcości. Łączy się on ściśle z rozwijaną wyżej analogią: poeta – człowiek pierwotny. W polskiej krytyce literackiej utarło się nawet określenie *poeta dzieckiem podszyty*. Można je także zastosować w niniejszej pracy.

We względnie harmonijny, jednorodny świat baśni wkracza jednak poeta dopiero w swych powojennych utworach. Oto wiersz *Przyjdźcie* z tomiku „Niebieskie okulary”:

*Przyjdźcie potraskane klony jasne i żółte
obszarpany z liści grabie dyskretny(...)
przyjdź stara kwoko na urwanej łapie
przyjdźcie cierpienia niewinne
przyjdźcie Adamie i Ewo coście za szybko chcieli
wiedzieć co dobre a co złe
przyjdź cebulo co w swoich trzech sukienkach
namawiasz do płaczu
przyjdźcie i powiedzcie
że to nie Jego wina*

Wyobraźnia poety działa tutaj na zasadzie wyobraźni dziecięcej. Świat przyrody, świat nadprzyrodzony wciągany jest do świata ludzkiego. *Klony, stara kwoka, cebula*, biblijni *Adam i Ewa*, Bóg egzystują na jednej płaszczyźnie, tak, jak to się dzieje w świecie baśni (w poprzednich wywodach ta jednorodna płaszczyzna nazwana była uświęconą Arkadią heroiczną). Roger Caillois w swym szkicu estetyczno – literackim *Od baśni do science - fiction* pisze, że *świat baśni i świat rzeczywisty w pewnego typu literaturze przenikają się nawzajem bez żadnych trudności i konfliktów*.

W baśniowym świecie powojennych wierszy Twardowskiego pełno jest Aniołów Stróżów, Pan Jezus chodzi tam między ludźmi, zwierzętami i roślinami, a

Matka Boska w sukience do kolan(...)

biega jak wróbel polski po podwórku

(TAK LUDZKA)

Skondensowanymi w swej baśniowej jednorodności są zwłaszcza opowiadania prozą dla dzieci. Brak w nich jakiegokolwiek wyższości w stosunku do *małuczkich*. Narrator po prostu opowiada o sprawach przez siebie przeżytych i ... ciągle przeżywanych. Świat jemu samemu jawi się umiłowaną baśnią, pełną ewangelicznych wydarzeń, postaci. Świadomość narratora nie zniża się, ale siłą woli i serca wchodzi na poziom świadomości dziecka. Twardowski dosłownie i z pełnym zaufaniem realizuje w swoim życiu twórczym ewangeliczne zalecenie: *Jeżeli się nie odmienicie i nie staniecie jako dzieci nie wejdziecie do królestwa niebieskiego*. Dziecko nie ujmuje świata według zasad logiki formalnej, ale według swoistego rodzaju logiki uczuć (wyżej nazwana była logiką paradoksu, irracjonalną, podświadomości, intuicji).

Istoty nadprzyrodzone traktowane są przez Twardowskiego immanentnie. Nie są dla poety nikim odległym, bo stanowią istotę tego świata, jego klimat. W swym świeżym, dziecięcym spojrzeniu na świat wydobywa jego detale i porównuje na różnych płaszczyznach. *Kropla deszczu* staje się dla niego godnym, wręcz niedościgłym do naśladowania przykładem. Tak jak zresztą wszystkie prawa obowiązujące w przyrodzie. Świat przyrody widziany jest przez poetę jako doskonale dzieło Stwórcy. Wszystko w nim posiada określoną funkcję i cel. Poeta dziwi się i zachwyca, tak jak dziecko nad skomplikowaną zabawką, zadaje ciągle pytania, chcąc znać odpowiedź. Tak jak i dziecko jednak przyjmuje wiele rzeczy *na słowo*. Z dziecięcą ufnością godzi się z tym, że wszystkiego *nie można zrozumieć do końca*. Dziecięcość ocala Twardowskiego przed tragizmem człowieka-intelektualisty. Nie pozwala mu ustać w drodze do Arkadii. Jest ona również źródłem prawdziwej dziecięcej radości. Przejawia się w konstrukcjach językowych budowanych według reguł wyobraźni dziecięcej. Wersy brzmią jakby zapisane mimochodem, pozornie niedbałe, potoczne, w stylu szczerego myślenia dziecka:

Przyjdź to co ni w pięć ni w dziewięć

i to co trzy po trzy

przyjdź dwa razy dwa wcale nie cztery

nie tak i tak dalej ale tak i nie tak dalej

Wyżej cytowany utwór *Naucz się dziwić* pozornie przypomina zabawę słowną, w rzeczywistości zaś wykorzystuje stałe, utarte związki frazeologiczne, a sytuując je w odpowiednich kontekstach wyzwala tym samym ich pierwotne, dosłowne sensy. To przewartościowanie przyzwyczajen językowych dorosłych budzi nieufność, dyskretny uśmiech wobec postrzeganej rzeczywistości, która jawi się groteską. Poeta nie waha się powiedzieć, *iz król jest nagi*, co nie przeszkadza mu jednak w prawdziwie braterskiej akceptacji rzeczywistości. Takie pojmowanie świata teoretyk komizmu S. Szuman nazwał humorem. Humor wg niego jest filozofią *pogodnego usposobienia*. Tego typu postawę odnajdujemy w świecie poetyckim Twardowskiego. Podchodzi on do przedstawianej, niedoskonałej rzeczywistości z głęboką życzliwością, serdecznym uśmiechem. Jego poezja wzbudza w odbiorcy *siłę pogodnego nastroju*. Humor jest jego trwałą światopo-

gładową postawą. Wartość ta uwalnia go od patosu i zarozumiałości jako twórcy, wciąga w strefę dyskretnego kpiny. Świadczy to o głębokiej pokorze artysty:

*Tak zająłem się sobą że czekałem aby nikt nie przyszedł (...)
bronilem tak gorliwie Boga że trzepnąłem w mordę człowieka*

(SKRUPUŁY PUSTELNIKA)

Podmiot liryczny świadomy jest swojej człowieczej małości. Odbiorca dzięki atmosferze pełnej głębokiego autentyzmu i szczerości identyfikuje się z nim.

Poeta jako humorysta nie usiłuje niczego zdobyć, nikogo na siłę nawracać. Wychodzi z założenia, że jedyną miarą wielkości człowieka jest miłość. Wszystko inne dyskretnie ośmiesza. Osiąga to przez kontrastowe zestawienia treści i formy danego zjawiska. Treść, która jest wartością rzeczywistą, często przysłonięta jest złudną formą. Twardowski demaskuje ją, m.in. zderzając stereotypową frazeologiczną asocjację z jej zaskakującymi przekłamaniem przez wprowadzenie słowa innego niż automatycznie oczekiwanego: *okulary przeciwniebieskie, byk retoryki, wazelina stylizacji*. Twórca tych humorystycznych form broni się od schematyzmu w swoich wierszach, od formalizmu w relacjach z Bogiem i ludźmi:

*Zebym pisząc wiersze (...)
nie tłumaczył Biblii na nie – Biblię (...)
nie zamykał się w budce poezji –
kiedy trzeba mówić najprościej*

(DO SIEBIE SAMEGO)

Prawdziwa wartość posiada cechy rzeczy najprostszej. To tylko ludzie obudowali ją niepotrzebną formą, która często staje się wartością samą w sobie:

*Jak daleko odszedłeś
od prostego kubka z małym uchem
od wzruszenia nie na niby (...)
od podziwu nad światem
ty stary koniu*

(RACHUNEK DLA DOROSŁEGO)

Jest w tych słowach humor przesycony nutką goryczy, zaduma nad ludzkimi słabościami. Humorem broni się poeta przed tragizmem, przed zniechęceniem w dążeniu do utraconego raję dzieciństwa, gdzie *wszystko było tak naprawdę*:

*A miłość była tak czysta że karmiła Boga
wielka i dlatego możliwa
kiedy martwiłem się żeby Pan Jezus nie zachorował
bo by się komunია nie udała*

(DZIECIŃSTWO WIARY)

Myślenie dziecka pozornie naiwne jest autentyczne, szczere. Nie mieści się ono w *naszej biednej logicznej głowie*, układającej życie w schematy. Za to pojawia się bezsens, pustka. Świat ten poeta nazywa *światem czytanego analfabety*. Jest to człowiecza iluzja. Burzy ją poczuciem humorem, obnażając jej znikomą wartość. Czyni to swoimi błyskotliwymi puentami:

*Właśnie wtedy kiedy pomyślałeś
że papugi żyją dłużej
że jesteś okrutnie mały
niepotrzebny jak kominek na niby
w stołowym pokoju (...)
właśnie wtedy wybrał ciebie ktoś
większy niż ty sam
który stworzył świat tak dobry*

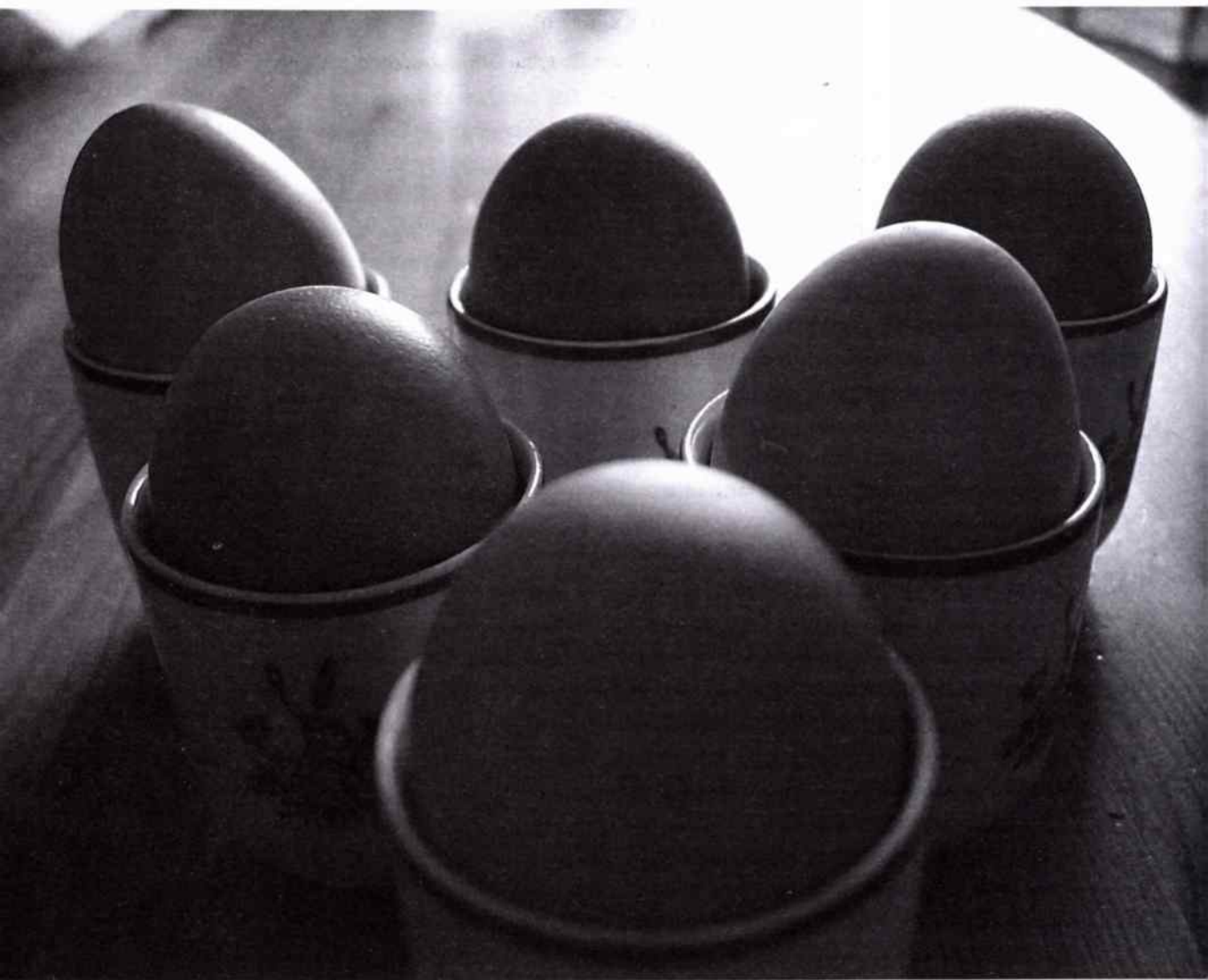
*że niedoskonały
i ciebie tak niedoskonatego że dobrego*

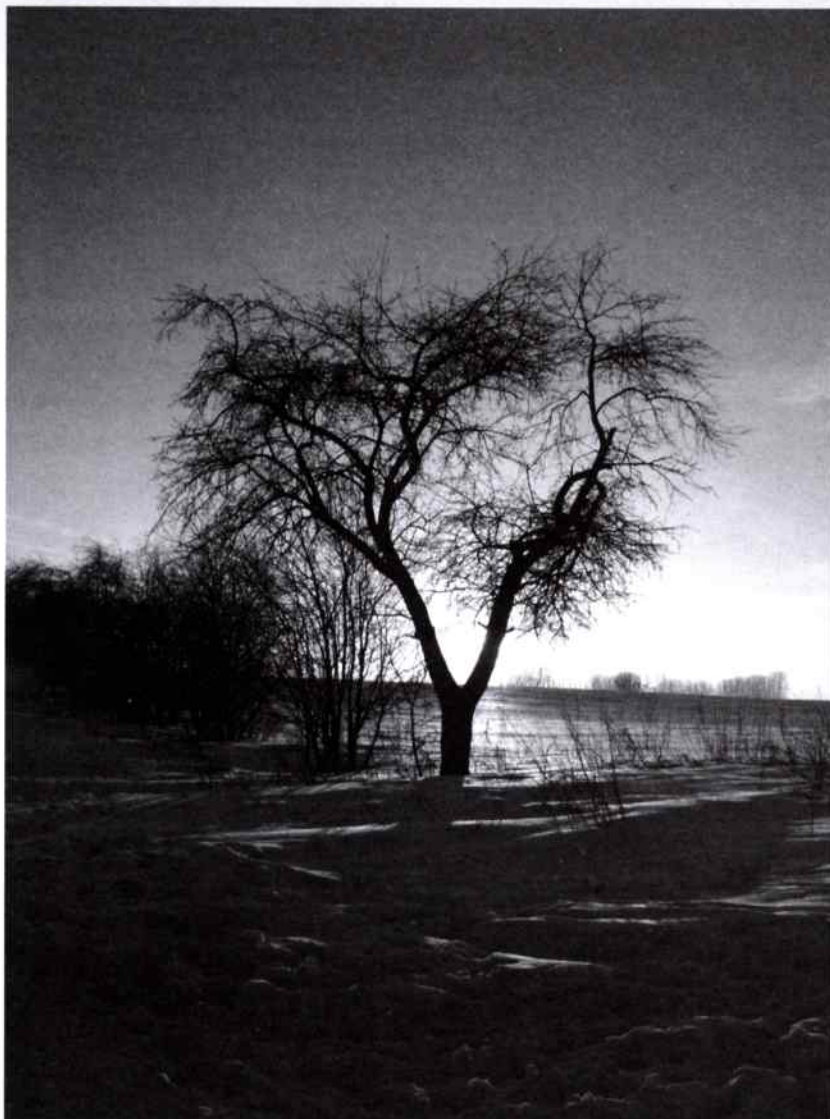
(WŁAŚNIE WTEDY)

Puenta jest paradoksem, prowokuje uśmiech. Odbiorcy nagle dane jest pojąć i zrozumieć wszystko. Rozumuje on podświadomie, przy pominięciu czynności intelektualnych. Schodzi na poziom dziecka, co przysparza mu radości. Powraca do raju, który utracił wraz ze spożyciem owocu z drzewa świadomości. Raj to baśń, gdzie wielość zamyka się w jedno, a wszystko posiada swój cel i funkcję. Osiągnięcie go nie jest możliwe w ziemskim bytowaniu. Bohater liryczny wierszy Twardowskiego nie ustaje jednak w swym heroicznym, ludzkim ku niemu dążeniu.

Humor dyskretnego uśmiechu jest jego obroną przed zwątpieniem we własne siły. Obrońcą czuje się także odbiorca jego poezji. Tym samym możemy stwierdzić, iż twórczość księdza Twardowskiego posiada bardzo silne właściwości terapeutyczne, jest zdolna wzbudzić w nas siłę pogodnego nastroju.

*Odszedł poeta, ale pozostało słowo.
Odejść od świata-zanurzyć się w Bogu
a potem znowu być tutaj z powrotem
aby powiedzieć już widzę odwrotnie*





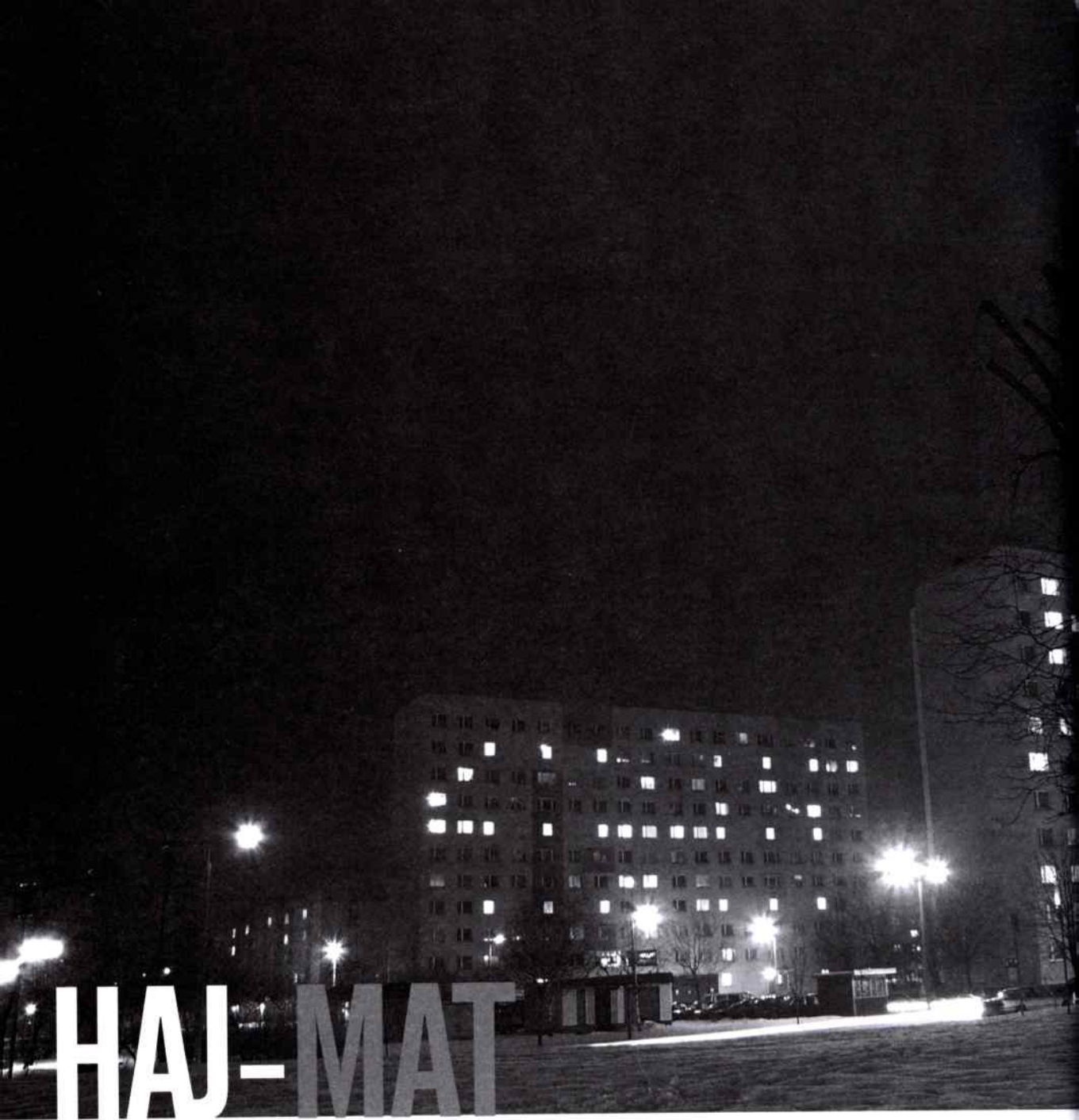
Wojciech Arciemowicz

Ur. 20.04.1967 r. Raciborzu. W 2003 roku ukończył Szkołę Policealną o kierunku – grafika komputerowa.

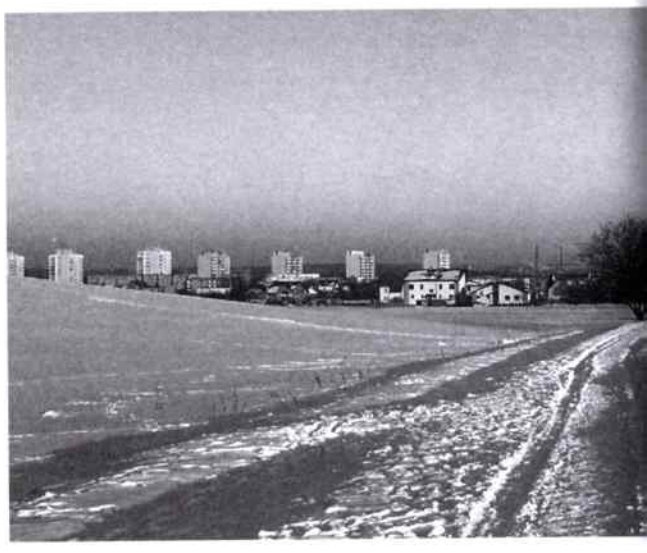
Mieszka i pracuje w Raciborzu, od kilku lat interesuje się fotografią i jej obróbką. Aparat cyfrowy służy mi nie tylko do rejestrowania rodzinnych wspomnień, ale także do fotografowania przyrody i architektury miasta.

Jego motto – „Uchwycić chwile z chwili naszego życia.”





HAI-MAT





KLAPSY

Klapy, letnie gruszki. Najbardziej kobiece owoce. W kształcie. Grobowce os. Przy odrobinie szczęścia (?) – szerszeni.

Kiedy nadlatywały zwabione słodyczą macicy gruszkowej opowiadającej się na trawie. Młot cienia. Noga w sandale, trampku, tenisówku. Owady namaszczone lepką mazią. Statyczne jak figurki demiurga-cukiernika.

Najgorzej w sandale. Gdy minimalnie chybił, nie rozgniółł na amen. Między paskami trop żądła. Agresja kwasu mrówkowego.

WĘGIERKI

Chrupkie gałęzie wyzwolone od kołtunów i koków gniazd. Zmierzwione, zdane na wiatr.

Wąska ścieżka śliskiego pnia prowadziła do granatowego mundurka nieba z białym kołnierzykiem chmur, do paliowego apejronu wakacji.

Jak łowca pereł rozcinałem granatowe muszle w poszukiwaniu zdatnego do spożycia. Świadomy obrzędów starożytnych czytałem z analizy porównawczej parszywych i zdrowych owoców.

Widomie, z roku na rok nadchodziły czasy coraz bardziej robaczywe. Dokonywała się pejoryzacja dziejów.

Wtedy nie słyszałem jeszcze o Chrystusie.

ŚWIERK

(...) świerki jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokół te drzewa i na straży ich postawił wylekłą ciszę.

(S. Żeromski, Ludzie bezdomni)

Cały zawierał się w szumie.

Zapamiętany z pełnią u wezglowia, doskonale zharmonizowany z poetyką Dwóch mężczyzn kontemplujących księżyc Caspara Davida Friedricha na okładce Cierpień młodego Wetera.

Z roku na rok wysyłał coraz mniej szyszek z misją ratunkową; pogrążał się w bezpotomnej samotności.

Jego jeremiczna inkantacja na wiosnę ogłupioną przez skowronki, włamania do pokoju wytapetowanego światłem, dopisywanie stref ciszy w lekturze.

W końcu wycięty, by traktor bez przeszkód wykonywał manewry agrarne na pobliskim polu.

Bez imienia Baublis, Chrobry, Bartek – rozczłonkowany na klocki.

Ludzie zamieszkali we mnie z wiarą rozpowiadają legendę, że gdy zrosną się jego szczątki zabalsamowane ogniem, wrócimy do ogrodu.

BIEDRONKA

Biała w czarne wielokąty. Tratuje łądowisko owadów, załazi za skórę szybom. Jej lot na tle błękitu, przejściowe tonięcie w kumulusach.

Przylega do nogi, trampek wprawia sferę w ruch obrotowy. Strzał z warkoczem wydartej trawy. Bezradna robinsonada, efemeryczne szamotanie pod poprzeczką. Bezruch.

I znowu się toczy po łące, tratuje rośliny, rozpląszcza owady, pruje powietrze.

NIMFY

Nimfy łąk i pastwisk. Ich poetyckie, pieszczotliwe imiona. Zawsze takie, nigdy inne. „Zońka”, „Perła”, „Kwiatuła”, „Kalina”, „Jagoda”, „Malina”. Fascynujące onomastycznie nie mniej niż greckie meliady, najady, lejmoniady.

Wojciech Bąk pisał o ich czułym poryku, pisali inni poeci. Wielu.

Gdy zrównam się w formie istnienia z Bogiem czy choćby aniołem, samolotem lub ptakiem, ufam, że będzie mi dane oglądać zielone karty albumu z czarno-białymi fotografiami.

WARMIANKA

Jak koszulka ryby schnąca na linii brzegowej odpływu, jak sieć łusek, z której wymknęło się życie – niepotrzebnie w stodole. „Poszła na wycug” – śpiewa rekwiem chór maszyn tyle od niej ważniejszych, że nie obsycha na nich pole. Jak dotąd.

Kiedy się wypełniały dni i przyszło młócić latem, skomlała z ekstazy, gdy snopek kaskadą szeleścił jej wnętrze, kiedy oddzielała ziarno od plew.

Ciągle bawię się na niej w wojnę. Jest fortecą, pancernikiem w suchym doku. Kolby kukurydzy wielokrotnie roztrząskiwały się o jej burty, spływały rdzą serie lanych poniedziałków.

CIERNIKI

Nad piaszczystym dnem, gdzie nurt tracił impet, pokorniał, rozpląwał się w krainę łagodności. Pierzchliwa łąwica. Z trudem, jednak nie bez sukcesu – wylapywana do woreczka.

Już transport bywał zabójczy. Wstrząs mózgu od jazdy rowerem po polnych drogach, w zawiązanym worku.

Wychlust do akwarium.

I zawsze to samo: protest zbiorowy, brzuchy do góry – żaden argument przeciwko organizowaniu kolejnych łąpanek.

Pierzchliwa łąwica cierników z kolcami bezbronnyimi jak kolce róży. Nad piaszczystym dnem.

Dreszcz wody smagniętej nagłym wiatrem, diabolicznym cieniem ręki uzbrojonej w siatkę. Ręki – cząstki tej siły, która, stale pragnąc dobra, stale dopuszcza się zła.

WINOGRON

Jak zielonkawe kule od łożyska – pociski Dawidowej broni – tęsknota dawnych chłop-
ców.

Nie samym kształtem piękny. Kształt jako pierwszy podlegał zagładzie, deformowany
przez nacisk zębów. Odczytywaniem domniemanego zapachu nikt nie zakłócał chwili, kiedy to
sok, wytłoczony z grona, spływał po szkliwie w kubki smakowe.

Przed smakowaniem było rozgryzanie: dźwięk nieudolnie wylupanego klejnotu z koro-
ny, upuszczonego na krzyk, na błysk, na ciemne słońce rozbicia.

RZEPAK

*Skąd pochodzi moja radość
z nieba
nad żółtą rzeką rzepaku*

(Magdalena Jankowska)

To już jest mi odjęte. Odebrane. Płaczliwy filozof rozwiewa złudzenia, tłumi nadzieję: nie
można dwa razy wejść do tej samej rzeki, żółtej rzeki uniesień.

A jednak będę ją ponawiał, ocucę radość boskością słowa (Można w nią zwątpić, jak
Hamlet: „Words, words, words”; jak we wszystko, co zamienia się w tajemnicę przy próbie pozna-
nia): nad pole kwitnącego rzepaku wystrzela myśliwska wieża – ambona, z której padają gromkie
nauki ars (bene?) moriendi, obok której padają płowe zwierzęta.

Pachnie. Niedzielne nieistnienie maszyn. Agronomiczny bezruch. Na horyzoncie magne-
tyczny punkt kościoła. Ostatecznie on odpowiada za statyczny stan rzeczy.

Pachnie i brzęczy. Dolatuje do nosa i uszu. Sięga po pas, zostawia smugi na ubraniu, mo-
nochromatyczne tęczę.

„z nieba // nad żółtą rzeką rzepaku”. Aliteracja wiersza scala się z zapisem pamięci słucho-
wej w harmonijną kompozycję, „żółta rzeka rzepaku” z głosami fauny nad freskiem flory.

Otrzyj łyzy, płaczliwy filozofie, tą kartką z nacięciami pisma. Hanna Krall ma rację: tam
już nie ma żadnej rzeki. Jest tu. Płynie niezmienna, korytem wyżłobionym rylcem pisma. Czytaj
i wchodź do niej, ile dusza zapagnie. Bez obaw.

MNISZEK

Tyle pomniejszonych słońc, śnieżynek powiązanych z ziemią aksamitkami zieleni. Ra-
dość jak z pierwszego śniegu, tego wypatrywanego w brzasku życia.

Łąka gwiaździsta pode mną, afirmacja istnienia we mnie.

SIENA

O MIŁOSZU, O ŚLĄSKU, O NAS

SIENA

W tym cała piękność snu, że krew nie płynie,
ale zastyga w znak, gdy dotknie miecz,
a tym cała piękność snu, że w ciemnej glinie
jest odpoczynek wśród anielskich rzesz.
I złota wiję się dokoła żmija
i wszystko tutaj trwa, choć nic nie mija.

O głodzie głucho tu, co nas pożera,
bo kwiat z marmuru lepiej się pomodli.
O głodzie głucho tu. Ryta litera
żyje pod nogą. My, jak blask pochodni
jesteśmy, drżący pod blaskiem słonecznym.
Jak ptaków głos o świcie – ostatecznym.

Ach, zrozumiałym trzeba być. Więc widzę
niebo błękitne nad murami Sieny.
Ach, zrozumiałym trzeba być. Łodydze
podobną wieżę, turniejów areny.
I krzyże męki na złocie się ważą,
z żurawim skrzydłem i jaskółczą twarzą.

Niebieski winnic dym. Słodczy dosyć.
Ale ta słodycz od ziemi odpycha.
Niebieski winnic dym. Nie o to prosić
trzeba w pokorze co dzień, choćby licha
była ta prośba, która głowę skłania,
gdy pragnie krwi, rozkoszy, kochania.

O wielki oddech rozpalonych młotów,
o żużli głuche na brzegach zwaliska,
trawę zetlą u fabrycznych płotów,
smutek i pary smugę, co wytryska
z blaszanych daszków na niebo zmienione.
O gorycz, niski lot, trudna obronę.



O ranne gwizdy, zamglone cysterny,
wszystko, co siłą swoją serce rani,
kobiet przy bramach wzrok niemiłosierny,
o gwiazdę huty, za którą zbłąkani
idziemy skrajem suchych pól i grzmią
Wagony, wagony, węgiel w nocy wiozą.

A Siena spada w blask, jakby strząśnięta
rosa w potoki zbiegające z gór.
A Siena spada w blask i nie pamięta
wzrok jej kolorów, jej kamiennych piór.
Cichnie gwar widm, otwarte wrota boju.
Gwiazdo, chroń nas – od szczęścia i spokoju.

ITALIA – ŚLĄSK 1937

1.

Już prawie dwa lata nie ma go wśród nas. Zmarł 14 sierpnia (2004 r.) jak św. Maksymilian Kolbe. Różnili się bardzo, zmarli w tym samym dniu, w wigilię Maryjnego Wniebowzięcia. Śmierć unieważnia nieistotne różnice, oczyszcza z niepotrzebnego nalotu życie i relacje, ocala wielkość – na jakiś czas przynajmniej... Reszta jest nadzieją. Którą wyznają, z pokorą, ale i z mocą – jako chrześcijanin.

Od kilkunastu miesięcy nie pojawiają się jego nowe wiersze. Musimy z tym żyć, sięgając po dawne. Proponuję teraz, w pierwszą rocznicę śmierci, na łamach „Śląska”, uważną („uwaga” – jak on lubił to słowo i jaką przywiązywał doń wagę...) lekturę jego najbardziej bodaj śląskiego wiersza: Siena. Ze skromnym komentarzem, dotyczącym naszego aktualnego entourage'u. Wszak wielkie wiersze są kluczem do wielu drzwi, nie tylko do czasu i miejsca swego powstania. A Siena jest wierszem świetnym.

Miłosz pisze ów utwór, liczący 7 strof i 42 wersy, w roku 1937, czyli mając lat 26. Wiersz zawiera wyraźne reminiscencje z dwóch podróży Poety: włoskiej i śląskiej. To były wówczas (w trzeciej dekadzie życia Miłosza) podróże ważne. Wspomina o nich i komentuje je kilkakrotnie w esejach. Ważniejszy był wtedy może jedynie roczny pobyt w Paryżu (i głęboka, tam utrwalona, więź z Oskarem Miłoszem) i kajakowa wyprawa z przyjaciółmi Renem.

Ale podróże do Toskanii i na Śląsk były istotne bez wątpienia. Z pierwszej pozostał zwłaszcza wielokrotnie interpretowany „Antychryst” Luca Signorelliego, z drugiej – wyprawa na Baranią Górę. Z obu, w niezwyklej syntezie – Siena.

Miłosz ma więc 26 lat, jest obiecującym poetą o lewicowych skłonnościach, zgodnych z temperamentem polityczno-artystycznym środowiska, które współtworzy. Przed rokiem (1936 r.) ukazał się jego tom „Trzy zimy”, przyjęty jako znaczące wydarzenie literackie. Siena znajdzie się w powojennym tomie „Ocalenie” (1945 r.). Miłosz jest młody, już nieco znany, ale jeszcze na dorobku, ideowy – co „figurze Śląska” (tak to, roboczo, okreśłmy) wychodzi w wierszu na dobre.

2.

„Siena” jest bowiem w wierszu taka jaka w literaturze bywa często, najczęściej: błękitne niebo, wieża podobna łodydze, niebieski dym winnic, słodycz. „Śląsk” też taki „jaki powinien być”, jaki bywa w literaturze najczęściej: żużel, zetlała trawa, fabryczne płoty, wagony węgla, smutek, gorycz. Ale Miłosz jednak słusznie zasłużył na Nobla: wychodzi już teraz poza schemat, burzy stereotyp „błękitne-brudne”, prowadzi w głąb zjawisk, uprawia komparatystykę wnikliwszą niż powierzchowny reportaż, godną wiersza.

„Ale ta słodycz od ziemi odpycha” – pisze. Jeśli pragnie się życia w jego esencji (a czego innego się pragnie mając 26 lat?), wówczas nie wystarczy „niebieski winnic dym”. Bo Siena (całe jej „nieziemskie” piękno) „spada w blask i nie pamięta wzrok jej kolorów”. Zaś Sieny życiowe skutki – „szczęście i spokój” – nie nasycą tego, który pragnie życia samego, jego esencjalnej gęstości, to znaczy „krwi, rozkoszy i kochania”. Do tego potrzebny jest „wielki oddech rozpalonych młotów”. I „gwiazda huty”. I „niski los”...

Niezwykły wiersz; ważny wiersz o naszej ziemi... Pod prąd.

Bo o Sienie pisze się ciągle tak - tak pięknie - jak Marek Zagańczyk: „w dolinie dobrze jest wyjść rano przed dom, gdy mgła spowija wzgórza a słońce, zapowiadając piękny dzień, tka mleczną zasłonę. Zieleń traw i pszenicy jest wówczas najpełniejsza, omyta rosą, wolna od kurzu piaskowych dróg. Ostre figury cyprysów coraz wyraźniej znaczą swoją obecność, choć ciągle widać zaledwie ich zarys. Niebawem wszystko okryje prażący blask, ale teraz w tej chwili przesilenia, gdy przyroda zdaje się wahać, kształty są jeszcze rozmyte. Mgła przetacza się w dolinę, schodzi na łąki, okrywa dachy domostw. Jest cicho i nawet ptaki dopiero budzą się do lotu” (Marek Zagańczyk, Droga do Sieny, Warszawa 2005, s. 31).

Albo tak jak sam Albert Camus: „Iść pieszo drogą z Monte San Savino do Sieny pośród oliwek i winorośli, których zapach czuję, poprzez niebieskawe doliny biegnące aż po horyzont, i zobaczyć jak Siena wynurza się o zachodzie słońca ze swymi wieżami, i znaleźć się w niej nocą, bez pieniędzy, samemu, i usnąć przy fontannie, i być pierwszym na Campo o kształcie dłoni, która jedyna, po Grecji, ofiarowuje największe z dokonań człowieka. (...) Kiedy będę stary, niech mi będzie znaleźć się po raz ostatni na tej drodze do Sieny, z niczym nieporównywalnej, i umrzeć tam w rowie, i niech dookoła mnie będzie tylko dobroć nieznanych Włochów, których kocham. (...) Miliony oczu podziwiały ten pejzaż, a jest on dla mnie jak pierwszy uśmiech świata (...) kamień, który ogrzewa słońce, albo cyprys, który ogromnieje na tle nieba bez chmur, wyznaczają granice jedyne światła (...)” (tamże, s. 41-42).

Istnieją tysiące takich tekstów: Siena jest w nich błękitna, jedyna.

A o Śląsku mówi się ciągle i często tak jak mówił w czerwcu Janosch, wspominając za-brskie dzieciństwo: „Śląsk był nikczemny, ale przez to barwny i piękny”. W „Cholonku” opisał Ślązaków jako hipokrytów i nałogowych alkoholików. „Zalewali się bimbrem, płodzili nieślubne dzieci, a potem szli do kościoła i wszystko było w porządku”. Kobiety były „bardzo surowe i ortodoksyjnie katolickie” (Janosch, Śląsk nikczemny, ale piękny, rozm. B. T. Wieliński, „Gazeta Wyborcza”, 18-19 06 2005 r., s. 20).

Istnieją tysiące takich tekstów: Śląsk jest w nich nikczemny, lumpenproletariacki.

3.

Nie twierdzą, że oba obrazy (Sieny i Śląska), obrazy z powyższych tekstów, są fałszywe. Twierdzą jedynie, że są jednostronne, że uwodzą swoją pozorną oczywistością (gdzież familokowi do Veduta dal Duomo). I że tam gdzie rzeczy zostają sprowadzone do jądra, do nagiej istoty, odarte z marginesu – tam Akropol jest możliwy z hołdy. I że o tym właśnie mówi Siena młodego Miłosza.

Skąd biorą się takie a nie inne szkiełka w ludzkim oku? To ważne dla mnie pytanie. Nie znam dobrej odpowiedzi.

Jeśli czytam takie oto słowa chorzowskiego dziekana, farorza ze św. Józefa, z Pnioków (ks. A. Klemens, „Gość Niedzielny”, 19 06 2005 r.): „Tutejsi ludzie mają głęboką świadomość własnych korzeni i wiele czułości wobec swojej świątyni. Są do niej przywiązani (...). Także od tych, którzy nie są bezpośrednio związani z Kościołem, doświadczam więcej przyjaźni niż niechęci (...). Skąd te zdania? Czy to, że farorz nie mówi nic o nikczemności parafian płynie jedynie z naiwności i kościelnej poprawności politycznej? A może to jednak wszystko sięga jakichś głębinowych źródeł

myślenia o życiu, rozumienia jego struktury na poziomie innym niż konstatacja o powszechnym na Śląsku korzystaniu z bimbru? Może to sięga miejsca gdzie spotykają się religia i poezja, a które to miejsce jest dotykalne jedynie „w wierze”?

Jeśli czytam słowa Krystyny Sajdok z Chełmu Śląskiego („Gość Niedzielny”, 19 06 2005 r.) – „Być człowiekiem, to znaczy żyć w zgodzie z Bogiem, z samym sobą, z innymi ludźmi oraz z otaczającym nas światem – to motto życiowe pokolenia moich dziadków i rodziców, których korzenie od praprzodków wywodziły się ze Śląska. Postawa wiary była dla Ślązaków kulturą oczywistością” – pytam: skąd ta kobieta to wie i rozumie? Gdzie się tego uczyła? W cieniu cyprysów czy pod gwiazdą huty?

Akcja „Gnoju” Kuczoka (chwała mu za Nike, oczywiście) toczy się w Chorzowie, mniej więcej w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Dokładnie w tym czasie przez pięć lat pracowałem tam jako wikariusz w parafii Wniebowzięcia NMP w Chorzowie-Batorym. Jak to się stało, że zapamiętaliśmy zupełnie różne miasta, chodząc po tych samych ulicach? Dla mnie Chorzów tamtych lat to kilkaset młodych ludzi głodnych wiary, nadziei, miłości; ludzi rozśpiewanych, lgnących do Kościoła. Okrucieństwo i opresja są na drugim planie. Skąd to? Różnica pokoleniowa? Inny kształt cierpienia, bo co innego nas bolało? Czy fakt, że nie widzę świata jak Masłowska w „Pawiu królowej” świadczy o tym, że jestem ślepy? A może świat jest bardziej złożony, bardziej „wielokształtny” i w ogóle większy niż warszawski Nowy Świat? Może jest w nim miejsce na oryginalnie śląski wariant ochrzczonego myślenia o życiu, myślenia zrodzonego na styku cierpienia i wiary, niskiego losu i wysokiego pragnienia...

4.

Bo przecież mój pejzaż serdeczny, ten widok, który zabieram wszędzie ze sobą, gdziekolwiek jestem, widok rodzinny, widok z Nowego Cmentarza na Pszowskie Doły, widok śnieżny i czerwcowy, najpierw wonny, wiosenny, potem zamglony, tęskny i jesienny, zawsze zachwycający – przecież on ma siłę Sieni.

Bo przecież siła bierze się z owego tajemniczego centrum człowieka gdzie spotyka się wszystko ze Wszystkim. A to jest możliwe w Pszowie, w Raciborzu, w Chorzowie. I w Warszawie. I w Sienie, w Sienie „z żurawim skrzydłem i jaskółczą twarzą” - przede wszystkim; choć cierpi na nadmiar słodyczy.

LUBLIN, 24-25 CZERWCA 2005 R.



Kornelia Lach

– dr nauk humanistycznych, z zawodu nauczyciel polonista. Obecnie pełni funkcję dyrektora Zespołu Szkół w Krzanowicach Szkoła Podstawowa i Gimnazjum. Z zamiłowania – folklorysta. Członek i aktywny uczestnik zjazdów Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (w Zielonej Górze, Krakowie, Mszanie Dolnej, Toruniu, Cieszynie, Słubicach); członek The International Organization of Folk Art, działającej przy UNESCO z siedzibą w Austrii (Mödling);

Założyła Izbę Regionalną w Borucinie. Była inicjatorem i współorganizatorem Powiatowego Sejmiku Kultury, który odbył się w dniu 24 X 2001 r. pod nazwą Dziedzictwo kulturowe pogranicza śląsko-morawskiego. Uczestniczyła w projekcie Historia lokalna na przykładzie wybranych miast i gmin organizowanym przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach oraz Starostwo Powiatowe w Raciborzu. Również pod jej redakcją ukazał się zbiór popularnonaukowych opracowań wygłaszanych w formie referatów w ramach tego projektu: Ludzie, dzieje, mity... Z badań nad historią i kulturą Raciborskiego (Racibórz 2005 r.). Dwukrotnie wydana została jej książka pt. Wierzenia, zwyczaje i obrzędy. Folklor pogranicza polsko-czeskiego (2000, 2004).

Współpracuje z Instytutem Filologii Polskiej Uniwersytetu Opolskiego. Uczestniczy w ogólnopolskich i międzynarodowych konferencjach naukowych. Publikuje w czasopismach naukowych: „Twórczość Ludowa”, „Literatura Ludowa”, „Folklorystyka”, „Etnolingwistyka”, „Annales Silesiae” oraz w pozycjach zwartych: Folklor i pogranicza (Olsztyn 1998), Folklorystyka na przełomie wieków (Cieszyn 1999), Lidová kultura na Hlučínsku (Bolatice-Kravare 1999), Religijność ludowa na pograniczach kulturowych i etnicznych (Katowice 1999), Folklorystyczne i antropologiczne opisanie świata (Opole 1999); Przemiany, miejsca, wędrówki. Kategoria przestrzeni kulturowych i literackich (Opole 2001); Pogranicza kulturowe i etniczne w Polsce (Wrocław 2003), Z dziejów ziemi raciborskiej. Miejsca – Ludzie – Problemy (Racibórz 2003), Aktywność kulturalna i postawy twórcze społeczności lokalnych pogranicza (Katowice 2003), Pobożność ludowa w życiu liturgiczno-religijnym i w kulturze, (Opole 2004), Pogranicze – Kultura – Religia (Wałbrzych 2004), Zagadnienia społeczne. Wychowanie regionalne, opieka socjalna, pomoc psychologiczna (Bielsko-Biała 2005).

STRÓJ OBRZĘDOWY ROCZNEGO DZIECKA

Mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że udało mi się przekonać Cię, że niemowlęta noszą stroje obrzędowe w dniu swojego chrztu. Ale czy tylko wówczas?

Drugi obrzędowy strój dziecko otrzymuje z okazji pierwszego roku życia, zwanego na całym Górnym Śląsku roczkiem. Strój ten dawniej kupowany był przez rodziców chrzestnych. Był on najczęściej biały. Chłopcy ubierani byli w wełniane lub materiałowe „garnitury”, składające się ze sweterków oraz krótkich lub długich spodenek. Do krótkich spodni popularnych jeszcze w latach 50. i 60. XX wieku zakładano białe podkolanówki. Natomiast pod spodnie długie w zależności od pory roku i pogody ubierano chłopcom skarpetki lub rajstopy. Buciki były również w kolorze białym. Do sweterków rocznym chłopcom, których często nazywano „roczniokami”, przyszywano mały wianuszek na lewym przedramieniu. Głównki chłopców bywały pokryte najczęściej czapeczkami z dużym pomponem, albo też berecikami. Dziewczynki ubierano zwykle w białe sukienki, najczęściej robione na drutach lub szydełku. Do tego zakładano im płaszczyk lub pelerynkę. Wianuszek zakładano im na głowie, bądź przyszywano do czapeczki lub kapelusika. Do kompletu należały również białe buciki. Zimą lub w chłodne dni zarówno dziewczynkom, jak i chłopcom zakładano białe płaszczki lub pelerynki oraz rękawiczki. Należy dodać, że bliźniaki tej samej płci w dniu swego roczku ubierane były identycznie.

Współcześnie roczek na pograniczu śląsko-morawskim obchodzony jest równie uroczysto jak dawniej. Jednak strój dziecka nie zawsze jest biały, choć nadal zakłada się dzieciom wianuszki. Bywa jednak, że chłopcy mają owe wianuszki przyszyte na prawym (zamiast na lewym) ramieniu, co oznaczać może, że zatraciła się dawna funkcja ochronna tego obrzędowego rekwizytu. Dziewczynkom na „roczek” kupuje się sukienki, ale niekoniecznie białe, bywa, że są one różowe, a nawet kolorowe. Chłopcy ubierani są w małe garnitury w odcieniach szarych, granatowych, a nawet czarnych.

Warto uzupełnić, że w Raciborskiem, podobnie jak na całym Górnym Śląsku, od dawna powszechny jest też zwyczaj fotografowania dziecka w stroju obrzędowym. Jest to wówczas wydarzenie dla całej rodziny, bowiem już na początku XX wieku oprócz zdjęcia uwieczniającego tylko roczne dziecko, „upamiętniano” przy tej okazji również całą rodzinę, w tym głównie rodzeństwo. Współcześnie wykonuje się fotografie i nagrywa na kamerę video zarówno fragmenty z przebiegu oficjalnej uroczystości religijnej, jak i z towarzysko-biesiadnego spotkania.

ZBIGNIEW HERBERT PISZE LIST DO JOHANNESA VERMEERA RĘKOPIS ZNALEZIONY W ROVIGO

Zeglując po wzburzonym morzu Internetu, natknąłem się w ubiegłym tygodniu na niezwykłą wiadomość, umieszczoną w serwisie agencji informacyjnej LADIVINA.COM. Mianowicie w Rovigo, miasteczku położonym na północy Włoch, emerytowany kolejarz Christian Tucci odnalazł na stacji kolejowej tajemniczy list, który po analizie laboratoryjnej okazał się rękopisem polskiego poety Zbigniewa Herberta. – Choć nie sprzedaję już biletów, lubię czasem usiąść na peronie i patrzeć na przejeżdżające pociągi. Nie sądziłem, że te papiery mają jakąś wartość, ale skoro pan tak mówi... Może miasto pomyśli o jakiejś nagrodzie dla mnie – powiedział Tucci w wywiadzie dla lokalnej telewizji.

Rękopis jest pisany sympatycznym atramentem i daje się odczytać jedynie pod światło. Jak trafił do Rovigo, nie wiadomo. W jednym z wierszy Herbert wyznaje, że nie dotknął tego miejsca żywą stopą. Pewne jest tylko, że wkrótce po odkryciu w Rovigo odezwały się dzwony. Ktoś umarł, ktoś oszalał, ktoś całą noc beznadziejnie kaszlał. Sugestii mediów, że kaszłym był pan Tucci, dotychczas nie udało się zweryfikować. Wiadomo natomiast, że adresatem dziwnego listu jest żyjący i tworzący w XVII wieku holenderski artysta Johannes Vermeer. Oto treść odnalezionego korespondencji:

Zawsze uważałem cię za największego malarza, choć trudność sprawiało mi używanie języka w obliczu twojej sztuki. Podglądałem obrazy i wierzyłem, że może kiedyś uda mi się coś o nich napisać, ale pozostały dla mnie tajemnicą. Tajemnic się nie rozwikłuje. Ludzie nauki pragną nas wyprowadzić z „labiryntu zabobonu”, rozbierając na części to, co doskonałe, lecz obawiamy się, że w istocie wznoszą wieżę Babel. Czy wulkaniczny pył przywieziony z Jowisza potrafi uciszyć nasz metafizyczny niepokój?

Piszę ten list poza czasem, bo czymże jest czas wobec wiecznego misterium stworzenia i poświadczania trwałości rzeczy, w którym pozwolono nam uczestniczyć? Nigdy nie powiedziałeś do mnie ani jednego słowa i za to jestem ci wdzięczny. Przed twoimi obrazami stałem niemo i naiwnie, nie pamiętając o tym, kto je namalował, i dopiero gdy wracałem do domu, czułem niekiedy krótkie, bolesne ukłucie w okolicy serca. Tobie się udało. Jak inni dawni mistrzowie obywałeś się bez imienia, a twoje oczy odbijały przedmioty tak, jak zostały stworzone.

Próbowałem. Dwa, może trzy razy byłem pewny, że dotknę istoty rzeczy. Siedziałem przy stole. Stawała ziemia, stawało niebo, moja nieruchomość była prawie doskonała. Ale wtedy dzwonił listonosz, musiałem nastawić wodę na herbatę i czarna kropla nieskończoności rozmywała się w idei.

Zazdrościłem ci twojej pracowni, nasyconej zapachem terpentyny i farb olejnych. Wyobrażałem sobie, jak w głębi izby pod mroczniejącą ścianą uczeń rozciera barwniki. A kiedy nakładasz je na płótno, węzowa łuska pychy kruszy się pod gęstą materialnością dzieła. Marzyłem o tym samym, rozpaczliwie chwytałem się pióra, atramentu, lampy, ale szelest papierów zawsze sprowadzał mnie na krawędź nicości. Podczas gdy ty i twoi cechowi bracia potrafiłście powtarzać nieskończoną ilość razy niebo i obłoki, portrety miast i ludzi – cały ten kramarski kosmos, w któ-

rym czujemy się szczęśliwi – ja oddalałem się od rzeczywistości, lampa gasła, wysychało pióro.

A jednak, idąc twoim śladem, starałem się szukać obszarów ładu w świecie chaosu, okrucieństwa i głupoty. Teraz, kiedy wypłynąłem na pełne morze, widzę tych, którzy robią po mnie porządki. Segregują pisma i rysunki, zachwycają się moim stylem, chcąc dowieść mojej wielkości. Tymczasem ja dryfuję nagi na falach i czekam na sąd, wciąż nie potrafiąc wyjść z podziwu dla twojej „Dziewczyny z perłą”. W jej ogromnych oczach, odbija się tajemnica życia. W jej milczeniu zawarty jest ludzki śmiech i płacz, cisza kamiennych katedr i huk bombowców nadlatujących nad współczesne osiedla.

Zrobiono ze mnie pięknoducha, który zachwyca się martwą sztuką. A przecież zawsze interesowało mnie tylko życie. Chciałem wejść do wnętrza obrazu i stanąć ramię w ramię z tymi, którzy zostawili w nim ślad swojego oddechu. Powtarzałem sobie, czym jest piękno – wehikułem pasji i cnoty. Tej samej pasji, która pozwalała ci zostawić przed drzwiami pracowni wszystkie inne namiętności, by odpowiedzieć na dar widzenia. I tej samej cnoty, która nie jest oblubienicą prawdziwych mężczyzn i która powtarza wielkie „nie”, śmieszna jak żywoty świętych. Mówią o mnie jak o schizofreniku: miał dwie natury – estety i moralisty. Nie chcą dopuścić myśli, że właśnie w poczuciu smaku tętnią włókna duszy i chrząstki sumienia. I że siła, która skłania nas do zachwy-
tów nad grecką architekturą, każe czasem wyjść, skrzywić się i wycedzić szyderstwo, choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała – głowa.

Dlaczego list adresowany do malarza z Delft odnalazł się w Rovigo? Pan Tucci tłumaczy to tak: – Nasze miasto wcale nie jest tak prowincjonalne, jak twierdzą w Ferrarze. Mamy hotele, pizzerie i kilka ciekawych zabytków. W zeszłym roku pięknie odrestaurowano ratusz. Skoro przyjeżdżają do nas turyści, czemu miałyby nas omijać tajemnicze listy?



KOT TRENINGOWY



No i stało się.

Zamieszkałem w kawalerce z widokiem na parking, sklep i kościół, w dzielnicy znanej z „Paciorków jednego różańca”, w której domki, wybudowane na początku dwudziestego wieku dla robotników, wkomponowane są między betonowe bloki. Ten architektoniczny melanz wywołuje odczucia odmienne od tych, jakich doświadczyć można chociażby na pobliskim Nikiszowcu. Tam unikatowe osiedle połączonych ze sobą familoków zostało zachowane w całości, dlatego czas jakby się zatrzymał. Na Giszowcu mamy natomiast wrażenie, że żyjemy w kilku czasach naraz.

Niełatwo się w tej czasowej płataninie odnaleźć komuś, kto mieszka tu od niedawna. Nie bardzo też wiadomo, co zrobić z bagażem cudzej przeszłości, w którą nagle zostaliśmy wpisani. A ona dopada nas nawet przy skrzynce na listy, kiedy wyjmujemy z niej korespondencję zaadresowaną: „Tomasz Jakubek, ul. Karliczka... etc.”, choć rzeczony pan nie przebywa w tym miejscu od dobrych siedmiu lat. Najczęściej są to zresztą kary za przejazd bez biletu lub inne wezwania do zapłaty. Wydobywając je ze skrzynki, zawsze przeżywam stres, bo co będzie, jeśli któregoś dnia ktoś pomyli mnie z panem Jakubkiem, postawi pod sąd i zechce wsadzić do więzienia?

Na razie jednak nic podobnego się nie dzieje, więc mogę się spokojnie sadzić w tej przestrzeni: ustawiać meble, przewozić książki, podłączać internet i telewizję kablową (oczywiście pakiet minimalny). Mogę też równie spokojnie zasypiać na jednym z dwóch posiadanych aktualnie tapczanów. Wybieram ten bardziej oddalony od okna, za to znajdujący się przy półce z książkami, w niszy, która mogłaby być osobnym pokojem. Jakoś tu bezpiecznie.

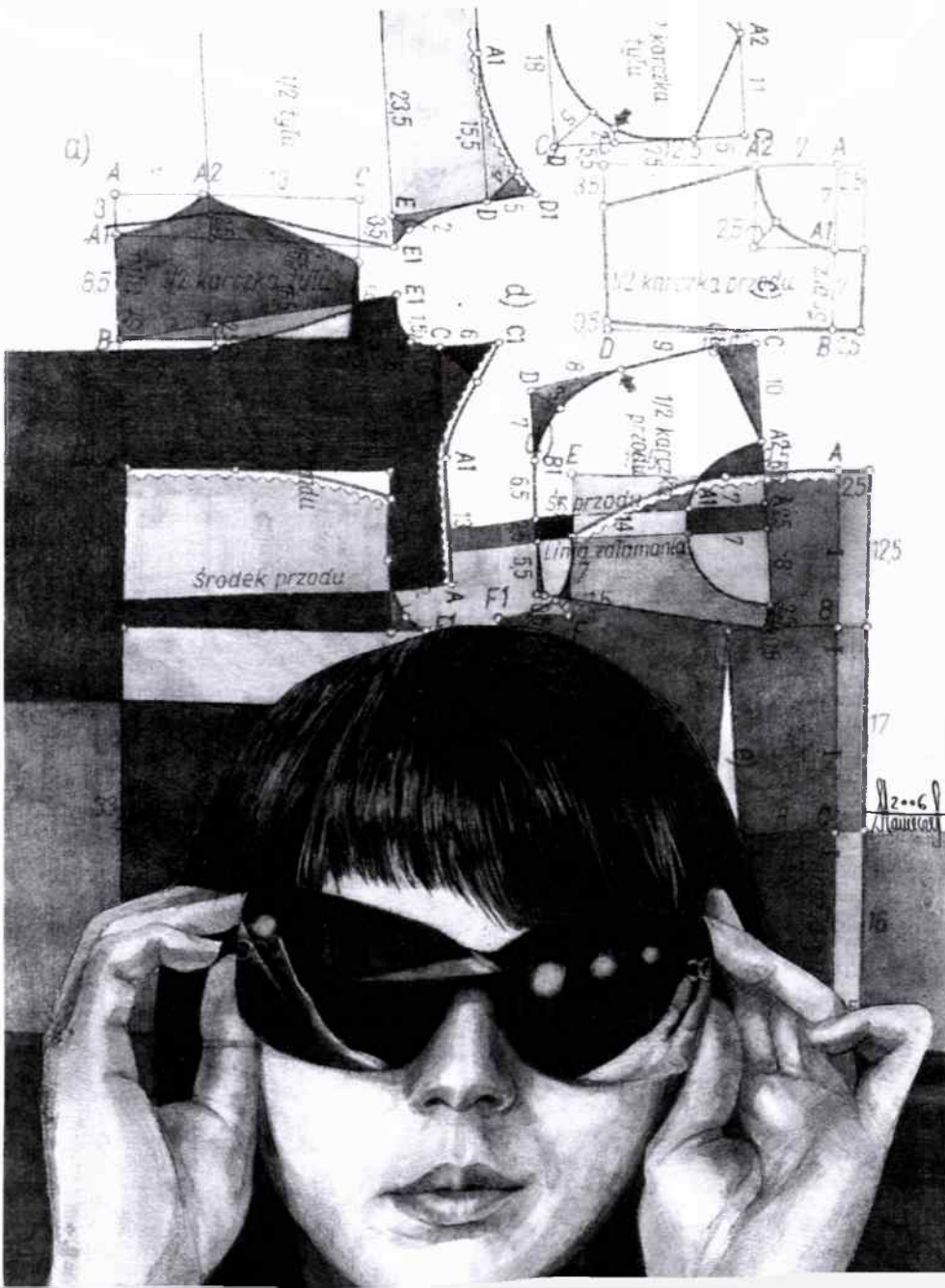
Poranki dziwnym trafem przywodzą na myśl niektóre sceny z „Dnia świra”. Strach pomyśleć, ile czynności trzeba wykonać, zanim się wyjdzie do pracy. W ogóle zauważyłem, że wszystko zajmuje mi teraz więcej czasu. Zanim umyję się, ubiorę, zjem śniadanie – mija godzina. A przecież trzeba jeszcze sprawdzić, czy się wszystko wyłączyło, zamknęło, a także zrobić kilka innych rzeczy, które pozwolą zminimalizować przeżywane w ciągu dnia stesy. Postanowiłem nastawiać budzik na wcześniejszą godzinę, ale okazało się, że to nic nie daje. Po przebudzeniu stwierdzałem najczęściej, że jest baaardzo wcześnie i mogę jeszcze śmiało trochę pospać. A jeżeli już zdarzało się tak, że powtórny sen nie chciał przyjść i z wielkim ociąganiem zwlekałem się z legowiska, poczucie istnienia zapasu czasowego wydłużało poranne czynności o połowę. Skutek był taki, że i tak wychodziłem z domu o tej samej porze i spóźniałem się na ten sam autobus.

O postanowieniach dotyczących wcześniejszego chodzenia spać nie będę nawet wspominał, bo wszyscy wiemy, jak trudno nie wymienić choćby paru słów na gadu-gadu, nie pobuszować trochę po sieci i telewizyjnych kanałach...

Ania twierdzi, że powinienem sobie kupić kota. Podobno kot ma wiele zalet: oprócz tego, że jego obecność skutecznie osłabia uczucie samotności, to jeszcze leczy z egoizmu. Bo drogi kota zazwyczaj stają w poprzek naszych dróg i na tych skrzyżowaniach trzeba mu nieraz ustępować.

Mówię Ani, że to zbyt wielka odpowiedzialność, bo większą część dnia spędzam poza domem, a ona na to: „Kot sobie znajdzie zajęcie”. I jeszcze: „Zanim zaczniesz odpowiadać za kobietę, poczwicz na kocie”. Tym mnie dobiła Święta Anna od Herbaty.

Udałem się na spacer, żeby trochę ochłoniąć. Wszedłem między stare górnicze domki przysypane śniegiem. W planach komunistów miały zniknąć z powierzchni ziemi. Tak jak nazwa „Giszowiec”, nadana ku czci Georga von Gieschego, twórcy największego koncernu przemysłowego na Śląsku. Nowe osiedle miało przybrać imię Stanisława Staszica. Partyjni działacze, którzy chcieli wymazać z pamięci mieszkańców przebrzydłego kapitalistę, zapomnieli chyba, że nowoobрани patron był katolickim księdzem... Ostatecznie udało się ocalić i nazwę, i część zabytkowych domków (nie mała w tym zasługa wspomnianego filmu Kutza), dzięki czemu mogłem spacerować dość długo w czasie przeszłym, nie myśląc o sprawach tak palących jak zapewnienie pustych miejsc w kawalerce. Dopadło mnie znowu, kiedy wszedłem między bloki i przypomniało mi się, że trzeba zrobić zakupy. Kupiłem trzy bułki i czekoladę, bo życie trzeba sobie czasem posłodzić. Kątem oka spojrziałem do koszyka sąsiada, który stał przede mną w kolejce. Ujrzałem w nim dużą torbę whiskas. Pomyślałem, że to jakiś znak, i przerażony wybiegłem ze sklepu, zapominając reszty.





PIAZZA^{XIII}
DELLA SCAIA

11720 162

JESIEN W RZYMIE



Rzym? Jak marzenie, które może pozostać nieziszczalne. Do Rzymu, któż nie chciałby pojechać do Rzymu?...Ale jak to będzie zobaczyć Bazylikę, Plac Świętego Piotra, Koloseum, Forum? Zderzyć wyobrażenie, telewizyjny i fotograficzny obraz z rzeczywistością? Rzym wymarzony, ale spontaniczny. Piotr po prostu powiedział pewnego wieczora: Pojedźmy do Rzymu. Wiem, że o tym marzyłaś. Szybka decyzja, bukowanie taniego lotu, zakupy przewodników, czytanie jak najwięcej, poznawanie jeszcze w domu Wiecznego Miasta. Nie wiem, jakimi byliśmy turystami. Na pewno nie tylko takimi, którzy szybko przelatują i w pośpiechu robią zdjęcie, nie tylko takimi, którzy zaliczają, ale na pewno też nie uciekliśmy od turystycznego szlaku. Staraliśmy się widzieć obrazy, miejsca oczami dziecka, ciekawymi, otwartymi, bez utartych definicji. I stało się. Zakochałam się zupełnie. Znalazłam się w miejscu, w którym poczułam się jak u siebie, w którym mogłabym mieszkać, które fascynowało mnie wszystkim- pięknem zabytków, ale też prozaiczną codziennością, ludźmi, atmosferą, kuchnią, zapachami, swoją historycznością. Bo to, co mnie ujęło w Rzymie najbardziej to była jego naturalność, owa „historyczność”, której duch unosił się wszędzie. Wszystko wokół było tak pięknie stare, zabytkowe. Zaskoczyło mnie, że jest to miasto architektoniczne spójne, które nie ugięło się przed modą na nowoczesne biurowce i szklane drapacze chmur. W Rzymie wszędzie oddycha się atmosferą historii, bo Rzym jest prawdziwy, nie jest jakąś turystyczną iluzją, jakąś enklawą, którą się zwiedza, Rzym nie udaje. Rzym jest autentyczny, tak jakby mówił: Właśnie taki jestem, a Ty możesz mnie zgłębiać i poznawać. Ten klimat kamienic, podobnych do siebie domów z okiennicami, ogrodów na dachach, wąskich włoskich uliczek, bazarów z warzywami i kwiatami, kościołów, restauracji... Jak powiedziała poznana przez nas w Muzeach Watykańskich polska przewodniczka- całego życia zabraknie, aby móc powiedzieć, że poznało się to miasto. Więc można zwiedzić jego zakątki, ale z pewnością nie można go poznać. Jest w Rzymie jakaś tajemnica, jakieś przyciąganie, siła, która każe mieć marzenie, aby tam wrócić.

Nie ulega wątpliwości, że była to również pielgrzymka. Pielgrzymka w szczególnym czasie- roku śmierci Jana Pawła II, pielgrzymka do jego grobu i wyjazd po błogosławieństwo Ojca Świętego Benedykta XVI. Pierwszego dnia na słupie ogłoszeniowym zobaczyliśmy plakat, że w Rzymie jest wystawa zdjęć Jana Pawła II: „Giovanni Paolo II e Rome”. Do Complesso del Vittoriano dotarliśmy przedostatniego dnia. Zwiedzanie tej wystawy było dla nas wstrząsającym przeżyciem. Za szybą zobaczyliśmy czerwone Pismo Święte, to które leżało na trumnie w dzień pogrzebu, to które tak wymownie przekartkował i zamknął wiatr. Oglądaliśmy zdjęcia, rzeczy osobiste, filmy i czułam łzy, których nie mogłam zatrzymać. Gdy wyszliśmy było już ciemno, długo staliśmy po prostu nieruchomo na chodniku. To też jakieś przeznaczenie, że trafiliśmy na tę wystawę i akurat wtedy byliśmy w Rzymie. Grób Jana Pawła II odwiedziliśmy wcześniej, bez tłumów, w ciszy. Mogliśmy tam uklęknąć, pomodlić się, pobyc. W drodze na miejsce słyszeliśmy chórny śpiew, odtwarzany z płyty. Poczułam, że wzruszenie łączy mi gardło. Uczucia związane z tym miejscem zostały głęboko w nas...



Tego dnia wiele godzin spędziliśmy w Bazylice, która wraz z Placem Świętego Piotra zrobiła na nas ogromne wrażenie. Jest monumentalna, onieśmielająca, ale jednocześnie bliska. Długo chodziliśmy po bazylice, podziwiając Pietę Michała Anioła, wspaniałą baldachim z brązu Berniniego nad ołtarzem (brąz do jego budowy pochodzi z dachu Panteonu), zapierającą dech w piersiach kopułę projektu Michała Anioła i wiele innych wspaniałych dzieł. Na podłodze bazyliki znaleźliśmy wbudowaną inskrypcję z brązu Kościoła Mariackiego z Gdańska, który jest jedną z 14 największych świątyń świata i którego długość jest zaznaczona w stosunku do długości bazyliki. Nadszedł też czas na oszałamiający i niezapomniany widok z kopuły Bazyliki Św. Piotra. Kolumnada Placu jak otwarte ramiona wita i przygarnia ludzi z całego świata. Gdy znaleźliśmy się kilka metrów niżej na dachu Bazyliki o godz. 12 zaczęły bić dzwony, które znajdowały się wtedy obok nas. Było to przeżycie niezwykle, nie słyszeliśmy nic, tylko ich mocny i krystaliczny dźwięk, widzieliśmy lazurowe niebo i kopułę tak blisko... Oddzielny dzień poświęciliśmy na zwiedzanie Muzeów Watykańskich po audiencji, która odbyła się w środę również na Placu Św. Piotra. Zapierające dech w piersiach freski, rzeźbienia i malowidła, muzea nas zachwyciły, a ich uwieńczeniem, które pozostawiło dreszcz emocji jest Kaplica Sykstyńska z arcydziełami Michała Anioła- freskiem „Sąd ostateczny” oraz jej sklepieniem, które przedstawia m. in. stworzenie świata i wiem, gdzie w mężczyźnie, którego dotykaniem palca stwarza Bóg, szukać stworzenia kobiety...

Przygotowania do pierwszego niedzielnego spotkania z Ojcem Świętym rozpoczęliśmy jeszcze w Raciborzu. Kupiliśmy spore kawałki białego i czerwonego materiału i poprosiliśmy o uszycie flagi- transparentu, na którym jeszcze w domu czarną olejną farbą napisaliśmy Racibórz. Resztę napisu dokończyliśmy w sobotę w pokoju hotelowym, w przeddzień audiencji. Problemem był zakup materiału do zamocowania flagi. Na szczęście niedaleko hotelu znajdował się codziennie przez nas mijany sklepik z materiałami budowlanymi. Tam kupiliśmy 3-metrowe... rurki PCV, które okazały się doskonałe dla zamocowania i wyeksponowania naszej flagi. W tłumie Placu Św. Piotra los zetknął nas ponownie z polską grupą, z którą zwiedzaliśmy Muzea Watykańskie. Wokół naszej flagi zebrała się więc całkiem pokaźna polska grupa. Ochrona Bazyliki przychodziła do nas dwukrotnie sprawdzać napis na faldze oraz jej wielkość. Wkrótce również pojawił się przy nas dziennikarz Radia Watykańskiego i opowiadaliśmy o naszym przyjeździe do Rzymu. Audiencja była przeżyciem niezwykłym. Wsłuchiwanie się w słowa Papieża, okrzyki, machanie flagą przytrzymywaną jedną ręką i robienie zdjęć drugą- to wszystko stanowiło mieszankę emocji. Tego dnia byłam szczęśliwa, spełniona, wyciszona. W tym szczególnym nastroju pojechalismy najpierw do Ostia Antica, a później nad morze... Cóż to było za niedzielne popołu-

dnie! W ruinach portu w Ostia doznałam absolutnego uczucia błogości. Cisza, niewielu turystów, lazur nieba i leniwie przygrzewające słońce, którego promienie przebijały się przez gałęzie pinii i zalewały brukowe uliczki wśród tajemniczo wyglądających ruin. Jak było nam łatwo urucho-
mić wyobraźnię, jak niewiele nam było wtedy trzeba, by słyszeć gwar i zgiełk 100-tysięcznego rzymskiego portu z czasów republiki... Spacerowaliśmy przez wykopaliska, zbierałam szyszki pinii i nigdzie się nie spieszyliśmy. Do tego jeszcze dochodził zapach, zapach dziewiczych terenów, zapach nadmorskiej miejscowości, zapach który przychodził gdzieś od morza i mieszał się z zapachem lasu piniowego, otaczającego ruiny. Gdy pomyślę dziś o tym, z przyjemnością mrużę oczy. Magiczne miejsce i magiczny czas. Nad morze dotarliśmy już na zachód słońca. Nikt nie mógł nam wskazać, gdzie jest wejście na plażę, ale w końcu brnąc w piachu dotarliśmy nad brzeg i udało się zobaczyć krwisto czerwone słońce chowające się za taflą wody...

Mieszkaliśmy blisko Porta Maggiore i niedaleko Bazyliki San Giovanni in Laterano. Bywaliśmy tam kilka razy. Raz na wyjątkowej Mszy Św., w trakcie której odbywały się święcenia diakonackie i wokół ołtarza zgromadziło się około 50 kapłanów. Święceniom towarzyszył chóralny śpiew, który w połączeniu z wnętrzem Bazyliki, będącej do 1309 roku, czyli do przeprowadzki Papieży do Awinionu centrum chrześcijaństwa oraz siedzibą papiestwa, robił kolosalne, wzruszające wrażenie. Do tego serdeczność ludzi, przy znaku pokoju ludzie stykają się ramionami, niektórzy całują w policzki, przy „Ojciec nasz” wznoszą ręce do góry. Tak niewiele, a tak wiele.

Rzym zachwyca bogactwem kościołów. Bardzo skrupulatnie szukaliśmy ich wraz z mapą i chcieliśmy je zobaczyć, bo nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie zobaczyła nie tylko tych świątyń, ale też dzieł sztuki, które się w nich kryją. I tak z podręcznika historii bardzo dobrze pamiętałam zdjęcie rzeźby Berniniego „Ekstaza Św. Teresy”. W rzeczywistości znaleźliśmy ją w małym, barokowym kościółku przy ruchliwej Via XX Settembre: Santa Maria Della Vittoria, gdzie w kaplicy Cornaro cieszy oczy turystów z całego świata. Czy też obrazy Caravaggia, które zdobią kościół



Santa Maria del Popolo przy Piazza del Popolo. To niebywałe, jak bezcenne arcydzieła można napotkać w Rzymie prawie w każdej świątyni. W kościele niedaleko Koloseum: San Pietro in Vincoli znajdują się relikwie- łańcuchy, którymi był skuty Św. Piotr, jak również rzeźba Michała Anioła: „Mojżesz”. Ogromne wrażenie zrobiły też na nas relikwie Św. Krzyża Chrystusa w kościele Santa Croce in Gerusalemme, które z Jerozolimy przywiozła Św. Helena, matka cesarza Konstantyna. Św. Helena przywiozła również z Jerozolimy Scala Santa czyli Święte Schody, które znajdują się tuż obok Bazyliki Św. Jana na Lateranie. Na ich szczycie znajduje się Kaplica Św. Wawrzyńca, najświętsze miejsce czyli Santa Sanctorum. Te 28 stopni to schody, po których Chrystus szedł do domu Poncjusza Piłata na sąd. Są pokryte drewnem, ponieważ żadna ludzka stopa nie jest godna dotknąć ich świętych stopni. Ludzie te 28 dość stromych i szerokich stopni pokonują na...kolanach. I jest to widok do głębi przejmujący, młodzi i starzy, często niedołęzni i słabi, wszyscy idą na kolanach. Nie ma takiej siły, aby te miejsca nie poruszyły do głębi, aby można je było zapomnieć, potraktować jak zaliczony zabytek. Te wrażenia to coś więcej. Wzbogacają i wraca się do domu będąc innym, bogatszym człowiekiem.

Oczywiście zachwyciły nas również najbardziej znane obrazy Rzymu. Kapitol z zaprojektowanymi przez Michała Anioła schodami Cordonata, Muzeum Kapitolińskie, w którym szczególnie chciałam zobaczyć etruską rzeźbę z brązu „Wilczyca Kapitolińska” z V w. p.n.e, którą też pamiętam z podręcznika historii i która pomaga wyobrazić sobie legendę o stworzeniu Rzymu milionom dzieci. Koloseum, którego ogrom i stopień technicznego zaawansowania organizacji

widowisk naprawdę budzi podziw. Sławna Fontana di Trevi, w której akurat kręceno sceny do jakiegoś serialu czy filmu i para aktorów stała w wodzie, a ponieważ podświetlona fontanna wyglądała bajkowo, wszyscy czekali kiedy w końcu się pocałują... Oczywiście Forum Romanum, które w starożytności stanowiło serce Rzymu, a dziś pomaga wyobrazić sobie znaną jedynie z książek niezwykłą historię Rzymu. Na Forum uczyniliśmy tak, jak nam poradził przewodnik: „nie należy nastawiać się na oglądanie monumentów, ponieważ Forum to oszałamiający bezład setek kamieni i kolumn. Wystarczy docenić piękno ruin i to, że stąpa się po śladach Juliusza Cezara, Nerona, Kaliguli, Klaudiusza czy Hadriana”. Szczególny obraz Forum otulonego promieniami zachodzącego słońca zapamiętam z tarasu za Palazzo Senatorio. To chyba najbardziej romantyczne ruiny na świecie... Również Palatyn, czyli wzgórze pałaców, pełen oliwkowych drzew, palm, gajów pomarańczowych i przestrzeni. To przed Domus Augustana stoi samotna pinia, które zdjęcie stanowiło okładkę drugiego numeru Almanachu.

Rzym to miasto stanowiące światowe dziedzictwo, dziedzictwo kulturalne, historyczne, architektoniczne. To jednocześnie miejsce na swój sposób kameralne, nie przytłaczające i tak cudownie nie nowoczesne. I to, co dla mnie było urocze- nie idealne, nie wymuskane. To co dla innych było zarzutem, że jest dosyć brudno na ulicach, dla mnie było znakiem naturalności, nie wystudiowanego piękna, charakteru. Bo nie ma rzeczy idealnych, a dla mnie piękniejsze są te z rysą. Może dlatego w sposób szczególny przypadło mi do gustu Campo dei Fiori i jego okolice,



a także Zatybrze, które przypomina mi krakowski Kazimierz. Na Campo dei Fiori pewnie siedziałabym całe przedpołudnie. Atmosfera tego bazaru, kolory warzyw, owoców, sprzedający Włosi, po prostu чудо! Kupiłam moje ulubione suszone pomidory i włoskie przyprawy, a od Piotra dostałam znienacka piękny bukiet białych róż. Wyjątkowo wspominam to przedpołudnie. Tym bardziej, że w poprzedni wieczór na Campo dei Fiori delektowaliśmy się specjami kuchni włoskiej w rodzinnej restauracji, a później w uroczej winiarni degustowaliśmy vino novello. To jedna z atrakcji odwiedzin Rzymu jesienią, tak jak i pieczone kasztany, sprzedawane na straganach prawie przy każdej ulicy. Na Zatybrzu zaś było leniwie, znacznie mniej

turystów, czas sączył się wąskimi uliczkami, obdrapane mury, niezwykle kolory domów: od żółci, oliwkowego, ceglatego po pomarańcz z jasnymi rysami. Uroczo, a tak pozornie nieładnie. W drodze na Zatybrze na wzgórzu Janiculum poszliśmy do Ogrodu Botanicznego, w którym spacerowaliśmy niemal samotnie. Palmy, słońce, bambusy, miłorzęby, stara, nadgryziona zębem czasu fontanna, stanowiły taką scenę, że gdyby nie kolejne miejsca, które chcieliśmy zobaczyć, jak wyspa na Tybrze: Isola Tiberina, zwana Wyspą Chorych, pewnie zostalibyśmy tam cały dzień.

Te przeróżne miejsca Rzymu sprawiły, że uznaliśmy, iż jest to jedno z najbardziej romantycznych miast na świecie. Podświetlony Pantenon przy Piazza Della Rotunda i okalające go uliczki, Forum, Zatybrze, niezliczone restauracje i kawiarenki, można jeszcze długo wylizywać... Z pewnością jest to miasto dla zakochanych, choć zwykło się tak mówić o Paryżu.

Wrażenia z Rzymu to mieszanka historycznych relacji i osobistych przeżyć, ochów i achów, dla których brakuje słów, które w pełni oddałyby stan ducha i wzruszenia. Zwiedziliśmy prawie wszystkie miejsca Rzymu: Lateran, Eskwilin, Palatyn, Kapitol, Forum, Kwirynał, Janiculum, Watykan i Zatybrze, Piazza di Spagna, Piazza Della Rotunda, Piazza del Popolo, Piazza Navona, Campo de-



Fiori czy Via Appia Antica na obrzeżach Rzymu. Nie zwiedziliśmy na wyścigi, są rzeczy i miejsca, których nie zobaczyliśmy. Świadomie spędziliśmy popołudnie w Ostia Antica i wieczór nad morzem, świadomie spacerowaliśmy po ogrodzie botanicznym, za cenę nie zobaczenia kilku miejsc, ale to, co widzieliśmy zostało w nas odcisnięte jak pieczęć. Już zawsze będę kochała to miasto. Początek wszystkiego, kolebkę, moje osobiste centrum świata. Czyż wszystkie drogi nie prowadzą do Rzymu? Mam nadzieję, że moje jeszcze mnie tam zaprowadzą...

CHAGALLOWSKI MUZYK I KOŚCI



Krajobraz Vysočiny (Wyżyny Czesko-Morawskiej) już od kilku zimowych miesięcy przypomina mi ogromny biały kiel mamuta. Porzucony, a może raczej wetknięty w trybiki czasu, zatrzymał jego upływ. Mróz ścisnął, śnieg zasypał i przykrył ohydny szlam tego świata: obłożone kruszywem hacjendy, asfalt, anteny i baseny. Dymy jak mamidla ledwie unoszą się z kominów, a ja widzę, że nawet w wiejskich gospodach ustało paplanie. Bo po co wciąż gadać o odsnieżaniu ścieżek do drewnutni, karmników i piwnicy.

Przez całą zimę, regularnie każdego ranka, spoglądając po przebudzeniu na zasypane dachy, powtarzam niemal jak mantrę słowa dawnego czeskiego autora: Gdyby wszystkie płatki śniegu zaczęły jęczeć, ile byłoby przestraszonych słów! Z nieco innymi słowami budzi się w domku pod lasem stary kawaler Šuška, który w kudłatej baranicy przypomina rudego lisa: „Byleby dziś nie umrzeć, bo ile by to trwało, zanim by grabarz odsnieżył dróżkę, zsunął puchową pierzynę i wykopał dół w zamrażniętej ziemi.”

Zima-kość otworzyła nowe nieoczekiwane możliwości. Na przykład – w dolinie zamarzała zapora, więc poszliśmy na łyżwy. Szeroka metaliczno-błękitna tafla przypomina płaskowyż, na którym poruszają się pojedyncze postaci. Wchłaniają w nozdrza zimne powietrze, ostrzem łyżew kreślą na lodzie cieniutkie linie, a pod nimi rozpościerają się przykryte lodem głębinowe światy. Gdzieś tam na dnie leży zatopiona wieś z nie ekshumowanym cmentarzem, dawne drogi i zalane losy. Od czasu do czasu lód dziwnie się napręża i huczy, jakby jakaś podwodna istota prosiła o głos.

Zima-kość także spowolniła ruch, nie śpieszy się, przysparzając w ten sposób radości z odwiedzania przyjaciół. Na biegówkach obokoczyłem kilku sąsiadów. Stryj Rydlów obchodził dziewięćdziesiąte pierwsze urodziny. Podwórze pełne było zwierzęcych śladów, z chlewa wydobywały się na zimne powietrze kłęby ciepłej pary. Siekiera wbita w pień. Za progiem garnki i miotły. Wchodzę, a w środku przy piecu siedzi stryj. Dokłada do ognia, który oświetla mu twarz – wygląda jak Mojżesz przy gorejącym krzewie. „No, witam cię, ukrój sobie” – wskazuje na stół, gdzie leżą plastry wędliny. Popijamy gorzałkę. Czasem wtrąci coś poetyckiego: „Co to była za zima w tym 1929, koniec lutego, mróz aż trząsał, 39 stopni poniżej zera. Splunąłeś i od razu zamarzało ci na wargach!”

Kiedy indziej odwiedzam pana Cichrę, starego postawnego wieśniaka, który uwielbia konie i wino. Zimą jeździ bez skarpetek na rowerze i chodzi w sportowej koszuli. Ale to nie fizyczna zaprawa, tylko dziesięć lat bolszewickiego więzienia i praca w kopalni uranu dały krzepę temu wieśniakowi. Mówi, że zimowa ospałość jest zła dla człowieka i dla konia: „Zimą nie wolno ciągle tylko leżeć. W pojedynkę co i rusz obchodziłem tę okolicę. Zaprzęgałem konie i woziliśmy drewno albo lód. Rębało się go przy potoku i wozilo do gospody.”

Innego wieczoru stukam w oświetlone okno kuchni państwa Tumów, koło młyna na potoku. Ślub brali w 1945 i wiernie przeczekują tu pod groblą dziejowe mrozy i odwilże. W kuchni przy herbacie stary młynarz opowiada o przedwojennych końskich targach i dzikim końcu woj-

ny, o sąsiedzkiej kolektywizacji i wielkiej wiosennej powodzi sprzed trzydziestu laty. Potem podnosi łaskę: „Ale ta kurwa wydra, co przychodzi do naszego stawu, najwięcej mi krwi napsuje. Ile ja już sideł zastawiłem! A ona zawsze się wymknie.” Przy pożegnaniu pytam: „Panie Tuma, a co z tym śniegiem na dachu, czy nie powinienem tego zrzucić?” Młynarz spogląda w niebo: „Chyba tak, śniegu jeszcze stamtąd napada...”

Następnego dnia włączę na dach stodoły i łopatą odcinam gęste kawałki śniegu. Przez zamrożone warstwy, jedną po drugiej, wracam jak archeolog do początku zimy: ten śnieżny plaster może być z Bożego Narodzenia, a to zostało dosypane w styczniu... Mam wrażenie, że na tym dachu wyglądam jak muzyk z obrazu Chagalla – wyniesiony w podniebne sfery, rozglądam się z ulgą po okolicy. Czasem zerknę na podwórze, gdzie dzieci bawią się w ogromnych igloo, które żłobiliśmy całymi dniami. Nagle... noga mi się powija i zjeżdżam z dachu ruchem przyspieszonym na podwórze. Przez głowę przelatuje myśl – zaraz połamię sobie nogi! Spadam, pograżając się w wysoczyńskim igloo, które miłosiernie przygarnia chagalowski muzyka. Dzieci śmieją się z tego gwałtownego zejścia. W pozycji leżącej sprawdzam swoje nogi. Kości całe.

Lampka sliwownicy przywraca mi równowagę. Idę odrzucać śnieg na dróżce prowadzącej do drewnutni, karmnika i piwnicy.

PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI



„SYGNAŁ”, CZYLI KAUZALIZM KAZUALNY



Od napisania tych słów do ich upublicznienia upłynęło trochę czasu, więc czytelnik ma już swoją teorię, zapewne lepiej opisującą nowy socjologiczny fenomen, jakim były, ciekawe, czy jeszcze są, dowcipy o Chucku Norrisie. Wydawałoby się, że Chuck, „człowiek”, który nagrał całą zawartość Internetu na jedną dyskietkę, potrafi wszystko to, o czym my, zwykli śmiertelnicy, nie mamy bladego pojęcia. Bledniemy jeszcze bardziej, kiedy okazuje się, że wszystko czego dokonuje Chuck jest względne, nie wynika z jego umiejętności przystosowania się do istniejących, i to bez względu na ich proveniencję, praw, tylko do dowolnego ich naginania. To nie Chuck robi pompki, tylko ziemia ugina się pod Chuckiem Norrisem. Co gorsza, do tej prawdy nie dochodzimy ani drogą żmudnych rozmyślań, ani poprzedzonej ćwiczeniami duchowymi iluminacji. W żaden sposób nie trafia ona DO nas, tylko, jak już wiemy, W nas – i to z półobrotu.

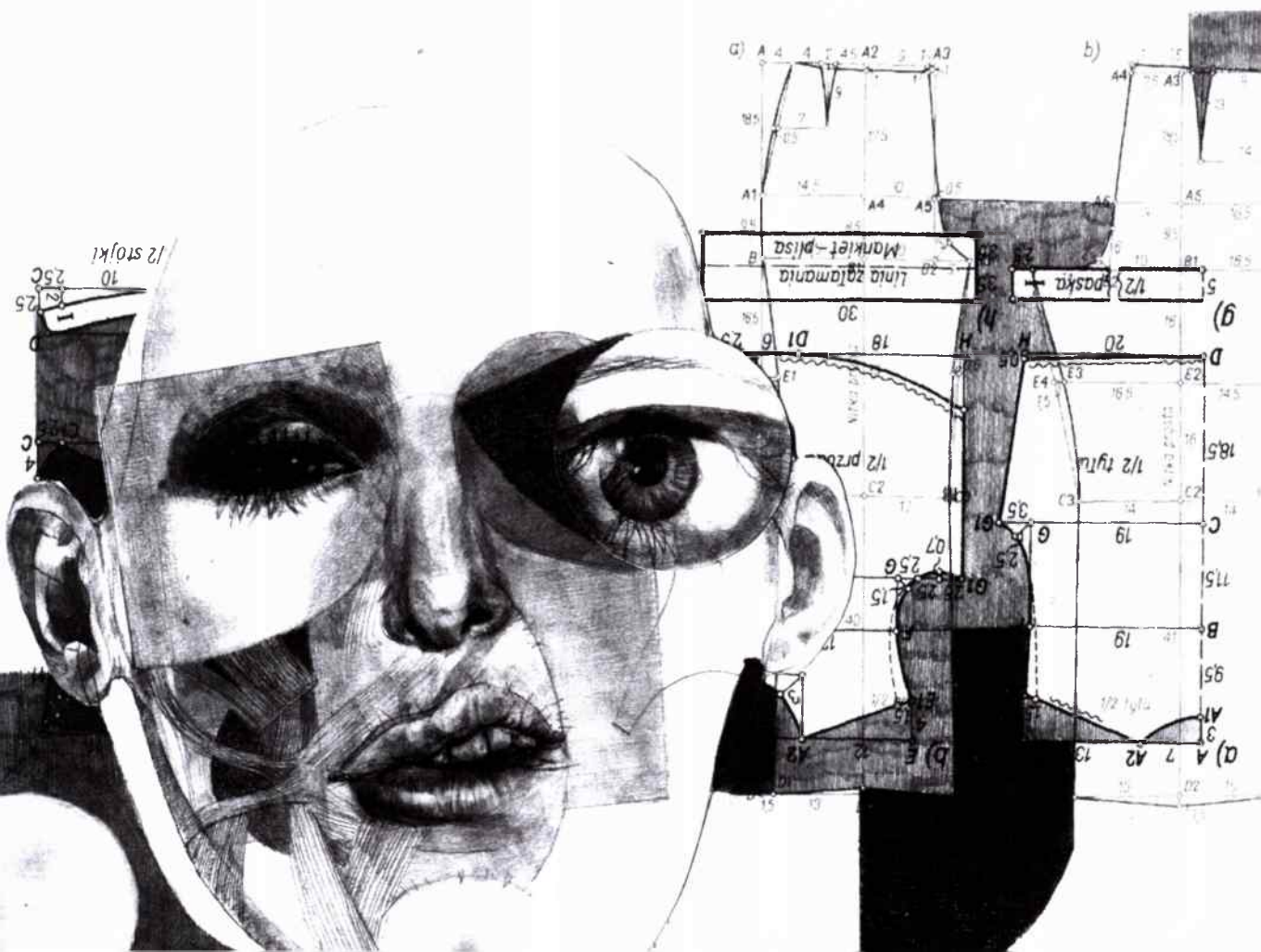
Od dawna istniały po temu przesłanki, że ktoś taki nadejdzie, ale kłóżby tam chciał słuchać fałszywych proroków, głoszących, że „tyżka nie istnieje”. Zlekceważyliśmy braci Wachowskich. Zlekceważyliśmy zresztą już w przeszłości braci Grimmów, stawiając w niekorzystnym świetle, na straconej pozycji, „wymyśloną” przez nich loliczkę w czerwonym wdzianku szmuglującą do babci alkohol i stawiając za wzór pracowitą odpowiedzialną dziewczynkę z zapalkami stworzoną przez niewątpliwie singla, Andersena. Przedsiębiorcza dziewczynka splajtowała, przysypana śniegiem czasu, a mała czerwona kapturzyca ma się dobrze, przystosowała się do nowych warunków i nieźle żyje z kina i reklam. To tyle o braciach.

Chuck Norris nie przyszedł znikąd. Symptomy były, ale udawaliśmy, że ich nie widać i nie słychać. A widać było od dawna. Pochodzę ze świata, w którym od zawsze w dużych pudłach były coraz mniejsze pudełka, Ten świat poznawało się metodycznie, warstwa po warstwie, do samego sedna, bez dróg na skróty, jak rosyjską matryoszkę. Teraz żyję w świecie, który temu obrazowi przeczy. Kliknięcie małej ikony na pulpicie komputera, ot centymetr na centymetr, otwiera wielkie okno, z całym mnóstwem nowych okien, jeszcze większych. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do Internetu, łącząc się z resztą przez modem, sądziłem, że odbieram informacje używając myszki i klawiatury. Dopiero z czasem dotarło do mnie, że to nie ja korzystam z Internetu, tylko Internet ze mnie, że oprócz bajtów odebranych, są jeszcze bajty wysłane. Moim kauzalistycznym światem zaczął nagle rządzić przypadek – kazualizm, świadomość, że skutków kliknięcia tak do końca nie da się przewidzieć ani nawet w całości zaobserwować.

Usłyszeć symptomy nadejścia Chucka też było łatwo. Wyrosłem w świecie, w którym rozmowa polegała na wymianie myśli za pomocą słów. Niewątpliwie pozwalało to zbliżyć poglądy, a czasem nawet ludzi. Słowa pisane też miały swoją wartość. Kiedyś wystarczyło wysłać list z miesięcznym wyprzedzeniem, żeby ktoś odebrał nas z dworca, dziś decyduje treść ostatniego SMS-a, czyli tego, który anuluje treść wszystkich poprzednich z całego miesiąca i sprzed pół godziny, a jako że zbieractwo jest przypisane nam na stałe, zwykle i tak nie mieści się nam w skrzynce odbiorczej i odbieramy się z dworca sami. Dziś tkwię w rzeczywistości, w której najpowszechniejsza forma komunikacji międzyludzkiej ma charakter niewerbalny i jej główny cel to do rozmowy nie

dopuszczać. Chodzi o „sygnał”, czyli „strzałkę”. Pewnego razu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, na dźwięk telefonu komórkowego zwróciłem koledze uwagę, żeby odebrał. Okazało się, że, jak się wtedy jeszcze mówiło, nie „kumałem bazy”. To nie był zwykły sygnał do rozmowy. To był sygnał pojedynczy, ergo „strzałka”. Znak, który jest szyderstwem z całej teorii komunikacji i komunikacji telefonicznej w szczególności. Jest najprostszą pojedynczą informacją, której treść wcale nie zależy od nadawcy, tylko od odbiorcy. Wprawdzie nadawca puszczając sygnał może mu jakieś znaczenie przypisać, ale nie jest to aż tak konieczne. Po usłyszeniu najprostszego sygnału, ot jednego bitu, o którym można tylko powiedzieć, że został przesłany, odbiorca dokonuje skomplikowanego procesu analizy semantycznej komunikatu, polegającej na przypisaniu mu dowolnej treści, czyli innymi słowy odbiorca myśli sobie to, co chce. A na sygnał, jeśli w ogóle się odpowiada, odpowiada się sygnałem, ot i cała filozofia! Gdyby nie powszechność tego systemu można by pomyśleć, że wspomnianym kolegą był sam Chuck Norris, ale otrzymać pojedynczy nic nie kosztujący sygnał i dowolnie go zinterpretować potrafi w Polsce nawet przedszkolak, od maleńkości do walki z operatorami przygotowywany. Sygnały puszczają prawie wszyscy posiadacze telefonów komórkowych, co powoduje, że co chwila obok nas ma miejsce mały Norrisowski cud, polegający na wyciśnięciu z prawie niczego, dowolnej ilości informacji. To tak jakby, przelać z pustego w próżne zalewając wszystko wokół.

Tak. To my sami jesteśmy już prawie jak Chuck, tylko przez skromność trudno się przyznać. Samo wyszło. To my naciskając dowolny guzik, telefonu lub komórki możemy o wiele więcej niż chcielibyśmy. I jak tu się śmiać z Chucka Norrisa, skoro potrafimy sami? To w końcu, z kogo się śmiejemy?



OBRAZ DZIEWIĄTY: „ZANDBERG“



Stałe zagrożenie powodziowe Raciborza spowodowało, że w latach trzydziestych ubiegłego wieku wykopano opasującą miasto od wschodu sztuczną odnogę Odry, zwaną kanałem Ulgi. Wydobyty tam piasek posłużył do usypania wałów przeciwpowodziowych, zaś pozostałość zmagazynowano w postaci hałdy na polderze tóż za kościołem św. Jana na Ostrogu. W ten oto sposób powstała Góra Piaskowa- „Zandberg“ (z niem. Sandberg) wysoka na ok. 25 metrów, z łagodnie opadającym w kierunku cmentarza 200 metrowym stokiem. Nazwa, nieobca mieszkańcom Ostroga, niesie w sobie wiele wspomnień, bardzo dziś już dorosłych raciborzan. Wspomnień, wpisanych we wszystkie pory roku, kiedy od wiosny do jesieni zbocza i szczyt „Zandbergu“ były celem nieustających odkrywczych wypraw, a zimą miejscem najróżniejszych zabaw na śniegu. Właśnie zimą, kiedy pogoda dopisała, chwycił lekki mróz i „góra“ zabielała, naturalną preferencją cieszyły się zjazdy, zjazdy na „bele czym“, gdzie brak sanek czy nart uzupełniano kawałkami desek lub czegośkolwiek przyniesionego z domu, bądź znalezionej w pobliżu. Najciekawszym wynalazkiem chwili gwarantującym dobry ślizg, ale i najczęściej „twarde lądowanie“ były tzw. „holcoki“, czyli bardzo topornie obrobione drewniaki z otwartymi piętami. W takich butach, zjazd ze szczytu góry bez przewrotki był dla mnie absolutnym mistrzostwem świata. Podziw i chęć dorównania popisom ślizgowym starszych kolegów z ulicy Rudzkiej czy Przejazdowej budziły w nas siedmio- czy ośmiolatkach z dalekiej Bosackiej uczucie zazdrości: dlaczego oni mogą, a my nie?, dlaczego im wychodzi, a nam nie? Jedną z odpowiedzi na te nurtujące nas pytania była taka, że: „oni byli w domu“, czyli wystarczyło przejść Rudzką w okolicy kościoła, za plebanią skręcić w prawo, aby po 200-tu krokach być już na „Górze“, ..., ponadto mieli „holcoki“, a dla nas, ... ?!, była to wyprawa wymagająca całego popołudnia, co w sposób oczywisty ograniczało możliwości treningowe, że nie wspomnę o „s p r z ę c i e“! Właśnie ów brak treningu i orientacji na stoku przypłaciłem pękniętym obojczykiem po niefortunnym zjeździe nieprzetartym szlakiem. Bolesne to doświadczenie nie wymazało z moich wspomnień „Zandbergu“ jako stosunkowo bezpiecznego (konkurencją były ruiny), a jednocześnie jakże interesującego miejsca całorocznych zabaw , a za takim właśnie rozglądam się we współczesnym pejzażu miasta.

Góra zniknęła mi z oczu chyba w końcu lat sześćdziesiątych, oddając odrzański polderowy plac pod jednorodziną zabudowę, a skutki tych decyzji widzieliśmy w czasie powodzi, gdzie zasadniczo, grzechu nie upatruję w likwidacji „Góry“.

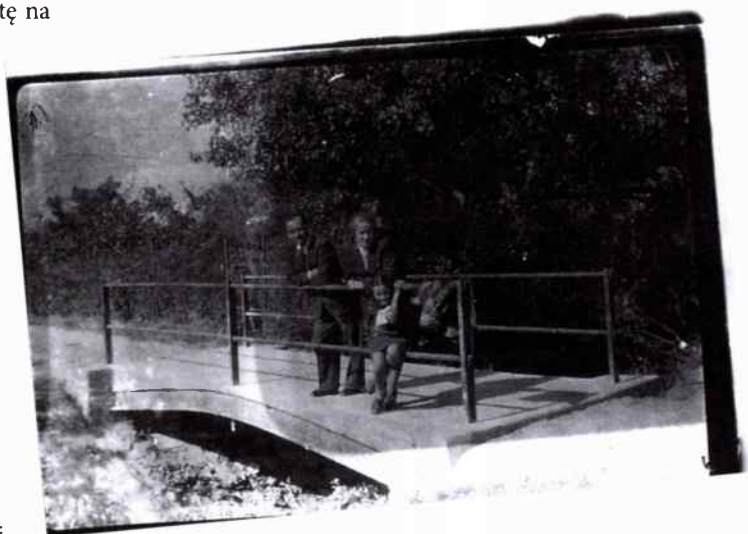
OBRAZ DZIESIĄTY: TAJEMNICZY TUNEL

To wspomnienie chciałbym zacząć od krótkiego opowiadania o zdarzeniu-katastrofie, które nigdy nie miało miejsca, a może, ..., nigdy nie mówmy nigdy.

Otóż pewnej letniej nocy 2007 roku, zmęczony kierowca ogromnego „tira“, w poszukiwaniu parkingu skręcił nie zauważając znaku zakazu, z Placu Wolności w Karola Miarki i po kilkudziesięciu metrach wjechał na plac przed dawnym „Domem harcerza“ (dzis MDK). Zdawał sobie sprawę z wielkości i ciężaru prowadzonego pojazdu, dlatego delikatnie poruszając kierownicą ustawił go dokładnie na środku, na wprost wyjazdu w ulicę Stalmacha. Wyłączając silnik marzył już tylko o śnie. Nagle poczuł narastające drżenie kabiny. Kiedy pomyślał o otwarciu drzwi, pojazd sprawiał wrażenie, jakby się zapadał w ciemność wśród nie tylko coraz intensywniejszych wstrząsów i tąpnięć, ale i huku walącego się gruzowiska. Wszystko trwało ułamki sekund, najpierw w ruchomej rozpadlinie zanurzyła się potężna naczepa, potem ciągnik z uwięzionym na swym siedzeniu kierowcą. Zanim nadbiegli obudzeni rumorem mieszkańcy okolicznych domów, udało się zszokowanemu człowiekowi wydostać z pułapki. Uciekać, uciekać jak najdalej, to natrętna myśl, jaka po wyslizgnięciu się przez boczne okno na dach ciężarówki wierciła jego mózg. Upłynęło kolejnych parę sekund, zanim zorientował się, że wokół panuje cisza i nic więcej się nie dzieje, a w słabej poświacie odległych ulicznych lamp, wyglądało na to, że pojazd stoi pewnie, pogrążony do ¾ wysokości w otchłani rozprutego placu. Prowadzone już za dnia pobieżne oględziny ukazały nie tylko rozmiary katastrofy, a także jej przyczynę. Wszyscy przybyli na miejsce zdarzenia zgodzili się z tezą, że to pod ciężarem 30-tonowca runął strop-sklepienie jakiejś starej, zapomnianej piwnicy lub tunelu. Wśród komentujących zdarzenie gapiów zwrócił na siebie uwagę starszy, mocno posiwiasty mężczyzna, który twierdził, że zna ten tunel z czasów, kiedy sam będąc podrostkiem, wraz z rówieśnikami penetrował jego pełne tajemnic wnętrze. ...

W tym miejscu muszę przerwać tę na poły zmyśloną opowieść. Dlaczego na poły? Przecież faktem jest, że tunel ten istnieje w opisanym miejscu i w stanie nienaruszonym, a świadkiem jego istnienia w opowiadaniu byłem ja, reszta to tylko ubarwiony wstęp do realnej już historii zasypanych w Raciborzu w początku lat siedemdziesiątych podobnych tuneli, mostków czy samego nakrytego tylko „chmurką“ koryta Psiny – Cyny.

A wszystko zaczęło się parę wieków temu, kiedy to nasze miasto, mimo że leży nad rzeką, cierpiało na brak wody. W rozwijającym się w wiekach średnich i



późniejszych Raciborzu popyt na wodę rósł lawinowo, a istniejące studnie miejskie i nosiwodowie nie nadążali. Kiedy przygotowywano większe pranie, czy cotygodniową kąpiel, lub co gorsza, trzeba było gasić jakiś pożar, coraz bardziej stawało się jasne, że dotychczasowe sposoby jej pozyskiwania muszą ulec radykalnej zmianie. Stąd oczywista decyzja, że: „Z Psiny poprowadzony był sztuczny kanał (z Bieńkowic do Raciborza) nazywany Cyna, co powodowało częste mylenie nazwy rzeki (Psina-Cyna), ...“ cyt.z internetowej Wikipedii(<http://pl.wikipedia.org/wiki/Psina>).

Kiedy nastąpiło otwarcie owej magistrali wodnej, nie badałem, zresztą mniejsza z tym, dla mnie ważne jest jej istnienie i spełnianie przez dziesiątki czy setki lat zadania, o czym wielu współczesnych „zwodociągowanych“ raciborzan nic nie wie, bo skąd?

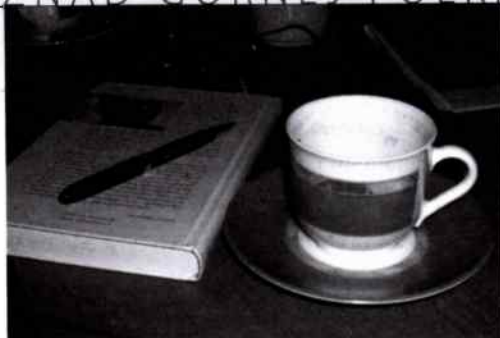
Przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku przyniósł rozwój coraz gęstszej sieci wodociągowej, a budowa w latach trzydziestych ubiegłego wieku super- nowoczesnej wieży ciśnien (dziś „Mieszko“) wyprzedzała na lat kilkadziesiąt pokrycie zapotrzebowania miasta na wodę. Tak oto kończyła się gospodarcza rola Cyny-Psiny, a to co zostało, to wąskie koryto z szeregiem romantycznych mostków, z cieniutką wstęgą wody w dole i góra nakryta pióropuszem płaczących wierzb. Mam w swoich zbiorach zdjęcie moich rodziców i siostry, właśnie pod wierzbą przy metalowej barierze kładki przy Matejki, a na pytanie po latach - dlaczego mnie tam nie ma? , matka odpowiedziała, że właśnie o mnie „ćwierkają wróbelki“.

Suplement: Wykaz zapamiętanych tuneli i mostków na Psinie –Cynie w kolejności zgodnej z biegiem kanału do ujścia do Odry :

- I – tunel pod skrzyżowaniem ulic Ocickiej i Bogumińskiej
- II – mostek między kościołem Serca Pana Jezusa, a willą kościelną z siedzibą Związku Kulturalnego Niemców
- III – mostek- kładka na Matejki
- IV – mostek- kładka na Lwowskiej
- V – mostek na Ogrodowej (skrzyżowanie z Klasztorną, w kierunku biegu kanału niezabudowana strona Klasztornej)
- VI – mostek zaczynający Kasprowicza od skrzyżowania z Klasztorną
- VII – tunel od portierni Zakładu Głuchych przy Karola Miarki po Stalmacha z wylotem na wysokości narożnego domu Stalmacha-Dąbrowskiego
- VIII – tunel pod budynkiem mieszkalnym na Dąbrowskiego w stronę Londzina
- IX – tunel pod Londzina ze spadem w stronę Odry w stronę “Plusa”
- X – nieznany mi dalszy bieg i ujście do Odry.

MECKENHEIM, 15. 02. 2006. KRZYSZTOF.

Ps. Jeśli znalazłby się ktoś, kto wie lepiej i chciałby mi pomóc w sledzeniu losów Psiny – Cyny, bądź sam chciałby się tym tematem zająć , proszę o kontakt na adres redakcji Almanachu, bo moim zdaniem, sprawa jest warta zainteresowania.



W PEWNYM TYGODNIKU JEDEN POETA WYRAZIŁ ZDUMIENIE, ŻE KOBIETY TEŻ PISZĄ... I TO CZASEM DOBRE WIERSZE. PRZY OKAZJI PRÓBOWAŁ ZNOKAUTOWAĆ INNEGO, DUŻO STARSZEGO POETĘ, TAK JAKBY WINĄ POEZJI BYŁO, ŻE TOMIKI SPRZEDAJĄ SIĘ W "SYMBOLICZNYCH NAKŁADACH" I – CO ZA TYM IDZIE – NA NOBLA ZASŁUGIWAŁBY... NO, ZMILCZĘ INICJAŁY – AUTOR ROZCHWYTYWANY, ZWŁASZCZA PRZEZ MŁODZIEŻ. Z TĄ TEŻĄ ZUPEŁNIE SIĘ NIE ZGADZAM, ZAŚ CO DO KOBIET...

LEKCJA PISANIA

*Warto umrzeć
dla takiego wiersza
któremu
nie dowierza śmierć.*

Ale warto też żyć, aby czytać takie wiersze i patrzeć jak ktoś stawia czoła zaciężnym wojskom losu, przeciwko którym poeta jest uzbrojony tylko w pióro, i we własną przeszłość, czyli doświadczenie. To tu przebiega linia frontu i jak pisze Ewa Lipska "Problemy zaczynają się/ z wbitą w pamięć drzazgą." Proszę wybaczyć militarne porównania, ale tak właśnie odbieram coraz bardziej kunsztowną i lapidarną poezję krakowianki: tu chodzi o zmagania w kwestii dla człowieka najważniejszej – w kwestii honoru. I kiedy życie raz po raz czyta nam swe wyroki, rzecz idzie o to, aby się nie mazać, nie roztkliwiać, nie rozglądać za fałszywą pociechą, tylko spojrzeć życiu prosto w oczy, bez mrugnienia powieką, choć "...umieram do ciebie z tymi/ ostatnimi wiadomościami". To niełatwe, ale możliwe, o czym zaświadcza tych 21 (!) wierszy składających się na tom "Drzazga".

To prawda, że autor pisze całe życie swoją jedną i tę samą książkę, ale ten rozdział pióra Ewy Lipskiej doprowadza lapidarność narracji do trudno osiągalnych kresów; jak chwila, kiedy się pośpiesznie zakleja kopertę, jak cienka kreska Tadeusza Kulisiewicza.

A w ogóle - cóż to za książka, nonszalancka i rozrzutna! Niemal każdy umieściłby w niej 42, albo 63 wiersze. Ale nie Pani Ewa! To poetyckie oczko ma wystarczać i... wystarcza! Wiersze czytamy tylko na nieparzystych stronach, strony parzyste zieją kremową pustką możliwości, albo - z a n i e c h a n i a !? Już wiem: najprawdopodobniej na pustych stronach, atramentem sympatycznym, zapisano sprawy, z którymi nie radzi sobie sztuka nawet najwybitniejszego poety. Tam są chwile, gdy człowiek nic nie mówi, drżą wargi, a pod prawym okiem zaczyna drgać błękitna żyłka. Wierzę, że następna książka składać się będzie z tych stron parzystych!

EWA LIPSKA, "DRZAZGA", WYDAWNICTWO LITERACKIE. KRAKÓW 2006

W STRONĘ LUDZI ORAZ ZWIERZĄT

Skromnie przytroczona folią do Dwumiesięcznika Literackiego TOPOS niewielka biała książeczka zawiera wiersze "Z dziennika dywersantki", jak przekornie nazywa siebie Autorka. Przeciwno komu ta dywersja i jakich metod używa, aby osiągnąć swój cel? Nie ma wątpliwości – przeciwko czasowi, tej nieprzerwanej rzece zdarzeń, która bez naszej woli unosi nas w miejsca, do których nie chcemy, w których wyglądamy zupełnie inaczej, niż ci sprzed lat za, których się wciąż podajemy! W tej perspektywie "wróg", może raczej przeciwnik do przechytrzenia jest "po prostu mną", tyle, że mną po wielu przegranych potyczkach z przemijaniem, które upodabnia nas do rodziców sprzed lat i sprawia, że w naszych ciałach "...Erytrocyty w odwrocie./ Leukocyty w natarciu." Wyznania naszej dywersantki przejmują swoją niespotykaną odwagą, której trudno by było używać bez zbawiennego – w życiu i w pisaniu – dystansu do siebie i, że tak powiem, własnych, czysto ludzkich dolegliwości. Odwaga wyznań Adriany Szymańskiej, ich intymność, bierze się być może z niezwykle partnerskiego traktowania adresatów tych wierszy. My naprawdę czytamy cudzy dziennik. Dopuszczono nas do konfidencji, ale nie po to, by epatować własnymi sukcesami i katastrofami, ale by na jakimś przykładzie – i tu artysta zawsze składa ofiarę z siebie – przeszedź, punkt po punkcie, co też życie z nami wyprawia. Z nami – to nie znaczy wyłącznie z ludźmi; przejmującym rysem liryki Adriany Szymańskiej jest skupienie się na braciach naszych najmniejszych, tych czworonożnych – lisach, myszach, zającach i psach przede wszystkim, ale także ptakach, suchym lesie, bez sensu wypalanej trawie. Dzięki temu te wiersze uzyskują chwilami niespotykaną moc ewangelicznej przypowieści, w której los "dwóch małych szaraków" staje się figurą kondycji wszelkich istot, których "czas już na zawsze się pali".

Możnaby w takim razie rzec, iż Adriana Szymańska jest poetką spraw wstydlivych i problemów przemilczanych, gdyż w dużej mierze – niemodnych. "Tak" się już nie pisze, bo "o tym" się nie pisze. Po co komu ten pożar we wszechświecie łąki, po co komu ta suka pod płótem!? Jeśli poeta jest wiecznym dzieckiem – to jest nim w tej książce; jeśli poeta jest niestrudzonym kochankiem to i na to dowody znajdziemy w "Dzienniku dywersantki". Proszę przeczytać wiersz "Czułość", ale – wybaczenie – proszę mieć najpierw przynajmniej czterdzieści lat. Wtedy mniej więcej można docenić spostrzeżenia Autorki, dziwnie tu bliskie ostatnim książkom Czesława Miłosa.

Tak, niewątpliwie trzeba być poetą, czyli człowiekiem-niezlomnym-wobec-świata, by zaryzykować takie na przykład oświadczenie:

*...Jeśli jutro rano wyjdę z domu
na niedługi spacer, mogę wrócić z pocałunkiem wiatru
na policzku. I nikt go nie odróżni od śladu niegdysiejszych
warg, które w tamtym miejscu zostawiły na zawsze
znak wybrania.*

ADRIANA SZYMAŃSKA, "Z DZIENNIKA DYWERSANTKI" (BIBLIOTEKA "TOPOSU", T. 27),
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SOPOTU. SOPOT 2006

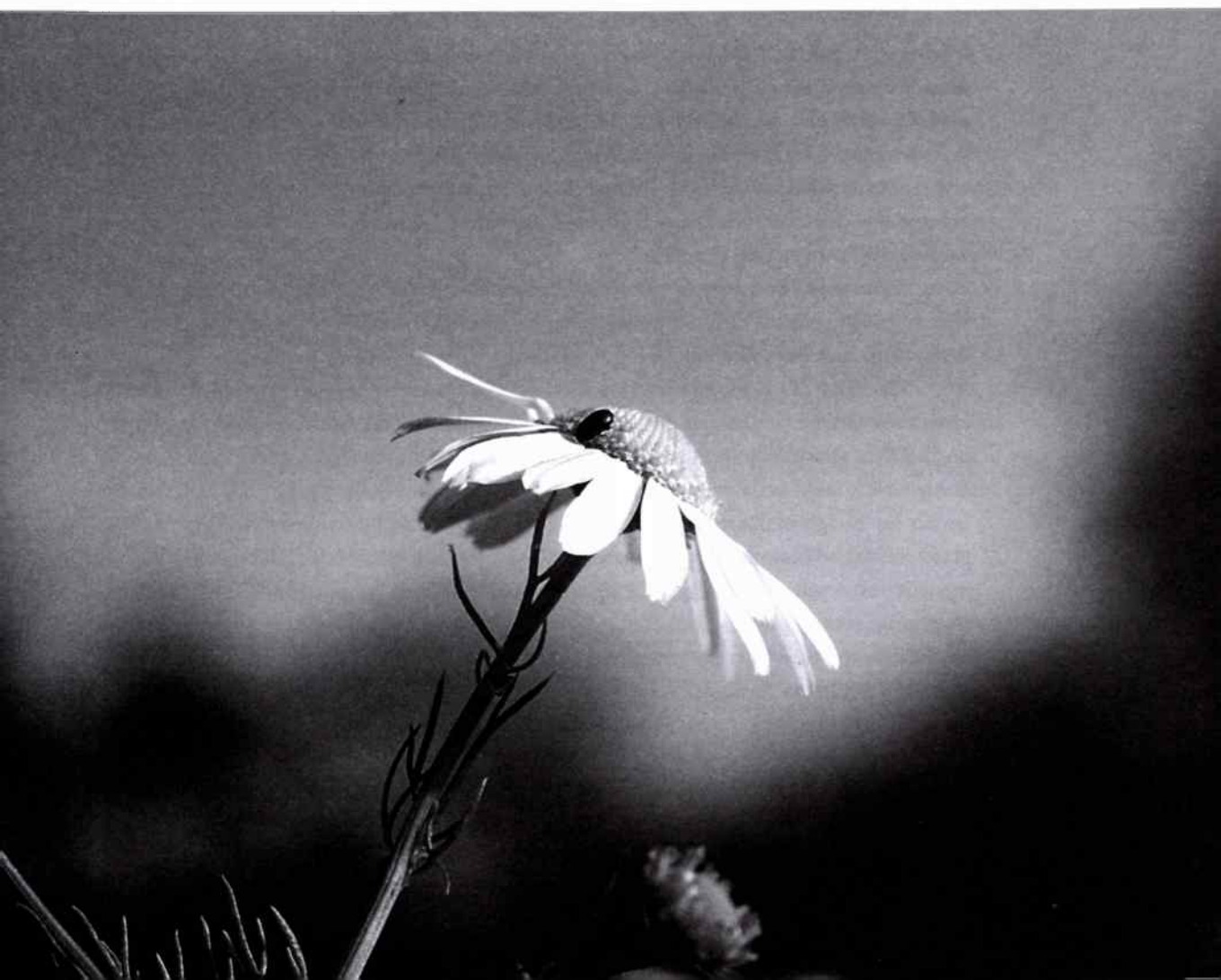
SYMFONIA POŁODOWCOWA

Och, strasznie trudno opowiadać o takich książkach, które tkwią w muszli swojej jedynej, perfekcyjnie zastosowanej metodzie narracji; gdzie wizja poetycka stanowi jedno z narzędziami słów, użytych do jej ujawnienia, do jej wystawienia na światło dzienne spod darni prozy, tak skutecznie znieczulającej na działanie takich olśnień. Bezprzeczenie rację ma Bronisław Maj upatrujący przyczyn artystycznego sukcesu poezji Marzanny Kielar w połączeniu "czułego (...) widzenia

szczególności” z “oszałamiającą, niemal kosmiczną perspektywą”. Chcę jedynie dodać, że wizje Autorki przywołują na pamięć przyspieszone sekwencje z panoramicznych filmów przyrodniczych, gdzie burza trwa mgnienie, chmury pędzą z szybkością odrzutowca, gdzie pora roku zawiera się w trzech sekundach, a pokolenia kwiatów i owadów rozwijają się i mrą między jednym a drugim mrugnięciem naszych powiek. Dzieje się tak na mocy niezwykłego wynalazku poetki, która stosuje czas terażniejszy, no właśnie, przyspieszony, czas z niepojętym lirycznym turbodoładowaniem. W tak skonstruowanym, czytaj: opowiedzianym losie nie świat należy do nas, lecz my – drobiny, “organiczne domieszki/ uwięzione w lodzie: pozornie nierozpuszczalne wtrącenia” – jesteśmy dodatkiem do przemożnych sił natury, które na moment (naszego życia) udzielają nam światła i energii. Energii na miłość, która w tak zarysowanym krajobrazie jest jedynym, choć chwilowym, ratunkiem. Naszym znakiem rozpoznawczym.

Tomik Marzanny Kielar nosi skromne miano monodii, pieśni jednogłosowej. Jest tajemnicą języka poetyckiego, że ten oryginalny monolog, relacja z nieustannego stawania się i umiierania wszechrzeczy, nabiera znamion symfonii.

MARZANNA KIELAR, “MONODIA”, WYDAWNICTWO ZNAK. KRAKÓW 2006



160 ROCZNICA KONCERTU FRANCISZKA LISZTA W RACIBORZU

W XIX WIEKU W NASZYM MIEŚCIE KWITŁO ŻYCIE KULTURALNE. ISTNIAŁY ORGANIZACJE I INSTYTUCJE KULTURALNE, CHÓRY, ZESPOŁY MUZYCZNE WOJSKOWE I CYWILNE. MUZYKOWANO NA RÓŻNYCH INSTRUMENTACH, ORGANIZOWANO PRZEDSTAWIENIA TEATRALNE I KONCERTY MUZYCZNE. DWA KONCERTY UTRWAŁY SIĘ W PAMIĘCI RACIBORZAN NA DŁUGO. WYSTĄPIŁ TU BOWIEM ARTYŚCI ŚWIATOWEJ SŁAWY – FRANCISZEK LISZT I JOHANN STRAUß SYN (O CZYM INFORMOWALIŚMY W POPRZEDNIM NUMERZE „ALMANACHU PROWINCJONALNEGO”). 29 MAJA BR. MIJA 160 ROCZNICA KONCERTU FRANCISZKA LISZTA W RACIBORZU.

Przypomnijmy o kim mowa: FERENC (Franz) LISZT (1811-1886), kompozytor, pianista, dyrygent węgierski (niemieccy biografowie przypisują Lisztowi pochodzenie austriacko-bawarskie) studiował grę na fortepianie u C. Czernego oraz kompozycję u A. Salieriego w Wiedniu. Tam też poznał Ludwiga van Beethovena i Franciszka Schuberta. Jako pianista debiutował właśnie w Wiedniu w 1822 r. W 1823 r. wyjechał do Paryża, gdzie studiował prywatnie kompozycję u F. Paera i A. Reichy. W Paryżu poznał czołowe osobistości rodzącego się ruchu romantycznego, m.in. V. Hugo, A. Lamartine’a, H. Heinego, A. Musseta, F. Chopina, H. Berliozę, F. Mendelssohna-Bartholdy’ego. W latach 1824-1827 koncertował w Paryżu i w Anglii, gdzie swą grą zachwyił króla Jerzego IV. Na rok 1834 przypada jego związek z księżną Marią d’ Agoult, z którą spędził następne cztery lata w Szwajcarii i Włoszech. Wówczas skomponował utwory fortepianowe, zebrane w dwóch pierwszych księgach „Lat pielgrzymstwa”. W latach 1839-1847 odbył liczne podróże koncertowe po całej Europie.

Franciszek Liszt, wirtuoz fortepianu, uznawany był już wtedy za największego pianistę swoich czasów. Wiele z nich odbyło się na terenie Polski (Poznań, Kraków, Warszawa, Lwów). Przyjrzyjmy się kilku z nich.

Na Dolny Śląsk przybył Franciszek Liszt z cyklem koncertów już na początku stycznia 1843 roku. Od dnia, w którym Liszt przybył do Wrocławia i zatrzymał się „Pod Złotą Gęsią” pod hotelem gromadziły się tłumy ludzi, każdy chciał bowiem zobaczyć tego, którego sławi cała Europa. Na łamach prasy wrocławskiej ukazują się anonsy o zbliżającym się pobycie Liszta. Pojawiały się też ogłoszenia reklamujące sprzedaż portretu artysty i jego utworów. Bilety na długo przed pierwszym koncertem były wyprzedane. Po koncertach ukazywały się olbrzymiej długości recenzje, w których autorzy zajmowali się opisywaniem sylwetki geniusza podkreślając biel cery, błękit oczu, smukłą postać młodzieńca i jego długie kaskadą spływające blond włosy. Podkreślono demoniczną grę artysty nie szczędząc pochwał. Owe recenzje są dla nas źródłem informacji o działalności Liszta na Śląsku, o repertuarze przez niego wykonywanym, o przyjęciu jakiego doznał od publiczności, o ocenie wykonywanych przez niego utworów i panujących wówczas gustach muzycznych.

Po trzytygodniowym pobycie we Wrocławiu, Liszt opuścił miasto pełen talarów i tryumfu. Wiele z miast prowincjonalnych ubiegało się o przyjazd Liszta choćby na jeden koncert. Brzeg

i Legnica otrzymały taką obietnicę zaś wiele innych miast, które się o to ubiegały np. Kłodzko nie dostały tego zaszczytu. Początkowo planował dać jedynie kilka koncertów we Wrocławiu i dość konsekwentnie odmawiał grania poza tym miastem. 7 lutego 1843 roku wystąpił z solowym recitalem w budynku Teatru Miejskiego w Legnicy. Na jednodniowy wyjazd do Legnicy mistrz zgodził się po usilnych namowach przedstawicieli legnickiego magistratu, którzy przez kilka dni nachodzili Liszta we wrocławskim hotelu i w końcu udało im się go namówić na występ w tym mieście. Było to ogromnym wydarzeniem dla legnickich melomanów. Organizatorzy koncertu zrobili wszystko, żeby godnie przyjąć mistrza. Wielka sala została nawet zgodnie z potrzebami pianisty specjalnie przebudowana. Z Wrocławia sprowadzono dwa koncertowe fortepiany, które - według opinii Liszta - były najlepszymi dostępnymi instrumentami. Choć ceny biletów były trzykrotnie wyższe niż na koncerty we Wrocławiu, to i tak wielu chętnych musiało odejść od kas z kwitkiem.

Każdy zagrany podczas koncertu utwór spotykał się z natychmiastową, entuzjastyczną owacją legnickiej publiczności. Szczególny zachwyt wzbudziła zagrana brawurowo fantazja z „Don Juana”. Gorące przyjęcie publiczności i świetna organizacja koncertu sprawiła, że Liszt w niecały miesiąc później zawitał do Legnicy po raz drugi. Marcowy koncert, znacznie lepiej rozreklamowany, przyciągnął do miasta pielgrzymki melomanów z całego Dolnego Śląska. Już na kilka dni przed marcowym koncertem okoliczne zajazdy i hotele miejskie przeżywały oblężenie. Beniamin Bilse, dyrektor miejskiej orkiestry, urządził na cześć Liszta serenadę, a młodzi fanatycy wiwatowali na jego cześć na legnickim rynku do późnych godzin nocnych.

1 i 3 marca 1843 roku Franciszek Liszt koncertował w Teatrze Miejskim (Stadttheater) im. Andreea Gryphiusa w Głogowie. Grał na specjalnie skonstruowanym przez głogowianina fortepianie z podwójnym dnem. Ten okres życia wielkiego pianisty i kompozytora łączy się również z Ziemią Raciborską bowiem w latach 1843-1848 Franciszek Liszt rezydował w pałacu Lichnowskich w Krzyżanowicach. Tutaj komponował swoje utwory. Pamiętajmy, że książęcy dwór był wielce gościnny dla artystów, bywali tu Józefa Haydn (Wiedeń) i Ludwig van Beethovena (Hradec nad Morawicą, Krzyżanowice). 29 maja 1846 o godzinie 20:30 również w Raciborzu wystąpił jeden z najslawniejszych muzyków świata dr Franciszek Liszt. Przyjechał do Raciborza pociągiem wraz ze swym przyjacielem i dobroczyńcą, księciem Feliksem von Lichnowskym. Koncertował w sali lokalu Jana Lorenca Jaschkego, przy ul. Panieńskiej (ul. Chopina), gdzie obecnie mieści się Raciborski Dom Kultury. Liszt wykonał szereg utworów, których nazwy znamy z przekazu prasowego. Zgodnie z obowiązującym wówczas zwyczajem program koncertu podano w języku francuskim: „Andante de Lucia de Lammermor”, „Reminiscences de la Sonnambula”.

Po przerwie zaś artysta wykonał: „Andante avec variations de Beethoven”, „Etude de Chopin” „La Trinite melodie de Schubert”. Spotkanie z raciborską widownią zakończył artysta „Mélodies hongroises”. Bilety na koncert rozprowadzała księgarnia „Hirta”. Były bardzo drogie, bo kosztowały 2 talary za miejsca numerowane, 1 talar za miejsca wolne (stojące). Liszt nocował w domu przy ul. Solnej 5 u kupca Cecoli. Tam też po publicznym koncercie grał jeszcze raz dla zaproszonego towarzystwa.

Jeszcze wielokrotnie koncertował Liszt na terenie ziem polskich. M.in. w 1848 r. w nieistniejącej już oranżerii przy klasycystycznym pałacu Habsburgów wzniesionym w 1840 roku na polecenie arcyksięcia Karola (rezydencja myśliwska). W październiku 1857 r. w Żaganiu w poaugustiańskim zespole klasztornym a właściwie w jego barokowym kościele w czasie książęcego ślubu wnuczki księżnej Doroty Talleyrand-Perigord - Marii Doroty de Castellane z Antonim Radziwiłłem zagrał Liszt na organach „Veni Creator Spiritus”.

Związki Franciszka Liszta z Polską nie ograniczały się jedynie do działalności koncertowej. Artysta wyjątkowo dobrze znał polską kulturę i dzieje polskiego narodu. Łączyła go przyjaźń m.in. z Fryderykiem Chopinem, Adamem Mickiewiczem, Juliuszem Słowackim, Julianem Ursy-

nem Niemcewiczem, Karolem Lipińskim, Henrykiem Wieniawskim, Juliuszem Kossakiem, Cyprianem Godebskim. Podziwiał go Cyprian Kamil Norwid, wielu polskich poetów pisało wiersze na jego cześć (m.in. Wincenty Pol i Franciszek Wężyk). Liszt patronował wielu polskim artystom, którzy w znacznej mierze, dzięki właśnie jego pomocy osiągnęli późniejszą swoją pozycję (np. Zygmunt Noskowski, Henryk Wieniawski, Karol Tausig, Juliusz Zarębski), a do grona jego uczniów należało kilkudziesięciu Polaków. Był podziwianym na całym świecie interpretatorem i propagatorem twórczości Fryderyka Chopina, a także autorem pierwszej książki o naszym genialnym muzyku. Polską muzyką i historią zainspirowanych zostało około dwudziestu kompozycji Liszta.

Teraz, kiedy dużo mówimy o poszerzeniu procesów integracyjnych w Europie, warto pamiętać, że taka działalność na niwie sztuki była oczywista dla największych artystów już w XIX wieku. W 1847, w Kijowie, poznał żonę wysokiego oficera rosyjskiego, księżnę Karolinę Sayn-Wittgenstein, która stała się kolejną miłością jego życia. Osiedlił się wraz z nią w Weimarze, gdzie księżna utrzymywała znany salon literacki. Cesare Cauta, współczesny jej czasom poeta włoski miał powiedzieć o niej, że " jest kobietą najbardziej wykształconą w naszej epoce".

Sam Liszt objął stanowisko kapelmistrza wielkoksiążęcego skupiając wokół siebie szkołę „nowoniemiecką”, z R. Wagnerem, H. von Bülowem, P. Corneliussem, J. Raffem na czele. Tam powstało dwanaście jego poematów symfonicznych, koncerty fortepianowe Es-dur i A-dur, symfonie (Faustowska i Dantejska), sonata h-moll na fortepian.

Księżna przyjaźniła się w młodości z Wandą Cielecką z Sójek (nieopodal Kutna) - starego rodowego gniazda Sójekich herbu Grzymała. Około 1825 roku wzniesiono w Sójkach murowany dwór fundowany przez Feliksa Cieleckiego, który został ukształtowany całkowicie w ostatnich latach XIX wieku. Właśnie w tym dworze stał stary palisandrowy fortepian, otaczany wielką dbałością domowników, dar księżnej Karoliny Wittgenstein. Koncertował na nim sam Franciszek Liszt w czasie swych ukraińskich wояжy. Gorąca przyjaźń przetrwała próbę czasu i nie przerwało jej nawet opuszczenie kraju przez księżnę.

W 1861 r. Liszt opuścił Weimar i udał się do Rzymu na uroczystości zaślubin z księżną Sayn-Wittgenstein, które nie doszły do skutku z powodu odmowy dyspensy przez papieża. Liszt pozostał w Rzymie, 1865 przyjął święcenia kapłańskie. Odbывał do końca życia liczne podróże do Budapesztu, Weimaru, Bayreuth - gdzie zmarł 31 VII 1886.

Był Franciszek Liszt jedną z najwybitniejszych postaci muzycznego romantyzmu. Swą twórczością objął okres od narodzin tego stylu po jego późne stadium. W muzyce fortepianowej rozwinął niebywale fakturę i technikę pianistyczną, antycypując zarówno impresjonistyczny styl C. Debussy'ego i M. Ravela, jak i ekspresjonizm A.N. Skriabina, czy też późnoromantyczny koncert fortepianowy P.I. Czajkowskiego i S.W. Rachmaninowa.

W muzyce orkiestrowej skryształizował i rozwinął gatunek poematu symfonicznego, kontynuował Berliozowską ideę symfonii programowej. Jako pianista o fantastycznej technice i hipnotycznym oddziaływaniu na publiczność, autor niezliczonych transkrypcji upowszechnił styl romantycznej wirtuozerii, zaznajamiał słuchaczy z całym repertuarem muzyki XIX w. Jako dyrygent, dyrektor muzyczny dworu weimarskiego, stał się duchowym ojcem neoromantyzmu niemieckiego.

Dobrze jest przypomnieć sobie o tym, kiedy mija rocznica pewnego koncertu przy ul. Panińskiej w Raciborzu.

WALECZNE SERCE RACIBORSKIEGO HISTORYKA

W ostatnim dniu marca Roku Pańskiego 2006 na Cmentarzu „Jeruzalem” ogromna rzesza ludzi odprowadzała na miejsce oczekiwania Dnia Sądu jednego z najwybitniejszych współczesnych raciborzan – Benedykta Motykę. Któż nie znał tego wyśmienitego pedagoga, publicysty, miłośnika lokalnej historii, pasjonata polityki, kolekcjonera wiecznych piór, zapalonego kibica? W ciągu dziesięcioleci mocno zrosł się z naszym miastem, chociaż pochodził z Rybnika, gdzie przyszedł na świat 16 kwietnia 1938 roku (zatem w Wielkanoc skończyłby 68 lat) w śląskiej rodzinie o bardzo katolickich i polskich tradycjach. Jego ojciec, właściciel sklepu spożywczego, był gorącym admiratorem polityki Wojciecha Korfanteo, a w czasie wojny przez rok przebywał w obozie oświęcimskim. Nadał synowi imię Benedykt na cześć świętego patrona Europy, którego liturgiczne wspomnienie przypada właśnie 16 kwietnia. Jakże cieszył się Benedykt Motyka, kiedy przed rokiem nowo wybrany papież przyjął „jego” imię.

Po ukończeniu w 1956 roku Technikum Ogrodniczego w Prószkowie koło Opola został skierowany (tzw. „nakaz pracy”) do raciborskiej Spółdzielni „Ogrodnik”. Przed służbą wojskową „uciekł” do Studium Nauczycielskiego w Raciborzu, co miało się później okazać decyzją znakomitą – w tejsze placówce zdolności historyczne odkrył w młodym Benedyckie Alojzy Nowara. Tak rozpoczęła się trwająca blisko pięćdziesiąt lat przygoda z historią – powszechną i lokalną. Po ukończeniu SN-u podjął Benedykt Motyka pracę nauczyciela w Szkole Podstawowej w Pietrowicach Wielkich, gdzie – jak wielokrotnie opowiadał – uczył wszystkiego, łącznie z muzyką (grał niezłe na skrzypcach, o czym mało kto wie). W latach 1962-1967 Benedykt Motyka studiował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, a po zdobyciu stopnia magistra został zatrudniony w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza w Raciborzu. Ze szkołą tą związał się na dobre i złe (głównie jednak na dobre). Wychował mnóstwo absolwentów. Wszystkich doskonale pamiętał, po upływie kilku dziesięcioleci od ukończenia szkoły potrafił bezbłędnie podać nie tylko nazwiska absolwentów, klasy, do których uczęszczali, ale również ich mocne i słabe punkty, pomyłki popełnione na sprawdzianach, różne epizody ze szkolnego życia, o których dawno zapomnieli. Imponująca była jego pamięć. Potrafił cytować całe fragmenty opracowań historycznych oraz dzieł literatury pięknej, którą uwielbiał (cenił zwłaszcza prozę narracyjną XIX i XX wieku). Kochał historię, był jej prawdziwym pasjonatem, co uzewnętrzniał zarówno w procesie dydaktycznym, jak i w licznych publikacjach, dotyczących głównie historii Śląska (wielką radością przepełnił go pierwszy numer „Almanachu Prowincjonalnego” z jego tekstem na temat dziejów raciborskiej „Strzechy”). Miłość do dziejów umiejętnie zaszczerpiał uczniom. Wychował liczne grono laureatów (łącznie ze zwycięzcami) i finalistów Olimpiady Historycznej oraz Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym. Przez kilkanaście lat łączył (bardzo sprawnie i skutecznie) pracę dydaktyczną z obowiązkami wicedyrektora szkoły.

Miał wielu przyjaciół, a nawet – można powiedzieć – fanów. Cieszył się wielkim szacunkiem w społeczności raciborskiej. Jego wieloletnia choroba, a zwłaszcza pełen godności sposób jej znoszenia szacunek ten ogromnie wzmogły. Cierpienia i umierania nauczył się od Sługi Bożego Jana Pawła II.

W następnym numerze „Almanachu Prowincjonalnego” zamieścimy obszerniejsze materiały na temat Zmarłego.

BARTUŚ I LIDKA

przyszli po ptaki znamiona wolności
otrzymali śmierć
różnie odchodzili nic byśmy nie wiedzieli
gdyby nie ta kurtka

rozebrać się w taki mróz
to jak wyjąć swoje serce
i dać komuś
bez wahania

nie dla poklasku i na pokaz
nie do kąpeli do kochania
rozebrać się dla wnuczka

który nie byłem wśród zaspanych
ani ratujących cóż mogę

ułożyć na tej kartce nagle ukrzyżowanych ludzi
i gołębie na które spadło niebo
Bartusia lat dziesięć
i piękną Babcie Lidkę
i zimową kurtkę nieskutecznego posłańca
największej miłości



CHLEB I SÓL JAN ZAHRADNIČEK

THEATRUM MUNDI ET DEI..... 1

OD REDAKCJI

PO RAZ TRZECI..... 3

MAREK CZAPLIŃSKI

JAKA HISTORIA ŚLĄSKA?..... 5

LESZEK WYKA

WWW. RACIBORZ. KULTURA – PRAWDA CZY FAŁSZ?
(UZUPEŁNIENIE)..... 12

KAROLINA STANIECZEK

W CZERNI I BIELI..... 13

FRANCISZEK STAL

AKCJA – WAGON..... 19

KS. JERZY SZYMIK

TOSKANIA – WIERSZE..... 24

MAREK RAPNICKI

SANTA MARIA DEL FIORE. PONAD WSZYSTKIM..... 30

KS. JERZY SZYMIK

WIERSZE O BOGU..... 32

JERZY STAROŃ

JAN PAWEŁ II. PAPIEŻ NA CIĘŻKIE CZASY..... 37

ALFRED MAREK WIERZBICKI

WIELKI TYDZIEŃ 1997. KARTKI Z DZIENNIKA..... 41

ADRIANA SZYMAŃSKA

TRZY WIERSZE DLA WEGI..... 47

CZESKIE SŁOWA – CZESKIE OBRAZY

ALFRED MAREK WIERZBICKI

PLAC WACŁAWA..... 51

ANDRZEJ BABUCHOWSKI

BRNĘ PRZEZ ZIĄB DO MIŁOŚCI..... 52

JAN ZAHRADNIČEK

WIERSZE..... 63

SŁOWO..... 65

JAROMÍR ŠAVRDA

WIERSZE..... 70

EMIL HAKL

CUDAK..... 73

TOBIÁŠ JIROUS

UKOŃCZONY DZIENNIK..... 77

KRZYSZTOF LISOWSKI

MISTRZOWIE: MIROSLAV HOLUB..... 81

MIROSLAV HOLUB

WIERSZE..... 82

VÁCLAV BURIAN

FELIETONY OŁOMUNIECKIE..... 90

KS. JERZY SZYMIK

SZTUKA W OBLICZU TAJEMNICY SŁOWA WCIELONEGO..... 100

JANUSZ NOWAK

JESZCZE O ZAPOMNIANYM PIĘKNIE RZYMSKIEJ LITURGII..... 106

JANUSZ SZUBER

MAŁE PROZY..... 109

MARGO BIRNBERG

CZERWONO-CZARNA Z ŻÓŁTYM KRĄŻKIEM..... 112

ŁUKASZ KĄDZIOŁKA

PODZIAŁY ADMINISTRACYJNE NA ŚLĄSKU NA TLE DZIEJÓW
POLITYCZNYCH DZIELNICY OD X DO XIV W.*)..... 117

PAWEŁ NEWERLA

PLAC DŁUGOSZA I JEGO OKOLICE..... 123

BENO BENCZEW

NIEZNANE KARTY HISTORII ZIEMI RACIBORSKIEJ
OBOZY DLA POLAKÓW 1942 – 1945 R.
- POLENLAGER NR 82 W POGRZEBIENIU..... 128

JAN KONDRAK

JEDNO ZDANIE..... 136

SZYMON BABUCHOWSKI

WIERSZE..... 142

TERESA PASKUDA

GŁOS W SPRAWIE POEZJI KS. JANA TWARDOWSKIEGO..... 146

WOJCIECH ARCIEMOWICZ

HAJ-MAT..... 159

MARIUSZ SOLECKI

PROZOPOETYKI..... 162

KS. JERZY SZYMIK

SIENA. O MIŁOSZU, O ŚLĄSKU, O NAS..... 165

KORNELIA LACH

OKIEM BADACZA KULTURY
STRÓJ OBRZĘDOWY ROCZNEGO DZIECKA..... 169

WOJCIECH WENCEL

ZBIGNIEW HERBERT PISZE LIST DO JOHANNESA VERMEERA
RĘKOPIS ZNALEZIONY W ROVIGO..... 170

SZYMON BABUCHOWSKI

KAWALERKA NA GISZOWCU
KOT TRENINGOWY..... 172

MARZENA KORZONEK

Z DZIENNIKA
JESIEŃ W RZYMIE..... 175

MIŁOŚ DOLEŻAŁ

OBRAZKI Z CZECH
CHAGALLOWSKI MUZYK I KOŚCI..... 180

JACEK MOŁĘDA

MADE IN POLNAD
„SYGNAŁ”, CZYLI KAUZALIZM KAUZALNY..... 182

KRZYSZTOF KOMOROWSKI

OBRAZY PAMIĘCI..... 184

MAREK RAPNICKI

ZNAD GÓRNEJ PÓLKI..... 187

LESZEK WYKA

160 ROCZNICA KONCERTU
FRANCISZKA LISZTA W RACIBORZU..... 190

JANUSZ NOWAK

WALECZNE SERCE RACIBORSKIEGO HISTORYKA..... 193

MAREK RAPNICKI

BARTUŚ I LIDKA..... 194

Rada programowa:

BOLESŁAW STACHOW, ADAM SZECÓWKA, LESZEK WYKA

redakcja:

redaktor naczelny – JANUSZ NOWAK
sekretarz redakcji – MAREK RAPNICKI
redaktor techniczny – MICHAŁ FITA

adres redakcji:

Raciborskie Centrum Kultury
ul. Chopina 21, 47-400 Racibórz
almanach@rck.com.pl, rck@rck.com.pl
tel. 0 – 32 415 25 40

stale współpracują:

VÁCLAV BURIAN (Ołomuniec), MIŁOŚ DOLEŻAL (Praga), SŁAWOMIR JANOWSKI, KORNELIA LACH,
KRZYSZTOF LISOWSKI (Kraków), JOANNA MAKSYM - BENCZEW, LIBOR MARTINEK (Opawa),
JACEK MOŁĘDA, LESZEK SZCZASNY, ks. JERZY SZYMIK (Katowice),
DAWID WACŁAWCZYK, WOJCIECH WENCEL (Gdańsk), Ks. ALFRED M. WIERZBICKI (Lublin),
BERNARD KNOP

ilustracje i fotografie:

BOLESŁAW STACHOW – 2, 18, 23, 27, 56, 69, 104, 123, 145, 147, 151, 152, 155, 158, 169, 182
MAREK RAPNICKI – 1, 26, 28, 29, 31, 36, 40, 43, 50, 55, 61, 81, 96, 138, 165, 171, 174, 176, 179, 180, 187
MICHAŁ FITA – 19, 25, 66, 75, 93, 96
WOJCIECH ARCIEMOWICZ – 4, 71, 108, 118, 135, 139, 140, 141, 159, 160, 161, 189, 194
MARGO BIRNBERG – 112, 113, 114, 116
KAROLINA STANIECZEK – 13, 14, 15, 16, 17, 80, 173, 181, 183
MARIUSZ KUBIK – 67, 86, 89, 90, 91, 92, 95, 97, 98, 99
GRAŻYNA NIEZGODA – 48
JOANNA BRODZKI – 134
PIOTR POTACZEK – 177, 178
BERNARD KNOP – 185

z arch. ALFREDA M. WIERZBICKIEGO – 41
z arch. SZYMONA BABUCHOWSKIEGO – 143, 172
z arch. JERZEGO STARONIA – 38
z arch. MARKA CZAPLIŃSKIEGO – 5
z arch. KRZYSZTOFA KOMOROWSKIEGO – 184
z arch. BENO BENCZEWA – 128, 130, 132

z arch. ANDRZEJA BABUCHOWSKIEGO – 53
z arch. DOLORES ŠAVRDOVEJ – 70
z arch. JANUSZA SZUBERA – 109, 110, 111
z arch. MARZENY KORZONEK – 175
z arch. PAWŁA NEWERLI – 124, 125, 126, 127

www.pwf.pragonet.cz – 84

www.argo.cz – 76

przygotowanie do druku:

Projekt okładki według własnego zdjęcia pt. „Bar.OK” – MICHAŁ FITA

Opracowanie graficzne i skład – MAREK PLEWCZYŃSKI

Wybór i opracowanie zdjęć – BOLESŁAW STACHOW

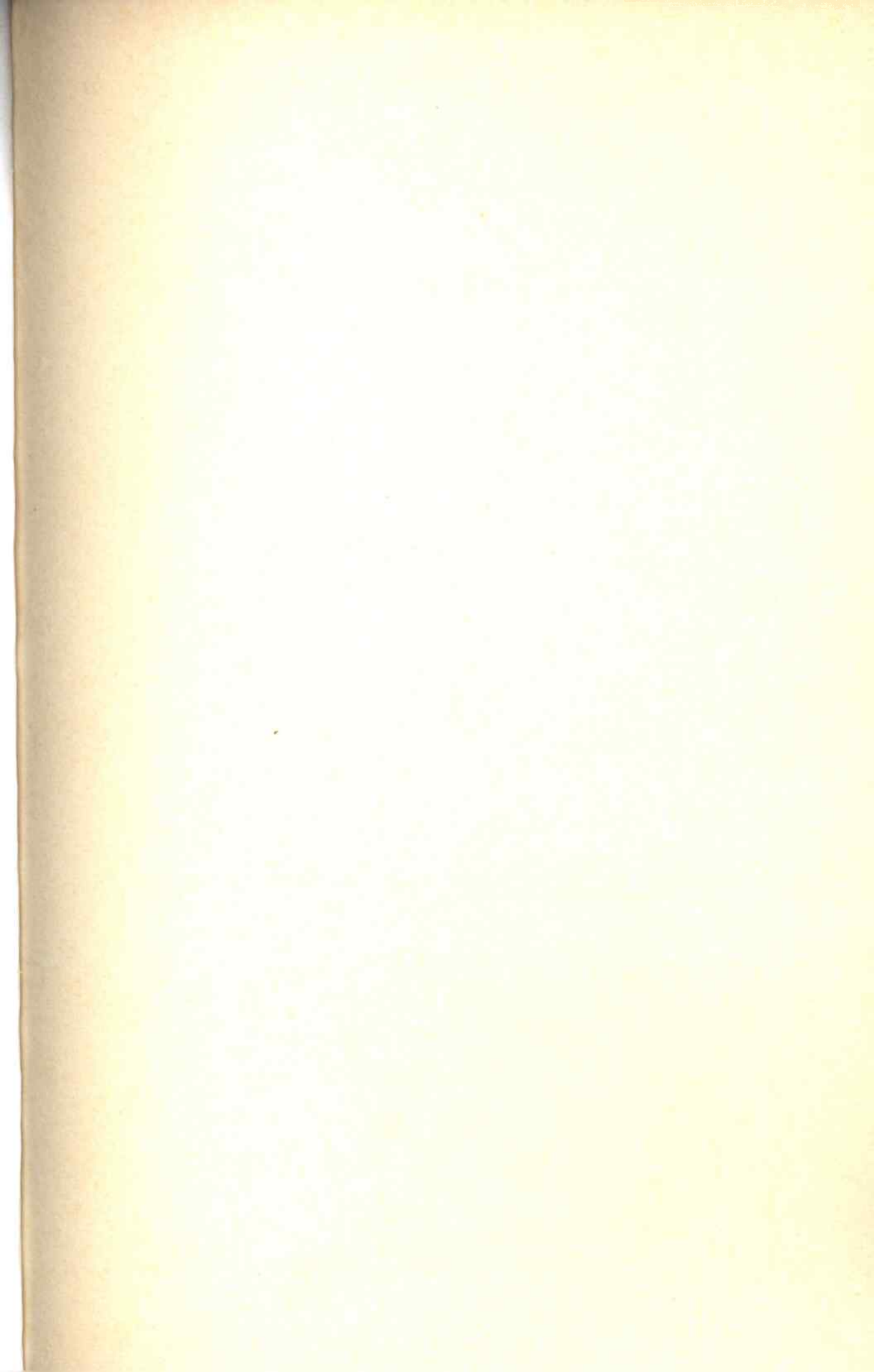
wydawca:

Raciborskie Centrum Kultury

druk:

Baterex s.j. ul. Rudzka 45, 47 – 400 Racibórz

ISSN 1895-636X



**W październiku 2006
w następnym numerze m.in.:**

- czeskie słowa – czeskie obrazy II
- „Nowa Fala” po latach
- czwarta część wspomnień
Franciszka Stala
- plastyka z kręgu raciborskiej PWSZ
- wiersze, eseje, felietony, recenzje

Publikację dofinansowano z budżetu samorządu Województwa Śląskiego

ISSN 1895-636X